

ALICJA IWANŃSKA

ŚWIAT PRZETŁUMACZONY

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1968

3

ŚWIAT PRZETŁUMACZONY

BIBLIOTEKA « KULTURY »
TOM 158



549 ep. bi ep.

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi
par 78-MAISONS-LAFFITTE

ALICJA IWAŃSKA

**ŚWIAT
PRZETŁUMACZONY**

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1968

P R O L O G

Mexico, 5 lipca 1963 r.

— Po co to wszystko? Nowe rzeki i góry — niektóre z nich bez nazw, bo są kraje w których o rzece mówi się „rzeka” a o górze „góra” — nowe kraje i ludzie o nazwiskach nie do wymówienia...

Bo przecież to nie tylko z konieczności: z wymordowania, z wysiedlenia, wyrzucenia, czy też mówiąc staroświecko „wygnania”, nie tylko z ucieczek, *escapes, huidas, échappes*, nie tylko z usprawiedliwionych przestraszeń! Ostatecznie można się było gdzieś zatrzymać na przykład w małym i bardzo czystym amerykańskim miasteczku, w stanie Indiana, gdzie ofiarowywano *security* i przyszłość. Albo na wyspie Margarita w Wenezueli w domeczku pod trzema palmami z wierną służącą, kotem angora i aż trzema tygodnikami z trzech części świata „żeby nie stracić kontaktu”... Albo w La Patrie Retrouvée — taka długa nazwa — we francuskiej Kanadzie, przy kościółku nad rzeką...

Ale nie tylko w takich dziurach zaprzepaszczonych, bo przecież są i tacy, którzy w Paryżu, w Londynie czy w Nowym Jorku zostać mogli, no i oczywiście niektórzy z nich zostali. Ale czy naprawdę?

Niektórzy nawet pozmieniali nazwiska i nazywają się teraz John Turner, Jean Dubois czy Juan Rodrigez. Dla świętego spokoju to zrobili — mówią — lub z uprzejmości bo nazwisko było trudne do wymówienia, a czasem mówią, że zrobili to, bo chcieli zapomnieć i zacząć.

Niewiele im to jednak pomogło, bo w snach wracały do nich nazwiska a na białych ścianach jak liszaje narastały okna i balkony, znane, minione, niechciane.

*voie se pencher les défaites années
sur le balcons du ciel
en robes surannées...*

Czy to Beaudelaire? Tak... chyba Beaudelaire... spokojny uniwersalizm minionych epok. Bo Im, nawet najgłębszym, nie rozrastały się do rozmiarów ichtiozaurów liszaje wspomnień...

Dziś w nocy śniło mi się, że jestem znowu w Stanach Zjednoczonych, w mieście wielomilionowym i stupiętrowym, jakby w uogólnionym Nowym Jorku, i biegam po głębokich *basements* wielkich sklepów szukając rękawiczek.

Bardzo mi było zimno w ręce — pamiętam — zwłaszcza w prawą rękę, która mi co chwila lodowaciała, a nie było to ani lato ani zima ani wiosna ani jesień i nie wiadomo skąd się brało to zimno przenikliwe. A ponieważ prawa ręka jest jednak sprawniejsza od lewej, z lewą ręką w kieszeni, prawą coraz to bardziej siniejącą grzebałam w stosach rękawiczek spiętrzonych na kwadratowych stołach. Były tam i wełniane i skórzane i nylonowe rękawiczki, różnokolorowe i różnych rozmiarów, ale nie były razem parami poszczepiane i trzeba je było wyławiać przymierzać dobierać. Biegałam od stołu do stołu ale nigdzie nie mogłam znaleźć odpowiedniej pary... A potem podziemnymi korytarzami przebiegałam od sklepu do sklepu i wszędzie były takie same stoły ze stosami kolorowych rękawiczek i dopiero w trzecim czy czwartym sklepie zorientowałam się, że wszystkie te rękawiczki były z lewej ręki, a tymczasem właśnie w prawą rękę było mi tak zimno, że jej już prawie nie czułam...

Więc w końcu wcisnęłam na nią z trudem zieloną — pamiętam — rękawiczkę z lewej ręki, a na lewej ręce już miałam rękawiczkę też zieloną ale trochę jaśniejszą. W rękawiczkach z nieodczepionymi jeszcze cenami — każda rękawiczka kosztowała 50 centów — podeszłam do kasy, żeby zapłacić, ale kasjerka uśmiechnęła się pobłażliwie i powiedziała: — „Pani ma jedną rękę prawą a drugą lewą, Miss, i te rękawiczki są nie dla pani. Tutaj sprzedajemy rękawiczki tylko dla takich, którzy mają dwie lewe ręce, ale na trzecim piętrze znajdzie pani rękawiczki dla siebie, tylko że oczywiście droższe...”

Zaniemówiłam ze zdumienia i obejrzałam się naokoło, ale prócz mnie i kasjerki nie było nikogo, nie mogłam więc niczego sprawdzić.

— Skąd pani jest? — zapytała kasjerka — że taka niezorientowana i jakim to akcentem pani mówi: niemieckim, czy francuskim? Aaaaa, z Polski... A czy to prawda, że podczas wojny Niemcy ściągali Polakom rękawiczki?

— To musiało być straszne... Pewno dlatego ma pani taką odmrozoną rękę, ale dlaczego tylko prawą? Nie rozumiem... Niech pani weźmie windę na trzecie piętro i tam znajdzie pani rękawiczki dla siebie.

Ale zamiast pojechać windą na trzecie piętro pobiegłam z powrotem korytarzami do sklepów, bo nagle przeraziłam się sama sobą i chciałam koniecznie sprawdzić czy tam rzeczywiście sprzedają rękawiczki z lewej ręki prawdziwym ludziom bez prawych rąk... Bo może to jedynie moje zwariowane przywidzenie, zły sen, z którego się obudzę gdy sprawdzę...

Biegłam i biegłam, ale korytarze były puste. Biegłam i biegłam, ale nigdy nie dobiegłam do żadnego sklepu, nigdy niczego nie sprawdziłam, bo korytarze zmieniły się nagle w ciemne schrony z Warszawskiego Powstania i zaludniło się w nich od niedostrzegalnych, ale bliskich ludzi. Nie widziałam ich, ale wiedziałam, że klęczeli i słyszałam ich zmęczone, szeptane modlitwy, a od czasu do czasu z tego szeptu błagalnego wyrwał się jakiś dźwięczniejszy głos, jakby skądinąd, może z ulic nad schronami...

I nagle wśród szeptów najcichszych zahuczało, zatrzęsło, rzuciło mną o ścianę i zaczęły się walić sufity schronów a ja już nic nie wiedząc i nie widząc biegłam między walącymi się murami przysypana, zachłyśnięta i bezmyślna, aż nagle... co za ulga... rozjaśniło się naokoło, zapluskało i zobaczyłam najpierw zielone wodorosty a potem dopiero zachmurzone niebo. Jechałam wąskimi kanałami Xochimilco, a obok mnie ktoś — nie wiem kto — wiosłował i była także ucieczka, ale inna, a może powrót?

Potem już się obudziłam i było mi bardzo dobrze. „Co za szczęście” — pomyślałam — „że w Mexico są kanały, a nie métro i schrony...”

Freud mówi o „resztkach dnia” jako o jednym z elementów snu. Oto „reszotka dnia”: *Historia de Mexico* (podręcznik dla 3-ciej klasy szkoły powszechnej) i opis oblężenia Tenochtitlanu (bo tak się wówczas nazywało Mexico) w roku 1521-ym. Oto rysunek, niebardzo dobry, ale przejmujący: młody cesarz, ostatni obrońca Stolicy, Cuauhtémoc, na małej łódce ucieka ze zniszczonego już Tenochtitlanu, aby w innych punktach, za miastem, zorganizować dalszą obronę. A bronili się oni jeszcze dłużej niż my, bo aż 91 dni, a więc był to pewno dzień 91-y...

Ale nic z naszych planów nie wyszło. Cuauhtémoca złapano i Cortez obwoził go potem po całym kraju sadystycznie i miłośnicie, bo Oni — Zwycięzcy — pozwalali sobie na takie ambiwalencje, odkupione — myśleli pewno — grozą i pięknem Wielkiej Przygody.

Nic z naszych planów nie wyszło. Nie dokonały niczego partyzantki tych którzy się przedarli lub uciekli, a inni powymierali lub poprzężywali w obozach jeńców, w więzieniach, w kacetach, na prowincji.

Ci których Cuauhtémoc nie mógł sobie w najbardziej fantastycznych fantazjach wyobrazić (a młody cesarz był intelektualistą) wybudowali mu potem pomnik i teraz po wiekach i latach mówi się, że nasze Beznadziejne Obrony miały „znaczenie symboliczne”... My także mamy swój pomnik w Warszawie. Co roku w rocznicę wybuchu Powstania... dla pomnika wieniec. Co roku w rocznicę poddania się Tenochtitlanu, wieniec dla Cuauhtémoca. 1 sierpnia 1944. 13 sierpnia 1521. Dlaczego tu poddanie a tam wybuch? Jakie znaczenie ma ta nieregularność historii? O ile ma w ogóle jakieś znaczenie?

O to się zapytam dziś wieczorem Ulissesa przy spotkaniu we Flor de Mexico, na rogu ulic Bolivar i Venustiano Carranza. Ta ulubiona kawiarnia Ulissesa, jak nasza dawna Ziemiańska, bardzo będzie odpowiednia do takiej rozmowy. Żeby nam tylko nie przerywali znajomi Ulissesa, dziennikarze i literaci, których tam zawsze tłumy!

— Ulissesie, Ulissesie — powiem — wiem, że jesteś niepowtarzalny, a jednak... i twoje imię, i twoje oczy, i linie twoich dłoni i twoje słowa, to przecież przedłużenia, warianty, wersje. Jesteś ciągłością, jesteś Historią i nawet jeśli chcesz być sam, nigdy nie możesz być zupełnie sam wśród tych wszystkich niezaprzeczalnych podobieństw.

I potem postaram się mu wyjaśnić to co najtrudniejsze do wyjaśnienia, a będzie to na temat „sensu życia” i będę mówiła o tym „sensie życia” w cudzysłowach i z uśmiechem trochę zawstydzonym, bo przecież Ulisses i ja jesteśmy na pewno pozytywiści i odrzucamy metafizykę...

Zacznę chyba od Freuda, od tego, że Freud jest na ogół źle interpretowany bo freudowska etyka była tylko etyką rozumu i woli, mozolnym poszukiwaniem kształtu, a nie, jak myśli wielu, poddaniem się chaosowi sprzecznych uczuć. A potem będę mówiła o tych jedynych nieśmiertelnych spośród ludzi, którzy przeistnieśli swoje Dzieje nic z nich nie rozumiejąc. Działo się naokoło nich, waliły się mury, wybuchały bomby, ludziom wydłubywano oczy, ale oni tego nie wchłonęli i nie zrozumieli, czyli według mojej definicji „życia” — nie przeżyli... Stąd ich nieśmiertelność i jest to jedyny rodzaj ludzkiej nieśmiertelności, bo jakże można umrzeć skoro się nigdy nie żyło?...

WIEŚ MOJA

Mexico, 6 lipca 1963 r.

Rewolucja, *Revolucion*, *Revolución*... Słowa z gazet, z rozmów, z książek Ulissesa. I *Partido Revolucionario Institucional*, czyli coś w rodzaju ustalonej rewolucji. Czy po to sztychy z Rewolucji Francuskiej wisiały nad moim łóżkiem gdy miałam ile... tak, wszystkie po kolei lata mego dzieciństwa. Mocna twarz Marata i kresczkowe płomienie Bastylli, kresczkowe dymy, kresczkowe ruiny i gilotyna. Francuski plebs. Lud? Chłopi? Indianie? Czy Rewolucja Meksykańska podobna była do Francuskiej? Ze sztychów? z powieści? Z lekcji historii?

— Tak, Ulissesie, my Polacy nie jesteśmy zdolni do tragedii miłosnych, będąc jak najzdolniejsi do miłości. Lepiej to od razu powiedzieć... Bo po tym cośmy przeżyli tragedie miłosne wydają się nam po prostu śmieszne...

— Zresztą nie mówimy nawet i nie myślimy takimi terminami jak „miłość” czy „ojczyzna”. Tego rodzaju słowa wydają się nam śmieszne i nieprzyzwoite. Może kiedyś, na przykład w dziewiętnastym wieku, słowa te nie potrzebowały cudzysłówów. Może wówczas były one spontaniczne i prawdziwe. Dzisiaj rozśmieszają i fałszują. Nie możemy się przy ich pomocy porozumieć tak samo jak nie mogą tymi słowami mówić między sobą Indianie *Mazabua* z Mbayo. Ale oczywiście z innych powodów. Dla nas te słowa minęły. Dla nich jeszcze nie nastały. I ta nieaktualność jakoś nas łączy.

Wielka *fiesta* w Mbayo. Pierwszego sierpnia. W samą rocznicę Powstania Warszawskiego. To byłaby już druga moja *fiesta* w Mbayo. Obiecałam, że przyjadę... ale mimo to, że obiecałam nie pojedę... nie będę na *fiescie*... bo dwie takie *fiesty* w życiu to trochę za dużo!

Mexico, 7 lipca 1963 r.

Taka *fiesta* w Mbayo to nie jak nasze Boże Ciało, to nie kwitnący, śpiewny dzień, to tygodnie! Najpierw narastają przygotowania. Święci z Mbayo wędrują do sąsiednich indiańskich wsi i wracają z powrotem do Mbayo. Święci z innych wsi, „Świątkowie”, jak mówią Indianie *Mazabua*, Chrystusiki, Matki Boskie, Krzyże, anonimowe, trochę już starszawe Święte Dzieciątka w pieluszkowych zawojach z białej *manty*, procesjami wędrują zewsząd do kościółka w Mbayo.

Potem tygodniowa, szalona, dymiąca, bezsenna *fiesta*. Płonący fajerwerkowy zamek jeszcze wyższy niż kościół w Mbayo. Fajerwerkowe walki byków i młodzi Indianie skaczący przez pełzające ognie jak kiedyś w Czorsztynie, w noc Świętego Jana. Tylko, że wszystko to bardziej powiązane z ich nie tak daleką przeszłością: i ta zawodząca muzyka, skrzypiec i ten monotony głos wielkiego bębna, a wszystko to w kadzidłach i kwiatkach... Ale to nie sypiące się, radosne płatki z naszych procesji. Ich kwiaty to same głowy dali, róż i margerytek pobożnie i uważnie podawane Świątkom na białych talerzach. W tym zapamiętałym tygodniu zmieniają się uroczyscie władze wsi. W kościele wśród kadzideł i kwiatnych ofiar ustępują zesłoroczni „Święci Sołtysi” i zastępują ich nowi „Święci Sołtysi”... na kolanach, wśród rozmodlonych, powolnych tańców!

A potem tygodniowe nowenny i znowu fajerwerki i głowy dali na białych talerzach, i znowu procesjami wędrują Świątkowie z Mbayo do sąsiednich indiańskich wsi, odprowadzając Świątkowych gości do Aurory, do Los Pinos, do La Fuente...

Mbayo, w lipcu 1963 r.

Przyszli mnie odwiedzić w mojej chatce *los senores**, panowie z Mbayo, żonaci mężczyźni na odpowiedzialnych stanowiskach. Przyszli chłodnym rankiem w brązowych *gavanach*, wełnianych pledach w geometryczne wzory. Te wzory to przeważnie motywy z ich starodawnych, odległych i zwykle nieznanymi ruin. „Panowie z Mbayo — średniowieczni rycerze”... — pomyślałam, jak zwykle przejęta tą ich dawnością o której oni sami nic nie wiedzą, równocześnie zdając sobie sprawę z fałszowania w ten sposób ich niepowtarzalnego istnienia. Bo po co mi się znowu myśli terminami „rycerzy” i „Średniowiecza”... czy takie

* Nie mamy hiszpańskiego znaku „n” z daszkiem, wymawiać należy „seniores”.

tłumaczenie ich obcości na mój język nie jest idiotycznie papierowe, niewybaczalne? Ale nie chcieli się ode mnie odczepić ci „średniowieczni rycerze” w geometrycznych *gavanach*, a to przecież nie rycerze a indiańscy chłopci, nie średniowieczni lecz współcześni!

Ale zaraz sobie to zafalszowanie wybaczyłam, bo cóż w tym dziwnego, że trudno mi znieść obcość tych już tak bliskich ludzi... „Jakoś sobie trzeba dać radę z obcością, jak nie prawdziwie to fałszywie” — pomyślałam.

Panowie z Mbayo umieją siedzieć na krzesłach, bo w każdej prawie chatce indiańskiej jest chociaż jedno krzesło dla gościa, a gdy nie ma gościa, na krzesle siedzi dziadek, ojciec lub najstarszy syn, podczas gdy kobiety, dzieci, młodszy mężczyźni, siedzą w kucki na gliniastej podłodze. Ale w mojej chatce są meble. Jest to jedyna chatka z meblami w całej wsi. Mam duże drewniane łóżko, dwa krzesła, wielki stół. Czterech panów na dwóch krzesłach, sześciu na łóżku, a ja sama na walizce. Częstouję ich papierosami. Palą trochę się krtuszając i wypytują mnie, jak zwykle, o rodzinę i o „moją ziemię”. Jeden z nich zapomniał znowu jak się ta ziemia nazywa. — „Polonia”? — powtarza zdumiony — „tak samo jak moja żona, Apolonia”... I potem wszyscy razem zaczynają mnie pytać, jak tam ze żniwami w „mojej ziemi za morzem”.

— Bo u nas — mówi nagle cicho i monotonna jeden z panów — właśnie straciliśmy żniwa.

Chwilę się tylko mówi o tym, o powodzi, która zatopiła kukurydziane milpy, o tym, że inżynierowie robią co mogą aby opanować rzekę, „ale cóż oni tam wiedzą”... i znowu ktoś powtarza tym samym przyciszonym głosem: „Tak, straciliśmy żniwa, cała kukurydza pod wodą...” I więcej się już o tym nie mówi. Oni nie lubią tu mówić o zbyt często powtarzających się katastrofach. Wiadomo, będzie głód, tak jak trzy lata temu. I trzeba będzie przegłodować, i... jakoś tam będzie.

To już nie „średniowieczni rycerze” w ciemnych *gavanach*, to my w zdobytych na Niemcach „panterkach”, my sami po kilku tygodniach Powstania, gdy już przybladła lub wygasła nadzieja. Wiadomo... za chwilę znowu bomby i jutro nowe pożary, jak wówczas w 1939 roku, ale głośniejsze i większe. A potem? Ci co przeżyją będą żyć i... jakoś tam będzie...

Potem mówiło się już tylko o *fiescie*, o tym jak będzie udekorowany kościół i jaki wspaniały przygotowuje się w tym roku fajerwerkowy zamek. Fajerwerkarze z San Martin zażądali tym razem o 500 pesów więcej niż poprzednio. Żeby tylko nie padało w wigilię *fiesty*, bo zamokną fajerwerki i nie będzie zamku.

A kiedy wyszli i został ze mną tylko Don Edmundo, napił się zaraz kawy, bo jakże tu było podać kawę w sześciu filiżankach dziesięciu panom z Mbayo... — „Jak to dobrze, że mogłam ich przynajmniej poczęstować papierosami” — powiedziałam, ale Don Edmundo nie usłyszał.

— Jeżeli będzie padało w wigilię *fiesty* — powiedział — zapalimy zamek pierwszego sierpnia, a jeżeli będzie padało pierwszego sierpnia, to następnego dnia, ale lepiej żeby nie padało. Za kilka dni, kto wie, może się uspokoi... — mówił znowu — ale teraz, Donio Marylito, niech pani spojrzy, znowu *nadciąga woda*... — Wyjrzeliliśmy przez drzwi i rzeczywiście „nadciągała woda”... ciężkie chmury opadały na jasno zielone pagórki, a po drugiej stronie doliny, nad rzeką, tam gdzie rancho San Lorenzo ciemnymi smugami łączyło się niebo z ziemią. — „Trudno” — powiedział Don Edmundo — „pada i musi padać bo od deszczu rośnie księżyc, ale niedługo pełnia więc może przestanie”...

— A co się robi po takich straconych żniwach? — zapytałam bez wstępow — z czego się żyje, gdy nie ma kukurydzy?

Don Edmundo przez chwilę milczał. Znam już tak dobrze to ich nieambarasujące milczenie. A potem innym, cichszym i bardziej monotonnym głosem, nie tym samym, którym mówił o fiście, powiedział — „Wszyscy wówczas muszą szukać pracy w stolicy, nie ma rady, chcą czy nie chcą, wszyscy jadą za pracą do Mexico”.

Mexico to piekło dla Indian *Mazabua*, Indian *Mazabua* tego pokolenia, dla *los senores*, panów przyzwyczajonych do niepewności jutra ale i do szacunku współmieszkańców, do codziennej porcji uznania, serdeczności, nadziei. Ale gdy nie ma kukurydzy, gdy na śniadanie są tylko trzy *tortije* wówczas trzeba szukać pracy w stolicy, bez serdeczności, bez szacunku, bez nadziei...

W czyścicu też nie ma serdeczności, bo skąd, i nie ma szacunku... ale to pewne, że jest nadzieja! A w Mexico? Może dla synów i wnuków, ale nie dla tej generacji! Dla *los senores* z Mbayo nie ma nadziei w stolicy! Oszukiwani, sponiewierani i głodni ciążają centawy na *tortije* dla dzieci. Jedyne wyjście dla nich to jak najszybszy powrót do Mbayo. W Mexico Don Edmundo nosi przy sobie długi, ostry gwoździec, żeby się obronić przed złymi ludźmi gdy napadną. W Mbayo nie ma złych ludzi i można spokojnie chodzić nocą. Jedyne niebezpieczeństwo to diabły, ale na diabła ani gwoździec ani nóż nie pomoże. Jedyne co pomoże to modlitwa, a gdy trzeba przechodzić w nocy koło mostu przy szosie do haciendy, lepiej mieć ze sobą krucyfiks bo diabeł spod mostu gorszy od innych!

— A myśmy podczas wojny nosili w kieszeni pieprz, bo pieprzem można osłepić, więc może by w Mexico zamiast gwoźdździa pieprz?

— Chyba nie... bo pieprzem nie zawsze się trafi w oczy, a gwoździem, zwłaszcza długim i ostrym zawsze się gdzieś trafi. Więc lepszy gwoździe!

Gdy się wszystko skończyło i po dwóch dniach ciszy zaczęła się ewakuacja Warszawy, szliśmy w znacznie większe nieznane niż Indianie *Mazabua* wędrujący za pracą do Mexico. Przed nami były obozy jeńców, kacety, więzienia i nie było Warszawy do której można było wrócić. A oni — szczęśliwi — zawsze, choćby piechotą i zebrząc, wrócić mogli do Mbayo...

Ale nie umiałem wytłumaczyć tego nawet Don Edmundowi, więc milczeliśmy znowu a nad nami szumił deszcz i od czasu do czasu zabawnie, małymi kropelkami przeciekał przez sufit.

— Auden, angielski poeta, zamieszkały w Stanach Zjednoczonych — wyrwało mi się nagle — powiedział, że największą przyjemność w życiu zrobiło mu podłuchanie prostytutki, która biorąc prysznic deklamowała jego wiersz. Coś w tym rodzaju deklamowała:

„Setki ludzi żyją bez miłości, ale nikt nie może żyć bez wody!” — dobre, prawda?

Don Edmundo uśmiechnął się i zapytał:

— Czy poeci to tacy, którzy wiedzą więcej od innych?

Żeby móc naprawdę przetłumaczyć Mbayo na Polskę, trzeba by najpierw stworzyć Stany Zjednoczone Europy i wyobrazić sobie tę całą biurokrację i bezosobowość, która by z tego wynikała. Polska należałaby naturalnie do tych Stanów Zjednoczonych Europy i po „straconych żniwach” (bo każdy kraj miałby autonomię pozwalającą na takie lokalne straty) Polacy wyjeżdżaliby do centrum — Paryża, Brukseli czy Genewy — za pracą, za chlebem, za lepszymi możliwościami. Uważaliby się oczywiście za obywateli tych nowych Stanów Zjednoczonych Europy, ale chyba niezupełnie bo takie nowe lojalności nie od razu powstają. Ale w każdym razie, prawnie, intelektualnie etc. za takich by się na pewno uważali. Mimo to na Zachodzie nazywano by ich „Słowianami” (nie „Polakami” ale „Słowianami”) tak jak Indian z Mbayo nazywają w Mexico „Indianami” a nie tak jak oni sami się nazywają, *Mazabuami*.

Bo czymże oni naprawdę są jak nie *Mazabuami*, a jeśli nie *Mazabuami* to Meksykańczykami... a jeśli nie Polakami to Europejczykami!

Ale Słowianie ze „słowiańskimi duszami”... ale Indianie „chytrzy i leniwi”... Przecież takich uogólnionych Słowian, takich uogólnionych Indian w ogóle nie ma!

— Nie, poeci to nie zawsze tacy, którzy więcej wiedzą... czasami wiedzą mniej od innych, ale umieją to lepiej wyrazić — mówię — ale wyrazić to niekoniecznie wiedzieć. Czasami ci którzy nie umieją wyrazić, wiedzą więcej...

I znowu wiersz. Najpierw deklamuję po polsku:

*„W słowach tylko chęć widzimy,
W działaniu potęgę.
Trudniej dobrze dzień przeżyć
Niż napisać księgę”.*

I potem tłumaczę. Ale Don Edmundo uśmiecha się sceptycznie, gdy mówię, że ten wiersz napisał bardzo sławny poeta z „mojej ziemi”. Teraz już wie że poeci nie zawsze mówią prawdę, bo przecież to jasne, że nie łatwo jest napisać księgę skoro samo pisanie a nawet podpisanie się jest takie trudne. A to „dobre przeżycie dnia” pewno dla niego nic nie znaczy, bo oni tu przecież nie myślą w ten sposób. Nie myślą o przeżyciach i nie myślą o takim zindywidualizowanym dobrze i źle.

— Tamto o wodzie jest prawdziwsze — mówi — bo bez wody rzeczywiście nie można nic zrobić i chociaż woda zniszczyła żniwa i wiele jeszcze razy zniszczy, bez wody przecież nic by nie wyrosło, nie byłoby nawet czego zniszczyć.

Tam gdzie zeszłego roku była kukurydziana *milpa*, w tym roku młody owies. Przez rozmokniętą ziemię, porośniętą jasnozielonym owsem, pod tym samym zachmurzonym niebem, z tą samą szeroką doliną naokoło, idę z mojej chatki na obiad do *Ngeme*, Dużego Domu Doni Eleny i Dona Pancho. Przez kamienne płoty, kamienistą drogą, rwące żółte strumyki mętnego deszczu, potem po śliskich wybojach aż do tarasu *Ngeme*. Jest to naprawdę taras. Obszerny, cementowy, kilka razy większy od Dużego Domu, który jest po prostu dwuizbową lepianką. Na tarasie brązowa, świeżą Donia Elena, ukochana córka, Weronika, młoda i rozłożysta, mąż jej smukły Jorge o jasnej twarzy i jak zwykle gromadka dzieci, kilka prosiąt, indyków i dwa krzesęteczka dla gości. Brak tylko Doni Genowefy, którą pochowano parę tygodni temu na Kalwarii. Ale cóż to za przejmująca ciągłość... oto osiemnastoletnia Ernestina z profilem Doni Genowefy jej rękami czyści pszeniczne ziarna...

Na dwóch krzesęteczkach siedzimy Don Edmundo i ja, a Jorge

przysiadł na cementowym murze okalającym taras *Ngeme*. Spod luźnych pali, pod dachem wypływa gęsty dym. Donia Elena i Weronika już zaczęły gotować w dobrej dymnej kuchni. A my tymczasem chcemy obgadać tę sprawę publikacji *El Libro de Mbayo*. Księżki Mbayo. Czy, kiedy i co by trzeba dodać, co zmienić? Jorge woła Aurelię. Niech przyniesie nam po szklance *pulque*, soku agawowego.

— *Pulque* jest rozwodniona od tej ulewy — mówi Aurelia — wczoraj wyciągnęliśmy wodę miodową z kilku agaw, ale nawet fermentować nie chce, taka wodnista...

Więc bez *pulque* o Księżce Mbayo...

— Trzeba dodać rozdział o tym jak w Los Pinos zabili *Gringo*, Amerykanina — mówi Jorge. — Bo przecież tyle krów co on wymordował w okolicy i ta cała krzywda, to wszystko co się potem tutaj działo... Gdy mój Ignacio dorosnie chcę aby o tym wiedział. Przecież po to napisaliśmy *El Libro de Mbayo* aby nasi synowie wiedzieli...

To jest nawiązanie do poprzednich wątków. Od zeszłego roku Jorge domaga się tego rozdziału „O wymordowanych krowach i zabitym *Gringo*” i ja jestem oczywiście po jego stronie, bo przecież to codzienny temat rozmów w Mbayo a więc na pewno ważne wydarzenie w historii wsi. Co najmniej tak ważne jak Wielki Głód z 1910 roku, jak trzęsienie ziemi z roku 1912, jak epidemia influenzy z 1918, tylko, że bliższe bo Amerykanina zabito w roku 1948 gdy Jorge był małym chłopcem.

Ale, tak jak poprzednio, Don Edmundo nie chce tego rozdziału.

— Wystarczy po prostu napisać, że w roku 1948 rozprzestrzeniła się w okolicy choroba pyska i racic. To wszystko — mówi powoli. — Tyle tylko nasi synowie, wnuki i prawnuki powinni wiedzieć...

Więc tak... cenzura... i Don Edmundo, jeden z najważniejszych panów z Mbayo jako cenzor! I po co? Ale jak mu to wytłumaczyć? Jak przetłumaczyć pojęcie „cenzury” na rzeczywistość Indian z Mbayo? A Jorge jest siostrzeńcem Don Edmunda a poza tym Jorge jest młodszy i już milczy, już wiadomo, że mi nie pomoże...

„Zresztą nie powinnam się wtrącać” — powtarzam sobie w myśli — „nie powinnam się do niczego wtrącać”. — Ale jakże to trudno, bo przecież dla nich z Mbayo zabicie *Gringo* i to co się stało potem to tak jak nasza wojna, więc jakże to można było zapomnieć. Nie mogą i nie chcą zapomnieć! Nie mogę i nie chcę! I jak tu być obiektywną, obojętną, naukową? Jak mogę pozwolić tak bez protestu na to Wielkie Przemilczenie?

Już, już prawie mi się powiedziało, że przecież beze mnie nic by nie wyszło z *Księgi Mbayo*, bez mego magnetofonu, bez mojej maszyny do pisania, nawet bez mojej nie najlepszej gramatyki hiszpańskiej, no i oczywiście bez mego wstępu o przedkolonialnej przeszłości *Mazahuów* też trudno by myśleć o publikacji... Ale powstrzymałam się w ostatniej chwili.

— Don Edmundo, niech się pan chwilę zastanowi — powiedziałam spokojnie. Przecież naprawdę nie ma powodu aby się obawiać, że którykolwiek z rządów, amerykański czy meksykański będzie się teraz w 1963 roku, mścił na Mbayo za tego *Gringo* zamordowanego w Los Pinos w roku 1948, a *to co się stało potem* nigdy się już nie powtórzy! Nikt o tym poza Mbayo już nie pamięta, a jeśli się nie umieści tego rozdziału, wasi potomkowie zapomną...

Jorge nie powiedział ani słowa, słuchała uważnie Ernestina nie przerywając czyszczenia pszenicy i na różowych nogach chodziły naokoło biało-szare indyczki. Czekaliśmy na słowa Don Edmunda i Don Edmundo, jak zwykle, powiedział coś nie do przewidzenia:

— Tu nie chodzi o niebezpieczeństwo — powiedział — chodzi o to że była to niejasna sprawa. Bo i ci z Los Pinos mieli rację zabijając *Gringo* i on, *Gringo* też miał rację zabijając krowy... Więc dlatego nie powinno się o tym pisać bo jakże wytłumaczyć, że i jedni i drudzy mieli rację...

Więc tak! Więc nie chodzi tu o strach przed zemstą, chodzi o coś czego nie da się wyrazić w prostym języku ludzi z Mbayo, o sprawy trudne do wyrażenia nawet w skomplikowanych językach najwyższych cywilizacji. Chodzi tu przecież o nienazwaną *sprawiedliwość*. Więc stąd cenzura! Stąd Wielkie Przemilczenie! Tak!...

WTARGNIĘCIE

Mexico, 17 października, 1961 r.

Chcę zacząć od początku. Będzie to po prostu mój dziennik z Mbayo i o Mbayo, ale najpierw muszę opisać jak się tam dostałam. Więc do Mbayo zawiozła mnie Almita. Almita to imię, zdrobnienie od Alma, dusza, znaczy to więc dosłownie duszyczka. Almita mogłaby równie dobrze nazywać się Soledad (Samotność), Lucha (Walka) lub Conchita (Perełka), ale żadne z tych imion nie określiłoby jej tak dobrze jak Duszyczka. Mała pulchna Almita ma jasno szare włosy, małeńkie rączki i nóżki, ogromny biały samochód jak dom dwudziestu duszyczek i okrągłe, brązowe oczy, zdziwione i nieśmiałe. Mimo tych rączek i nóżek, mimo tych oczu i pulchności Almita jest inżynierem rolnikiem na bardzo odpowiedzialnym stanowisku administracyjnym i... nigdy nie wyszła za mąż „bo mężczyźni byli dla niej niedobrzy”...

— Mbayo — powiedziała Almita — jest w moim dystrykcie. Mam tam jedną ze swoich dziewcząt, pracownicę społeczną ze specjalizacją w ogrodnictwie. Indianie z Mbayo to *buena gente*, dobrzy ludzie, ale nic więcej ci nie powiem, sama zobaczysz...

Te kręte strome szosy między polami agaw, te sosny jak w lesie mikorzyńskim, te rozległe doliny pod ciemnym niebem, te wulkany w chmurach, te *milpy* i *milpity* kukurydziane wgrzazające się gdzie tylko można w jałową ziemię, te wyschnięte strumyki biało-żółte i kamieniste, te kobiety spod Ixtlahuaki w długich jasno granatowych pasiatach spódnicach i te inne spod Atlacumulco w wełnianych peleryniastych *keskemelach* z kolorowymi frendlami... To wszystko już wówczas podczas tej pierwszej podróży bardzo mnie zachwyciło, ale mimo tych sosen mikorzyńskich było jeszcze zbyt obce aby wzruszać. A potem Mbayo łagodne i zielone... Ale nie zauważyłam wówczas ani tej łagodności pagórków zielonych ani łagodności twarzy ludzi z Mbayo...

Uderzyła mnie jedynie ich obca milcząca intensywność i patrzałam w nią jak w staw głęboki, nierozumiejąca i zafascynowana... Staw, ściana, żywy obraz?

Ale wkrótce się to patrzyenie przerwało.

Zaczęło się od Marii Wiktorii, pracownicy społecznej. Taką samą brązową i warkoczastą jak one wszystkie wyfrunęła nagle z tego żywego obrazu zastygłego w milczeniu, obrazu, a może lustra, bo nagle zobaczyłam nas obie, Almitę i mnie, bezsilne i przerażone, stojące tu nie wiadomo po co i jakoś na to stanie skazane. I co za szczęście, że rozprysnęło się lustro!

Dopiero gdy Maria Wiktorii przyfrunęła bliżej widać było, że ma krótszą od innych kobiet suknię i inne ruchy i gesty. Fruwała suknia, fruwały warkocze, uściski, słowa i powitania i tym fruwaniami niespokojnym rozpoczęło się nasze WTAR-
GNIĘCIE.

Zgromadziliśmy ich wszystkich (my same tak osobne, że na pewno niezgromadzone) w ciemnej izbie bez okien, zapaliliśmy dwie świece i Almita za małymi rączkami zaczęła odpakowywać paki CARE. Pomagała jej Maria Wiktorii a później jeden z mężczyzn tęnym nożem krajał grubą tekturę. A potem te wpół otwarte paki, z których wystawały młotki, piły, łopaty i jeszcze inne jakieś różności, twarde i świecące, to wszystko, paczka po paczce *wręczałam ja — im z Mbayo*. Almita mówiła. Mówiła o *Postępie*, *Współpracy*, o tym, że ludzie z Mbayo są *buena gente*, dobrzy ludzie. Mówiła o *Rewolucji* i *Ojczyźnie* a ja się skręcałam ze wstydu od tych słów nieprzyzwoitych jak reflektory.

Gdy już pozbyłam się ostatniej paki, spocona i oniemiała, zaczęło się coś jeszcze gorszego. Bo oto Maria Wiktorii zwróciła się nagle do nich wszystkich, znowu milczących i znieruchomiłych i zapytała: — A co się mówi jak się coś dostaje? — Co?

Znieruchomieli jeszcze bardziej i wreszcie jeden z mężczyzn wysunął się z ciemności wahająco i boleśnie. Zwrócił się do mnie i Almity i zaczął *dziękować*, Almita miała łzy w oczach i od razu tym łzom przypisałam jakoś, może niesłusznie, moje własne zambarasowanie. Niesłusznie... bo może Almita wcale nie chciała zapaść się ze wstydu pod ziemię, skoro przecież to ona właśnie, wbrew włosom puszystym i tym nieprawdopodobnie małym rączkom i nóżkom, potrafiła tak mówić do nich *dretną mową*... Po tym *dziękowaniu* Maria Wiktorii zapowiedziała, że to już koniec i że wszyscy mogą się rozejść.

Ale to nie był jeszcze żaden koniec, bo potem w gęstym deszczu chłopcy grali w siatkówkę aby nam pokazać, że „nauczyli się grać”, a my, zmarznięte siedziałyśmy na małych krzeselkach, między nieskończoną jeszcze wówczas szkołą a ko-

ściołem. A kobiety (bo my dwie na tych krzeselczkach nie byłyśmy ani „ludźmi” ani „kobietami”), kobiety po oczy zawinięte w szaro-niebieskie chusty nieruchomiały naokoło. Wtedy zdałam sobie sprawę, że dla mnie *zaczęło się Mbayo*. Bo po tym tak „świetnym wprowadzeniu”, po tym WTARGNIĘCIU bezwstydnym jakże bym mogła ich pozostawić bez wyjaśnień... jakże bym mogła dalej żyć i wybierać spośród innych wsi bez ich przebaczenia i zrozumienia. Byłam już wprowadzona do Mbayo i wiedziałam, że będzie to moja wieś, ale nic więcej jeszcze o niej nie wiedziałam.

PIERWSZE PRZYBLIŻENIE

Las Animas, 28 października 1961 r.

Oczywiście, że wszystko co tu robię musi mieć i ma jakieś socjologiczne usprawiedliwienie. Bo przecież jestem odpowiedzialna wobec uniwersytetu, przeprowadzam badania naukowe, piszę socjologicznie: uogólniam, porównuję... publikuję...

Ten tydzień w Las Animas to mój rekonesans socjologiczny. W kilka tygodni po oficjalnym wprowadzeniu do Mbayo przyjechałam na ten rekonesans i zdecydowałam się zamieszkać nie w Mbayo, ale w Las Animas, nie-indiańskiej „stolicy” Mbayo, po prostu takiej trochę większej powiatowej wsi. Taki rekonesans jest ważny i po to aby nabrać perspektywy i po to aby zrozumieć to „większe społeczeństwo”, ten prowincjonalny Meksyk do którego przecież jakoś „należy” Mbayo, i po to aby ludzie z Mbayo powoli przyzwyczaili się do mojej bliskości, żeby to moje późniejsze, już definitywne WTARGNIĘCIE w ich życie nie było zbyt przerażające...

To wszystko co napisałam jest prawdą, ale *tak naprawdę* to przecież nie o to mi chodzi, bo nawet gdybym nie miała tego rodzaju argumentów i tak bym nie od razu wtargnęła do Mbayo. To słowo WTARGNAĆ jest tu zasadnicze, ale nie względy etyczne, nie delikatność w stosunku do mieszkańców Mbayo jest moim głównym motywem. Muszę przyznać, że chodzi mi chyba więcej o samą siebie, o moje życie, o czystość mojej wizji, o to, żeby nie stłamsić wrażeń. Są to więc względy estetyczne raczej niż etyczne. Niezbyt szlachetnie, ale trudno! Z tych samych względów nikomu ważnemu nie zadałabym przy pierwszej okazji wszystkich pytań... z tych samych względów nie wykorzystywałabym ostatniej chwili, która została do wykorzystania...

Moje raz tylko widziane zielone Mbayo na łagodnych pagórkach, dostępne, bliskie, niepewne i zadziwiające. Moja wieś obiecana...

Las Animas, 29 października, 1961 r.

A może nie „Las Animas”... może powinnam napisać „Maria Wiktoria, 29 października”, bo u niej mieszkam i przez ten cały tydzień będę u niej mieszkać. To określenie „u niej” jest i niedokładne i prawdziwe. Niedokładne bo Maria Wiktoria nie ma swego domu i sama mieszka „u ludzi”. Prawdziwe — bo przecież przyjechałam do niej, z nią spędzam ten rekonesansowy tydzień, więc niezależnie od hipotek ten dom jest dla mnie jej domem, a właściciele jego jedynie tłem. Zresztą mieszkać z Marią Wiktorią nie jest łatwo, bo ona już wie, że Mbayo będzie kiedyś moją wsią i już teraz jest o to bardzo zazdrosna.

Las Animas, 30 października 1961 r.

Wczoraj byłam z Marią Wiktorią w Mbayo i codziennie będę tam z nią chodzić. Było ciepło, słonecznie i kobiety nie zasłaniały twarzy szaro-niebieskimi szalami jak to robiły wówczas za pierwszym razem. I nie było w nich tego poprzedniego zniecierpliwienia. Patrzyły na mnie z ciekawością ale bez zdziwienia i nieśmiałości i uśmiechały się a Maria Wiktoria przedstawiała mnie jako Donię Marylitę. Byłam zdumiona tą codziennością mojego drugiego dnia w Mbayo, tym szybkim zapomnieniem, zlekceważeniem czy przyswojeniem tego pierwszego WTARGNIĘCIA. Acha, coś mi to przypomina... już wiem... czasami po pierwszej, zawsze przerażającej nocy, przychodzi druga, zadziwiająco spokojna noc, jakby nie druga, jakby wyłączona z kalendarzowego czasu... Ale nieprawdziwy i niebezpieczny jest oczywiście tego rodzaju spokój i mimo, że wieś nie jest człowiekiem, analogia ta ma pewną wartość. Można się cieszyć i trzeba się cieszyć takim zbyt szybkim poczuciem bliskości, ale na pewno nie należy mu ufać.

Odprowadziłam Marię Wiktorię do tej samej izby przy kościele, w której odbyło się moje pierwsze WTARGNIĘCIE. Ta izba jest jej świetlicą i stoją w niej dwie świecące maszyny do szycia, w kątach błyszczą młotki i piły, którymi nie ma czego piłować i przybijać bo drzewo i gwoździe są drogie.

Potem już byłam sama, ale nie trwało to długo bo przed kościołem spotkałam wysokiego mężczyznę o szerokiej świecącej twarzy, ubranego w podarty ale jeszcze bardzo soczyście granatowy bluzak. Przywitał się ze mną tak jakby mnie znał od dawna i z punktu zaczął opowiadać o „tym księdzu, który przyjechał do Las Animas wczoraj na *fiestę* Chrystusa Króla”. Nawet się nie zapytał czy ja też słyszałam kazanie tego nowego księdza.

— On jest z Hiszpanii — mówił podniecony, wymachując rękami — jak to dobrze, że stamtąd bo przecież tam się wszystko zaczęło...

— Co się zaczęło — zapytałam zdumiona.

— Jak to co się zaczęło! — zawołał — Przecież tam się zaczęła nasza Święta Wiara Katolicka i potem Hiszpania broniła tej Świętej Wiary naszej!

— Tak, ale Meksyk jest obecnie potężniejszy niż Hiszpania... już z nim dyskutowałam... A przecież jestem tu na badaniach socjologicznych, przypomniałam sobie, i powinnam słuchać raczej niż przekonywać, ale jakże to można gdy on do mnie jak do człowieka...

— Meksyk miał reformę rolną i teraz macie tu przecież *Ejido* i własną ziemię, a Hiszpania ma dyktaturę! — zawołałam.

— Tak, ale Hiszpania nie ma komunizmu! — odkrzyknął prawie natychmiast, ale potem się chwilę zastanowił i cichszym głosem dodał: — Zresztą ten ksiądz z Hiszpanii zdecydował się zostać w Meksyku, tak mu się tu podobało... Tak, bo Meksyk ma swoją Najświętszą Panią z Guadalupe — przeżegnał się kilka razy — i ona Meksykowi pomaga, więc dlatego tu lepiej... A wczoraj... — mówił szeptem — wczoraj spotkaliśmy się z tym księdzem i on nam wszystko wytłumaczył. Powiedział nam, że dlatego tak głośno krzytał podczas kazania bo im głośniej się krzyczy tym dalej uciekają złe duchy... tak, trzeba krzyć bardzo, bardzo głośno, żeby uciekły daleko. Tak głośno krzytał ksiądz Hiszpan, że aż zachrypł!

Ten mężczyzna w granatowym bluzaku to Don Justo, *cabezilla del pueblo*, miejscowy szef, jak mi potem powiedziała Maria Wiktoria.

— To znaczy, że jest on najważniejszy i wszyscy go muszą słuchać, no i słuchają, ale nie ma on wiele do powiedzenia więc i niewiele jest do słuchania... — dodał mały ospowaty człowiek.

— Bo on się głównie kościołem interesuje a co się we wsi dzieje i co na świecie, niewiele go obchodzi... — powiedział znowu dobitnie ten sam mały człowieczek, zdaje się, że mu na imię Don Edmundo.

Zapytałam później Marię Wiktorię o tego Don Edmunda obdartego i wnikliwego, ale niewiele mi o nim potrafiła powiedzieć, a może zresztą nie chciała... Dowiedziałam się, że istotnie na imię mu „Don Edmundo” i że to „dobry człowiek”...

... Więc dobrze... Don Edmundo... ale z tym „dobrym człowiekiem” to jakoś nie bardzo... On tu zaczyna jak Montaigne a Maria Wiktoria nazywa go „dobrym człowiekiem”!

Twarze Indian z Mbayo brązowe, lśniące i mięsiste. Oczy łagodne, czarne, trochę skośne i też lśniące. Wysokie kości policzkowe i czarne, proste, błyszczące włosy. Wielu wśród nich wysokich mężczyzn i sporo rosnących kobiet. Pagórki Mbayo jak wydmy zielone, faliste i łagodne. Na nich młode sady jabłkowe wprowadzone tu przez Marię Wiktorię: małe drzewka uginające się pod wielkimi jabłkami. Nad nimi większe, liściaste drzewa. Pod drzewami pełzające dynie. Tyle tej okrągłości w Mbayo a tuż obok ostrość agaw i kaktusów. Agawy srebrzyste i niektóre z nich sięgają aż do czerwonych dachówek, którymi pokryte są lepianki Mbayo. Agawy wysmukłe chociaż wiadomo, że żadna z nich nie skończyła dwunastu lat, bo gdy kończy dwanaście lat...

... Ale o agawach później...

Prócz agaw na łagodnych pagórkach wielkie, kolczaste kaktusowe drzewa, nopale...

Historia Mbayo i Las Animas według Dona Edmunda

„W dawnych czasach wszystkie te ziemie naokoło należały do wielkiego majątku. Dziedzicem był Hiszpan. Nasi przodkowie (i niektórzy wśród nas jeszcze to pamiętają) musieli pracować bardzo ciężko dla tego dziedzica. Nie mieli w ogóle własnej ziemi a Hiszpan płacił im bardzo mało. Czasem jedli tylko po trzy *tortije dziennie*. Głodowali. I codziennie musieli schodzić z gór na roboty w majątku. Bo mieszkali oni wówczas nie tutaj gdzie jest Mbayo, ale wysoko w górach. I dziedzic nie pozwolił im nawet chować zmarłych na cmentarzu w Las Animas. Grzebano ich w górach na nieświęconej ziemi jak psy...

Ale córka Hiszpana przyszła kiedyś do ojca i powiedziała: 'Jakże to ojciec może traktować ludzi w ten sposób! Przecież to dobrzy ludzie. Pracują dla nas tak ciężko i kilometrami muszą codziennie chodzić, wyczerpani i głodni. Nie wolno im nawet zmarłych grzebać na cmentarzu. To wstyd traktować ludzi w ten sposób! Ojciec powinien im pomóc! Powinni mieszkać gdzieś bliżej i mieć po kawałku własnej ziemi'. I Hiszpan zgodził się. Powiedział córce aby wybrała dla nas ziemię i córka wybrała te właśnie pagórki. Tutaj pozwolili się nam osiedlić. Tak powstało Mbayo”.

Taka była historia Dona Edmunda. Krótka i wyrazista. Powinam była może spytać go o szczegóły, ale zdecydowałam się nie pytać o nic. Socjologiczne usprawiedliwienie tego niepytania: lęk przed utratą dobrego *rapport* z Don Edmudem.

Ale tak naprawdę to nie chciałam sobie po prostu psuć zwyciężej kompozycji tego opowiadania. Więc milczeliśmy przez chwilę i potem Don Edmundo zapytał:

— A pani wieś, pani ziemia, Donio Marylito?

— Aaa — moja wieś?

— Pani wieś, pani ziemia, Donio Marylito... — powtórzył.

— Więc dobrze... z moją wsią to było tak: wysokie sosnowe lasy tam były i bagna. Jechał wozem przez polanę chłop a był już zmierzch i nagle wóz mu ugrzązł w błocie. Zszedł z wozu i konia batem: Wioooo! Koń ruszył, ale koła wozu zapadły się jeszcze głębiej i on sam ledwo nogi z trzęsawiska wyciągnął. Ściemniało się coraz bardziej i ani żywej duszy naokoło, bo nie było tam jeszcze wówczas wsi, a wóz zapadał się głębiej i głębiej. Przeżegnał się chłop i zaczął swój „Ojczenasz”... Po chwili coś mu przed oczami zamigotało, jakby płomień nad sobą zobaczył a nad płomieniem aureolę. Gdy się przyzwyczaił do tego blasku w płomieniu rozpoznał świętą figurę w długiej brązowo-złotej szacie, której nie czepiał się ogień. Spod swojej aureoli przemówiła do niego święta figura: — „MIŃ KORZEŃ” — powiedziała — „a wybrniesz z bagna. — „MIŃ KORZEŃ” — powtórzyła — „a gdy wyjdiesz z życiem masz na tym miejscu zbudować kościół. Ja, Święty Idzi będę patronem tego kościoła, pamiętaj!”

Przez chwilę trwał jeszcze blask i w tym blasku chłop odnalazł gruby rosochaty korzeń, minął go i już był na stałym gruncie. Wrócił potem na to samo miejsce, zbudował kościół, a przy nim swój domek. Święty Idzi był patronem kościoła. A potem przyszli inni i też zaczęli budować. Tak się zaczęła moja wieś MIŃ KORZEŃ z czasem przewana MIKORZYN.

Tak mniej więcej opowiedziałam historię Mikorzyna Don Edmudowi, ale nie na tym się skończyło bo Don Edmundo od razu chciał wiedzieć więcej:

— A za co chłop zbudował kościół — zapytał — może Hiszpan mu dał?

— Nie było żadnego Hiszpana!

— A więc to się działo już po rozdaniu ziemi?

— Nie, przed rozdaniem!...

— Więc dlaczego nie było Hiszpana?

Kilka dni temu w Mexico starałam się nadaremnie przekonać Ulissesa, że szczerze i odważne kłamstwo jest lepsze od tchórzliwego unikania prawdy. Ulisses powiedział mi wówczas: „Mówisz jakbyś miała czternaście lat”... i nawet się tym trochę wówczas przejęłam. A teraz sama... tutaj... w Mbayo...

Bo przecież nie odpowiedziałam na pytanie Don Edmunda, nie mogłam mu powiedzieć, że moi przodkowie...

... Nie odpowiedziałam na pytanie Don Edmunda bo wówczas skończyłyby się z punktu moje badania w Mbayo, skończyłaby się moja wieś obiecana! A zresztą, czy tego rodzaju przetłumaczenie byłoby trafne? Przecież gdybym mu była powiedziała, że mój ojciec miał majątek, Don Edmundo wziąłby mnie, za kolonialną Hiszpankę, córkę zdobywców Meksyku! Ale odważnie skłamać też nie potrafiłam. „Unikanie prawdy jest czasem słabsze niż kłamstwo” — mówił Ulisses — „i tu nie chodzi o to, że krzywda jest gorsza od kłamstwa, — oczywiście, że jest — tu chodzi o co innego, chodzi o zaufanie do życia. Trzeba czekać na to co życie przyniesie... spokojnie... a pośpiech nie pozwala na spokój. Unikanie prawdy jest czasem po prostu unikaniem pośpiechu”. — „Ach, Ulissesie” — zawołałam wówczas — „ileż masz pięt achillesowych!” — ale oczywiście nie była to żadna odpowiedź a teraz mnie to wszystko trochę męczy...

Będę notować w tym dzienniku moje kłamstwa. Kłamstwa nieodzowne, kłamstwa tchórzliwe, kłamstwa litościwe i o tych kłamstwach napiszę kiedyś artykuł. Już wiem jak się będzie nazywał: *Las mentiras en la investigación sociológica, Les mensonges dans les recherches sociologiques*, O kłamstwach socjologicznych.

Las Animas, 31 października 1961 r.

Dalszy ciąg historii Mbayo opowiedziany przez Dona Edmunda:

„Ale w Mbayo nie było wody, więc niektórzy z naszych przodków — a było to mniej więcej sto lat temu — zdecydowali się przenieść nad rzekę. Nie było tam jeszcze wówczas wsi ale był kościół i woda. Tam zaczęli budować i dołączyli się do nich inni. Tak powstała wieś, Las Animas. Ale z czasem przodkowie nasi, ci z Las Animas, nauczyli się po hiszpańsku i zapomnieli swego rodzinnego języka. Mówią między sobą po hiszpańsku ale *Mazahuami* być nie przestali! To pewne!”

— Czy rzeczywiście pewne? — zapytałam Dona Edmunda, myśląc o tak zwanej „Starej Polonii” chicagowskiej i o tym co myśleliśmy o niej w Polsce. „Cóż z tego, że to już od pokoleń obywatele amerykańscy” — myśleliśmy — „Cóż z tego, że wielu z nich nie mówi już po polsku. Prędzej czy później krew polska się w nich odezwie... oni są Polakami, to pewne!”

— Oczywiście, że pewne! Przechowywał się te same nazwiska, jak na przykład Bravo, to był nasz Najpierwszy, Donio Marylito,

bo on pierwszy zdecydował się tam osiedlić i nawet imiona w tych rodzinach pozostały te same co u nas: Jorge, Anastazio, Juan, Antonio, od pokoleń chrzczą się tymi samymi imionami... tymi samymi co Bravowie z Mbayo!

Zastanawiałam się przez chwilę czy nie powiedzieć Don Edmundowi, że to co przed chwilą wyłożył mi z takim przekonaniem, nie ma nic wspólnego z prawdą, że to typowy mit społeczny, w tym wypadku mit pochodzeniowy, podtrzymujący godność szczepową. Bo przecież mieszkam w Las Animas wśród tych rzekomych *Mazabuów*, przecież wiem jak skrupulatnie wyliczają oni wszystkich swoich hiszpańskich, francuskich czy niemieckich przodków, jak wykorzystują okolicznych Indian, jak wstydzą się samego faktu ich istnienia...

Mit ciągłości szczepowej, mit krwi... i nasze własne mity ciągłości narodowej jakże absurdalne! A jednak sama nie chcę wymawiać z angielska nazwisk moich amerykańskich studentów mimo, że są to już na pewno Amerykanie i że to właśnie pokolenie nie chce na pewno pamiętać skąd przybyli ich przodkowie.

Mit zatajania pochodzeniowego, mit pochodzeniowej ciągłości... jak to wytłumaczyć Don Edmundowi? I jak spośród tych mitów wyłuskać społeczną prawdę?

A może takiej prawdy w ogóle nie ma? Może wszystkie prawdy są indywidualne a wszystkie mity społeczne są kłamstwami? Jaka jest różnica między kłamstwem a fantazjowaniem? I co zrobić z zagrożoną godnością ludzkich grup? Czy należy ją podtrzymywać? Czy warto? Czy wolno? Czy nie ma innych sposobów prócz kłamliwych mitów?

Ulisses mówił o mitach niezakłamanych. O tym, że każde społeczeństwo potrzebuje jakichś mitów i, że na przykład spekulacje archeologiczne i utopijne wizje przyszłości nie muszą być oparte na fałszu... Trzeba będzie o tym jeszcze pomówić z Ulissem...

Ale z Donem Edmundem też chciałabym o tym pomówić, nie odważyłam się jednak dotąd... może kiedyś, później...

I jeszcze jedno: przecież sama, z własnej inicjatywy opowiedziałam Donowi Edmundowi historię o Świętym Idzim i nawet na myśl mi nie przyszło, że opowiadając ją zaznajamiam go z kłamliwym mitem. Kwestia prawdy czy nieprawdy nie przyszła mi wtedy w ogóle na myśl, może dlatego, że ten mit niczyjej godności nie ratował. Był mitem antykwaryjnym, a więc neutralnym...

A może należałoby powiedzieć, że chodzi tu o cenę godności a nie o kłamstwo czy prawdę, o jakąś mniej więcej w ten sposób brzmiącą normę: „Nie powinno się przy pomocy kłam-

stwa ratować swojej godności”... czyli, że człowiek nie powinien oszukiwać samego siebie (bo co do innych to już znacznie trudniejsza sprawa) przynajmniej w rzeczach najważniejszych. W sprawach nieważnych niech sobie fantazjuje jak chce!”

Chodzi mi więc chyba o to aby nie ułatwiać sobie życia, ale wprost przeciwnie, aby je sobie utrudniać... Takie są pewno założenia moich odruchów moralnych, ale czy to wszystko ma sens? Czy nie prościej byłoby pomagać sobie prawdą czy kłamstwem gdy się tej pomocy potrzebuje a nie pomagać gdy się nie potrzebuje? Skąd ta perwersja? Gdzie tkwią korzenie tego rodzaju akrobatyki moralnej? Mojej? A może naszej — polskiej?

Las Animas, 2 listopada 1961 r.

Zaduszki... takie śmieszne, pieśczone słowo. Zapomniałam prawie o Zaduszkach przez te długie lata zagranicą, ale teraz znowu są Zaduszki i pamiętam pierwsze w życiu brzmienie tego słowa. Było w nim coś swojskiego i ciepłego, jak w „podpłomyku” i „zapiecku”.

... Dusza ludzka ma oczywiście kształt duszy od żelazka, tylko kolor ma inny, brudno-biały, no i konsystencję inną. Nasze dusze są zrobione z waty cukierkowej i w Zaduszki latają cicho i uważnie nad oświetlonymi grobami...

Czy ja to wszystko rzeczywiście powiedziałam Doni Elenie, Ernestynie i Lucicie, czy może tylko tak mi się pomyślało? Takie okropne, okropne głupstwa! I jak to głęboko we mnie wrosło! Wierzę. Nie wierzę? Wiem? I co znaczy „wiem” skoro wżarły się we mnie te cmentarne historie zapomnianych nianiek, te cudowności tajemnicze długich nocy w białym łóżku za białymi kratkami, pod sztychami z Rewolucji Francuskiej. Co znaczy „wiem” czy „nie wiem” skoro po pierwszym słowie jak po pierwszym ostrym słońcu już pęka ziemia, już z ziemi prosto w niebo moje cudowne bzdury...

A jednak powiedziałam bo już pytają. „Co to jest dusza od żelazka?” — pytają bo ich żelazka są całe z żelaza, bez duszy. „Co to jest wata cukierkowa?” — pytają i trzeba im będzie opowiadać o wacie cukierkowej na polskich odpustach. Ale przecież wata cukierkowa była różnych kolorów: na długich patykach karmelkowo-zielona, landrynkowo-różowa... Więc dlaczego ludzkie dusze nie są różowe albo zielone ale właśnie koloru brudno-białej waty cukierkowej? I to także trzeba im będzie wytłumaczyć, ale jak? Że może cukierkowo-zielone jest sprzeczne z nadprzyrodzonością duszy, a landrynkowo-różowe jak damska bielizna

a to nie dość poważne jak na duszę... Ale co tu oni wiedzą o landrynkach i damskiej bieliźnie, w jakie nowe bzdury ich wpędzą te moje prawdziwe odpowiedzi? Jak im wytłumaczyć tę nadprzyrodzoną nigdy przeze mnie samą niezrozumianą, a jednak tak na pewno nielandrynkową, nieróżową, tak beznadziejnie i na pewno niezieloną? Aaa... i o świeczkach na grobach też tu pewno nie wiedzą bo już zaciekawiona Ernestina pyta dlaczego dusze muszą latać uważnie nad oświetlonymi grobami... Bo przecież skoro umiem tak dobrze czytać i pisać — dodaje Lucita — w mojej ziemi jest na pewno wszędzie elektryczność, a od elektrycznego światła nad grobami nie mogą się przecież zapalić latające dusze... Więc po co, biedne mają tak uważać?

W Meksyku Zaduszki nazywają się *Dias de los Muertos*, Dni Umarłych. O Zaduszkach przypomniała mi Maria Wiktorja gdy już dochodziłyśmy do Mbayo. — Zresztą to już drugi dzień — powiedziała — dzisiaj jest Święto Zmarłych Dorosłych, a wczoraj było święto Zmarłych Dzieci... nie wiem zresztą czy będzie coś do zobaczenia bo w tym roku wielka tu bieda i nie mogą sobie pozwolić na świeczki. Ale może w domu Doni Eleny...

Na cementowym tarasie, rozległym i solidnym, ale należącym do skromnej dwuizbowej lepianki siedziała pomarszczona staruszka, brązowa, koścista, w czarnym szalu na głowie i wyluskiwała kolorowe ziarna kukurydzy z długich kaczanów. Obok niej na długich różowych nogach chodziły ostrożnie biało-szare indyczki, pomrukiwał rudy prosiak, dwie małe dziewczynki bawiły się pogniecionymi słómkami i kilka milczących, wychudzonych i pokaleczonych psów kuliło się pod ścianą jak kłębki lęku.

— Oto Donia Genowefa, *la jefa*, głowa domu — powiedziała Maria Wiktorja przedstawiając mnie pomarszczonej staruszce — *la jefa*, najstarsza i najważniejsza z rodziny, babka...

Z chaty wyszła młoda, tęga kobieta o szerokiej, świecącej twarzy i skośnych oczach. Była to synowa staruszki, Donia Elena, ale póki rozmawiałyśmy z Donią Genowefą nie powiedziała ona ani słowa i można było wyczuć w tym jej milczeniu niezbyt przyjazne pogodzenie się z autorytetem. Dopiero gdy pożegnaliśmy się ze staruszką, Donia Elena odzyskała gesty i słowa. Zaprowadziła nas do ciemnej izby w której stał stół i dwa krzesła. W kącie wraść się w ścianę wielki cementowy piec, wysoki i czysty jak stół operacyjny. Nad piecem było zabite deskami okno. Maria Wiktorja zaczęła mówić o piecu, stole, krzesłach, oknie. Wszystko to wprowadziła ona. — To jest właśnie *El Progreso*, Postęp. Najtrudniej było wprowadzić okno. — Donia Elena zniknęła w ciemnej zadymionej kuchni i po

chwili przyniosła koszyczek gorących *tortiji* i jajecznicę z jednego jajka na małym glinianym talerzyku.

Maria Wiktorina natychmiast zaczęła mówić o Zmarłych, o tym, że to ja chciałabym zobaczyć jakie się ofiary składa im w Mbayo... Bardzo mi było głupio tak turystycznie i bezwolnie włamywać się w to ich święto i męczyło mnie także to, że Maria Wiktorina, specjalistka od Postępu tak nalegała na wprowadzenie mnie w ich tradycyjność. Donia Elena tłumaczyła się, że kukurydzy jeszcze nie sprzedali, więc nie było pieniędzy na świece, ale nie wiedziała jak odmówić Marii Wiktorinie i już, już wprowadzała nas do drugiej izby zawalonej kaczanami kukurydzy... Moim pierwszym odruchem było zamknąć oczy, tak jak wówczas w Leszczycach przy otwartej trumnie ciotki Izi. Ale ich nie zamknęłam... „Od ilu lat” — zastanowiłam się tylko — „i właściwie dlaczego czuję się w obowiązku życia z otwartymi oczami? Skąd we mnie ten szacunek dla rzeczywistości i czy ma on sens? I co właściwie nazywam 'rzeczywistością'?”

Ale najszerzej otwartymi oczami trudno mi było coś dojrzeć w ciemności izby. W kącie na ziemi migotały dwa małe ogarki, ale dopiero gdy podeszliśmy bliżej zobaczyłam najpierw kilka talerzy a potem dopiero jakby blaszaną tabliczkę. Donia Elena znowu przeproszała za zbyt małe ogarki. — Ale to i tak dobrze, że są — powiedziała, bo większość ludzi w Mbayo w ogóle nie może w tym roku obchodzić Dni Zmarłych bo nie ma za co kupić świeczek... Gdy wprowadzą elektryczność — dodała — wszyscy będziemy mogli Dni Zmarłych obchodzić, bo zamiast świeczek będą żarówki a one trwają dłużej, może rok, może pięć lat i do wszystkich jednakowo dopływać będzie sok elektryczny...

Na blaszanym kapliczkowym obrazku dwoje świętych: mężczyzna i kobieta, klęczący na obłokach... Tak to w pierwszej chwili zobaczyłam, ale potem spostrzegłam, że to nie obłoki lecz dym, a pod dymem płomienie...

— Kto są ci święci — zapytałam zdumiona.

— To są przodkowie mego męża — powiedziała spokojnie Dona Elena.

— Dusze w czyszczeniu modlące się o zbawienie — dodała Maria Wiktorina. Ale nie ukłękliśmy po tych słowach i żadna z nas się nie przeżegnała. Stałyśmy tak pochylone nad ołtarzykiem z mrugającymi ogarkami i przyzwyczajona do ciemności widziałam teraz wyraźnie te bardzo białe owalne twarze rozmodlonych przodków tak niepodobne do twarzy ludzi z Mbayo, tak bardzo nieindiańskie. Trzeba to będzie kiedyś zbadać, nauczyć się

zadawania niedyskretnych pytań i po usłyszeniu odpowiedzi zrozumieć...

Ale chwilowo jeszcze nie! Jeszcze za wcześnie na zrozumienie. I co za szczęście, że za wcześnie!

Donia Elena podała nam jeden z talerzy na którym leżało coś zielonego, przysypanego kurzem i miękkiego.

— To gotowana dynia — powiedziała Maria Wiktoria i wzięła kawałek podając mi drugi. Ugrzęzły mi palce w tym mokrym, zielonym, miękkim i okropnie mnie zemdliło. Zamknęłam na chwilę oczy ale nic nie pomogło.

— Nie chce mi się jeść — powiedziałam — bo właśnie skończyłam obiad — i odłożyłam rozlatujący się kawałek dyni na talerz...

Jak mogłam? Jak mogłam? Jak mogłam? Ale lepiej o tym nie myśleć! Następnym razem... tylko, że do następnego razu trzeba czekać rok i poza tym drugi raz to nie pierwszy! Co tu poradzić na tę jedyną nieodwołalną? Czego się uczyć i od kogo aby zapobiec przypadkowości klęsk?

Las Animas, 3 listopada, 1961 r.

Maria Wiktoria mówi, że moje *faux pas* nie było wcale takim wielkim *faux pas* bo Donia Elena nie jest Indianką a mieszka wśród Indian więc rozumie lepiej niż inni różnorodność odruchów. Oczywiście w ten sposób tego nie wyraziła, ale taki mniej więcej był sens.

Donia Elena jest z meksykańskiej wioski, La Fuente, a tam „w ogóle nie ma Indian”... wszyscy są już Meksykańczykami, niektórzy pochodzenia *mazahua*, niektórzy pochodzenia *otomi*, ale mówią jedynie po hiszpańsku. Gdy Donia Elena wyszła za mąż za Dona Pancho, *Mazahue* z Mbayo, zmieniła sposób ubierania się, przyjęła tutejszy styl życia i nawet rozumie język *mazahua*, mówić nim jednak nie chce. To jedno zacięcie pozostało jej z nieindiańskiej przeszłości. Wszyscy w domu mówią *mazahua* a ona odpowiada po hiszpańsku. I ten kult przodków nie jest jej kultem, więc nie powinnam się przejmować. Ale czy kiedykolwiek pomaga jakiegokolwiek „powinno”?

Mexico, 7 listopada 1961 r.

„*Matlacinkowie* i *Mazahuowie* mieli tego samego boga, Ototenctli, co Indianie *Otomi*. I język *mazahua* jest tak zbliżony do języka *otomi*, że można go uważać za jego dialekt”.

„Charakterystyczną cechą religii szczepów *Otomi* jest kult bogów uosobionych. Każdy bóg jest symbolem albo jakiejś specjalności, albo jakiejś siły naturalnej i każda wieś ma swego boga-patrona, identyfikowanego z mitycznym przodkiem”.

„Idole Najstarszego Ojca, Najstarszej Matki i Boga Wody zrobione były z gałęzi... ci trzej bogowie byli najważniejsi...”

„Mówiono o nich, że byli przodkami wszystkich urodzonych potem a sami wyszli z jaskiń we wsi Chiapan”.

(Pedro Carrasco Pizana, *Los Otomis*)

Acha, więc tak... A potem wybielały i wydłużyły się twarze, zniknął Bóg Wody a do Najstarszego Ojca i Matki przyplątał się czyściec z palącymi płomieniami.

Zamiast różańców brudne kawałki dyni za dusze *Mazahuów* cierpiące w czyścicu... I co dalej?

Mexico, 8 listopada 1961 r.

Do tego ich czyścica też mi się będzie trudno przyzwyczać bo w moim czyścicu nie było płomieni. Gdyby tak można śnić na zamówienie, zamówiłabym sobie sny o ich czyścicu i może bym się wówczas jakoś przyzwyczała. Bo dla mnie czyściec to jakby mleczna droga po której wałęsają się samotne ludzkie dusze z waty cukierkowej. Nie wiedzą ani dokąd idą ani dokąd iść... na tym właśnie polega sens słowa „wałęsać”...

Ich dusze boją się płomieni i diabłów z widłami. W moim czyścicu dusze się też bardzo boją, ale same nie wiedzą czego się boją i to jest jeszcze gorsze. Emile Durkheim powiedziałby pewno, że dusze w moim czyścicu cierpią na *anomie*. O, gdyby się tak można zamieniać na czyścice!

Mexico, 9 listopada 1961 r.

Brudny kawałek dyni za dusze cierpiące w czyścicu! Tak... ale ile razy przypomnę sobie tę zieloną miękkość, robi mi się znowu niedobrze może dlatego, że kiedyś w Poznaniu musiałam na poznańskiej stacji jeść nie moją, poznańską zupę z dyni, młdą i obcą. Tłumaczyłam wówczas, pamiętam, tej mojej poznańskiej pani Walerii, że „u nas na Kresach nikt o takiej zupie nigdy nie słyszał”, a ona się śmiała ze mnie czternastoletniej:

— Jakie tam znowu Kresy — mówiła — od lat tu mieszkasz i tych swoich Kresów w ogóle nie pamiętasz!

I miała oczywiście rację. Teraz wiem jednak, że są liczne

racje, wiele prawd i że z tym pamiętaniem to jest jakoś inaczej, bo pamięta się nie tylko to co się naprawdę przeżyło ale przede wszystkim to co się chciało przeżyć...

— Kiedy wejdiesz między wrony — mówiła pani Waleria — będziesz krakać jak i one.

— A właśnie, że nie będę! — buch w talerz z poznańską zupą z dyni.

— Urodziliście się w Meksyku więc jesteście przede wszystkim Meksykaninami — tłumaczy *Mazabuom* Maria Wiktoria — i waszym obowiązkiem jest przyczynić się do *El Progreso*, do Postępu Ojczyzny.

Bo jeśli żaden z *Mazabuów* nie słyszał nigdy o jaskini we wsi Chiapan i o bogu Ototectli...

— Zamiast kukurydzy — saradela! — (Maria Wiktoria).

— Zamiast dyni — różaniec! — (ksiądz z Las Animas).

— Zamiast barszczu z uszkami — zupa z dyni! — (pani Waleria).

Tak... ale ta ich, *Mazabuów* dynia to przecież mój barszcz kresowy! Dlaczego nie zrozumiałam tego wcześniej? Białe, białe twarze indiańskich przodków pożyczone, przejęte od hiszpańskich zaborców!

Szumi, szumi pszenica na moich niepamiętanych stepach kresowych... Jak łatwo postawić diagnozę cudzych złudzeń, jak trudno zrozumieć swoje! Cały rok jeszcze muszę czekać do następnych Zaduszek w Mbayo, cały rok czekać na kawałek brudnej dyni!

DRUGIE PRZYBLIŻENIE

Las Animas, 6 marca 1962 r.

„Kontakt społeczny między Indianami i Nie-Indianami w świetle narodowej ideologii meksykańskiej”. Taki jest oficjalny temat moich badań socjologicznych w Meksyku. „Nie-Indianie” to po prostu Meksykańczycy. W tym wypadku Meksykańczycy z Las Animas. Wśród nich będę mieszkać przez parę miesięcy przyglądając się jak z ich punktu widzenia wyglądają *Mazahuwowie* z Mbayo, a potem przeniosę się do Mbayo aby oczami *Mazahuwów* z Mbayo spojrzeć na Meksykańczyków z Las Animas. Potem porównania, uogólnienia, hipotezy, wnioski. Tak wygląda to katalogowo, bibliotecznie, referatowo, ale poza tym wszystkim jestem oczywiście ja! Ja, czy *uncontrolable variable*, bo jakże tu można określić samą siebie, jak przewidzieć własne reakcje? Trudno tu nawet zrobić jakieś rozsądne założenie. Bo skoro każde zetknięcie z nowym światem wskrzesza i jednocześnie zmienia całą przeszłość, skoro każdy sen pełen nowej terażniejszości wciąga w coraz to inną przyszłość...

Czemu nie byłeś mózgiem elektronowym Heraklitusie? A może by tak wszystkim socjologom zrobić lebotomię? Człowiek plus ludzie to nie zwykła suma matematyczna, to nawet nie związek chemiczny... to się wymyka i pojęciom i metaforom... Ale czym byłoby życie bez tego łapania rzeczywistości naszej w coraz to inne pułapki, mój Heraklitusie, Marksie, Durkheimie, Ulissesie...

Heraklitusie bo powiedziałeś Pantha Rei...

*Marksie, bo pozwoliłeś rozbiegać się pojęciom i nie strzelałeś
gdy uciekały spod pióra...*

*Durkheimie, za twój Kościół bez Boga jak złoty dach bez podłogi
i ścian...*

Ulissesie bo...

Skąd się tu przyplątał Ulisses? Bo to nie grecki Ulisses, to mój Ulisses, czyli mój nowy znajomy z Mexico, Meksykańczyk, publicysta z *Quadernos Americanos*. To właśnie Ulisses zawiózł mnie tym razem swoim autem do Las Animas, stąd więc zapewne to przyplątanie. Nie to jest zresztą ważne, że przyjechałam tu z Ulissem, ten fakt nie był i nie jest ważny, ale towarzyszące tej wyprawie okoliczności. Minęło już od tego momentu kilka dni, ale nadal nie mogę się z tych okoliczności otrząsnąć. Zresztą może by tu trzeba innego słowa niż „okoliczności”...

Las Animas, 7 marca 1962 r.

Gdy Ulisses zaproponował mi, że odwiezie mnie autem do Las Animas zaważałam się przez chwilę. Było to i wygodne i przyjemne ale zamętniało mi jakoś i tak już trudny przyjazd. Przyjeżdżałam do Las Animas, miasta Nie-Indian i miałam już wynajęty pokój oczywiście w nie-indiańskim domu, bo taka była moja socjologiczna taktyka... Ale naprawdę to przecież przyjeżdżałam do *Mazabúów* z Mbayo i wiedziałam, chociaż oni jeszcze o tym nie wiedzieli, że ten przyjazd to ostatnie najbliższe do nich przybliżenie. Ta sytuacja była już sama przez się dość skomplikowana, a komplikowało ją jeszcze to, że przyjeżdżałam jako Polka (i na uznaniu tej nieznannej tu przez nikogo polskości bardzo mi zależało) ale przyjeżdżałam z Ameryki i z amerykańskiego uniwersytetu. Więc jako Polka ale ze Stanów Zjednoczonych... nie do Indian, ale właściwie do Indian i teraz z Ulissem, Nie-Indianinem i w dodatku mężczyzną, który nie jest ani mężem, ani bratem, ani ojcem, ani wujem. Z Ulissem o delikatnych dłoniach do Nie-Indian i Indian o dłoniach szorstkich...

Ale Ulisses to moje wahanie od razu wyczuł i zanim mu cokolwiek zdążyłam wyjaśnić, już wiedziałam, że lepiej niż ja sama to wszystko zrozumiał.

— Niech się pani nie obawia — powiedział — pojedzie z nami mój syn, Armando, więc nie będziemy sami, a poza tym ja jestem i stąd i stamtąd, i ze stolicy i z prowincji, więc naprawdę nie ma się pani czego obawiać, jedźmy!

Była to sobota a w sobotę zaczynają przyjeżdżać do Las Animas taksówki i prywatne auta a w nich krewni i znajomi odwiedzający seminarzystów. Tak, że wśród tych aut różnorodnych, nasze auto rzeczywiście nie zwróciło niczyjej uwagi.

Stało się jednak coś nieprzewidzianego: Marii Wiktorii nie było w domu. Poszła podobno na Kalwarię czyli na wysoki cmentarny pagórek. Tam co sobotę w przykościelnej sali pracuje

z dziewczętami z Kalwarii. A to właśnie Maria Wiktorii miała mnie zaprowadzić na calle de la Rabia i przedstawić Loli Flores, u której mi wynajęła pokój.

Mogłam się była oczywiście pożegnać z Ulissem i Armando i sama pójść do Marii Wiktorii... Ale się nie pożegnałam...

Seledynowe, małe auto zostawiliśmy na *plazy* wśród wielu innych aut i kamiennymi, bocznymi uliczkami, wśród zakurzonych agaw i kaktusów, pod ścianami pastelowych domów, wzdłuż szumiącego rynsztoka doszliśmy do Kalwaryjskiej góry, gęstej od świeżej zieloności, wysokiej aż pod zachmurzone niebo. W tej zieloności ogromnych kaktusowych drzew, cierni, olch i agaw, zauważyliśmy żółte, kamienne schody a dalej maleńki kościół z drewnianą przybudówką. Ale te schody nie były po prostu schodami i już mniej więcej w połowie drogi o tym się przekonałam. Zmęczyliśmy się wszyscy troje i postanowili trochę odpocząć. Ulisses i Armando usiedli na wystającym korzeniu olchy a ja obok na żółtym, kamiennym stopniu. Ale to nie był stopień jak się okazało.

— Niech pani spojrzy! — zawołał Ulisses. — Te schody to płyty grobowe!

I rzeczywiście. Siedziałam na płycie grobowej, na której można było jeszcze wyczytać nazwisko, banalne nazwisko „Gonzalez”.

— W Polsce nazywałby się pewno „Kowalski” — powiedziałam głośno, ale niewiele to pomogło. Kowalski nie uzyczajnił mi tego Gonzaleza o nieczytelnym imieniu i nieczytelnej dacie śmierci. Ulisses podał mi rękę i zauważyłam, że ręka mi drży... Nie chciałam ani siedzieć tutaj dłużej ani iść dalej depcząc po grobach i bałam się bezsilnym lękiem nie do ukrycia i wstydziałam się okropnie tego lęku bezsilnego moim własnym wstydem sprzed wielu lat.

Ulisses uśmiechnął się krótkim, półcentymetrowym uśmiechem i potem już bez uśmiechu powiedział swymi wąskimi wargami (piszę o tym tak dokładnie bo wówczas dopiero zauważyłam, że ma takie wąskie wargi), powiedział tak:

— No, trudno, nie ma na to rady. Musimy iść albo w górę albo na dół. Dokądkolwiek pójdziemy trzeba będzie i tak iść po płytach grobowych. Nigdy, swoją drogą, niczego takiego nie widziałem...

Więc wspinaliśmy się dalej, patrząc pod nogi, czytając nazwiska, starając się nie deptać, ale ciągle na nowo depcząc imiona, daty śmierci, nazwiska, krzyże. Byliśmy już bardzo zmęczeni, gdy na górze rozszerzyły się grobowe płyty i Ulisses zauważył, że pod tymi wielkimi stopniami, u samego wejścia na cmentarz pochowani byli księża. We trójkę staliśmy na szerokiej płycie

z rozłożystym krzyżem i *Requiescat in Pace* wypisanym ozdobnymi literami, gdy nagle zza kościelnego muru, skacząc po grobach przybiegła do nas Maria Wiktoria w szerokiej, różowej sukni. Co za gesty radosne! Co za słowa kwieciste!

— Jakże miło powitać nareszcie... i proszę jak najprędzej... a jakże... rozgościć się najwygodniej, w tym smutnym miejscu co prawda, ale obecnością tak dostojnych gości rozweselonym, zaszczyconym, umilonym!

Ale Ulisses nie odpowiedział kwiecicie i Armando był równie poważny jak ojciec.

— Czy nie wie pani — zapytał z punktu Marię Wiktorię — dlaczego te schody zrobione są z płyt grobowych, to musi być związane z jakimiś wierzeniami...

I Maria Wiktoria wiedziała, wiedziała bardzo dokładnie, ale na pewno inaczej niż najpierw nie wiedzieliśmy a potem już wiedzieli my troje: Ulisses, Armando i ja.

— Ludzie tutejsi mówią, że jeśli się nie chodzi po płytach grobowych, duchy zmarłych przychodzą straszyć, dlatego zrobili te schody.

Potem nie kleiła się już rozmowa. Nie wiem o czym myśleli Armando i Ulisses. Kto wie, może ich także jakoś podobnie gnębiło to okrutne i mądre wdeptywanie... Tylko Marię Wiktorię na pewno nic nie męczyło, ale gdy się urwała rozmowa oznajmiła nam, że musi jeszcze iść do swoich dziewcząt w drewnianej przybudówce aby im pomóc w szyciu, więc umówiłam się z nią na później, już w Las Animas, i znowu zostałam sama z Ulissem i Armandem.

— Czy odpoczęłaś? — zapytał Ulisses, nie zauważywszy chyba, że zaczął mi nagle mówić po imieniu. — Bo ja jestem jeszcze zmęczony, ale już trzeba wracać.

Nie, na pewno nie zauważył, bo nadal mówił już do mnie po imieniu, i Armando też chyba nie zauważył... Więc i ja zaczęłam do niego mówić „Ulissesie” i rozmawialiśmy w ten sposób nie pamiętam nawet o czym, tak już dobrze zaznajomieni, że jakby na tę znajomość skazani...

„W tej chwili jeszcze pamiętam” — pomyślałam wówczas — „dzień i miejsce, w którym poznałam Ulissesa, ale może już jutro o tym zapomnę, może będzie mi się wydawało, że znałam go zawsze”... Trochę mnie to wtedy przeraziło, bo w tym poczuciu skazania była jakaś wspólna i przez tę wspólność niespodziewaną bardzo silna вина... Nie wiem zresztą czy i o jakiej winie myślało się Ulissesowi, i ja sama też niewiele wiem o swoich winach, chociaż przybiegły one wówczas tak wyraźnie...

Przybiegły trzy szare wyżły moich win na cmentarz miko-

rzyński, machając ogonami, ocierając się o grobowce, radosnymi łapami skacząc na krzyże... A my nic: moja niania i ja. Tylko czułyśmy, że stało się coś co się nie powinno było stać i aż zimno mi się zrobiło ze strachu bo za te świętokradzkie wyżły, których nie wygoniłam, coś mi się pewno złego stanie, może na przykład zimną ręką złapie mnie duch... I za to siedzenie na płycie grobowej też, bo przecież klęczeć się powinno i nie na płycie ale obok... i modlić... A my: stara niania i ja byłyśmy bardzo zajęte rozsmarowywaniem jaskrów na stopach. Bardzo mnie — pamiętam — ten jaskrowy zabieg fascynował, bo po jaskrach miały mi stwardnieć stopy, tak bardzo stwardnieć, że bez trudności i dwa razy szybciej, jak zapewniła mnie stara niania, będę mogła dojść na bosaka do lasu na grzyby...

Więc przez tę fascynację jaskrową, przez tę wizję lasu z grzybami, nie zauważyłam nawet, że siedziałam na płycie grobowej, a potem gdy zauważyłam nie chciało mi się wstać i wyżłów z cmentarza nie przegnałam...

Tak... tak... z grzechu w świętokradztwo, ze świętokradztwa w winę i strach...

O tym wszystkim mi się myślało, gdy schodziliśmy zmęczeni milcząc a jednocześnie zdawałam sobie oczywiście sprawę, że winy i lęki przypomniane to nie zawsze winy i lęki prawdziwe, ale niewiele mi to pomagało, bo lęk nadal narastał kształtami z dzieciństwa i prawie krzyknęłam na którejś z pomniejszych już płyt grobowych gdy nagle zobaczyłam przed nami diabła...

Zatrzymaliśmy się wszyscy troje. Musieliśmy się zresztą zatrzymać bo diabeł zaszedł nam drogę i świecącymi złymi oczami patrzył prosto w jasno-brązowe oczy Ulissesa. Pytał go o coś, ale byłam tak przerażona, że nie usłyszałam nawet o co pytał. Ulisses odpowiadał krótkimi, ostrymi zdaniami, nie spuszczając z niego wzroku, ale z treści jego słów nie dotarło do mnie nic, widziałam tylko ich spojrzenia... I co za ulga gdy diabeł nareszcie zniknął...

— Nie wiem naprawdę jak on się tutaj dostał — powiedział Ulisses — nie widzieliśmy go przecież przedtem a nie ma innej drogi...

„Diabeł drogi nie potrzebuje, przecież to jasne...” Ale nie powiedziałam tego, bo się po prostu wstydziłam Ulissesa i Armanda i może trochę się bałam tego co oni sobie od razu pomyślą o Polsce, gdy ja tu o diablach zamiast o socjologii...

— U nas w Meksyku — powiedział Ulisses — oczywiście na prowincji, każdy przybysz jest w ten sposób indagowany przy pierwszej okazji. Ale ten człowiek nie wyglądał na miejscowego, to mnie właśnie dziwi, czy zauważyłaś jak był ubrany?

— Czy zauważyłam?

Ależ oczywiście, że zauważyłam i zauważyłam twój niepokój, Ulisesie, lęk przed samym sobą bo z diabłem dałeś sobie radę wcale niezłe. A może by lepiej tak po prostu i otwarcie porozmawiać o straszących nas duchach i diabłach... Kiedy indziej oczywiście... bez Armanda bo dzieci są na to za rozumne...

Las Animas, 9 marca 1962 r.

Kłamstwa Socjologiczne: Loli Flores i wszystkim innym z Las Animas mówię, że przyjechałam tu aby badać Indian z Mbayo, ale w Mbayo nie chcę mieszkać — kłamię dalej — bo tam niewygodnie: wody nie ma, elektryczności nie ma, mebli nie ma... Ten argument jest oczywiście bardzo przekonujący i mieszkańcy Las Animas starają mi się pomagać, opowiadając o „swoich Indianach” z Mbayo, z Los Pinos, z San Pablo, z San Martin. Jak łatwo zdobywam w ten sposób informacje na temat ich stosunku do Indian, ich wiedzy i niewiedzy, ich mitów i lęków! No i oczywiście mieszkając tutaj mogę codziennie obserwować „kontakty społeczne” między mieszkańcami Las Animas a Indianami z Mbayo. W osobnym notatniku zapisuję codziennie wszystkie zauważone zetknięcia tych dwóch światów, każdy ważniejszy gest, każdą rozmowę czy spojrzenie.

Jakże by wyglądały moje badania bez tego Wielkiego Kłamstwa na które się zdecydowałam. Co bym mogła zaobserwować, co usłyszeć, mówiąc mieszkańcom Las Animas, że zamieszkałam tu między nimi aby zbadać ich stosunek do Indian? Może inni nie nazwaliby tego kłamstwem, może mówiliby o „zmiennych rolach” badacza socjologicznego, a może mówiliby o... przemilczeniu, bo ludzie się niechętnie przyznają do własnych kłamstw...

Dla mnie jednak to przyznanie się przed samą sobą jest czymś zasadniczym, ale nawet mimo tego przyznania czuję się winna... Badania takie to przecież najmniej ryzykowna (a więc najgorsza!) forma szpiegostwa! Cóż z tego, że nikomu niczego nie „donoszę”... I kto wie czy donosicielstwo nie jest lepsze niż podstęp? To zależy... Tutaj w każdym razie podstępem wydostaję od ludzi to czego by mi nigdy sami dać nie chcieli. Dla dobra nauki? Dla dobra ludzkości? Dla polepszenia stosunków między Indianami a Nie-Indianami? *Nie wiem!* Więc tak: cel uświęca środki i nawet nie wiadomo dokładnie jaki cel!... Ładna historia! Ależ wpadłam z tą moją pracą terenową! Niewątpliwie empiryczną, a więc uczciwą w porównaniu do nieuczciwych spekulacji bez empirycznej bazy... Tak! Ale jaką cenę płacę za tę uczciwość empiryczną... Okropność!

Ale jedno przynajmniej wiadomo: że to nie dla pieniędzy i nie dla zabijania... Więc jest w tym jednak jakaś bezinteresowność a w niewiedzy mojej co do celu jest coś z anty-fanatyizmu... Tak się pocieszam. No i jeszcze jedno wielkie pocieszenie: wiedząc, że kłamię, jestem przynajmniej pewna, że nie oszukuję samej siebie.

Gdyby można było mierzyć kłamstwa, moje kłamstwa w stosunku do Indian z Mbayo okazałyby się na pewno mniejsze (krótsze? łżejsze?), niż kłamstwa w stosunku do Nie-Indian z Las Animas. Bo mieszkańcom Mbayo mówię po prostu ogólnie, że przyjechałam tu aby dowiedzieć się o życiu wsi meksykańskiej, więc i o życiu w Mbayo chcę się dowiedzieć i o życiu w Las Animas. To im wystarczy i nie pytają już o nic więcej bo oni są też ciekawi jak się żyje w „mojej ziemi”, więc ja im o Polsce a oni mnie o Mbayo... Tak, niewątpliwie, to kłamstwo jest jakoś mniej kłamliwe niż moje kłamstwa w stosunku do Nie-Indian. Ale o kłamstwach później, gdy nabiera się ich dużo więcej w osobnym notatniku od kłamstw.

Las Animas, 10 marca 1962 r.

Siedzę tu w moim pokoju przy calle de la Rabia i patrzę przez okno. Wysokie, ciemne agawy a za nimi amarantowy zachód słońca. Na tle rozmazanego po niebie amarantu — ciężkie granatowe chmury.

Ulica moja ma legendę. Oficjalnie nazywa się ona Piątą Ulicą, ale nikt jej w ten sposób nie nazywa prócz Loli Flores, która w stosunku do mnie wstydy się prawdziwej, używanej przez wszystkich nazwy. Bo Lola Flores ciągle się czegoś wstydy a „calle de la Rabia” to dosłownie „ulica Wściekliczny”...

Kiedyś, dawno temu, mieszkali przy tej ulicy „źli ludzie”. Kłócili się, krzyczeli na siebie, bili się i nawet zabijali... stąd nazwa ulicy. Ale nikt już tych czasów nie pamięta, jak zapewniła mnie Lola Flores, i tej „najspokojniejszej w Las Animas ulicy nie powinno się nazywać ulicą Wściekliczny”.

A może Don Jaime, bardzo stary wuj Loli, pamięta... a może pamięta ten pies z białym okiem, który co wieczór wałęsa się po calle de la Rabia? Już od kilku dni ten dziwny (nadprzyrodzony?) pies o białym oku i ja — dla mieszkańców calle de la Rabia jeszcze bardziej dziwna, przyglądamy się sobie podejrzliwie... Jestem pewna, że ten białoooki pies nie umie szczekać, tak jak nie umiały szczekać tutejsze przedkolonialne psy... A może tego psa w ogóle nie ma?

Gdy powiedziałam Loli o cichym białoookim psie bardzo się zaniepokoiła. Lola nie zna słowa *Gemütlichkeit*, ale tego właśnie chce od świata, takiej treści szuka. Dlatego wbrew wszystkim ulicę Wścieklizny nazywa Piątą ulicą i przed dramatycznym krajobrazem zasłania się plastikowymi firaneczkami.

— A ten pies to dobry pies i na pewno pani, Donio Marylito, nic złego nie zrobi.

Odsunęłam na bok plastikowe firaneczki bo właśnie na ostrych kolcach agaw umierało amarantowe słońce. Doczekałam się ostatnich jego drgnień i potem nagle tak się zrobiło za oknem ciemno, jak bym to ja, a nie noc zamknęła oczy. „Tak umierają ludzie”, pomyślałam i zaraz zapaliłam światło. Od ostrych drutów nagich żarówek zabolęły mnie na chwilę oczy i znowu chciałam ciemności, ale już było za późno bo zaludniło się naokoło mnie od bibelocików Loli, od tancerek z kolorowej porcelany, od niemowląt z różowych koronek, kotków z aksamitu, plastikowych, różowych piesków o niebieskich oczach, białych koników i kolorowych kurek...

Co by tu zrobić aby się wydać Loli mniej dziwną? Może na przykład gdybym włożyła kolorowy fartuszek, oswoiłaby się moja dziwność i Lola uwierzyłaby wreszcie, że mi smakuje meksykańskie jedzenie... Codziennie takie mniej więcej rozmowy:

Senora Marylita, tak mi przykro, że nie potrafię gotować dobrego jedzenia, takiego jak się je w pani kraju...

— Ależ, Donio Lolu, to świetne jedzenie, naprawdę te jajka z fasolą bardzo mi smakowały, a nie widziała pani ile *tortiji* zjadłam dziś na śniadanie?

Ależ, Donio Marylito, pani tak tylko mówi, żeby mi zrobić przyjemność, ja dobrze wiem, że my tu, na prowincji, gotować nie umiemy, ale robimy co się da... Nic z tego jednak Donio Marylito, ciemni ludzie jesteśmy, nauczyć się nie potrafimy...

— Donio Lolu, przecież powiedziałam!

— Donio Lolu, przecież widziała pani ile zjadłam!

— Donio Lolu, ileż razy mam powtarzać, że świetne!

— Donio Lolu, jeśli pani nie uwierzy bardzo się obrażę!

— O, *senora*, jabym przecież nigdy pani obrazić nie chciała, Jezusiku Najdroższy, ale pani tu z szerokiego świata do mego skromnego domku przy ulicy Piątej, więc jakże tu Donio Marylito... a gdyby mi tak pani powiedziała do jakiego jedzenia się pani w swoim kraju przyzwyczaiła, to może z pomocą Najświętszej Paniienki z Guadalupe, może by mnie tak oświeciła Dziewica Dobrotliwa i śniadanko bym dobre i kolacyjkę dla pani ugotować potrafiła...

— Więc dobrze, powiem, ale niech pani słucha uważnie, Donio Lolu, niech pani sobie najlepiej zapisze! Więc w moim kraju, w Polsce... Polska... Polonia... na śniadanie jadamy wyłącznie surowe króliki a na kolacje smażone sypy!

Teraz już pani wie, Donio Lolu! *Voilà!* Hurra!

Las Animas, 11 marca 1962 r.

Codziennie rano, najpierw wąskimi uliczkami i zaułkami, potem przez kukurydziane pola, później przez pola agawowe, przez wyschnięte kamieniste strumyki i w końcu stromą ścieżką przez bezimienne pagórki, idę do Mbayo. Jest to dość daleko, przeszło godzina drogi od calle de la Rabia i nawet trochę niebezpiecznie, bo u stóp pagórków złe psy, ale co by to była za wieś obiecana gdyby tak łatwo można ją było mieć.

Po przyjsciu do Mbayo idę zwykle prosto do *Ngeme* i co za ulga, tam w zadymionej kuchni nikt nie ma wątpliwości, że mi smakuje, i to bardzo, to ich pierwsze a moje drugie śniadanie. W ciemności i dymie, na niskiej kuchni z trzech kamieni smażą się płaskie okrągłe placki, *tortije* z tej ich niewątpliwie świętej kukurydzy, czasem biało-żółtej, czasem różowej, czasem ciemnoniebieskiej.

Święte jedzenie to nie zawsze jedzenie świąteczne. W „mojej ziemi” na przykład chleb jest taki nieświętecznie święty. Gdy upadł kawałek chleba na ziemię trzeba go było potem pocałować, a niekórzy się zegnali całując i prosili Matkę Boską o przebaczenie. A dla nich, *Mazabuów*, chleb jest świąteczny i nie święty. Dla nich z Mbayo chleb to jak dla nas tort. Kto by tam chciał jeść codziennie tort zamiast chleba! Kto by tam jadł chleb zamiast kukurydzianych *tortiji!*

A na tę świętą codzienność potraw zwrócił już uwagę Bronisław Malinowski w swoich badaniach na wyspach Trobriandzkich, ale się nigdy tak naprawdę tym nie zajął, dopiero jego uczennica Audrey Richards, w Północnej Rodezji...

— Więc u was kukurydza, a u nas chleb!

Jak łatwo rozumieją *Mazabuowie* w ten sposób podany relatywizm kulturalny! Ileż łatwiej go pojmują niż moi amerykańscy studenci z kraju rozproszonej świętości... „Rozproszonej”, bo nie do pojęcia jest kraj nie uświęcający codziennych pojęć... Ale w Stanach Zjednoczonych są one zaszcute i rozbiegane jak mrówki bez mrowiska... Podczas gdy w Polsce, podczas gdy w Mbayo...

Bo gdy jedną codzienną świętość przetłumaczyć można na

drugą codzienną świętość, łatwiejsze jest porozumienie między ludźmi i wzajemny szacunek.

Może zresztą ten relatywizm nie jest aż tak bardzo relatywistyczny jak mi się wydaje, bo jeśli z takim samym poczuciem nabożeństwa je się chleb co kukurydzę... Ale jak to wytłumaczyć moim studentom amerykańskim dla których chleb to chleb a kukurydza to kukurydza i nic więcej, nic więcej!!!

W *Ngeme* zawsze dużo ludzi, nawet podczas żniw lub siewów, gdy inne chaty puste. Bo *Ngeme* to Duży Dom, jak Leszczyce ciotki Feli.

W Leszczycach też było zawsze pełno ludzi: rodzina, goście, służba... Donia Elena sprzedaje na tarasie *Ngeme* sok agawowy, *pulque*. Tym sokiem agawowym popijam śniadaniowe *tortije* i stukam się moim kubkiem z Donem Pancho, z Jorge, z Mateo. „Na zdrowie” — mówię po polsku a oni mi odpowiadają: „Na zdrowie”.

Moje śniadanie w *Ngeme* jest męskim, nie kobiecym śniadaniem bo tutejsze kobiety nigdy prawie nie piją do śniadania *pulque*. Ale to nic nie szkodzi. Polska, Polonia, to dla nich tak jak inna planeta, a może ja jestem jednocześnie i mężczyzną i kobietą, bo gdzie się podziały moje warkocze? I jednocześnie młodą i starą z tymi jasnymi włosami, jak siwe włosy... Więc nikt się nie dziwi, że jak mężczyzna popijam *tortije* sokiem agawowym. Grunt, że lubię to ich *pulque*, święty sok agawowy, w języku *mazahua* nazywany *xemé* i że wymówić potrafię to ich codzienne święte słowo. Znaczy to niewątpliwie, że w tej Polonii, gdziekolwiek ona jest, żyją prawdziwi ludzie!

Wiem już dlaczego *Ngeme* tak mi przypomina Leszczyce. Bo w *Ngeme* tak jak w Leszczycach taras i agawy. W Leszczycach na werandzie stały dwie agawy w drewnianych skrzyniach i mówiło się wówczas nam, dzieciom, że agawy kwitną tylko raz na sto lat, więc na tych wiecznych agawach ryliśmy scyzorykiem nasze imiona, na niewiadomą wielkość, na niezrozumiały czas, na kwiat stuletni jak księżyc...

... Bo przecież stuletnia agawa ma pewno kwiat taki duży jak księżyc, a może trzy razy większy, a może kolcami dostanie do nieba a z nią nasze rozrośnięte imiona, ogromne jak ta olcha nad leszczyckim stawem...

Tego samego dnia 12-ta w nocy

W tym przypomnieniu Leszczyce było jednak coś męczącego, ale dopiero teraz zaczynam to rozumieć. Już w *Ngeme* to wyczu-

wałam ale ani rusz nie mogłam tej nitki uchwycić. Dopiero tutaj przy calle de la Rabia, w środku nocy, razem z niewiadomym wystrzałem, który mnie obudził z płytkiego snu, zjawiała się ta dręcząca nitka, mocna, jakby ze świeżo zaszytej rany...

To było tak. Miałem już chyba 13 lat i w Leszczycach był bal. Był to oczywiście bal dla dorosłych, ale i mnie od czasu do czasu któryś z moich kuzynów poprosił do tańca, bo nie kazano mi pójść spać, więc mimo mego wieku też jakoś do tego balu należałam. Ale z wyjątkiem tych kilku tańców przez całą prawie noc siedziałam na pluszowym fotelu, przyglądając się i myśląc. Tańczono przede mną moje zbliżające się życie... za trzy, cztery lata będę już dorosła... i jak długo i po co się potem tańczy? Tak mi się półśnie myślało aż nagle z tego myślenia wyrwał mnie krzyk. Dorosli przestali tańczyć i wszyscy wybiegli na taras. Taki się zrobił tłok w drzwiach, że się nie mogłam przecisnąć i dopiero wówczas gdy zaczęli wracać wydostałam się na dwór.

— Co się stało?

— Aaa, nic takiego — odpowiedział wuj Stefan — chłopskie wesele, pobili się i jak to zwykle, jeden drugiego nożem...

— I na śmierć go zakłuł?

— Tak, na śmierć.

Znowu zaczęła grać orkiestra i w salonie leszczyckim tańczono do samego rana i ja też do samego rana siedziałam na tym samym pluszowym fotelu, ale już nie ta sama po tej chłopskiej, zlekceważonej śmierci tuż za progiem. Nie mogłam o niej przestać myśleć. Bardzo mi było źle — pamiętam — i obco i bardzo chciałam pójść do tej weselnej karczmy zobaczyć czy i tam nadal tańczą. Ale oczywiście nie odważyłam się pójść ani do karczmy ani na drogę na której leżał zabity chłop.

Długo jeszcze o tym myślałam w ciągu następnych dni w Leszczycach, myślałam, myślałam aż w końcu zapomniałam, aż do tej chwili gdy po tylu latach na leszczyckim tarasie w *Ngeme*, a potem tutaj w nocy przy calle de la Rabia...

Teraz już znowu chce mi się spać... i zapomnieć, ale coś jeszcze powinnam zapisać.

Zapisuję:

Czy Indianie *Mazabua* to chłopci czy nie chłopci? Definicja „chłopa”? Czy ta sama definicja przyjęta przez inteligencję co przez ziemian? A jak polscy chłopci definiowali pojęcie „chłop”? Jakby polskiemu chłopu wytłumaczyć pojęcie „szczep”? Jak szczepowemu Indianinowi pojęcie „chłop”?

Donia Lola jest starą panną i mieszka „przy bracie” Donie Orlando. Zięć tego brata, Fernando jest nauczycielem w miejscowej szkole. Tego Fernando ani rusz nie mogę przekonać, że jestem Polką. Przyjechałam ze Stanów Zjednoczonych, pracuję dla uniwersytetu amerykańskiego, więc jaka tam Polka? A że głupio-inteligentny ten Fernando w całym tego słowa znaczeniu i język ma, bestia, ostry więc nawet bym się z nim o moją polskość tak bardzo nie spierała, gdyby nie jego ciągle oskarżenie o to, że Ameryka (a więc ja) zabrała Meksykowi pół kraju za czasów generała Santa Anny, co jest zresztą najprawdziwszą prawdą przy odpowiedniej interpretacji słowa „pół” i słowa „zabrać” *bien sûr...*

— Kalifornię zabraliście, łajdacy — woła Fernando wymachując mi nad głową oskarżającą prawicą — zabraliście, łajdacy Nowy Meksyk, Arizone zabraliście, łajdacy!

— Tak, tak, łajdacy — powtarzam z nim spokojnie — zabrali Kalifornię, zabrali Arizone, zabrali łajdacy Nowy Meksyk...

Ale niewiele mi pomaga to powtarzanie bo Fernando nadal się pieni i pięściami nade mną wymachuje:

— Co za logika w tym łajdactwie? — woła — i za co? Za co? — A logiki się uczył Fernando w Universidad de Morelia z podręcznika Polaka, hrabiego Korzybskiego — jak mnie poinformował — przetłumaczonej na hiszpański. Więc jakże bym ja mogła być Polką skoro jego logika jest polskiego pochodzenia?

Ach, z tą logiką, z tą Ameryką, z tym Fernando głupio-inteligentnym... A ja tymczasem nawet gdybym była Amerykanką, nie czułabym się pewno winna za te pół kraju odebranego Meksykowi ile to lat temu... nie pamiętam, ale na pewno przed urodzeniem najstarszej z żyjących generacji...

To nie jest zresztą takie proste bo własna pamięć czasami tylko jest granicą odpowiedzialności, a poza tym istnieją różne typy win i najróżniejsze rodzaje ich odczuwania. Na ileż to zbrodni się napatrzyłam! Ileż ludzie ludziom naodbierali od czasów generała Santa Anny!

Ale za ten taniec do samego rana, za ten krzyk leszczyckiego chłopca, tak, za to czuję się odpowiedzialna... Czy dlatego, że się to stało przy mnie? Że nic wówczas nie zrobiłam mimo lat 13-tu? A może dlatego, że nie lekceważąc wprawdę sama, należałam jednak do Lekceważących? Że z tych Leszczyc wówczas 13-letnia nie uciekłam do Mbayo...

Zanim znowu zapomnę chciałabym bardzo porozmawiać o tym z Ulissemem. Nawet nie wiem jeszcze o co go zapytam i kto

wie, może Ulisses się zdziwi i oburzy, chciałabym jednak bardzo aby o tym wiedział...

Las Animas, 13 marca 1962 r.

W *Ngeme* spędzam zwykle po kilka godzin, jedząc *tortije*, pomagając w łuskaniu kukurydzy, rozmawiając... Potem, już popołudniu idę do izby przy kościele gdzie Maria Wiktoria szyje z dziewczętami z Mbayo na dwóch maszynach Singera. Później, w powrotnej drodze zatrzymuję się przed szkołą, a raczej przed budującym się domem, który będzie szkołą. Nie ma on jeszcze ani dachu ani okien, ale Don Edmundo i Don Pablo, który się tam zawsze kręcą przypilnowując robót, mówią, że szkoła będzie skończona na 23 marca i że przyjedzie sam gubernator stanu Meksyk na Inaugurację, no i ksiądz przedtem przyjdzie pokropić i szyby przywiozą z Toluki i nauczycielka też będzie zapewniona.

Wszystko to wydaje mi się dość nieprawdopodobne bo wiem, że szkołę budują tu już od 3 lat, że nie ma ani dość rąk do pracy, ani dość materiału, ani pieniędzy nie ma na szyby i ławki. No i wiem również od Marii Wiktorii, że Mbayo nie ma oficjalnego pozwolenia na szkołę, jako że należy do szkolnego okręgu Las Animas. Ale Don Edmundo i Don Pablo uśmiechają się widząc moje powątpiewanie.

— A ty zobaczysz Donio Marylito — powiedział mi dzisiaj Don Pablo — że wszystko będzie na czas: i ławki będą, i Gubernator przyjedzie, i nauczycielkę dostaniemy, i szkła do okien.

Skąd u nich ten optymizm? Skąd ta pewność wbrew wszystkiemu? A co będzie jeśli się nie uda?

Ale nie może się nie udać! Bo jeśli się nie uda to i tak tego nieudania nikt z *Mazabuów* nie uzna i znowu narośnie pogodna pewność o następnym niewątpliwym udaniu... A Heidegger? A Sartre? A ich teorie o konieczności odrzucenia nadziei, o godności ludzkiej opartej rzekomo na nieoczekiwaniu?

Więc może oni, *Mazabuowicie*, głupio i fałszywie, bez zrozumienia i bez godności?

A jak to było podczas Powstania Warszawskiego? Pisaliśmy przecież raporty do Komendy Głównej, powiedzmy o 9-ej rano, że taki a taki odcinek został wydarty z rąk Niemców tego samego dnia o 4-ej po południu... Czy zawsze o 4-ej po południu dany odcinek był potem rzeczywiście zdobyty? Chyba nie... teraz z perspektywy lat nie jestem oczywiście pewna... Ale wówczas byliśmy pewni nawet w obliczu niepowodzenia czy klęski! Jak

to właściwie było? Bo przecież widzieliśmy, słyszeli, umieliśmy obliczać i myśleć...

Może więc nie o sam wynik chodziło i nam z Powstania i *Mazabuum* budującym szkołę? Może nam chodziło jedynie o ciągłość działania? Może inaczej wówczas definiowaliśmy cel? Inaczej powodzenie i klęskę?

Co kształtuje nasze cele, co określa ich znaczenie i zakres? W jakich warunkach skuteczność działania ważniejsza jest od niezachwianej motywacji? W jakich warunkach motywacja ważniejsza jest od skuteczności?

„Nie zdziałaliśmy nic, ale nas nie zwyciężono!”

„Bez broni i w kajdanach ale niepokonani!”

Kiedy, kiedy śmiejemy się z siebie samych tak wołających? Kiedy przestajemy się śmiać? Kiedy przestajemy wołać? Kiedy jesteśmy cyniczni a kiedy mądrzy?

Las Animas, 15 marca 1962 r.

Poznałam dziś siedemnastoletniego, smukłego chłopca, Teodoro. Przyszedł rano do pokoju przy kościele odnieść piłę Marii Wiktorii.

— Teodoro jest prezesem Klubu Chłopców — powiedziała z dumą Maria Wiktorii — i jedynym w Mbayo, który zna się trochę na stolarce. Nauczył się rok temu w Szkole Technicznej do której go wysłałam.

Odprowadziłam Teodoro do jego chatki w cieniu drzew przypominających płaczące wierzby. Maleńka ta jego chatka, nie jak *Ngeme*, no ale oczywiście *Ngeme* nie byłoby Dużym Domem gdyby i inne chatki miały taras i ściany pomalowane na biało. W chatce mieszkają tylko Teodoro i matka wdowa, młoda jeszcze, ale przygarbiona kobiecina o wielkich, czarnych oczach. Chatka Teodoro jak inne z chropowatej szarej *adobe*, pokryta różową dachówką i oczywiście bez komina i bez podłogi, ale za to Teodoro ma w „swoim pokoju” prawdziwe okno (bez szkła co prawda, ale zamykane na drewnianą okiennicę), dwa krzesła, ławkę, stół a na stole rolnicze czasopisma. Ale ani śladu u Teodoro dumy z tych domowych osiągnięć. Nieśmiałość jedynie jakby dotykalna, zmieszanie i jakiś skurczony smutek. Wypytywałam Teodoro o tę jego Szkołę Techniczną, o stolarce, brata, ogród, siostrę, Klub Chłopców, ale nie kleiła się nam rozmowa i nie chciałam jej zanadto forsować bo siedzieliśmy przy tym najważniejszym stole, na dwóch pionierskich krzesłach, wyprostowani, jak na jakiejś konferencji czy egzaminie. Nie zmięk-

czył tej naszej rozmowy ani ołtarzyk ze Świętym Marcinem i Matką Boską z Guadalupe, ani dwie szklanki *pulque* (prawdziwe szklane szklanki) przyniesione przez matkę Teodora. Nie powiedzieliśmy sobie absolutnie nic i dopiero gdy już wychodziłam coś się nagle odmieniło.

— Chciałabym się nauczyć języka *mazabua* — powiedziałam — w domu przy calle de la Rabia mam dwie książeczki w waszym języku, jedna to słownik, same słowa przetłumaczone na hiszpański — druga z opowiadaniem o zwierzętach. Obie przygotowane przez taki Instytut Lingwistyczny w Mexico. Może byś mi pomógł sprawdzić czy oni to dobrze zrobili i czy z tych książeczek mogłabym się nauczyć...

— A maszynę do pisania pani ma? — zapytał Teodoro z błyszczącymi nagle oczami.

— Tak, oczywiście, mam, ale do nauczenia się *mazabua* potrzebna jest inna maszyna, nie wiem czy taką maszynę kiedyś widziałeś, nazywa się po hiszpańsku *gravadora* a po polsku magnetofon. Na tę maszynę nagrywa się słowa...

— Ale ja bym się bardzo chciał nauczyć pisania na maszynie, właściwie to już trochę umiem!

— Świetnie, więc ty mnie będziesz uczył *mazabua* a ja ciebie pisanie na maszynie!

— Dobrze! I ja tam do pani przyjdę na calle de la Rabia — zaproponował Teodoro — wiem gdzie to jest bo czasem się tam wynajmuję do pracy przy agawach Dona Orlando... tak będzie najlepiej... może bym mógł przyjść jutro przed wieczorem?

Jestem trochę zdziwiona, że tak łatwo się to ułożyło. Taka wymiana usług to nie byle co! I codzienny, być może, kontakt z przedstawicielem młodej generacji *Mazabuów*... Ale dość zaintrygowało mnie to, że Teodoro chce na te lekcje przychodzić do mnie... Zresztą to dla mnie dużo wygodniej a już byłam przygotowana na codzienne taszczenie moich lekkich ale i tak za ciężkich „maszyn” do Mbayo, przez wyschnięte strumyki, między kolczastymi agawami, przez górskie ścieżki, przy szczekaniu złych psów...

Las Animas, 16 marca 1962 r.

Całe przedpołudnie spędziłam dzisiaj z rodzeństwem Guzman, a potem zatrzymali mnie na obiad. Byliśmy w górach z gitarami, w jabłkowym sadzie Guzmanów. Leon i Martita śpiewali i nagraliśmy te ich smętne *bolera* na magnetofon. A potem już u nich w domu jedliśmy *barbacoa*, popijając słodkim, gęstym winem.

Bardzo mi się chce spać od tego górskiego spaceru, tych rozmów gadatliwych, które muszę zapamiętać, od tego słodkiego wina, tych przedmiotów, bibelotów, słów, ilości, zagadania i nieustannego zaczajenia mojej uwagi, nastawionej na wyłapanie danych socjologicznych z tego niewinnie dziejącego się życia. Ani chwili odpoczynku bo tacy oni oboje żywi, ale trudno... A teraz za parę godzin przyjdzie Teodoro i będzie mnie uczyć *mazabua*.

Któż się tak ze mnie śmiał przed wyjazdem do Meksyku, już nie pamiętam kto... może zresztą śmiali się wszyscy, że niby takie badania socjologiczne to po prostu wakacje na wsi: gorące meksykańskie słońce, tropikalne owoce, *siesty*... tak sobie to wyobrażali...

Ci Guzmanowie to tutejsi notable, stara rodzina i bogata jak na tutejsze warunki bo mają i sady owocowe i *molino*, elektryczny młyn do mielenia kukurydzy, i sklepik ze słodyczami. Pomarańczowy dom pod amarantową *bukambilią*, kolory jak z obrazów Tamayo a w środku same okropności! Ale o tym za chwilę, bo najpierw jeszcze chcę opisać w jaki sposób poznałam Leona Guzman.

Więc mniej więcej tydzień temu pojechałam na targ do Ixtlahuaki aby kupić sobie dodatkowe koce, bo bardzo tu nocami marzną, a Lola nie ma nic więcej do przykrycia. Kupiłam aż dwa: wielkie, w geometryczne wzory i z tym pledowym tobołem, przewiązanych skórzanymi pasami, siedziałam na stacji autobusowej, myśląc — pamiętam — o książce Jacques'a Soustelle, *Mexique, Terre Indienne*, bo on tu właśnie mieszkał coś trzydzieści lat temu z żoną, Georgette, wówczas studentką etnologii. Myślałam o tej jednej tak bardzo turystycznej fotografii z książki Soustelle'a: Jacques i Georgette w wysokim Fordzie i, Boże mój, w tropikalnych kapeluszach (a przecież tu w Ixtlahuace ziab, deszcz, wiatr i mgła), a Georgette, o kształtach obfitych, była ponadto w bryczesach i długich butach. Te buty i bryczesy bardzo mnie zaintrygowały, bo przecież oboje to poważni naukowcy, a tak ubraną musieli ją chyba tutaj uważać za wariatkę lub diabolicę, skoro nawet dzisiaj, trzydzieści lat później, kobieta w spodniach...

Tak mi się — pamiętam — myślało na stacji autobusowej w Ixtlahuace i potem jeszcze o dziwnej karierze politycznej Soustelle'a, bo właśnie niedawno, przed samym wyjazdem do Las Animas, czytałam w *Excelsiorze* wzmiankę o przegnaniu go z Francji... Więc może ta ekstrawagancja bryczesowo-tropikalna ma jakiś związek z jego awanturniczością polityczną... myślałam... a może nie ma żadnego związku...

Tak byłam tymi myślami zaabsorbowana, że nie zauważyłam

w ogóle, że już nadjechał i prawie się zapełnił autobus jadący do Las Animas. Zerwałam się z ławki i złapałam za tobołek, w tej samej chwili zauważając małego, pomarszczonego człowieczka w wiatrówce i czarnych okularach, który ukłonił mi się, pokazując złote zęby i zapytał czy może pomóc z tobołem. Wzięłam go z punktu za tragarza i bardzo się zdziwiłam gdy nie chciał przyjąć napiwku.

— Nie, dziękuję — powiedział urażony — ja tu już dla pani od paru minut miejsce zarezerwowałam, tu na przodzie, niech pani pozwoli, że się przedstawię, bo ja także jadę do Las Animas... stamtąd jestem... nazywam się Leon Guzman.

A potem przez całą trzygodzinną podróż, wśród pchających się ludzi, płaczących dzieci, kąpiących tobołków, rozmazujących się *tacos*, wśród indyków, kurcząt, prosiąt, koszyków, łąchów, chust... trwała namiętna i zawzięta obrona Leona Guzman przed tym moim nieszczęsnym napiwkiem... tak to w każdym razie wówczas rozumiałam i dopiero później, już w Las Animas, zaczęłam się zastanawiać czy ta namiętna samoobrona nie była przypadkiem samoobroną przeciętnego Meksykańczyka (na pewno jednak nie intelektualisty jak Ulisses i nie Indianina) przed własną, młodą, niepewną siebie cywilizacją... „Obroną przed napiwkiem losu”... jakże pretensjonalnie, melodramatycznie i... prawdziwie to brzmi!

Bo właśnie taka melodramatyczność, megalomania, niepewność i zawilość, wynikiły z tej fantastycznej mieszaniny cywilizacji hiszpańskiej z kulturami dziesiątek indiańskich szczepów, z mieszaniny tak odrębnych kultur i „krwi”... Patrz rozdział XI książki Erica Wolf'a *Songs of the Shaking Earth*.

— Mój dom największy, najładniejszy, musiała go pani zauważyć, tam obok Seminarium, pod najbardziej amarantowo kwitnącą *bukambilią*... Aaa, pani dopiero tydzień w Las Animas, prawda, ale gdyby pani mieszkała dłużej nie mogłaby pani nie wiedzieć o mojej rodzinie! Bo to, proszę pani, jedna z najlepszych rodzin w okolicy i ja z nich wszystkich jestem najciemniejszy, ale gdyby pani zobaczyła mego ojca... on ma już 83 lata, ale skóra wcale mu nie pociemniała, zresztą zobaczy pani sama, bo oczywiście mój dom jest pani domem i mam nadzieję, że zaszczytenci będziemy... A córeczki, proszę pani, córeczki tak jak siostrzyczka Martita, blondynki z oczkami niebieskimi, to po przodkach Francuzach i trochę po Hiszpanach bo hiszpańską przymieszkę też mamy we krwi, ale przede wszystkim po Francuzach... dobra krew, proszę pani, wszyscy o tym wiedzą...

W tym momencie — pamiętam — bardzo się rozzłościłam bo przypomniała mi się ciocia Fela z Leszczyca i jej monologi

o polskiej szlachcie i błękitnej krwi i jakoś opadło ze mnie to napiwkowe zakłopotanie. „Psiaaakrrrrrrrew”! — wyrwało mi się przez zęby, bo znowu poczułam się trzynastoletnią i jakby na zawsze unieruchomioną w głębokim fotelu leszczyckiego salonu, przy dźwiękach walca, podczas gdy na drodze przed karczmą działa się prawdziwe życie... Ale tego bezsilnego „psiakrew” Don Leon oczywiście nie zrozumiał a gdyby mnie był wówczas zapytał co miałam na myśli, „nauczona latami konspiracji”, miałam już nawet gotową odpowiedź: „psiakrew to słowo *mazabua*, nie pamiętam co znaczy, ale najpierw i tak uczę się melodii języka”...

— Psiakrew! Co za bzdury!

Ale tego zdania już nie wypowiedziałam, dopiero drugą, ironiczną, ale grzeczną jego część. Taką:

— Słyszałam, że wszyscy Meksykańczycy mają przymieszkę krwi hiszpańskiej, czy nie mam racji?

— Tak, ale jedni mają czystsza krew hiszpańską, inni mniej czystą, nasza jest najczystsza!

Psiaaakrrrrrew! Do brudnego stawu z cicią Felą w koronkowej sukni! Ale socjologiem przecież jestem i przyjechałam tu badać i Meksykańczyków i Indian. Mam się dowiedzieć co o sobie nawzajem myślą i co myślą o sobie samych, więc powinnam słuchać, słuchać i zapamiętywać, nie kłócić się, nie protestować, nie zaczepiać... Słuchać, słuchać, słuchać... Ale jak długo da się tak po prostu słuchać?...

Więc aby wybrnąć z tej irytującej rozmowy zmieniałam temat i zaczęłam go wypytywać o *Mazabuów*. To przecież także mój temat — usprawiedliwiłam się przed samą sobą. Już się dowiedziałam co myśli Don Leon o swojej rodzinie, a teraz się dowiem co myśli o Indianach...

I dowiedziałam się. Dużo. Ale o tym w innym notesie bo to za szczegółowe na dziennik. Tutaj jedynie ogólnie: Indianie (*Inditos* — powiedział Leon Guzman, tak jak się w Polsce mówiło „Żydki”), *Inditos* to dobrzy ludzie ale okropnie prymitywni, na takim mniej więcej poziomie jak kilkuletnie dzieci. Ale garnie się to do nauki i Postępu, pomóc im tylko trzeba!

A potem zaczął znowu o sobie, ale tym razem już nie o białej skórze i czystej krwi ale o złocie, o rodzinnych biżuteriach: pierścionkach z diamentami, broszkach i o tym jak po zapachu odróżnić można szlachetny metal od nieszlachetnego... Na przykład ta bransoleta od zegarka, którą ma na ręce pachnie inaczej niż srebrna moneta bo bransoleta zrobiona jest z nieszlachetnego metalu...

— A tutaj pierścionek, o, niech pani powącha: złoty czy nie złoty? A, właśnie, że złoty bo po hiszpańskim dziadziusiu... tak, tak, można wyrobić sobie węch, a prawdziwe złoto i prawdziwe srebro nigdy nie mają złego zapachu, bo proszę pani co prawdziwe to prawdziwe...

Cicho... cicho... bo w tej chwili czerwony zachód słońca za brudnymi szybami, więc dość o szlachetnych i nieszlachetnych metalach... zasypia słońce...

— *Caida del sol* — mówi uciszony i nagle spowaźniały Don Leon...

— Tak, *caida del sol* — powtarzam za nim rozumiejąc nagle po raz pierwszy przerażająco dosłownie, że *caida del sol* to „upadek słońca”. Codzienny upadek słońca w dawnym Imperium Czciocieli Słońca, Azteków... Upadłe słońce, minione imperium... Ale bogowie przedkolonialnych *Mazahuów* nie byli przecież ze słońca, byli z gałęzi, a słońce jest symbolem przed-hiszpańskich najeźdźców. Słońce-swastyka! Czy Ulisses broniłby meksykańskiego słońca?

Tak się rozpisalam o tym spotkaniu z Don Leonem, że nie starczy mi pewno czasu przed przyjściem Teodoro, na opisanie naszej wyprawy w góry... a po odejściu Teodoro trzeba będzie pewno pisać o nim... Pisanie doganiające życie, życie przeganiające wszystko... Więc tylko krótko:

W górach sentymentalne *bolera* o namiętności, miłości, tęsknocie.

Na przykład: „wiem, że nigdy więcej nie będę całował twych ust, ale najdroższa, będę cię zawsze uwielbiał i kochał...” Lub: „Pozwól mi całować twoje usta, uwielbiać cię, modlić się do ciebie jak do świętej, nie wahaj się drzeć z namiętności, bo wiemy dobrze, że nasza miłość nie jest wieczna, bo przyjdą inni i nie będziesz już moją, a życie jest takie krótkie...” Albo taki fragment: „Mówiłaś mi, że jesteś moją na zawsze, na zawsze a teraz nie chcesz mnie widzieć, odeszłaś z innym i zapomniałaś o mnie, ale ja kocham cię tak samo jak przedtem, moja miłość jest szczerą i wierną... I jednego tylko pragnę w tej chwili: abyś w ramionach twego kochanka wspominała czasem moje pieszczoty...”

A więc takie tematy: o miłości platonicznej i tęskniącej, o miłości przemijającej, o miłości zdradzającej i trwającej, o miłości minionej i wspominatej...

Głęboki baryton Leona i dźwięczny mezzosopran Martity, chropowata ławka pod jabłonkami na wzgórzu, zniżające się słońce nad Kalwarią. Martita dotąd nie wyszła za mąż, bo prze-

cież taki brat, takie jabłonki, takie *bolera*, taki sklepik ze słodyczami i *molino*... Do którego to wieku przyjechałam i dokąd? Kontynent amerykański? AMERYKA? I nagle zaczęłam się śmiać i śmiałam się, śmiałam i śmiałam nie mogąc przestać, bo wyobraziłam sobie te ich *bolera* w ustach mężczyzn amerykańskich (to jest ze Stanów Zjednoczonych, żeby nie było żadnej pomyłki), powiedzmy bohaterów Steinbecka czy Hemingwaya... I śmiałam się śmiałam pod ich zdziwionymi spojrzeniami i w końcu przyszły mi na pomoc moje kłamstwa socjologiczne:

— Martito, Leonie, śmieję się tak, bo wiem przecież jacy są mężczyźni meksykańscy, jak zdradzają swoje żony, jak zostawiają je same bez pieniędzy z tuzinem dzieci, więc rozumiecie, na tym tle takie tanga to przecież kłamstwa, kłamstwa, kłamstwa...

— Kłamstwa, kłamstwa, kłamstwa — śmiali się ze mną Leon i Martita.

— Niech żyją kłamstwa bo czymże byłoby życie bez takich kłamstw!

— Niech żyją kłamstwa! (Tak, ale co z kłamstwami socjologicznymi, cichymi, wyrachowanymi?)

— My oczywiście wiemy, że to wszystko kłamstwa, ale tak miło te kłamstwa słyszeć, że chcemy je słyszeć ciągle, ciągle...

— Bo czymże byłoby życie bez kłamstw? Błoto, błoto, ziemia, codzienna harówka, smutek, śmierć!

(Trzeba będzie kiedyś pogadać trochę spokojnie z Martitą i Leonem na temat tego ich światopoglądu, o ile o takich rzeczach w ogóle można rozmawiać: może da się o nich jedynie śpiewać, krzyczeć, szeptać i śnić...)

Ten piąty rozdział z książki Erica Wolfa, rozdział o formowaniu się kultury meksykańskiej i typie psychologicznym pierwszych Meksykańczyków, nazywa się „Poszukiwacze Potęgi”... Potęgi? Tak, na pewno... aby się wyrwać z niepewności... Ale można by równie dobrze nazwać ten rozdział „Poszukiwacze Piękna”,... nigdy nie znajdujący poszukiwacze... Ale przecież nie o samo znalezienie nam chodzi... prawda, Ulissiesie? Chodzi o samo poszukiwanie: nam — Polakom... nam — Meksykańczykom...

A potem w mieszkaniu Guzmanów dywaniki ze zdechłych psów, tancerki z różowych koroneczek a na ścianie paw namalowany na tle szwajcarskiego *chalet* w śniegu. Na komódce śpiący rycerz z niebieskiego fajansu, w rogu bar zrobiony z szarej gliny a w glinie kawałki połamanych lusterek, talerzy, popielniczek. Pod barem gumowe niemowlę naturalnej wielkości w ogromnej muszli... na stoliczku słodycze w porcelanowym pantofelku...

Stukanie do drzwi. To Teodoro! Dość!

Las Animas, 17 marca 1962 r.

Niektórzy ludzie umieją być sami sobą jedynie poza swym codziennym środowiskiem. Potrafią być naturalni jedynie w oderwaniu, w oddaleniu, w POMIĘDZY. Tacy jesteśmy i Teodoro i ja. Ale ani o sobie ani o Teodoro aż do wczoraj tego nie wiedziałam. Oczywiście mniej się zdziwiłam samą sobą bo poza mną jest już cała historia moich wysiedlań, przesiedlań, przeczuciań, decyzji, wyrzuciań. Ale Teodoro? A jednak właśnie i najniespodziewaniej siedemnastoletni Teodoro jest pod tym względem do mnie podobny. Dlatego pewno chciał się spotkać ze mną nie u siebie w domu, ale na gruncie neutralnym w domu Nie-Indianki, Loli Flores, u mnie Z NIKĄD, bo czymże jest dla niego Polonia, ta moja *tierra natal*, jak nie słowem nic nieznaczącym, może nazwą gwiazdy...?

A ja się oczywiście trochę bałam tego jak tu Teodoro zostanie potraktowany przez wywyższających się Nie-Indian, bo aby dojść do mego pokoju trzeba najpierw zastukać do wysokiej bramy a potem przejść przez *patio* na którym siedzą zwykle Don Jaime, wuj Loli, jej brat Orlando, jego żona Maria, dzieci Manuel i Carmela, no i ta bezimienna wariatka o włosach obciętych na chłopca.

Ale gdy otworzyłam drzwi wiedziałam od razu, że wszystko w porządku: stał przede mną Teodoro, wyprostowany, roześmiany, bez cienia nieśmiałości:

— Na maszynie już trochę pisać umiem, zaraz pani pokażę, Donio Marylito — powiedział. — Nauczyli mnie w tej szkole pod Mexico. Niech pani pozwoli na chwileczkę, napiszę tylko parę zdań, a potem już będziemy czytać te książki w moim języku przy pomocy tej drugiej maszyny, jak się ona nazywa... o, tak, *gravadora*...

Krzesło, stół, maszyna, papier... tak jakby Teodoro od dziecka był przyzwyczajony do stołów, papieru, krzesel. Jak szybko następuje tego rodzaju akulturacja? — zastanowiłam się. I jak głęboko sięga?

„Teodoro Jimenez, obywatel wsi Mbayo, zamieszkały w domu Nr 44, Prezes Klubu Chłopców” — napisał Teodoro a w drugiej linijce wielkimi literami: „VIVA MEXICO! VIVA EL PRESIDENTE DE MEXICO, LICENCIADO LOPEZ MATEOS!”

Potem już wyciągnęłam z szuflady magnetofon, wyciągnęłam cieniutką książeczkę ze słowami *mazahua* i najpierw ja te słowa czytałam po hiszpańsku a potem Teodoro powtarzał je po *mazahua* i wszystko to z rozmowami naszymi włącznie nagrywało się posłusznie i cichutko na taśmę magnetofonu. Przy jednym

słowie, słowie „gwiazda”, po *mazahua sjebé*, zatrzymaliśmy się oboje bardzo zaintrygowani, Teodoro tym słowem a ja zaintrygowaniem Teodora...

— To słowo znaczy „gwiazda”, tak, „gwiazda” — powiedział Teodoro — ale w jednej z tutejszych wsi słyszałem, że to samo słowo znaczy również „*el señor*”, pan... W ten sposób mówi się do kogoś dla kogo ma się wielki szacunek, więc właściwie mówi się do niego „gwiazdo”... — zadumał się Teodoro — ale niestety nie pamiętam czy w tej wsi mówi się po *mazahua* czy po *otomi*, ale zapytam moją matkę, ona jest *Otomi* nie *Mazahua*, ona powinna wiedzieć.

Przedkolonialni bogowie *Mazahuów* to Bóg Księżyca, Bogini Ziemi i Bóg Wody, więc może i gwiazda, *sjebé* należała do ich panteonu? Ale o tym nie rozmawiałam jeszcze z Teodoro... Może później, a może nigdy, może o takich sprawach nie powinno się w ogóle rozmawiać z młodą generacją *Mazahuów*, z tymi „obywatelami wsi Mbayo”, mieszkającymi w ponumerowanych domach, zaczynającymi rozpoznawać cyfry, czytać, pisać... Może lepiej porozmawiać z kimś starszym, z Donią Genowefą, z Donem Edmundo, bo z Teodoro rozmawiać chyba o tym nie powinnam. Nie chodzi tu oczywiście o kwestię wydostania czy nie wydostania od niego tych interesujących danych etnologicznych i nie chodzi tu o ekonomię mego czasu. Mój czas i nawet rezultaty moich badań są naprawdę drugorzędne, znacznie więcej chodzi mi w tym wypadku o samo życie Teodoro, o jego przyszłość, o to aby moimi pytaniami nie zamącić tej niepowtarzalnej przyszłości...

Las Animas, tego samego dnia popołudniu

Z samego rana przyszedli mnie tu odwiedzić Leon i Martita Guzman. Przynieśli ze sobą mleczne cukierki wypiekane przez Martitę, przywitali się kwieściami z Donią Sofią, matką Loli i z Donem Jaime, ceregielowali się najokropniej, przeprasali, komplementowali, aż wreszcie już w moim pokoju, przy tych mlecznych cukierkach, wylazło z nich obojga oczekujące czegoś zaambarasowanie. Czy aby na pewno smakują mi te cukierki — chciała wiedzieć Martita — bo może przyzwyczyłam się do innych? Czy nie zmęczyłam się wczorajszym spacerem w góry bo pewno w Polsce nie chodzi się nigdy tak daleko?

Ale nie o to im chodziło. Już wkrótce zorientowałam się, że chodziło im o to czy jestem katoliczką czy nie, bo podczas ostatniego spotkania tak byli oszołomieni moją niewątpliwą „białością”, tak udawadniający przede mną swoją własną „białość”,

że zapomnieli o to zapytać... A przecież... gdybym była na przykład protenstantką, albo co gorsze Żydówką... Więc ich uspokoiłam statystykami: „98 procent ludności w Polsce jest wyznania rzymsko-katolickiego” — powiedziałam, i pokazałam im obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej. Obrazek ten stoi na moim stoliczku nocnym w złoczonej, skórzanej ramce, prowokacyjny i trochę mi sumienie gryzący, jak mały złoty robaczek.

— Ale muszę dodać — powiedziałam — że jestem bardzo złą katoliczką. Zarezerwowany jest dla mnie taki specjalnie ognisty i smołą pachnący kącik w piekle...

— Ależ, Marylito — śmiała się teraz już zupełnie uspokojona Martita — nie w piekle, ale w czyścicu, razem z nami, bo my też nie zawsze na mszę chodzimy!

I śmiał się także Don Leon, utwierdzony, uspokojony i przekonany że między metalami gatunkowymi a białością, między krwią szlachetną a metalami gatunkowymi, między metalami gatunkowymi a katolicyzmem i tak dalej i tak dalej, jest niewątpliwy ontologiczny związek. Posłuchali jeszcze trochę swoich *bolero* na magnetofonie, wypili po szklance kawy przyniesionej przez Lolę Flores, pośmiali się i obdarowani obrazkami Matki Boskiej Częstochowskiej, takiej samej jak na moim stoliczku nocnym, zadowoleni wrócili do domu.

Acha, zapomniałam jeszcze zanotować jeden interesujący moment. Gdy podałam Leonowi obrazek z Matką Boską, podniósł go najpierw do ust, tak jakby go chciał pocałować, ale potem się zawstydzził i nie pocałował. Spojrzał na Martitę, spojrzął na mnie i bardzośmy się wszyscy troje zmieszali. Uspokojny co do swojej białości, nie-indiańskości, wspólnoty katolicyzmu, nie uspokoił się jeszcze Don Leon całkowicie. Coś go jeszcze nurtoowało... Jak się to „coś” nazywa, jeszcze nie wiem. Może „kultura” ale przez duże „K”, a może prowincjonalność, a może wstyd przed brakiem wykształcenia... nie wiem.

Po wyjściu Guzmanów poszłam na pocztę i tam bardzo nieoczekiwanie zastałam list Ulissesa. Był to właściwie nie list ale karta w kopercie, pocztówka z pomnikiem Cuauhtémoca, ostatniego cesarza Azteków i... pozdrowienia dla mnie „wśród Indian” od niego — Ulissesa, który „w gruncie rzeczy jest też Indianinem”, bo „jeszcze dziadek jego chodził w indiańskim stroju i sandałach”.

A więc Ulisses uważa się za Indianina! Bardzo mnie to rozbawiło i zaciekało. Indianin... dobrze... ale z jakiego szczepu? Ten brak szczepu mnie trochę rozżłościł bo znowu przypomniałam sobie „słowiańskość”, ale po chwili co innego zwróciło moją

uwagę: niewyraźnie nabazgrane *Post Scriptum*: „W Mexico dzieją się ciekawe rzeczy” — pisał Ulisses — „jeszcze teraz nie mogę ci nic powiedzieć ale niedługo zobaczysz sama”.

Bardzo mnie ten dopisek zaintrygował, ale chyba jeszcze bardziej mnie rozdrażnił, nie wiem właściwie dobrze dlaczego. Może dlatego, że to już mój Meksyk a jednak Ulissesa i że te dzieje, które się dzieją nie są moimi dziejami, a jednak jakoś nimi są... a może tylko chcę żeby były...

Co za bzdury piszę... może zresztą przesadzam trochę z tym dziejowym niepokojem. I skąd ta złość nieopanowana? I znowu z tą samą złością, nieopanowaną i rosnącą, przyjrzałam się uważnie stęplowi na kopercie. Okazało się, że list szedł z Mexico aż pięć dni!

Powiedziałam o tych pięciu dniach Loli Flores, ale jej to w ogóle nie zdziwiło.

— Gdy byłam młodą dziewczyną — powiedziała — nie było jeszcze szosy do Mexico i wówczas poczta stąd do Mexico i z Mexico do Las Animas podawana była sztafetą. Co kilka kilometrów stał człowiek i dobiegał do niego człowiek z pocztą, potem znowu tamten biegł do następnego człowieka i tak dalej. Dostawialiśmy wówczas listy z Mexico w ciągu jednego dnia.

Z punktu widzenia teologii Kościoła Katolickiego jestem niewątpliwie katoliczką, bo ochrzczono mnie po katolicku i nigdy oficjalnie z Kościołem nie zerwałam... nawet mi to nigdy na myśl nie przyszło aby zerwać... I w ogóle te subtelności teologiczne nigdy by się do mnie nie przypętały gdyby nie Matka Boska Częstochowska. Gdyby to choćby jakakolwiek inna Matka Boska, albo Święty Marcin czy Święta Teresa. Ale z Matką Boską Częstochowską miałam kiedyś osobiste zatargi i to, że teraz przy jej właśnie pomocy muszę okłamywać, bardzo mnie jednak dęczy. Nigdy zresztą nie wydawała mi się ona taka piękna, ciemna i zagadkowa, jak właśnie teraz. A muszę okłamywać, dosłownie jestem na to skazana i to nie na jakikolwiek inny „święty obraz”, ale właśnie na Matkę Boską Częstochowską, Królowę Korony Polskiej, ale i patronkę młodzieży endeckiej. Ale co robić skoro ona była jedyną polską świętą, którą mogłam w Mexico kupić, a szybko się zorientowałam, że to była najpierwsza potrzeba podczas moich badań na wsi meksykańskiej, znacznie ważniejsza od ciepłych podkoszulek i DDT, które mi tak wszyscy doradzali...

...Nie kupiłam ani podkoszulek ani DDT, ale kupiłam cię, Matko Boska Częstochowska w dwustu egzemplarzach, kupiłam cię, i co teraz robić, jesteście na siebie nawzajem skazane...

A był to jeden z moich wielkich protestów! Przed maturą cała klasa jechała pociągiem do Częstochowy i jechała także moja ukochana Polonistka, i jechała Przełożona, która miała mnie egzaminować ze zniechęconej matematyki... Tylko ja jedna nie pojechałam!

— Ateistką jestem, więc nie będę się o maturę modlić — powiedziałam — a poza tym wy wszyscy, poznańscy endecy, nie o maturę się tam będziecie modlić lecz na Żydów wymyślać...

Ale nie na tym się skończyło. Poszłam jeszcze odprowadzić ich wszystkie na stację i gdy pociąg odjeżdżał wołałam za nimi swoje prawdy.

A teraz Matka Boska Częstochowska na stoliczku nocnym, wbrew Wielkiemu Protestowi, wbrew rodzinnym tradycjom wolnomyślicielstwa...

Ależ jaka ty jesteś ciemna Matko Bosko Częstochowska, znacznie ciemniejsza od Matki Boskiej z Guadalupe... zupełna Indianka... Więc może ta ich wspólna ciemność ochroni mrokiem moje trudne kłamstwa, może w tym roku dojrzeją ważne zrozumienia...

Las Animas, 18 marca 1962 r.

Jak ja to sobie wyobrażałam zanim rozmawiałam z inżynierami z Hacienda Ruiz? Dziedzic ze służbą za murami... Aż wstyd pomyśleć, że się przyczepiły do mnie takie melodramatyczne obrazy... I jeszcze większy wstyd, że po rozmowie z inżynierami uciekły mi od razu, tak jakbym nie chciała się do nich sama przed sobą przyznać, tak jak znika obraz nieznanego człowieka natychmiast po zapoznaniu się z nim. Znika a jednak jakos zostaje i wpływa na tę nową znajomość i nic dziwnego, że wpływa bo z czegoż on mógł powstać jak nie z treści własnego życia?

Więc trzeba jak najprędzej ten obraz zrekonstruować, porównać z tym innym, nie wiem jeszcze czy prawdziwym. Dodać, odjąć. Skonfrontować, sprawdzić. Dla nauki? Dla socjologii? Ale skądże! Przede wszystkim dla własnego życia, no i pośrednio dla socjologii skoro teraz przez nią mówię o życiu... życiu rozumianym — to trzeba dodać — jako sumienie. Więc ten kłopot z prawdą to po prostu oczyszczanie sumienia. Bo... chociaż to brzmi pewno naiwnie, jakże tu pisać cokolwiek bez czystego sumienia?

Gdyby Indianie z Mbayo umieli pisać, zgodziliby się pewno ze mną. A Ulisses? I czy potrafiłabym mu to wytłumaczyć?

Ale te notatki są dla mnie samej. Więc zaraz, dzisiaj, bo przed chwilą, właśnie wróciłam z Hacienda Ruiz.

Kiedy pełną drogą, między polami kukurydzy, przez most szeroki zbliżałam się do budynków Hacienda, pamiętałam oczywiście, że należało to wszystko kiedyś do krewnych samego Hermana Cortez i że rozdawano wówczas tę ziemię podbitego Imperium Azteków (ale tak naprawdę to ziemię *Mazahuów* i *Otomi*) pomiędzy hiszpańskich zwycięzców na zasadzie „jak daleko oko sięgnie”. Cała ta dolina z obu stron rzeki należała więc do Hacienda Ruiz, stąd jej nazwa „Dolina Ruiz”, rozległa dolina pól kukurydzianych, łąk i polnych dróg, przecięta szeroką rzeką, otoczona łagodnymi pagórkami, jak obłoki.

Ale ta świadomość kolonialnych początków Meksyku była świadomością ściśle historyczną, odległą i bezosobistą. Na pierwszym planie kotłowały się inne gorętsze obrazy, gdy dochodziłam do Hacienda Ruiz. Oto chłopci z dworskich budynków (dworacy? Indianie?) z nożami? Z maczetami? Najpierw nieśmiało, potem groźnie idą na Hacienda Ruiz... A dziedzic za murami z rodziną (a może już rodzinę przedtem w przewidywaniu wypadków odesłał do stolicy?), więc jeśli nie z rodziną, to w każdym razie ze służbą, „zahukaną i wierną”, dziedzic w aksamitnej bordowej bonzurce, a w kieszeni bonzurki rewolwer...

Który to rok? 1932? Rok Reformy Rolnej w tych okolicach? Początek nowego świata dla Indian *Mazahua*!

A może ten dziedzic to mój własny ojciec przed bramą dworu w lubelskim? Co to się działo wówczas w tych po-pierwszowojennych niepamiętanych latach? Strajk pracowników dworskich? Chłopski bunt? Pomruk nienazwanej rewolucji?

I przez co? Za co? Przez te studia w Padwach, Paryżach, Mediolanach z których rodzinne zbiory, galerie salonowej sztuki... salonowej czyli nieprawdziwej, nie jak dożynkowe, pszeniczne, wstążkowe... Puste kłosa nauki z której nic! Ale czy rzeczywiście nic, bo przecież spacer miedzą wśród szumiących kłosów to też coś! I kto tam widzi czy w kłosach ziarno gdy szumi miedza? Szumi, szumi, a wśród bezziaństych kłosów chabry i maki...

Kolorowo, szumiąco dla marzeń o kolorowych podróżach, o łatwym świecie dla kilkuset wybranych przez los, o delikatnych, bezpiecznych wzruszeniach...

Ale czasami w tej kołysankowej miedzy nagły lęk... bo jeśli nie patrzeć pod nogi można czasem nadepnąć na zmięję, albo z pianą na pysku wybiegnie nagle wściekły pies, którym straszyla stara niania.

Są zresztą tacy, którzy wiedzą czy włosy puste czy nie — chabry i maki — mówią — trzeba tępić bo to chwasty... nie ze swojej winy co prawda wyrosły ale „takie jest już życie”...

Nie ze swojej winy, oczywiście, dziedzic z Haciendy Ruiz odziedziczył haciendę. Nie ze swojej winy hrabiowie Barabudzcy mieszkali w Barabowicach, a jednak gdy w 1939 roku ich własna służba... obdzierała ich ze skóry... Ależ nie! cóż ja piszę? Oczywiście, że nie ze skóry ale z futer, których zdjąć nie chcieli, chociaż to był dopiero wrzesień. Wówczas przy tym obdzieraniu wołała jednak Andzia do hrabiny Barabudzkiej: „To za to! Za to! Za to!”. Bardzo mnie to — pamiętam — wówczas zaintrygowało i wsłuchując się najpierw w ten nieśmiały a potem groźny bełkot obdzierających ludzi, dosłuchałam się w końcu o co chodziło. Więc chodziło Andzi, o to, że hrabina przez pięć lat ani grosza z miesięcznej pensji za którą „zgodziła się służyć”, jej nie dała. A hrabina tłumaczyła się potem przede mną, nieznaną uciekiniarką w jej znanym dworze — przede mną raczej niż przed Andzią, bo przecież przed służbą usprawiedliwiać się „nie wypada” — że przez te wszystkie lata składała pensję Andzi na posag bo ona „za głupia, żeby sama oszczędzić”.

Więc jednak była wina, jednak było „za co”, więc jednak prócz samego faktu odziedziczenia, samej winy urodzenia się dziedzicem, były jakieś postanowienia, jakieś alternatywy, jakieś decyzje. I można było jednak bardziej sprawiedliwie lub mniej sprawiedliwie.

W ramach wielkiej Bezosobowej Winy istniała jednak odwieczna wolność człowieka. Silny mógł pozbawiać lub uwalniać. Słaby mógł oskarżać lub przebaczać.

Więc dworscy chłopci (Indianie) najpierw nieśmiało, potem groźnie, zawsze milcząco, z nożami (z maczetami) przez mur Haciendy Ruiz, na dziedzińca, na wierną służbę... Strzały rewolweru, błysk noży (maczet), może ktoś ranny, może krew, na pewno strach... I wierna służba już niewierna, już z chłopami przeciw dziedzicowi w bordowej bonzurce bo dziedzicowi właśnie zabrakło kul do rewolweru. Zabrakło kul i wiernej służby, ale został strach, siodło i wierny koń. Więc na konia i boczną bramą, aż się za nim kurzyło, galopa do stolicy!

Tak to wszystko chcąc nie chcąc widziałam gdy zbliżałam się do wysokich, obdrapanych murów Haciendy Ruiz...

W Gardzienicach — Geologiczne Muzeum Powiatowe — w Mikorzynie — Dom Wypoczynkowy dla bibliotekarzy z całego województwa... w Barabowicach, tak jak w Haciendzie Ruiz — Szkoła Rolnicza, a hrabia Barabudzki kasjerem w kinie warszawskim.

Od inżynierów rolniczych z Hacienda Ruiz dowiedziałam się, że naprawdę to było tak: dziedzic Hiszpan prawie nigdy w Haciendzie nie mieszkał, bo wolał swój pałacyk w wesołej stolicy. W Haciendzie miał administratora i tę samą tradycję kontynuowali synowie, wnuki i prawnuki, przyjeżdżając do Hacienda tylko od czasu do czasu na konferencję z administratorem lub na polowanie, a czasem urządzano tam bal dla przyjaźni ze stolicy i okolicznych ziemian. Pierwszymi administratorami byli, oczywiście, pomniejsi Hiszpanie, potem już od dawna, a tak na pewno to od niepodległości Meksyku, administratorem był zawsze Meksykańczyk. Za czasów dyktatury Porfirio Diaz, dziedzic, Hiszpan, na dobre już był urządzony w stolicy na stanowisku rządowym i coraz rzadziej przyjeżdżał. Syn jego, ostatni dziedzic (ten, którego wyobrażałam sobie tak głupio w amarantowej bonzurce, z rewolwerem, a potem zmykającego z haciendy na wiernym koniu), też oczywiście mieszkał w stolicy i też był tam dobrze urządzony, ale już nie na stanowisku rządowym. Zainwestował pieniądze w firmę amerykańską eksportującą krewetki i był jej współnikiem. Z Mexico klimatyzowanym Chryslerem jeździł od czasu do czasu de Vera Cruz gdzie się ładowało statki. Konno pewno w ogóle jeździć nie potrafił, polowaniem się nie interesował, kto wie, może i z rewolweru strzelać nie umiał... Gdy przyszała Reforma Rolna, administrator Meksykańczyk, po jakimś czasie stracił oczywiście posesję i wyniósł się do rodzinnej Guadelajary. Okoliczni chłopci najpierw ziemi z Hacienda przyjmować nie chcieli, „bo to grzech brać cudze”, jak mówili jedni, a drudzy powtarzali, że dziedzic tu niedługo wróci i „porządek zrobi”. Kupcy z Las Animas i kler przyczynili się w dużej mierze do podtrzymania tego niepokoju. Ale w końcu chłopci przyjęli ziemię. A najpierwsi z tych, którzy przyjęli byli *Mazahuowie* z Mbayo. Najbardziej się bali przyjąć dworscy robotnicy i służba z samej Hacienda Ruiz, no i w rezultacie oni dostali najgorszą ziemię, podczas gdy tym z Mbayo przypadły co najlepsze parcele nad rzeką.

Dziedzic oczywiście bronił się przed Reformą Rolną jak mógł, ale do Hacienda nawet nie przyjechał. Wziął adwokata i procesował się z Rządem, ale nic nie wyprocesował. Tak, jak innym, zostawiono mu tylko 200 hektarów, ale dano mu najgorsze ziemię, daleko od dworu, w górach, nawet na pastwiska to się nie bardzo nadaje, tak, że dziedzic nic z tego nie ma. Ale źle mu się nie dzieje bo firma eksportowa bardzo się od tego czasu rozwinęła.

Właśnie wróciłam z Mbayo. Poszłam tam zmęczona długim spacerem do Hacienda Ruiz i jeszcze bardziej chyba zmęczona tą koniecznością przedefiniowania wszystkich moich o niej wyobrażeń.

Jak zwykle byłam najpierw w *Ngeme*. Na tarasie prócz kobiet i dzieci zastałam również Don Edmundo, popijającego *pulque* z wysokim, tęgim mężczyzną o silnej szczęce i ciemnych brwiach. Był to, jak się okazało, Don Rafael Navarro, reprezentant Mbayo w miejscowym *Ejido*, stowarzyszeniu Małorolnych, którzy dostali ziemię z rozparcelowanej Hacienda Ruiz. A potem przyszedli jeszcze Jorge i Alfredo i Ernestina podała nam duże kufle *pulque*.

Rozweseleni, odpychając pętające się pod nogami prosięta, gadali tak, już nie wiem jak długo, a ja słuchałam, słuchałam, udając, że nie słucham i też mi się po trzecim kufle zaczęło w głowie kręcić, ale to chyba nic nie szkodzi bo i tak to co się z tej rozmowy wykuło było impresjonistyczne, pijane i niewątpliwe. A był to jeszcze inny obraz tego co się stało na Hacienda Ruiz.

Bo dla nich, pijących *pulque* na tarasie *Ngeme* i pewno również dla innych *Mazahuów* (bo czemu nie) Niepodległość Meksyku, Rewolucja i Reforma Rolna to jedno i to samo. To drugi, po tym jeszcze dla mnie niewiadomym, *mazahuowski* Początek Świata!

A było to mniej więcej tak, że archanioły z teczkami, wysłannicy Prezydenta Cardenas, rozdali wówczas ziemię Indianom a Hiszpanów załadowali do długiego pociągu i odesłali do Hiszpanii. Długim, długim pociągiem, nawet zupełnie wygodnie, najpierw przez ląd a potem przez wielkie morze, bardzo bardzo daleko...

Te „archanioły” to już mój dodatek, bo oni powiedzieli *agraristas* i nie powinnam była tu niczego upiększać, bo przecież ileż i tak w tych ich obrazie najpierwszej treści. Z takich właśnie *first insights into a new culture...*

Przerywam na chwilę bo hałas za oknem...

Odsunęłam żaluzję i co się okazuje: *patio* naszego domu pełne kolorowo ubranych Indian, jakby wystrojonych... Czy to też Indianie *Mazahua*?

Tylko jeszcze jedno końcowe zdanie a potem muszę to jakoś zbadać. „... Z takich właśnie pierwszych intuicyjnych wniosków w nową kulturę, powstają często, jak wiemy, najpłodniejsze hipotezy socjologiczne...”

Tak, chyba jednak mówią w języku *mazahua*, tacy rozgadani

i weseli, że nie zwracają na mnie w ogóle uwagi, mimo, że patrzę na nich i patrzę przez duże okno. Jest ich chyba ze trzydziestu czy czterdziestu, siedzących na grubych belkach. Mężczyźni z czerwonymi pasami, kobiety w kolorowych długich spódnicach z centkowanego sztucznego jedwabiu, wszyscy z dużymi kuflami *pulque*. Kilku mężczyzn zajada grube *tacos*.

Lola Flores wystawiła swoje radio za okno i z tego radio na całe *patio* głośne skoczne melodie a Lola Flores cała w uśmiechach.

Cóż to za niebywały widok: Indianie zaproszeni na *patio* przez Nie-Indian! Nie, to chyba niemożliwe! Więc może *tacos* im sprzedają, a może sprzedają im *pulque*... to chyba prawdopodobniejsze...

Poszłam do Loli Flores żeby z nią o tym pogadać. Gdy mnie zobaczyła zniknęły natychmiast jej uśmiechy więc nie pytałam już o *pulque* i tylko nieśmiało zagadnęłam czy może sprzedaje Indianom *tacos*.

— Ale skądże! — zawołała obrażona — cóżby to był dla nas za kłopot! I *tacos* i *pulque* przynoszą sami, my im tylko posiedzieć tu pozwalamy. — I objaśniła mnie, niepytana, że ci Indianie kolorowi to także *Mazahuowie*, ale z odległej wsi w górach, z Los Pinos. Przyszli rano do Las Animas na ślub cywilny w *Ayutamiento* a teraz w drodze powrotnej zatrzymali się na posiłek.

— Jeśli pani chce, Donio Marylito, mogę panią zapoznać z Antonio Bravo, bo przecież przyjechała pani tutaj aby oglądać Indian, a to dobry człowiek i znam go już od lat — powiedziała Lola Flores. — Żeni się właśnie jego syn... o, z tą dziewczyną — pokazała na krępą dziewczuchę w białej lśniącej sukni mocno już przybrudzonej. — Ale teraz to jeszcze nic takiego bo to dopiero ślub cywilny, za dwa tygodnie przy kościelnym będzie pani miała na co patrzeć!

Więc przedstawiła mi Antonio Bravo. Mocno się chwając zerwał się ze swojej belki, uklonił nisko, a potem wyprostował się, wysoki, młody jeszcze i prosty jak świeca. — 30-go marca — powiedział — będzie wesele mego syna i zapraszam panią do Los Pinos, *senorita maestra*, pani nauczycielko... A potem dodał: — O godzinie jedenastej 30 marca, niech pani sobie zapisze, żeby nie zapomnieć, sam tu po panią wstąpię i zabierzemy panią do wsi na wesele...

Tak się zdziwiłam, nie tyle tym zaproszeniem i tą „nauczycielką” ile tą kalendarzową i zegarkową dokładnością, tak nieoczekiwaną, że zgodziłam się może zbyt łatwo, nieoczekiwanie

pewno dla nich Bardzo Ceremonialnych i zaraz Antonio Bravo przyniósł mi *pulque* i wypiliśmy za tę naszą znajomość i pod tę wizytę w Los Pinos a Lola Flores znowu była cała w uśmiechach i podkręcała radio aby grało głośniej i głośniej...

Jest już późna noc i *Mazahuowie* z Los Pinos pewno już doszli do swojej wsi. Jestem bardzo zadowolona z tej niespodziewanej znajomości i nadal bardzo zaintrygowana tym co się właściwie dzieje w moim domu przy calle de la Rabia...

Bo niewątpliwie coś się tutaj dziać musi, a jeśli nie sprzedawanie *pulque* to co?... Czymkolwiek się to okaże zamieszkałam, jak się okazuje niechcący (i opatrnościowo?) w samym punkcie kontaktowym Indian i Nie-Indian. Cokolwiek się tu robi, faktem niewątpliwym jest to, że właśnie tutaj pod samym moim oknem, dzieje się główny temat moich badań socjologicznych! Bardzo jestem tym podniecona... Cóż za zbieg okoliczności swoją drogą! I tym razem nie ich terror, lecz łaska...

Las Animas, 19 marca 1962 r.

O 4-ej rano obudziło mnie na moment głośne strzelanie gdzieś blisko, zdawałoby się że tuż pod oknem od strony ulicy, gdzie twardy bruk calle de la Rabia i prężne, ostre agawy, ogromne i skazane na śmierć bo prawie dwunastoletnie... Ale nie miałam siły wstać i wyjrzeć przez okno, zbyt silnie przytrzymał mnie sen i na nieokreśloną sekundę czy godzinę znowu zasnęłam, snem przestraszonym i płytkim. W tym śnie i wśród tych dzwonię usłyszałam monotony, obcy i głuchy dźwięk bębna i zobaczyłam nagle wśród palm wąską, piaszczystą ścieżką maszerujących w takt wielkiego bębna pół-nagich utatuowanych Murzynów z dzidami i tarczami, dzikich, egzotycznych, przerażających jak z niemądrej książki dla dzieci, jak ze złego filmu o Afryce... Nie obudziłam się chyba, ale pewno jakoś się w tym filmie zawstydziłam bo nagle Murzyni („Zulusi” myślało mi się we śnie) zmienili się w Indian *Mazabua*... Powolną procesją ze świecami schodzili *Mazahuowie* z pagórków Mbayo... z opuszczonymi głowami, rozmodleni, szli w kierunku kościoła w Las Animas...

... A więc to modlitwy o deszcz... pomyślało mi się we śnie, a może już nie we śnie, bo w tym momencie usłyszałam znowu głośne strzały a wśród nich głos Ulissesa.

— *Levantamiento!* — (Powstanie!)

— mówił głos i obudziło mnie to słowo, teraz już wiem na pewno, i co za ulga w nim była, co za wyzwolenie z niepokoju... Bo przecież Ulisses napisał, że niedługo w Meksyku stanie

się coś bardzo ważnego... więc naturalnie strzały... I co za szczęście, że tu jestem... Bo skoro *Levantamiento* to przecież ja właśnie i mój kraj, i moja stolica, mój Tenochtitlan, zburzony jak Warszawa i po odbudowaniu przezwany „Mexico”...

... I nadchodząca walka, *lucha*, jak imię meksykańskich kobiet: Lucha, Luchita...

... Moja *lucha* wyłapaną z przeszłości, prawdziwa i dopiero teraz nazwana po imieniu, bo wówczas przecież, walcząc, nie mówiło się o walce. Ale teraz już można...

I co ja będę robić tym razem w Powstaniu? A mnie, idiotce, majaczyły się modlitwy o deszcz... Co za szczęście, Ulisesie... Gdyby można tylko w takim momencie umrzeć i zapamiętać... Co za szczęście!

Gdy się potem naprawdę obudziłam, Lola Flores zapytała mnie przy śniadaniu czy mogłam spać. Bo nikt w domu od samego świtu spać nie mógł z powodu tych fajerwerków, dzwonów i bębnow na cześć Świętego Józefa...

A więc to tak... pomyślałam zaskoczona i trochę rozśmieszona, bo już zniknęły najprawdziwsze z prawdziwych wymiary snu i na ich miejsce pojawiły się mniej szczerze ale solidniejsze wymiary dnia, niemniej od wymiarów snu zadziwiające. Więc to tak, i jak mogłam o tym zapomnieć, że przecież Świętego Józefa to 19 marca, imieniny Marszałka Piłsudskiego, Defilady, Akademii, cytaty z „Pism”...

„Głową muru nie przebijesz, ale może warto spróbować”...
... Zaraz, zaraz, kto mi o tym przypomniał? Już Zagranicą... po latach i jakby to brzmiało w hiszpańskim tłumaczeniu?

Gdyby moi rodzice, tak jak wówczas radził wuj z Paryża, sprzedali Mikorzyn i kupili za to willę i plantację oliwek na Francuskiej Riwierze, nie miałabym ani 19 Marców, ani Warszawy ani Powstania... I kim ja bym wówczas była bez takich świąt, bez bomb, bez Niemców, bez NKWD! Jak bym ja bez tego wyglądała, odłączona od walki i ziemi, przed dorostaniem już tak bardzo pozbawiona? Jak bym w ogóle mogła zrozumieć ich Meksyk, ich Cauthemoca, broniącego skazanego na zagładę Tenochtitlanu, ich Niepodległość, ich Rewolucję, ich wielką Codzienną Zawzięłość?

Moje zawzięłości, mój Meksyk, mój Cauthemoc, moimi granatami broniący Tenochtitlanu, moja Niepodległość, Moja Rewolucja, moja za to wszystko wina i może zasługa... mój lęk, nadzieja i radość...

Kto to ostatecznie ich od tej Riwieri odmówił, bo podobno

już byli zdecydowani? Ach tak, odmówiła ich Babcia — „Bo nie po to” — powiedziała — „wybuchła Polska, aby...”

Tak się wówczas podobno mówiło, że „Polska wybuchła”, a nam, dzieciom, wydawało się to bardzo śmieszne, bo przecież nie wybuchają butelki atramentu na papierowych traktatach, no a dzisiaj wszyscy używają atramentowych długopisów i nikt nie mówi już oczywiście o „Wybuchającej Polsce”...

Las Animas, 20 marca 1962 r.

W *Ngeme* nie było dziś dziś nikogo prócz najmniejszych dzieci i Doni Genowefy. Pewno „poszli w pole” (nie wiem jeszcze w związku z jakimi pracami i muszę o to uważnie popytać) albo „do miasta”... (trzeba się dokładnie poinformować po co).

Mbayo było zupełnie puste. Drzwi chatki pozamykane na drewniane skoble a naokoło tylko małe dzieci, jedyni jak gdyby mieszkańcy wsi wśród zatroskanego drobiu i wesołych prosiaków. Marii Wiktorii też nie było w przykościelnej izbie i nikt nie pracował przy budowie szkoły, kilku paroletnich chłopców jedynie wyglądało, pewno niepotrzebnie, suszące się na słońcu gliniane cegły. Z tych cegieł budowała się ich *Escuela*. Ich Szkoła... nieznane słowo, ale już wiadomo, że będzie to wielki dom z oknami ze szkła, dom jeszcze wyższy od kościoła i że przez te okna widać będzie „całą dolinę Ruiz”, jak mnie zapewniali Don Edmundo i Don Pablo. I pamiętam jeszcze jak powiedzieli mi z dumą Don Edmundo: „Mężczyźni i chłopcy wrywali agawy i niwelowali grunt. Kobiety odgarniały ziemię. A dzieci lepily cegły”. Więc może to wyglądanie cegieł to też praca nad budową?

Może ci paroletni chłopcy nadal lepili cegły...?

Dopytując się co starszych dzieci o dom Teodoro, bo zgubił mi się wśród innych tak podobnych chatki, szłam trochę na oślep, pewna że w końcu dom ten znajdę i może, kto wie. Teodoro w nim zastanę. Ale z daleka już spostrzegłam, że drzwi małej chatki nr 44 zamknięte były na drewniany skobel... Już już pod ten skobel wtykałam kartkę gdy nagle zaszczeakał pies i po chwili stanął przede mną Teodoro, nieśmiały, wysoki i zdziwiony. Jeszcze chłopiec, właściwie, dziecko — pomyślałam — bo przecież ma dopiero 16 lat, a jednak taki duży i najdoroslejszy na tle wsi pełnej drobiu, prosiąt i dzieci...

Dopiero co wrócił z robót nad rzeką — powiedział — i chciał zanim się ściemni dokończyć *trastero*, półkę na garnki,

którą przyrzekł matce, taką samą jak ta, którą zrobił zeszłego roku dla Doni Eleny.

Powinłam była od razu zapytać go o te „roboty nad rzeką”, ale uwagę moją tak zaabsorbowała ta półka na garnki, że nic się o tych najważniejszych dla mnie robotach nie dowiedziałam. A przecież te roboty to pewno jedna z podstaw ekonomicznych życia w Mbayo, nieodzowna dla zrozumienia tego życia...

Wściekła jestem teraz na siebie za owo trywialne *trastero* (od *traste* — garnek — wówczas się zresztą dopiero tego słowa nauczyłam). Za to *trastero*, które z dumą pokazał mi Teodoro w szałasie za domkiem wśród oheblowanych już wiórów.

No, tak, trywialne *trastero*, ale trywialne jedynie w porównaniu z robotami nad rzeką, bo rozmawiając potem z Teodoro dowiedziałam się jednak rzeczy interesujących.

Teodoro nauczył się stolarki w szkole rolniczej na *Haciendzie Ruiz*, u tego samego inżyniera, Barrios, który przedwcześniej pokazywał mi wystawę „chat przyszłości”, zainstalowaną w dawnej sali balowej *Haciendy*. A stypendium do tej szkoły dostał za pośrednictwem Marii Wiktorii. Po pół roku na *Haciendzie Ruiz*, posłano go zresztą na drugie półrocze do szkoły technicznej pod Mexico, bo taki był ich program. Ale stolarki nauczył się w szkole rolniczej, zaraz na początku, i pisanie na maszynie też, chociaż to nie miało z programem szkoły nic wspólnego... jedynie przez zyczliwość inżyniera Barrios...

Gdy wrócił po tym roku do Mbayo, został oczywiście od razu Prezesem Klubu Chłopców i nadal nim jest... „ale co tu można zrobić gdy nie ma czym, nad czym i po co pracować, bo przecież młoda generacja to znowu prawie sami bezrolni, więc chyba do stolicy, ale po co było wobec tego kończyć te kursa rolnicze... a zresztą w Mexico też bezrobocie...”

Takie naładowane treścią socjologiczną wyznaczenie z okazji trywialnego *trastero*. Teraz tylko zadawać pytania aby wychwycić szczegóły!

I zadawałam te pytania godzinę lub dłużej i już nawet zanotowałam odpowiedzi w osobnych notesach, mimo to jednak nie mogę sobie przebaczyć tych „robót nad rzeką”, bo gdybym była o to zapytała, dowiedziałabym się pewno była rzeczy jeszcze ciekawszych...

Ale trudno... nie da się jednocześnie żyć podwójnie czy potrójnie! Żeby tylko te decyzje z których kształtuje się nasze jedyne życie były jakiejś mniej arbitralne, mniej zależne od niezależnych od nas zbiegów okoliczności, nastrojów, często po prostu gry słów...

Bo na przykład w tym wypadku wszystko się przecież za-

częło od *trastero*, niezrozumiałego słowa, które zafascynowało mnie tak od razu, pewno dlatego, że przypomniało mi inne niezrozumiałe w dzieciństwie słowo *tremo*, którym rodzice nazywali ogromne mahoniowe lustro z mikorzyńskiego salonu. Jeżeli coś takiego się zdarzy nazywamy to właśnie „grą słów”... i czasami taka gra słów wpływa na bieg badań naukowych, czasami na bieg ludzkiego życia...

„Chaty Przyszłości”... to brzmi nawet niezłe, ale naprawdę nazywało się to inaczej... coś w rodzaju „Racjonalne Jednostki Mieszkańciewo Ludności Wiejskiej”, ale brakuje jeszcze kilku słów i z tą „ludnością wiejską” też coś uprościłam bo nazwano ją jakoś znacznie mądrzej...

Tekturowe modele w celofanowych klatkach, modele idealnych domów dla idealnych ludzi. W każdym domu sześć izb, trzy po jednej a trzy po drugiej stronie korytarza i każda oczywiście z osobnym wyjściem na korytarz, „żeby nie było tego co teraz, tej okropnej *promiscuidad rural...*” — mówił inżynier Barrios — tej wiejskiej rozwiązłości (nie jestem jednak pewna czy tak to należy przetłumaczyć) tego „mieszkania w kupie”, tego że „ojciec z córką, brat z siostrą, siostry z matką, wszystko to śpi razem i jeśli się tego raz na zawsze nie wytepi...”

Jedyna wspólna izba to duża racjonalna kuchnia na końcu korytarza: piec w niej murowany i wysoki no i podłoga z drzewa, i stół i krzesła i blaszane, nie gliniane garnki w drewnianych *trasterach*...

Chciałam oczywiście zobaczyć jak wygląda druga izba chaty Teodoro (bo poprzednio byłam przecież jedynie w gabinecie, a może salonie, a ta druga izba to pewne kuchnia i sypialnia — tłumaczyło mi się dalej). Więc gdy Teodoro skończył heblowanie zaproponowałam że pomogę mu odnieść *trastero* do kuchni...

Teodoro jednak zawahał się:

— *Trastero* musi wyschnąć na słońcu — powiedział.

Ale słońce już zachodziło i o ile się orientuję, nic w tym niepomalowanym i nieklejonym *trastero* nie było i tak do wyschnięcia...

Chwilę milczeliśmy oboje, trochę speszeni i nie bardzo wiedząc jak się dalej przekonywać...

— Bo ja nie mam jeszcze łóżka — powiedział nagle Teodoro ze spuszczoną głową — i dlatego mi wstyd, ale drzewo takie drogie, że nie mogłem kupić, więc tak jak wszyscy śpię na ziemi... Inżyniera Barrios też do kuchni nie zaprosiłem, bo mi wstyd było.

Rozmawialiśmy jeszcze trochę w szafasie za chatką, a gdy

wróciła z Las Animas matka Teodoro, oboje trochę poszeptali, a potem Teodoro zaczął przeproszać mnie kwiecistie (trochę, tak jak to robi codziennie Lola Flores) podczas gdy matka zniknęła a za nią ciągle przepraszając zniknął Teodoro w niedostępnej jeszcze dla mnie — już wiedziałam — „kuchni przeszłości”.

Więc tym razem nie zaprasza mnie nawet do „salonu” — pomyślałam i rzeczywiście, po chwili wrócił Teodoro z dwoma krzeselkami a za nim dreptała matka z dwoma szklankami *pulque*... I tak siedzieliśmy jeszcze przez jakiś czas przed chatką popijając *pulque* i trochę już swobodniej rozmawiając.

Okazało się zresztą, że zdaniem Teodoro spanie na łóżku w ogóle nie ma sensu „bo to i trochę niebezpiecznie spać tak wysoko, a poza tym skoro jest podłoga, a podłogę łatwiej zrobić niż łóżko, to ani wilgoci ani skorpionów nie ma... I w dodatku gdy się przyzwyczaić do spania na łóżku, to potem gdy na kilka nocy trzeba zostać w polu i spać w *milpach*, też nisko i twardo, jak teraz... nie będzie się mogło dobrze spać gdy się człowiek do łóżka przyzwyczaił. A bez snu pracować nie można, więc lepiej się do łóżka nie przyzwyczajać...”

Bardzo mi to rozumowanie trafiło do przekonania i zdziwiłam się trochę gdy po tym przekonywującym *exposé*. Teodoro zapewnił mnie, że jednak jak tylko będzie mógł kupić drzewo, zrobi sobie łóżko...

... „Pewnie będzie spał na podłodze obok łóżka, ale łóżko będzie, bo łóżko to *El Progreso*, Postęp... Gdy będzie łóżko i mnie i inżyniera Barrios zaprosić będzie można bez wstydu...”

Mnie zresztą i tak niedługo, jestem pewna, niezależnie od łóżka zaproszą do drugiej izby, byle by tylko niczego nie forsować, o tym muszę pamiętać.

I nie potępiać zanim zrozumiem, ale i nie aprobować bez zrozumienia...

Co znaczy właściwie owo pascalowskie *tout comprendre c'est tout pardonner*? Bo jeśli Pascal radził aby aprobować tylko to co zrozumiane, to nie było w nim prawdziwego szacunku dla człowieka. I poza tym: człowiek potrzebuje nie tylko aprobaty, ale i możliwości walki o swoje symbole i racje...

„Przecież w Japonii jest Postęp a ludzie wołają spać bez łóżek i krzesła też im do Postępu nie potrzebne” — powiem kiedyś w rozmowie z Teodoro, może już następnym razem! — „I nie myśl, że nie rozumiem... rozumiem jak najlepiej dlaczego dla ciebie Pionowo to Postęp a Poziomo to Zacofanie. Gdyby hiszpańscy zdobywcy Meksyku żyli Poziomo a wy — Zdobywcy, Pio-

nowo, gdyby modele Chat Przyszłości, które niewątpliwie pokazał ci inżynier Barrios, miały wewnątrz wasze poziome *petates*, łożko nigdy by się nie stało dla ciebie symbolem Postępu”.

Rozumiem więc przebaczam! Szanuję, więc walczę!

Teodoro odprowadził mnie potem na calle de la Rabia.

— Późno już — powiedział — więc nie chcę aby pani wracała sama, Donio Marylito, a poza tym, jeśli pani pozwoli, popiszę jeszcze trochę na maszynie.

Szliśmy w dół, kamienistą ścieżką w stronę ciemno czerwonego pasemka, które powoli znikało za rzeką, tam gdzie rancho *San Lorenzo*. Ciemniały agawy naokoło a pod nogami chrzęściły nam suche kamyki. Teodoro mówił o tym jak się nauczył pisać na maszynie w domu inżyniera Barrios na Haciendzie. Bo inżynier Barrios „bardzo był dla niego dobry i miał co do niego pewne nadzieje”... Słuchałam uważnie o nic jakoś nie pytając bo po prostu byłam bardzo zmęczona. — Kto wie, może to jest zresztą najlepsza strategia badań — przyszło mi nagle na myśl... może „być sobą” to konieczny warunek dobrego *rapport* z ludźmi, a „być sobą” to kompletne odrzucenie premedytacji, a więc pozwolenie sobie na gniew, zamyślenie, czy zmęczenie.

Więc Teodoro nauczył się pisać na maszynie u inżyniera Barrios i „teraz byłoby wstyd zapomnieć”... dlatego jest mi bardzo wdzięczny etc.; tym bardziej, że od czasu gdy zaczęły się roboty nad rzeką w pobliżu Haciendy Ruiz, Teodoro woli w ogóle do Haciendy nie zaglądać, „bo i tak miał już tyle przykrości z Don Edmundem...”

Nic z tego jeszcze nie rozumiem, ale notuję to wszystko uważnie przeczuwając w tych wypowiedziach coś bardzo ważnego, nie tylko dla zrozumienia źródeł i kierunku aspiracji indiańskiej młodzieży, ale także i dla zrozumienia struktury społecznej Mbayo.

I jeszcze jedna przeoczona a raczej przemilczana przeze mnie okazja dowiedzenia się o tych intrygujących „robotach nad rzeką”. Nadal nic nie wiem, ale notuję:

„Uwaga, uwaga. Zbadać rolę Dona Edmunda przy robotach nad rzeką!”

I jeszcze:

„Ważne: rozpracować stosunek Don Edmunda i Teodoro. Zebrać dane na temat ewentualnych konfliktów między-generacyjnych. Jaka jest w tych konfliktach rola Marii Wiktorii?”

Teodoro ma „pewną koncepcję” w związku z tym pisaniem na maszynie jak się dowiedziałam. I „koncepcja ta ma pewien związek” z Klubem Chłopców, a właściwie z tym, że „nic z tego całego Klubu nie wychodzi”.

Las Animas, 21 marca 1962 r.

Więc tak! W „moim domu” przy calle de la Rabia Nie-Indianie sprzedają *pulque* Indianom. Teraz już wiem na pewno! Wczoraj wieczorem po odejściu przyszła grupka Indian i widziałam przez okno jak uśmiechnięta Lola Flores sprzedawała im *pulque* po 50 centawów za wielki kufel. I znowu przez okno wystawiono radio i tak, jak poprzednio, Indianie siedzieli naokoło *patio* na długich belkach... Byli to Indianie *Mazahua* z tej samej wsi co poprzednio, z Los Pinos, jak powiedziała mi potem Lola Flores.

— Widzę, że pani, ma wielu przyjaciół wśród Indian — powiedziałam prowokująco, ale Lola Flores zareagowała tylko milczącym grymasem...

— Bardzo dobrze traktujecie tu Indian — dodałam, wiedząc, że to pytanie będzie dla niej mniej irytujące...

„A, tak, tak, panie Andrzeju... pan jako mądry dziedzic traktuje dobrze swoich chłopów” — brzmiało mi w uszach gdy to mówiłam...

— Oczywiście, że ich dobrze traktujemy! — wykrzyknęła Lola Flores. — Jak moglibyśmy sprzedawać im *pulque* gdybyśmy ich traktowali źle!

Więc tak! Nareszcie! Od tego momentu stało się to między nami dopowiedziane, a więc oficjalne. Co za ulga...

I nie pamiętała już chyba Lola Flores swoich „pulquowych” zaprzeczeń sprzed kilku dni. O ile trudniejsze są konsekwentne kłamstwa od konsekwentnych prawd!

Patologiczne kłamstwa? Ależ nie... raczej akrobatyczne... Ileż takiej akrobatyki moralnej było naokoło mnie podczas wojny! Tyle tylko, że podczas wojny akrobatyka moralna nie była sztuką dla sztuki. Zresztą dla nich, sprzedawających, też sztuką dla sztuki chyba nie jest.

I nie tylko podczas Mojej Wojny — w Okresie Rozbiorów także... i podczas poprzednich Powstań, i w szkołach niemieckich, austriackich, rosyjskich, i na Syberii...

Ale gdy miną wojny, gdy ucieknie się od Tego Wszystkiego, gdy jak w pułapkę wpadnie się w Pokój... jak wówczas żyć, kiedy już nie wypada, nie można, nie wolno żyć akrobatycznie?

Wówczas — jak wiemy — z kłamstw akrobatycznych, kłamstwa patologiczne, bo niczemu niesłużące i czasami z balkonu nowojorskiego drapacza chmur, lub w Tamizie się to kończy, jak skończyła Basia z Radomia...

... Wśród szumu (?), kurzu (?), półświatła (?), półmroku (?), łatwych, łatwych, nudnych prawd!

Ale oczywiście w kłamstwie Loli Flores nie było nic akrobatycznego i nic patologicznego w nim również nie było. Bo w jej pojęciu nie było to chyba w ogóle kłamstwo.

„Ależ skądże, nie sprzedajemy Indianom *pulque*, my im tylko pozwalamy tutaj siedzieć na *patio*” — prawda Nr 1 z dnia ?? marca.

„Ależ naturalnie, *pulque* Indianom sprzedajemy, sama pani widzi po 50 centawów za kufel” — prawda Nr 2 z dnia ?? marca...

Zresztą nie tylko „mój dom”, nie tylko rodzina Loli sprzedaje *pulque* Indianom... Gdy odeszli wyjrzałam za bramę i zauważyłam, że przed każdym niemal domem przy calle de la Rabia stoi grupka Indian rozwesolonych i rozgadanych...

— Ależ, oczywiście, u nas traktuje się ich lepiej niż gdzie indziej — mówiła Lola Garcia. — W innych domach, jak pani widzi, piją przed bramą a my ich na *patio* wpuszczamy i radio u nas mają, dlatego do nas zawsze ci sami przychodzą. Tak, tak, my tu mamy stałą klientelę...

Podobno rano, między 4-tą a 5-tą schodzą z gór *Mazahuowie* z Los Pinos z chróstem na sprzedaż. Czasami mają jakąś skórkę królika, czasami małe czarne ptaszki, złapane w sidła, ptaszki, które po godzinie podobno umierają, ale zanim umrą, mówić podobno potrafią — i dzieci Nie-Indian chcą bardzo żeby im te gadające ptaszki od Indian kupować. Za 15 centawów ptaszek. Za 25 centawów naręcz chróstu...

Za centawy w drodze powrotnej *pulque* na wzmocnienie, na zapomnienie, pod świętego patrona, na lepszy los...

Las Animas, 21 lipca 1962 r.

Jakie są „chaty przyszłości” Ulissesa? Jakie Patricka z Czarnej Atlanty, która nie przeminęła z wiatrem, podczas gdy tamta Biała Atlanta przeminęła? A możebyście tak porozmawiali ze sobą Patricku i Ulissiesie, nie znający się ale bliscy, bo obaj macie jeszcze Swoją Ziemię, *Su Tierra, Your Own Native Land...* podczas gdy ja — będę po prostu słuchać, a gdy mnie o coś zapytacie — odpowiem...

I czy jesteście pewni, że w waszych „chatach przyszłości” będą chcieli mieszkać ludzie?

Bo Indianie... Indianie *Mazabua* z Mbayo... a mówiąc jeszcze konkretniej, rodzina Doni Eleny i Dona Pacho (a więc rodzina mniej więcej typowa) już się wypowiedziała na ten temat, gdy

im opowiedziałam o „Chatach Przyszłości”, które oglądałam w Haciendzie Ruiz.

Oni w ogóle słyszeć nie chcą o takich sześćcio-izbowych chatach, przedzielonych długim korytarzem i zakończonym racjonalną kuchnią z kominem. Oni wolą spać „niehigienicznie”: siostry z braćmi, bracia z siostrami, siostry z matką, ojciec z córkami, matka z ojcem i synem... „rozwiąźle” — mówiono na Haciendzie Ruiz. „Jak popadnie”, przetłumaczyłam to wówczas bo co to za „rozwiąźłość” gdy zasypiając szepczą sobie najważniejsze sekrety, jak kiedyś my same, Wanda i ja, i nie tylko samym sobie, ale i śpiącym obok ledwo znanym wysiedleńcom na brudnych stacjach w Koluszkach, w Radomiu, w Skierniewicach, wówczas na przełomie 1944-go i 1945-go roku gdy uciekali już Niemcy a zbliżało się Nie Wiadomo Co... Te szeptki były naszym chlebem a „rozwiąźła przypadkowość” naszych legowisk naszym Porządkiem Społecznym...

Zresztą... między Nie Wiadomo Co jednych a Nie Wiadomo Co drugich jest tylko różnica stopnia jasności, czy też stopnia niejasności, zależy jak kto woli o tym myśleć...

Czy Murzyni z Atlanty będą chcieli mieszkać w „Chatach Przyszłości”, które dla nich budujesz Patricku? A może oni wolą swoje chaty i kuchnie bez kominów, jak w *Ngeme*? Czy Indianie (już wtedy Nie-Indianie lecz „Meksykańczycy”) będą chcieli mieszkać w „chatach przyszłości”, które dla nich budujesz Ulissesie?

A może nie tak łatwo o tę nową, niepierwotną rozumną więź społeczną? Narodową? Klasową? Międzynarodową? (bo Religijnej nie chcemy — prawda?).

No i oczywiście cokolwiek się buduje dla kogokolwiek lepiej wiedzieć o tym, że w niektórych indiańskich szczepach pod kuchennym trójnogiem, czyli po prostu pod trzeba kamieniami w rogu zadymionej kuchni, grzebie się pepowinę po urodzeniu pierwszego dziecka, drugiego i wszystkich następnych, aby zapewnić płodność, rozrost, przyszłość... Więc jeśli podłoga nie z ziemi i jeśli wysoka cementowa kuchnia, to jak pod nią, w cementowej lub drewnianej podłodze grzebać?

Tak, ale jeśli płodność jest sprzeczna z przyszłością? O tym trzeba będzie kiedyś porozmawiać z Ulissemem: demograficznie, socjologicznie, psychologicznie... Tymczasem jednak myśli mi się mniej ściśle... zaraz... o czym to mi się właściwie myśli? Acha, tak, prawda, o wizji przyszłości... O tym, że pierwotna więź społeczna to więź bez wizji, podczas gdy nowa, racjonalna więź społeczna to więź z wizją... ale czy więź, czy naprawdę więź,

Do Las Animas wracałam dzisiaj z Marią Wiktorią. Wspinaliśmy się najpierw, a potem schodziliśmy wąską kamienistą ścieżką wśród agaw, kaktusów i karłowatych sosen, zrywając polne kwiaty, niebieskie i liliowe o tej porze roku, kwiaty o nieznanych mi jeszcze nazwach, ciemniejące w coraz to czerwieńszym słońcu... Gdy ze słońca została już tylko ciemna czerwona kreska, Maria Wiktoria zaproponowała aby usiąść na chwilę.

— Bo mam pani coś ważnego do powiedzenia — zaczęła i obejrzała się naokoło czujnie i niespodziewanie, obejrzała się jakby moim własnym czujnym obejrzeniem z wojennych warszawskich ulic, z piotrkowskich przedmieść z częstochowskich zaułków, z ulic powojennego już, ale nadal jakże niebezpiecznego Krakowa i Poznania...

Coś bardzo ważnego — powtórzyła poważnie i cicho — widzi pani, nie mamy jeszcze wprawdzie pozwolenia na otwarcie Szkoły, ale Don Edmundo mówi, że pozwolenie będzie, a on zawsze wie co mówi, więc tymczasem zdecydowaliśmy się poprosić księdza aby Szkołę poświęcił... Już się zgodził... przyjdzie do Mbayo jutro popołudniu na Poświęcenie, a panią, Donio Marylito chcą prosić na matkę chrzestną Szkoły. Don Edmundo i Don Pancho chcieli abym z panią o tym pomówiła...

... To pewno z powodu tego globusu... Taka była moja pierwsza myśl ale jej nie wypowiedziałam, chociaż nie było w tym przecież nic złego. Pewno udzieliła mi się ta niezrozumiała w pierwszej chwili ostrożność Marii Wiktorii.

— Bardzo będę zaszczycona — powiedziałam tylko — ależ naturalnie, ale...

A z tym globusem to było tak, że chciałam Im, z Mbayo, już od dawna coś ofiarować. Nie tylko dla zdobycia dobrego *rapport* i nie dlatego jedynie aby zatrzeć ślady tego niewłasnego, fałszywego rozdawania paczek CARE, w które tak dobrodusznie i nieostrożnie wciągnęła mnie Almita wówczas Na Samym Początku. I chociaż jeszcze nie wierzyłam w Ich Szkołę, chciałam im ofiarować coś dla tej szkoły, w którą wierzyli oni... Więc coś dla Szkoły i podczas jednego z wypadów do Mexico kupiłam tam duży zielono-niebieski globus — o, tu właśnie obok mnie w tej chwili stoi, w szarym kartonie, tak łudząco podobnych do szarych kartonów z paczek CARE. Ale po pewnym wahaniu zdecydowałam się najpierw o tym globusie powiedzieć a dopiero później go ofiarować... Wiedzieli więc już o nim i Don Edmundo i Don Pancho i Maria Wiktoria.

— Kupiłam wam globus dla waszej szkoły — powiedziałam wówczas globus to taka ziemia, okrągły, bo taka ziemia jest naprawdę i zaznaczone na nim gdzie jaki kraj: tu Meksyk, tam

Polska, tu Hiszpania, tam Stany Zjednoczone... Ale chyba dopiero na Otwarcie Szkoły go ofiaruję, ale to już niedługo, prawda?

Więc teraz oczywiście przyszedł mi zaraz na myśl ten globus... „Globus — więc matka chrzestna”: tak chyba pomyśleli, więc zapytałam Marię Wiktorię, czy jej zdaniem powinnam przynieść globus na to Poświęcenie Szkoły, czy też poczekać z globusem do oficjalnej Inauguracji...

Maria Wiktorina obejrzała się znowu naokoło i powiedziała z naciskiem: — Na Poświęcenie Szkoły niech go pani przyniesie, Donio Marylito i wiązankę kwiatów pani damy, żeby pani ją położyła przed obrazem Najświętszej Panienci z Guadalupey — i znowu obejrzała się naokoło z tym samym, dobrze mi znanym zaczajeniem...

Ale jeszcze wówczas nie rozumiałam tego zaczajenia, bo zrozumienie zjawia się u mnie zwykle znacznie później od nastroju czy odczucia... Im silniejsze odczucie, tym później zjawia się zrozumienie a w tym zaobserwowaniu ostrożności Marii Wiktorii było przecież tyle mego własnego życia, tak to było ze wszystkim z Najważniejszej mojej przeszłości powiązane, że zrozumienie zjawiało się tym razem z opóźnieniem kilkugodzinnym... dopiero teraz gdy o tym piszę...

A od ilu to miesięcy czy nawet lat, wiedziałam już przecież o separacji Państwa i Kościoła w Meksyku! O tej ciągle powtarzanej zasadzie Rewolucji Meksykańskiej (a przecież meksykańska ideologia narodowa to mój temat...) — od kiedy to wiedziałam o konsekwencjach tej zasady dla codziennego życia meksykańskich Indian i Nie-Indian...

Więc jeśli się łamie oficjalną, ideologiczną zasadę, jeśli się łamie ostro przestrzegane prawo, jasne, że wówczas trzeba szepciem o Matce Boskiej z Guadalupey w sali szkolnej, a może i o wodzie święconej, może i o księdzu, któremu przecież nie wolno przyjść w sutannie z Las Animas do Mbayo, bo na świeckich ulicach i drogach (a według prawa drogi, ulice i pola są świeckie, nawet święte *milpy* są świeckie...) niedozwolone są sutanny... Niedozwolone rewolwery i radia, i wiadomości z Londynu i polskie orły... i co jeszcze niedozwolone na ulicach wojennej Warszawy?...

A potem znowu co innego Niedozwolone więc wyszeptane, przemycone, zasadzone na Powojennych ulicach i drogach Powojennej już całej Polski...



— Już wiadomo jak się będzie nazywała Szkoła w Mbayo — powiedziała Maria Wiktorja. — Trzy dni temu było zebranie i zdecydowano, a ściślej mówiąc, Don Edmundo zdecydował, że Szkoła w Mbayo będzie Szkołą Imienia Miguela Hidalgo, ... bohatera walk o niepodległość Meksyku i chyba czystej krwi Hiszpana. Wszyscy by co prawda woleli (a ona sama, Maria Wiktorja i Don Edmundo przede wszystkim) aby szkoła nazywała się imieniem indiańskiego prezydenta Meksyku, Benito Juarez ale „ze względów dyplomatycznych” Don Edmundo wybrał Miguela Hidalgo, a „Don Edmundo zawsze wie co robi...”

Ze wszystkich chłopców w Mbayo Benito Juarez przypomina mi najbardziej Teodoro. — Zewnętrznie bo tak silnie zbudowany i ciemny, a wewnętrznie bo czuję w nim jakieś bardzo silne, choć jak dotąd niejasne dla mnie, marzenia, dążenia i gniew... Może zresztą Teodoro sam o tym nie wie wiedząc jednocześnie to co się od razu rzuca w oczy, że jest inny od reszty chłopców w Mbayo, i bardzo samotny. Ale nawet jeśli Teodoro pójdzie śladami Benita Juareza, jeśli zdobędzie wykształcenie, szerszy świat, kontakty — te ślady, jestem przekonana, nigdy go nigdzie nie doprowadzą. Nigdy! — Mimo, że Benito Juarez do lat 14-tu mówił jedynie językiem zapotekim a Teodoro zna hiszpański od dziecka. Nie doprowadzą! Bo Meksyk miał ale nigdy już więcej nie będzie miał indiańskiego prezydenta!

Co to za proroctwo wyproroczyłam? Zaraz, zaraz... muszę się sama przed sobą z tego wytłumaczyć... Bo przecież jeśli to ma być historycznym przewidywaniem raczej niż historycznym proroctwem, muszę mieć przecież jakieś podstawy... *El positivismo*, *Ulissiesie*, *el racionalismo*, jesteśmy przecież intelektualistami: *gente de razón!*

Więc chyba tak: Meksyk nigdy już nie będzie miał prezydenta Indianina, tak jak Polska nigdy już nie będzie miała prezydenta szlachcica lub chłopca.

Tak, ale ta analogia nie jest chyba odpowiedzią na pytanie, które sobie postawiłam...

Jest w niej jednak coś z odpowiedzi...

Proroctwo. Przepowiednia. Analogia. To po prostu myślowe skróty. Bez nich ani rusz!

Ale wracając do tematu. Może należałoby sformułować to w taki sposób:

Pojęcia „Indianin”, „szlachcic”, „chłop” są w strukturach społecznych współczesnego Meksyku i współczesnej Polski pusty-

mi pojęciami, pojęciami bez desygnatów, a jeśli jeszcze takimi nie są to prędko się nimi staną. I gdy Ulisses pisze o sobie, że jest Indianinem, używa tego pojęcia metaforycznie. Ten jego Indianin to „Indianin”: bez desygnatu, bez szczepu, bo przecież Ulisses pisząc o swojej indiańskości nie wymienił nawet nazwy szczepu swoich „indiańskich przodków”...

Bo o indiańskości myśli się dzisiaj już tylko metaforycznie... Bo w historii są Wielkie Zmiany ale nie ma Wielkich Powrotów...

O tej indiańskości bezpowrotnej to jednak tylko hipoteza. Bo skoro *Mazahuowie* z Mbayo czują się *Mazahuami* to przecież nie mogła chyba tak zupełnie zniknąć indiańskość nawet jeśli zniknęły możliwości Wielkiej Federacji Indiańskich szczepów. Dzisiaj jedynie elementy indiańskości w świadomie formowanej kulturze meksykańskiej — elementy chłopstwa w naszych wizjach Polski Sprawiedliwej...

„Polski Sprawiedliwej”... tak mi się napisało i od razu przypomniał mi się ten wiersz za który Antoni Słonimski (jakby tu wytłumaczyć rolę Antoniego Słonimskiego w przedwojennej Polsce Don Edmundowi... to chyba niemożliwe! Jeśli chodzi natomiast o Ulissesa, nie przedstawiałoby to żadnych trudności... zaraz zacytowałyby mi nazwiska kilku meksykańskich Słonimskich z różnych okresów historii Meksyku)... ten wiersz za który podobno Słonimski został pobity przez Oenerowców w przedwojennej „Ziemiańskiej”. Taki:

*Chociaż ci sprzyja ten wieczór mglisty
I noc bezgwiezdna,
Jakże mnie wygnasz z mojej ojczyzny
Skoro jej nie znasz?*

Tak się kończył ten wiersz zatytułowany „Ojczyzna Poetów”, po hiszpańsku „*La Patria de los Poetas*”, a w języku *mazahua* nie wiem jak, bo tego języka jeszcze nie znam, ale nawet gdybym znała tytuł ten byłby pewno nieprzetłumaczalny... bo w języku *mazahua* nie ma zapewne ani pojęcia „ojczyzna” ani pojęcia „poeta”...

A może ojczyzna prawdziwa nie może być nigdy sprawiedliwą? I jeśli tak to czy poetów należy wygnać z Republiki czy raczej dać im jeść i pić aby rośli? I czy poeci to tylko tacy którzy piszą? To pytanie mógłby zadać Don Edmundo.

Już widzę się podczas tego Poświęcenia, wśród świeżych mu-

rów bez dachu, z wiązanką kwiatów (niebieskich i liliowych bo takie teraz kwitną, a chyba będą to polne kwiaty, chyba nie kupią białych gladiolusów jak pośmiertne miecze...) z wiązanką kwiatów w jednej ręce a z globusem w drugiej. Trochę to może śmiesznie i niewygodnie, ale nic na to nie można poradzić...

Już czuję na sobie wodę świeconą, taką samą jak każda inna woda, zimną i mokrą i jakoś tym podobieństwem do zwykłej wody raz na zawsze sprofanowaną...

A potem będę pewno musiała wygłosić jakieś przemówienie i co ja im właściwie powiem? Chyba przede wszystkim o tym co wyczytałam w książce Pedro Carrasco na temat walk niepodległościowych Indian *Mazahua*. O tym, że gdy Ojciec Hidalgo maszerował ze swymi powstańczymi siłami przez ziemie *Mazahuów*, pra-pra-dziadkowie, chyba, obecnej generacji dorosłych z Mbayo dołączyli się od razu do jego armii — a było to w 1810 roku — i walczyli potem „aż do końca” o niepodległość Meksyku.

Tak, o tym trzeba będzie powiedzieć, to jasne, ale co to właściwie znaczy „walczyć do końca”? Co odpowiem gdy zapytają mnie o to Don Edmundo i Teodoro? Czy mój dziadek walczył „do końca” w Powstaniu 1863 roku? Chyba tak, skoro go wzięli na Syberię... Więc Syberia to był ten „koniec”?... Ale końce są przecież często rozdwojone i rozstrzępione jak włosy, a czasem są na nich supełki jak na nitkach... Do jakiego „końca” walczył mój ojciec w Legionach i jakiego „końca” dowalczyliśmy się w Warszawskim Powstaniu?

Ale skoro to wszystko tak skomplikowane, może lepiej w ogóle nie używać wyrażenia „walczyć do końca”, ale po prostu opowiedzieć o walkach niepodległościowych *Mazahuów* i armii Hidalgo, nic o żadnym „końcu” nie wspominając. Tak, w ten sposób będzie na pewno lepiej...

A potem będę im jeszcze musiała powiedzieć, że „powinni być dumni ze swego języka” bo przecież przyrzekłam to niedawno Brunowi, lingwiście z Universidad de Mexico, który tak mi pomógł w przygotowywaniu bibliografii rejonu *Otomi-Mazahua*.

— Czym ja się panu odwdzięczę — zapytałam go, pamiętam.

A on na to:

— Niech mi pani przyrzeknie, że przy każdej okazji będzie im pani mówiła, że powinni cenić swój język i nie dopuścić do tego aby kiedykolwiek zaniknął, że powinni być z niego dumni...

I przyrzekłam, tak z punktu, zasugerowana jego wiarą i moją

własną potrzebą rewanżu, nic jeszcze nie wiedząc o problemach i aspiracjach *Mazahuów* z Mbayo. A teraz co? Bo ja już przecież wcale w to nie wierzę, że *Mazahuowie* powinni być dumni ze swego skazanego na śmierć języka...

Gdyby przynajmniej można język, jak człowieka, rozstrzelać... żeby mógł umrzeć z ostatnim najpiękniejszym fonetycznym okrzykiem! Ale języki umierają powoli, zarazone bakcylami innych języków... Można by je oczywiście zaszczyć i do tego zarażenia nie dopuścić ale jeśli zaraza to wyzwolenie z chorób, z nędzy, z upokorzeń, albo przynajmniej szanse na wyzwolenie?

I czy *Mazahuowie* z Mbayo mogą sobie pozwolić na luksus kultywowania własnego języka wśród obrastających ich ze wszystkich stron cywilizacji? Przecież oni nie chcą żyć w Muzeum! Oni, tak jak wszyscy Żywi, chcą brać udział w dziejących się dziejach, jeśli nie własnych to choćby cudzych!

Więc jak im tu powiedzieć, że dumni być powinni ze swego języka? A jeśli tego w ogóle nie powiem?

Mówiąc — kłamię. Nie mówiąc — łamię przyrzeczenie. I nie ma tu innej możliwości. Nie wiem jeszcze jak z tego wybrnę, ale muszę ten paragraf zaraz zakreślić bo nadaje się on do mego artykułu o kłamstwach socjologicznych.

Las Animas, 23 marca 1962 r. — wieczorem

Kończy się dzień Poświęcenia. Już poświęcona szkoła w Mbayo. Poświęcone schody i płot kamienny naokoło i miejsce pod jabłonkami i cztery ściany i pierwszy zarys dachu: długie, jasne skrzyżowane belki, które w ostatniej chwili zainstalowano. No i mnie, jak się spodziewałam, skropiono rześnięcą wodą święconą i nawet mój magnetofon.

A zaczęło się to wszystko od wędrowki przez góry. Trzech panów z Mbayo przyszło do mnie dziś popołudniu na calle de la Rabia: Don Edmundo, Don Pancho i Don Justo, o którym jeszcze nic nie wiem, chyba z nich trzech najmłodszy. Ale i Don Pancho i Don Edmundo nie są starzy. Don Edmundo ma 36 lat a Don Pancho 42, ale dla mieszkańców Mbayo to już starość, bo przeciętna żywotność w Mbayo to podobno 34 lata... O ile to prawda to i Don Edmundo i Don Pancho przedarli się już przez statystyczną granicę śmierci. Co za tryumf! A jeśli to nieprawda to i tak się przedarli, i tak zwyciężyli, skoro są przecież przeświadczeni, że ich życiowe szanse nie przekraczają 34-ech lat! Jeśli się jednak kiedykolwiek *naprawdę* dowiem (czyli z demograficznej literatury, bo taka jest w tym wypadku moja „praw-

da”), jeśli się dowiem, że Indianie *Mazabua* z tych okolic żyją przeciętnie, powiedzmy 45 lat, chyba im tego jednak nie powiem, a jeśli powiem to pewno tylko Don Edmundowi, bo on będzie najlepiej wiedział czy powiedzieć o tym i jak powiedzieć innym...

Wszyscy trzej byli wyraźnie wystrojeni: w nowych sandałach i w połatanych ale czystych koszulach. Zabrali pudło z globusem i magnetofon i odebrali mi nawet leciutki aparat fotograficzny i torebkę.

Szliśmy nieznanymi ścieżkami, najpierw przez pola agaw i kamienne dna wyschniętych strumyków, a potem wspinaliśmy się wysoko między ostami, jak najdalej od chat, w których złe psy... Szło mi się „jak na skrzydłach”, „suchą stopą”, najbezpieczniej... Bo nigdy jeszcze w życiu nie przyjęłam tak całkowicie niczyjego zaopiekowania. Prowadzili mnie i bronili chociaż nie było właściwie przed czym bronić skoro żmij tu nie ma, a złe psy w odległych chatach. Może więc przed zabłądzeniem mnie bronili, ale czy to zresztą ważne przed czym? Byłam ich *madriną*, matką chrzestną Szkoły i chcąc nie chcąc właśnie tą ich *madriną* się czułam.

Zresztą bardzo mi było dobrze z tą moją „madrinowością” i lekko: nie czułam ani zmęczenia mięśni, ani stóp, ani potu na czole nie czułam mimo, że paliło słońce, ani ostrości kamieni na ścieżkach, ani stromości wspinania, ani bicia serca.

Podobnie czułam się kiedyś — pamiętam — tamtej ostatniej wojennej zimy w Krościenku, wspinając się przez chrzęszczący śnieg (chrzęścił więc musiał być porządny mróz) do pustej chaty na górze, aby „z badać czy nadawała się do naszego użytku”. Też mi się wówczas szło tak lekko chociaż powinnam była czuć się bardzo osłabiona i głodna, bo nie jadłam przecież nic od wielu godzin i powinno mi było być bardzo zimno bo pończochy sięgały mi tylko do kolan... były to właściwie nie pończochy ale męskie skarpety... Tak, to samo poczucie radości, ta sama lekkość i coś jeszcze ponadto... co to właściwie było?... Acha, już wiem... czułam się zupełnie bez winy, może dlatego że tak biało było wszędzie naokoło i ani żywej duszy jak okiem sięgnąć... Zupełnie bezludzie...

Ale zaraz gdy mi się to pomyślało spojrzałam na nich trzech wspinających się ze mną. Jacy oni byli już zmęczeni. I poczułam się od razu bardzo winna: za ich niedożywienie, za to, że ja spałam do 7-jej rano a oni już pewno od 4-jej na nogach, za to, że ich linia śmierci nawet jeśli dobiega aż do 45-ciu lat, to jednak... podczas gdy moja mimo ognia głodu i wojny...

Zatrzymaliśmy się na samej górze, nie po to aby odpocząć, nie... bo mimo zmęczenia oni odpocząć nie chcieli... ale aby

z samego szczytu góry spojrzeć na gmach Szkoły i na tle tej Szkoły się sfotografować.

Najpierw ja sfotografowałam ich trzech z globusem, magnetofonem i torebką, a potem Don Justo oddał mi torebkę i postawił mnie między Don Edmundem i Don Pedro i tak nas sfotografował. On już przedtem, kiedyś fotografował — powiedział — wówczas gdy Maria Wiktoria pożyczyła od księdza aparat fotograficzny, i wie, że przy fotografowaniu trzeba uklęknąć no i przeżegnać się „bo inaczej klisza” — powiedział — „nie chwyci!”

Nie było jeszcze księdza, ale wszyscy panowie z Mbayo zgromadzeni już byli w szkolnej sali pod przejrzystym belkowym dachem, od którego pachniało świeżym drzewem... A na ścianach, pomalowanych na biało, Maria Wiktoria i kilka starszych dziewcząt zawiesiły haftowane obrusy, serwetki, fartuszki i nawet kilka męskich koszul i dwie małe sukienki. Był to rodzaj wystawy Klubu Dziewcząt, a na dużym stole, zrobionym przez Teodoro stały już słoiki konserw: brzoskwinie i *chile* — zauważyłam — i na tymże stole postawił Don Edmundo ostrożnie mój globus wyciągnięty z pudła, a obok niego magnetofon. Po chwili Maria Wiktoria podeszła do stołu i poodsuwała konserwy na bok, robiąc na samym środku stołu jakby łysinę czy polankę i na niej położyła bukietik różowych dali.

— To od pani, jako od *madriny*, Donio Marylito — powiedział. — Obok tego bukietika ksiądz postawi krzyż.

Ksiądz zresztą, jak się później okazało, nie przyniósł krzyża do postawienia, przyniósł niewielki krucyfiks, taki jak krzyże, które zakonnicy noszą zawieszane na grubych sznurach. Ale ani łańcucha ani sznura ten krzyż nie miał... był to wyraźnie „ręczny krucyfiks” i postawić go się też nie dało, tak, że miejsce między konserwami a magnetofonem i globusem zostało podczas całej ceremonii puste i tylko różowiała na nim samotnie wiązanka bardzo lśniących dali...

Ale „socjologicznie” co innego zwróciło moją uwagę: zauważyłam, że kobiety w ogóle nie weszły do sali. W najlepszych niebieskich chustach, niektóre z nich nawet w sandałach, stały nieśmiały, szepczącym półkolem naokoło szkolnego gmachu. I zauważyłam jeszcze coś, pewno ważniejszego dla zrozumienia struktury społecznej Mbayo i bardzo intrygującego: mimo, że stół zrobiony przez Teodoro miał być ołtarzem zbliżającej się ceremonii, mimo, że wszyscy wiedzieli, że to Teodoro własnoręcznie, narzędziami z paczek CARE ten stół zbudował, ani Teodoro ani innych z Klubu Chłopców nigdzie nie było widać.

Jak to zwykle bywa z przygotowaniami i te przygotowania mogły być trwać bez końca, bo zawsze można coś poprawić, przestawić, wygładzić i tym się zapełnia czas czekania...

Tak, że ksiądz zjawił się prawie niezauważony, tak zajęci byliśmy wszyscy przygotowaniami. Zresztą nie był to ksiądz lecz wikary o czym ja przynajmniej nic nie wiedziałam, bo wszyscy ciągle mówili o „księdzu”. Gdy zapytałam o to później Don Edmundo, zaczął się śmiać:

— Czy to nie wszystko jedno? — powiedział. — Przecież wikary to też ksiądz tylko, że młodszy, a zresztą myśmy tu w ogóle samego księdza nie chcieli... On sam nawet bardzo chciał przyjść, ale od czasu incydentu z zakrystią, nie mógłby się tu nawet pokazać!

Ale nie było czasu na zapytanie się o ten tajemniczy „incydent z zakrystią”. Zresztą gdybym się tak od razu pytała o wszystko co mi się wydaje tajemnicze i intrygujące, skończyłyby się szybko moje badania w Mbayo i nie tylko badania, ale co gorsze, moja zaczynająca się z tymi ludźmi przyjaźń, a może raczej „familiarność” niż „przyjaźń”...

Więc chwilowo tylko czerwonym ołówkiem podkreślałam to co intrygujące i tajemnicze...

Zaczerwieniona strona dziennika jak makami pola mikorzyńskiej pszenicy. Potem je trzeba będzie zrywać „na bukiety dla mamusi”... Ależ nie! Co ja piszę? Nie zrywać a *wyrywać* bo zachwaszczają najważniejszą pszenicę! Trzeba eliminować zachwaszczającą tajemniczość: rozumieć, wyjaśniać...

Gdy wyciągał z małej walizeczki pogniecioną sutannę, zauważyłam, że młody wikary podobny jest do korepetytora z *Rouge et Noire* Standhała. Gdy zrobiono z tego film, korepetytora grał — pamiętam — Philippe Gerard, ale wikary zagrałby go chyba jeszcze lepiej — pomyślałam — i zaraz potem to całowanie wielokrotne jego rąk przez Marię Wiktorię wydało mi się aż tak erotyczne, że odwróciłam się na chwilę zbyt wyraźnie chyba speszona... Od tego odwrócenia zaczerwieniona była potem przez chwilę Maria Wiktorina i nerwowo bawiła się przerzucony przez ramię warkoczem bardzo lśniącem, czarnym i mocnym na tle cieniutkiej jasno-różowej sukni...

Samą ceremonię Poświęcenia określiłabym jako magiczno-biurokratyczną, całkowicie poprawną i spodziewaną przez mieszkańców Mbayo, mimo, że sama sytuacja była dla nich taka nowa. Pobożnie i posłuszenie powtarzali za wikarym niezrozumiałe i znane łacińskie formuły, a potem wysłuchali krótkiego kazania po hiszpańsku a wszystko to się nagrywało, tak jak chcieli, na mój magnetofon poświęcony...

Uspokojeni już byli wszyscy i wyraźnie zadowoleni gdy po jakiejś godzinie odchodził wikary, smukły i blade w czarnych spodniach i białej koszuli z kołnierzykiem Słowackiego. Odchodził kamienistą ścieżką ze swoją małą walizeczką i żał mi go było bardzo bo nie czułam jakoś żadnego marzenia w tej jego chłopięcej samotności. Ucieszyłam się zobaczywszy, że podbiegł do niego Don Pancho, odebrał mu walizeczkę, dał jakiś węzełek (nie wiem jeszcze co w nim było) i tak go odprowadził, „obdarowując i dziękując” — pomyślałam — aż do krzyża.

Dopiero wówczas, śledząc ze schodów Szkoły to odprowadzenie, zauważyłam, że przed swoją chatką stał Teodoro i kilku jeszcze chłopców w jego wieku. Stali tak, oddaleni i milczący i ponieważ z daleka nie było widać ich wyrazów twarzy, zmusiałam się do tego aby się ich nie domyślać.

Potem siedzieliśmy jeszcze dość długo na schodach Szkoły: Don Pancho, Don Edmundo, ja i jeszcze kilku małych mi znanych panów z Mbayo, podczas gdy Maria Wiktoria kręciła się jeszcze koło szkolnych dekoracji. Naokoło stołu z globusem stała grupa małych chłopców, w dolinie nad rzeką rozmazującymi się pomarańczowo kreskami zachodziło czerwone słońce.

I krzątająca się z dziewczętami Maria Wiktoria i mali chłopcy naokoło globusu i ja sama na twardych schodach, o panowie z Mbayo naokoło mnie, wszyscyśmy byli wyraźnie zadowoleni i podobnie się pewno czuły kobiety rozgadane w dymnych kuchniach... bo one wróciły do chat zaraz po odejściu wikarego... A o tym jak się czuł Teodoro i starsi chłopcy nawet wówczas nie pomyślałam wśród tego wygodnego, wspólnego nasycenia...

Rozmawialiśmy o Poświęceniu, o tym jak to wszystko „ładnie się odbyło” i o tym, że jak przyjdą dachówki, które już obiecał *Presidente Municipal* z Las Animas i szyby obiecane przez władze stanowe z Toluki, wówczas, już niedługo, odbędzie się oficjalna Inauguracja na którą przyjedzie oczywiście sam Gubernator.

— A co tu dla ludzi ważniejsze — wtrąciłam nagle moje pytanie socjologiczne — poświęcenie Szkoły czy Inauguracja?

— Ależ, Donio Marylito... oczywiście, że inauguracja ważniejsza dla nas wszystkich — odpowiedział Don Esteban, wyraźnie moim pytaniem zdziwiony, pewno dlatego, że wśród tej wygodnej wspólnoty zapomniano chyba na długą chwilę o mojej inności a ja tu nagle z takim obcym pytaniem wyskoczyłam.

Inauguracja jest dla nas ważniejsza bo przecież w ten spo-

sób nawiązujemy kontakt z tymi co rządzą Meksykiem, a to nam się może przydać w Mbayo, tego nam trzeba.

Taką dostałam odpowiedź. Jak na patelni. Jak socjologiczna jajecznica i kto wie, może bym była jeszcze dalej pytała, zakłócając odpoczynek, wieczór i wszystko to co najważniejsze skoro już pytać zaczęłam... ale w tym momencie właśnie podszedł do mnie jeden z małych chłopców i zapytał czy pozwolę im grać w piłkę tym *el globo*, który Szkole ofiarowałam... Nikt się jakoś nie roześmiał i dopiero wówczas gdy odpowiedziałam chłopcu że nie, nie można globusem grać w piłkę „bo globus to ziemia” — powiedziałam — „a ziemią w piłkę grają tylko dyktatorzy...” — wówczas roześmiał się Don Edmundo a za nim Don Pablo a potem inni i śmiali się, śmiali, śmiali a ja oczywiście z nimi. Od tego śmiechu ustaliła się nasza wspólnota, nasze wielkie zadowolenie i odpoczynek przyjazny zachłannie i świadomie przeze mnie przyjęty, chociaż dla mnie jedynej — wiedziałam — na pewno jeszcze niezasłużony...

— Dyktatorzy to jak Hitler i Porfirio Diaz — powiedział Don Edmundo — i jak się on nazywa, ten od rosyjskich ateistów, na „K” się zaczyna jego nazwisko?

Ale nie kontynuowałam tej rozmowy bo ciemno już było bardzo i wśród tej ciemności wschodził, właśnie dla nas, z Mbayo powolny, blady księżyc...

Teraz jest już 10-ta wieczorem i mogłabym nastawić magnetofon i dowiedzieć się co właściwie powiedział wikary podczas tego Poświęcenia, bo mówił tak prędko i niewyraźnie, że niewiele z tego rozumiałam, a na taśmę można się uważniej przysłuchiwać, no i można taśmę nagrywać powolutku... Poza tym byłam jednak tym Poświęceniem bardzo przejęta i nie pamiętam na przykład w ogóle co ja im sama powiedziałam... Ale chyba już pójdę spać i odłożę te magnetofonowe konfrontacje do jutra. Prawdę mówiąc, to się trochę boję tego jak to naprawdę wypadło, nie chcę sobie psuć szczęśliwego dnia więc idę już spać i tę całą nagrany prawdę, niezauważoną przez nikogo, odkładam do jutra...

Las Animas, 24 marca 1962 r. — godz. 6-ta rano

Obudziło mnie ostre, jasne słońce, a był to koniec takiego snu! na pewno z kimś (i ten ktoś był chyba mężczyzną, bo pod koniec snu usłyszałam męski głos, ale nie pamiętam ani jego sylwetki ani twarzy) zwiedzałam pałac Dozów w Wenecji

i przez okna sal pustych pod plafonami doskonale wykończonych, kolorowych światów oglądałam różowe dachy białych weneckich domków. Najpierw oglądałam je z pierwszego, potem z drugiego, potem z trzeciego piętra chociaż trzeciego piętra, jak mi się teraz wydaje w Pałacu Dozów w ogóle nie ma.

A potem z trzeciego, drugiego i pierwszego piętra schodami po kolei (co nie jest oczywiście we śnie konieczne) schodziłam nadal z tym kimś, komu nie dorosła w międzyczasie ani twarz ani sylwetka, ale dorosły mu kroki a do tych kroków echo... Z tym kimś, schylając się weszłam do ciemnych i zimnych korytarzy pałacowego więzienia i tymi korytarzami, coraz to węższymi, wśród krat i wilgoci, cisi i przerażeni schodziliśmy coraz niżej: jedno piętro w dół, dwa piętra w dół, trzy piętra w dół i dłużył się ten czas mierzony wilgocią i lękiem. Słyszałam echa jego kroków bo do moich kroków nie przyrosło jeszcze echo i to echo niustające było dla mnie zegarem, obietnicą i ulgą. I nagle tak się zwięził korytarz że byliśmy — wiedziałam — bardzo blisko siebie i wtedy... zatrzymało się nagle echo, skrzył w lewo korytarz, jak ruchomy chodnik i usłyszałam tryumfalny, dźwięczny głos mówiący powoli: „A widzisz...” i najpierw zaślepiło mnie ostre słońce a potem w tym słońcu zobaczyłam małe domki, białe jak w Wenecji, ale w ostrym słońcu blakła szybko ich białość i po chwili nie była to już Wenecja oglądana z górnych pięter Pałacu Dozów, ale moja wieś obiecana: Mbayo szarych lepianek pod różowymi dachówkami, wśród agaw i drzew kaktusowych, wczesnopopołudniowe w uspakającym się słońcu...

Las Animas, tego samego dnia, po śniadaniu

Właśnie skończyłam słuchanie taśmy z Poświęcenia. Najlepiej się nagrało to co dla moich badań najmniej pożyteczne: łacińskie zdania, mówione przez wikarego powoli, uroczyście, (ale tak złą łaciną, że brzmiała ona jak inny, magiczny język) i powtarzane chórem przez *Mazabuów* z Mbayo i pewno także i przeze mnie, ale w tym chórze oczywiście własnego głosu rozpoznać nie mogłam. Pod koniec tego magicznego powtarzania zasumiało coś na taśmie — może w tym momencie właśnie wodą święconą i ulewną święcił wikary wszystko naokoło i może przy tym święceniu coś się w magnetofonie zamoczyło dość, że potem już ledwo można było wychwytać fragmenty kazania: wyskakiwały głośne i skrzekliwe z szumu gęstego i coraz to zmieniającego tony, a w końcu rozgdakała się taśma i nie było

już słychać ani szumu ani słów tylko to nawet już nieśmieszne bo zbyt nieludzkie gdakanie. Wśród zrozumiałych fragmentów kazania były takie kawałki:

„... ludzie z Mbayo, oto macie własną szkołę... i nauczyciela też mieć będziecie... nauczyciela, który was nauczy żyć uczciwie...”

„... pisać i czytać was nauczy ten nauczyciel... młodych i starych nauczy z pomocą Boską i Najświętszej Paniienki z Guadalupe i z nizin ducha wyprowadzi was na wyżyny aspiracji...”

Po kazaniu było moje przemówienie, ale z niego nie nagrało się nic i tylko grube gdakanie zmieniło się w rozgdakanie cieńsze i coraz to szybsze, a pod koniec taśmy z gdakania zrobił się świst.

Za chwilę pójde do Mbayo, ale nie zabiorę ze sobą oczywiście magnetofonu i w ogóle powinnam chyba tę taśmę zniszczyć, a jeśli mnie będą prosić o nagranie, powiedzieć (skłamać), że się podarła lub coś w tym sensie.

Z tego co sama mówiłam, nic a nic nie pamiętam a pewno o to właśnie zapytają ludzie z Mbayo o ile w ogóle o coś zapytają. Może zresztą nie doszło do nich znaczenie słów, tylko tak jak na taśmie: szum, gdakania i świst...

Znaczenie rytuałów: powtarzanie, ton i gest raczej niż treść. Rytuałów egzotycznych i rytuałów własnego społeczeństwa, doświadczanych po raz pierwszy lub oglądanych z perspektywy lat czy kilometrów...

Zaraz... zaraz... przecież to rozgdakanie coś mi przypomina... ach tak, już wiem, moją pierwszą *cocktail party* w domu wuja dyplomaty zagranicą, a ściślej mówiąc w Londynie. Bardzo nią byłam wówczas przejęta — ja siedemnastoletnia i pierwszy raz w życiu w takiej obcisłej i wydekoltowanej sukni...

Na tę *cocktail party* zaproszeni byli zresztą „ciekawi ludzie” bo wuj dyplomata (wujek Adam, ale mówiło się o nim per „dyplomata”) był także „ciekawym człowiekiem”.

Ale cóż? Z tej całej *cocktail party* uchwyciłam jedynie to rozgdakanie i potem — pamiętam — z wujem Adamem o tym rozmawiałam.

— Nie potrafiłabym właściwie powtórzyć o czym się mówiło — powiedziałam — ale czas przeszedł szybko i wszyscy byli tacy zadowoleni, więc pewnie się rozmawiało o czymś ciekawym...

— Ależ dziecko — powiedział wówczas, śmiejąc się wuj dyplomata — przecież nie o mówienie chodzi... — i widząc moje zdziwienie dodał: — Przecież człowiek to symboliczne raczej niż racjonalne zwierzę, a *cocktail party* jest jak msza, ślub czy akademia patriotyczna.

A może tłumaczyć z epoki na epokę, z kultury na kulturę

można tylko tak jak Christian Morgenstern: wysoko, na linii nerwów, schizofrenicznie i dlatego uniwersalnie? Max może by tak był potrafił... i Sydney.. Ale oni woleli się z tych prób wycofać raz na zawsze, nie wiem właściwie dlaczego, skoro tak lubili grę dla gry...

Ale ja jeszcze wierzę że można tłumaczyć inaczej, trzymając mocno sznury tradycji w zaciśniętych pięściach: ...i nie tak wysoko, a jednak z pełnym zrozumieniem innych: politycznie, ekonomicznie, socjologicznie, co nie jest oczywiście sprzeczne z poezją. Razem z Norwidem i Brechtem dlatego po prostu, że oni są *moi*, ale jednocześnie inaczej, bo *Dzisiaj i Gdzie Indziej*...

Wieczorem

Z Marii Wiktorii nie mogłam wyciągnąć ani jednej uwagi ani na temat kazania ani na temat mego przemówienia. Na wszystkie moje pytania odpowiedziała lakonicznym „udało się”, lub „wszystko w porządku”, więc w końcu przestałam pytać i zainteresowałam się nieludowymi haftami, których ona właśnie nauczała podczas tych moich indagacji. W sali przykościelnej siedziały z nią Aurelia, Ernestina i trzy jeszcze nieznanne mi dziewczęta. Okazało się, że wzory do tych haftów przysłane były w jednej z paczek CARE ze Stanów Zjednoczonych z czego Maria Wiktorija była bardzo zadowolona.

— Bo to już najwyższy czas — powiedziała — żeby dziewczęta z Mbayo nauczyły się haftować tak jak się haftuje na całym świecie.

Don Edmundo i Don Pablo zastałam przy budowie Szkoły. Sami nie pracowali, „jak włodarze chodzą tam i z powrotem, pilnując innych” — pomyślało mi się bez sensu...

— Przez ten tydzień pracują ci z domów za studnią — objaśnił mnie Don Edmundo — jak najprędzej musimy wykończyć okna, no i ramy okienne wstawić bo lada dzień mogą przywieźć szyby... Zapytałam go co myślał o kazaniu Wikarego. Zastanowił się przez chwilę, i powiedział:

— W jednym nie miał Wikary racji. Mówił, że nauczyciela tu mieć będziemy a my chcemy nauczycielkę i będziemy mieć nauczycielkę. A poza tym wszystko było w porządku, i kazanie i pani przemówienie, Donio Marylito.

Wracając z Marią Wiktorią do Las Animas zapytałam ją czy rzeczywiście ludzie z Mbayo, tak jak twierdzi Don Edmundo, wolą nauczycielkę od nauczyciela... i dlaczego?

Dopiero po dłuższej rozmowie zrozumiałam o co tu chodzi...

— Oczywiście! Wszyscy chcą nauczycielkę! — zaśmiała się Maria Wiktoria. — I chcą, żeby była jak najmłodsza i z ramienia Rządu Federalnego, a nie Stanowego.

Więc mieszkańcom Mbayo, a przede wszystkim ich przywódcom jak Don Edmundo, Don Pablo czy Rafael Navarro chodzi o to, że młodą nauczycielkę będą mogli sobie łatwiej „wychować”...

— Oni chcą — mówiła Maria Wiktoria — żeby nauczycielka uczyła dzieci czytać, pisać i rachować i żeby nie uczyła ich niczego innego a na takie warunki — oni dobrze to wiedzą — żaden nauczyciel się nie zgodzi... — zaśmiała się... — Tej całej reszty dzieci mają się nauczyć od rodziców tak jak było zawsze. I nie tylko dzieci mają się nauczyć, ale i nauczycielka... dlatego nauczycielka ma być młoda i chcą poza tym żeby mieszkała w Mbayo, o, w tamtej chatce pomalowanej na biało i niebiesko, która należy do Dona Pancho i Doni Eleny, a właściwie do ich syna, Mateo, ale że Mateo ma dopiero 14 lat więc chatka stoi pusta i już ją zaczęli przygotowywać dla nauczycielki. Musi pani zobaczyć kiedyś jak wygląda w środku, Donio Marylito...

— A czy nauczycielkę dostaną? — zapytałam.

— Może nawet dostaną, ale przecież ona tu mieszkać nie będzie chciała! — zawołała Maria Wiktoria — ale pani się już zorientowała, Donio Marylito jaki uparty jest Don Edmundo, a z tą nauczycielką to przede wszystkim jego pomysł. Nawet z nim o tym rozmawiać nie warto...

Tak więc wygląda sprawa młodej nauczycielki, a jeśli chodzi o przydział z ramienia władz Federalnych raczej niż Stanowych, zdaniem Marii Wiktorii trudno tu coś wynioskować bo takie przydziały zależą od różnych rozgrywek politycznych w Stolicy.

Ale *Mazabuowie*, „a może w ogóle meksykańscy Indianie” (zaraz sobie te uwagi Marii Wiktorii uogólniłam w taką hipotezę) zawsze mieli większe zaufanie do Rządu Federalnego niż do władz Stanowych, może dlatego że reformę rolną przeprowadzili *los agraristas*, urzędnicy czy delegaci Rządu Federalnego... Tak mi to wyjaśniła w każdym razie Maria Wiktoria, ale jest to na pewno dużo bardziej skomplikowane. Muszę pamiętać aby to dalej zbadać i głębiej wyjaśnić...

Las Animas, 25 marca 1962 r. — w nocy

Nie poszłam dzisiaj do Mbayo. Cały dzień pracowałam nad moimi notatkami, zapiskami, czy mówiąc bardziej uczenie „danymi” z Las Animas i z Mbayo. Wyławiałam je z dziennika,

z notatników, z pamięci i przepisywałam na twardych kartkach, które z trudnością wchodziły w moją malutką maszynę „Olivetti”. Do takiej pracy może powinnam była zafundować sobie sekretarkę na którą jest przecież „miejsce w budżecie”, ale co bym ja tu robiła z sekretarką? Zatrudniłaby mi przecież życie swoją poza-biurową obecnością, nie mówiąc już o tym jakby jej własne życie tu wyglądało.

Więc lepiej już się męczyć z twardymi kartkami...

A wieczorem, gdy właśnie kończyłam kolację, przyszedł do mnie Teodoro. Popisał z pół godziny na maszynie a potem rozmawialiśmy jeszcze długo. Nie zapytałam go w ogóle dlaczego ani on ani jego chłopcy nie przyszli na Poświęcenie, ale spytałam czy i on także wolałby nauczycielkę raczej niż nauczyciela dla szkoły w Mbayo.

— My wszyscy, młodzi, wolelibyśmy nauczyciela — odpowiedział z punktu — bo co nam przyjdzie z nauczycielki? My tu potrzebujemy przykładu i kogoś kto by miał kontakty z Toluką...

— Z Toluką, nie z Mexico? — zapytałam ze zdziwieniem. — Więc uważasz, że wasza szkoła powinna być Stanowa raczej niż Federalna, bo Maria Wiktoria mówiła mi, że wszyscy tu mają większe zaufanie do Rządu Federalnego, a Don Edmundo także wiele razy to mówił...

— A, tak... zaufanie to mamy większe do Rządu Federalnego — powiedział Teodoro — no, ale ważniejsze od zaufania są kontakty, a o kontakty łatwiej w Toluca niż w Mexico, bo Toluca bliżej. I znowu uśmiechnął się w taki sposób, że zawstydziałam się trochę swojej naiwności... Poczęstowałam go papierosem i Teodoro zapalił, doroślejszy jakby po tych swoich opiniach tak jasno wyłożonych i po tym uśmieszku zawstydzającym...

Tak mi to wygląda socjologicznie, przynajmniej w tej chwili: konflikt generacyjny w Mbayo widoczny jest jedynie w świecie mężczyzn, pewno dlatego, że jedynie mężczyźni są w tym społeczeństwie politycznie aktywni i konflikt ten istnieje między *los senores*, panami z Mbayo (żonatymi mężczyznami „na stanowiskach”), a chłopcami, *los muchachos*.

Koncepcja przyszłości kierowanej panów z Mbayo:

Zaabsorbowanie przez *Mazabuów* ściśle technicznych zdobyczy nauki („czytać, pisać, rachować i nie więcej!”) i rozwój tradycyjnej kultury *mazabua* (a może nie będzie to już kultura *mazabua* skoro będą umieli czytać?), wzbogaconej wybranymi elementami, pod przywództwem panów z Mbayo.

Koncepcja przyszłości kierowanej chłopców z Mbayo:

Blizszy kontakt ze społeczeństwem Nie-Indian przy zachowaniu pewnej autonomii kulturalnej (np. własna szkoła, raczej niż wspólna szkoła). Przywództwo polityczne Młodych z Mbayo skontaktowanych z szerszym światem i opartym o ten świat moralnie (aspiracje i modele kulturowe) i materialnie (ekonomiczne powiązania).

Są to oczywiście jedynie hipotezy i to jeszcze niezbyt jasne, lepiej jednak dla moich badań (i każdego badań) aby wyciągnąć je na wierzch, sformułować, choć takie jeszcze niedoskonałe... Bo nieujawnione hipotezy są jak intelektualna pleśń...

I jeszcze parę rzeczy powinnam zanotować:

Generacja Don Edmundo to generacja obdarowana ziemią z Reformy Rolnej. Nie było wśród nich bezrolnych.

Generacja Teodoro to generacja, w której już znowu wyrosło około 50 procent bezrolnych, bo nie wolno było rozdrabniać otrzymanej ziemi.

Ideologia Narodowa Meksyku z czasów Reformy Rolnej w Mbayo, to jest z lat trzydziestych, to ideologia ekspansji kulturalnej indiańskich plemion (tę ideologię chyba jakoś zaabsorbował Don Edmundo chociaż był jeszcze wówczas młodym chłopcem).

O tym dlaczego Teodoro i chłopcy trzymali się z daleka podczas Poświęcenia Szkoły nie dowiedziałam się tym razem nic, chociaż kilka razy naprowadzałam rozmowę na ten temat, nie chcąc jednak o to pytać bezpośrednio. Ale jeden z niewykrzykniętych do końca wykrzykników Teodoro może być znamieny jeśli chodzi o dalsze śledzenie tej sprawy. Gdy zapytałam go o nauczycielkę czy nauczyciela dla Mbayo, Teodoro zawołał najpierw z jakąś zaciętą goryczą:

— Właściwie to wszystko jedno, bo i tak przecież nic...! — w tym momencie, na tym „nic” przerwał, pokręcił się na krześle, pochrząkał i potem najspokojniej wyłożył mi to o czym już pisałam.

Taki właśnie jest Teodoro: uparty i ostrożny, spotaniczny i opanowany. Gdy pisał na maszynie przyglądałam mu się uważnie, udając że czytam, i zastanawiałam się nad tym czy bym go potrafiła opisać. Musiałabym pisać o tym jak wygląda gdy się zamyśla, gdy widać na jego twarzy skupiony wysiłek, i gdy dziecinna radość zmienia się nagle w jego oczach w dorosłą nieufność. Musiałabym pisać o tym jak siada na krześle, jak strząsa popiół z papierosa do popielniczki... O tym wszystkim i wielu innych gestach, poruszeniach, namarszczeniach i uśmiechach Teodoro musiałabym pisać, ale naprawdę... nie potrafię... Patrząc na Teodoro ze wzruszeniem i myślę: „Mógłby być moim synem...”

a potem myślę, że gdybym była dwadzieścia lat starsza myślałabym, że Teodoro mógłby być moim wnukiem. I na tym się kończy moja zdolność opisanego Teodoro. Może gdybym umiała myśleć o nim jako „informancie socjologicznym”, wówczas potrafiłabym go opisać. Ale tak o nim myśleć nie umiem...

Las Animas, 26 marca 1962 r. — wieczorem

Już wiem! Roboty nad rzeką koło Hacienda Ruiz to prace *ejidalne* nad umocnieniem koryta rzeki na wypadek powodzi, która zawsze grozi w porze deszczowej — latem.

Wiem również, że Teodoro i jego chłopcy, czyli członkowie Klubu Chłopców nie przyszli na Poświęcenie Szkoły bo... „Don Edmundo nie pozwolił im nawet grać w piłkę...” Ta druga historia jest oczywiście mniej przekonująca, a obie pochodzą z *Ngeme* i podano mi je właśnie w takiej lakonicznej formie, nie zachęcającej do dalszych pytań. Bo w *Ngeme* było dziś bardzo wesoło podczas kolacji. I poproszono mnie aby została dłużej na co nie trzeba mnie było zresztą długo namawiać. Potem Jorge i Alfredo odprowadzili mnie na *calle de la Rabia* a pies, Kantinflas, machając radośnie ogonem towarzyszył nam aż do krzyża.

Nie było zresztą specjalnej okazji do tej wesołości w *Ngeme*, wesołości dla mnie jakby wczesnowakacyjnej, bo przypominającej coroczny przyjazd Wujka Romana z Krakowskiego Uniwersytetu na wielkie wakacje, no i także przyjazd Bolka i Gucia z Nancy i Grenoble na przedłużone wakacje wielkanocne, bo w Leszczycach obchodziło się rodzinną Wielkanoc, „więc jakże by mogli nie przyjechać...”

Ale do *Ngeme* nikt nie przyjechał i nikt nie wrócił, złożyło się jednak tak, że wszyscy akurat byli razem... „wszyscy” to znaczy mężczyźni, bo kobiety z Mbayo i tak są zwykle w domu w okresie posiłków. „Ale mężczyźni to co innego”: czasem ich zatrzymają przy robotach, czasem wypadnie zebranie *Ejido*, czasem zaprosi ich *compadre* (kum) na *pulque* w Las Animas...

Ale tym razem i Don Pancho był w domu, mocno już podochocony i 14-toletni Mateo już jakby zupełnie dorósł, bo jedyny wśród pięciu córek, i z Jorge, zięciem, który z rodziną jada w *Ngeme*, przyszedł brat cioteczny, Alfredo. Więc tego wieczora było aż czterech mężczyzn w *Ngeme* i wszyscy czterej siedzieli naokoło ognia na takich samych krzeselkach jak ja, niskich i pomalowanych w czerwone i żółte róże. Jedno z tych krzeselków musiał chyba przynieść Alfredo bo w *Ngeme* były tylko trzy. Od dymu i nadchodzącej nocy robiło się coraz ciemniej

i Dona Elena zapaliła dwa żywiczne łuczywa. Od ich światła przeciągnęła się i na chwilę zapłakała mała Iza śpiąca z głową na kolanach matki, zamachał ogonem Kantinflas, Don Pancho dolał sobie *pulque* z żółtego, glinianego dzbana (tego z gałązką sosny namalowaną ostro i czarno) i widać było jak bardzo czerwone nogi mają dwie indyczki, w kacie, za plecami Lucity i Ernestiny. Jeszcze Doni Genowefie zdążyła nalać Aurelia trochę zupy i wyłowiła jej palcami kawałek mięsa z wielkiego garnka na ogniu, a potem już wypaliła się jedna z żywicznych drzazg a druga się po prostu wywróciła i zgasła... W tym właśnie momencie od gęstszej jeszcze ciemności i dymu oddzieliło się najpierw ledwo dosłyszalne mruczenie...” Może to chrapała Iza, a do wtóru jej mały Ignacio” — pomyślałam — „a może powarkował przez sen Kantinflas...” Ale mruczenie nabrało melodii i okazało się, że to śpiewają mężczyźni z *Ngeme*. Śpiewali bez słów, ale melodie smętnych hiszpańskich *boleros* coraz to wyrażniały i Donia Elena podając im *tortije* powiedziała cicho:

— Donio Marylito, Mateo tak by chciał mieć radio, ale kiedy czasem pożyczę radio od Roberta z Aurory, wtedy nikt już nikt nie chce śpiewać, a według mnie, Donio Marylito, to nasze śpiewane radio jest dużo ładniejsze. Czasami aż do późnej nocy tak śpiewają...

I rzeczywiście śpiewali, chyba do dziewiątej wieczorem a to już późna noc w Mbayo. Ale potem w drodze do Las Animas z Alfredo i Jorge, gdy powiedziałam jak mi było przy tym śpiewie swojsko, zaśmiał się Jorge:

— Pani mówi tak jak Donia Elena, Donio Marylito, bo my, młodzi, wolimy radio, nawet jeśli się psuje co drugi dzień, jak radio Roberta. Bo co radio to radio, Donio Marylito, i zawsze się wie, że jak zepsute to zreperować można, a jak nie ma pieniędzy na baterie, to wiadomo że kiedyś będą... Mój Ignacio gdy dorosnie to z pomocą Boską i Najświętszej Paniienki z Guadalupty swoje radio będzie miał i to nie na baterie ale na elektryczność, bo elektryczność też będzie w Mbayo... już na inaugurację Szkoły mają zapalić pierwsze latarnie...

Ależ oczywiście, że elektryczność! Nie mam nic przeciwko elektryczności! Z nimi, młodymi, chcę radia i elektryczności dla Mbayo. Bardzo chcemy żeby było chociaż nawet nie będzie grać... bardzo chcemy ją mieć nawet jeśli nie będzie świecić...

Nie tyle o sam postęp nam chodzi ile o możliwość Postępu, a mnie osobiście najbardziej chyba chodzi (choć może wstyd

się do tego przyznać) o możliwość mówienia i myślenia znów, po latach „my”... *My* chcemy czy nie chcemy. Dla *nas*, czy nie dla *nas*. *Nasze* i nie *nasze*... tak i nie, ale zawsze w jakiś sposób o *nas*!

Szersze „my” i węższe „my”. *My-Gesellschaft* i *my-Gemeinschaft*. „*My*” rodzącej się identyfikacji narodowej, dzielone z młodymi, jak Jorge i Alfredo i „*my*” kurnej chaty, rodziny zgromadzonej naokoło stołu w kręgu naftowej lampy... Nie!... naokoło trójkamiennego pieca, w kącie zadymionej chaty, w *Ngeme!* Jaka zadowolona była Donia Elena, gdy jej powiedziałam (a powiedziałam to naprawdę szczerze) że tak, jak i ona wolę to mrużane radio od prawdziwego...

Kiedy to się zgubiło to moje „*my*” spod lampy naftowej i spod choinki? A może ja go nigdy nie miałam skoro przecież rodzice moi, każde osobno z Kairu na Riwierę, z Riwiery do Kairu, z Nicei do Abacji, z Abacji do Nicei, no a potem gdy miałam 10 lat oddano mnie już do internatu a z internatu po jakimś czasie przeniesiono na stację... To zresztą nieważne czy stacja czy internat, bo jedno i drugie było przede wszystkim Daleko.

Ale jednak jakoś miałam to „*my*” rodzinne niezdożywalne i nie do odzyskania, miałam je skoro wiem, że się zgubiło, to jasne. I w pewnym sensie wszyscyśmy je mieli i jest w tym zgubieniu jak w grzechu pierworodnym jakaś uniwersalna ludzka solidarność, jakieś „*my*” dorosłych czy „*my*” potępionych, które przetrwało skazanie i zagubienie... Ale pewno zbyt abstrakcyjne jest to „*my*” metafizyczne, aby się za nie złapać, więc szukamy innych konkretnych „*my*”. Żeby się tylko nie pomylić, żeby się tylko nie oszukać...

Gdy 31 września 1941 roku — jeszcze dobrze pamiętam tę datę — na Moście Poniatowskiego o 4-ej popołudniu, łączniczka wręczyła mi pierwszą akowską gażę, wówczas to „*my*” zdobyte wydało mi się na chwilę zasłużone i zaraz potem zrobiło mi się trochę głupio, że to z pieniędzmi właśnie (o które przecież wcale nie chodzi) powiązało mi się to „zasłużenie”...

Tamto „*my*” Akowskie było — wiem teraz — jak to „*my*” elektryczno-radiowe, dzielone teraz z Jorge i Alfredo. *Secondary group solidarity*, mówią amerykańscy socjologowie. „*My*” ideologicznie. O to łatwiej pewno Dorosłym niż o „*my*” przyjaźni, o *primary group solidarity*. Ale i tutaj na łatwiznie można ugrzęznąć jeśli się nie uważa... i wówczas co dalej? I tutaj istnieje niebezpieczeństwo samozakłamania.

Nie wiem dlaczego, może bez powodu, Jorge i Alfredo nie odprowadzili mnie do samego domu Loli Flores. Pożegnali się ze mną na skrzyżowaniu calle de la Paz z calle de la Rabia, tak że wracałam sama przy jasnym świetle księżyca i nie spotkałam nikogo. Nawet psa z białym okiem nie było tego wieczoru na calle de la Rabia. Wśród tej ciszy i pustki jeszcze nieznaney więc obcej, wśród księżycowych światłocieni jak na czarno-białych fotografiach zamigotało mi nagle przed oczami pomarańczowo, czerwono i żółto i zobaczyłam pędzące naprzeciwko mnie jedwabiste, kolorowe kłębki. Niektóre z nich rozwijały się długimi nićmi i śledząc dokąd lecą, na prawo, na lewo, w górę, zauważyłam nagle, zdziwiona, pomarańczowo-żółto-czerwoną pajęczynę na czarnych kółkach agaw...

Trochę mi się zrobiło niesamowicie „bo może mi się to wszystko tylko tak przewidziało” — pomyślałam — „może tych nitek w ogóle nie ma, może są one sztucznym pokaraniem za moje fantazje niedopuszczalne i łatwe...”

Można było oczywiście złapać któryś z tych kłębków, ściągnąć z agawy kolorową pajęczynę, nie odważyłam się jednak i tylko przyspieszyłam kroku aby jak najprędzej znaleźć się w domu.

Otworzyła mi Lola.

— Czy widziała pani, Donio Marylito — zapytała z punktu — te kolorowe nitki, które tu po ulicy latają? To panią powinno zainteresować, bo to od *cambaity*, którą się tka w sąsiednim domu. Musiała pani nieraz słyszeć trzaskanie maszyny bo to przecież od pani pokoju przez ścianę... A potem ją tę *cambaitę* sprzedają, Donio Marylito... zaraz pani pokażę... po 40 centawów od metra, na fartuchy, na serwety i na suknie dla *las Inditas*.

Las Animas, 27 marca 1962 r. — wieczorem

Egzystencjalizm. Fenomenologia. Zen. Ucieczki (ale konkretne od czego?), a może raczej szacunek dla tak zwanej „rzeczywistości”? (mierzonej jakimi miarami? czyjej?). Jakoś nie bardzo dobrze się dziś czułam, bardzo zmęczona i niespokojna, tak, że do Mbayo wybrałam się dopiero po obiedzie (a na obiad były *chilaquile*), do Mbayo jednak w ogóle nie doszłam bo w połowie drogi mniej więcej spotkałam Czarnego Muła. Było to już na szosie i blisko mostu którym na prawo pod drzewami, *gigantes*, skręca się do Mbayo. Ale muł pobiegł w stronę haciendy Ruiz, tak, że na most już nawet nie weszłam zafascynowana tym mułem, nie bez powodu zresztą, bo to był rzeczywiście ogromny i bardzo czarny muł, jakiś jedyny w swoim rodzaju reprezentant

mulego rodu, „Muł Nadprzyrodzony”, pomyślało mi się nawet, ale potem zaraz się w myśli poprawiłam na jeszcze bardziej wieloznaczne: „Muł i już!” Bo on był naprawdę tylko sobą: bez uzdy, bez właściciela, lśniący i tryumfalny, z podniesioną wysoko głową, prychając różowymi nozdrzami biegł środkiem szosy w stronę Haciendy Ruiz, zatrzymując się od czasu do czasu zaczajonym zatrzymaniem.

Nigdy jeszcze w życiu nie widziałam niczego tak doskonale autonomicznego jak ten Muł Żywy i nawet go opisać nie bardzo potrafię... Gdy na długiej, prostej szosie do Haciendy Ruiz zostało z niego tylko wąskie pasemko, wiedziałam już, że nie pójdę do Mbayo bo nie było we mnie miejsca na nic więcej. Kawalkiem szosy obok mostu a potem ulicami na których nie było nic ciekawego wróciłam na calle de la Rabia.

A teraz, po tym dniu właściwie zmarnowanym z punktu widzenia moich badań, bo nie zdobyłam przecież ani żadnych nowych danych, ani nie nawiązałam kontaktów które by mi w zbieraniu tych danych mogły pomóc — teraz zastanawiam się nad samą sobą i znowu wracam myślą do Pałacu Dożów i do wsi obiecanej. I chyba dopiero teraz, po tym Mule Prawdziwym I Doskonałym potrafię się jakoś pocieszyć co do moich tłumaczeń zwariowanych... Bo na pewno mogło być ze mną jeszcze dużo gorzej... Znam przecież takich, którzy swoją pustkę powojenną zapełnili aligatorami i takich, którzy zapełnili ją słoniami, co jest może najśmieszniejsze, skoro jak wiadomo „słoń i sprawa polska”... Nie powinnam zresztą pisać „tacy”, ale raczej „taki” i „taka”, bo to był jeden mężczyzna i jedna kobieta a nie uogólnionych wielu. Mężczyzna? Nie... chłopiec z Powstania, nie znam go nawet, ale wiem, że „dostał się” do Ameryki i na Florydzie zawodowo uprawiał polowanie na aligatory... A te słonie były w Afryce i chociaż słoń to takie na pozór dobroduszne zwierzę, polowanie na słonie nie jest grą towarzyską i o tym Janka z mojej Warszawy i swojej Afryki nie potrzebowała mnie zapewniać. Oczywiście, że polowanie na słonie nie jest grą towarzyską, ale nie jest również misją, zbawieniem, odkupieniem, służbą.

Dlatego myślę, że ze mną jest może trochę lepiej, bo znam również takich, a ściślej mówiąc „takiego”, który swój Wielki Brak na cyrki przetłumaczył: wstąpił do wędrownego cyrku i z tym cyrkiem przewędrował całą Zachodnią Europę... oglądał tę Kontynentalną Europę Wspólnego Rynku z najróżniejszych

pozycji akrobatycznych, czasem chodząc po sznurze, czasem wi-
sząc pod sznurem...

Las Animas, 28 marca 1962 r. — rano

Obudziłam się dzisiaj wcześniej niż zwykle i wąską, kamienistą ścieżką wśród agaw i drzew kaktusowych poszłam w stronę rozjaśniających się właśnie gór. Zaszczekało na mnie kilka nieznanymi jeszcze psów, a na cementowym moście (pod którym — kto wie — może raki w strumyku, a na pewno to jeden z pomniejszych diabłów tam mieszka), pomarańczowy kłębek *cambaity* podrygiwał „antropomorficznie”. Dopiero za mostem spotkałam ludzi, trzech mężczyzn i jedną kobietę. Bosi, ciemni i pochyleni pod ogromnymi nareczkami chróstu szli w moją stronę, chyba mnie w ogóle nie widząc...

— *Adiós* — powiedziałam — skąd to idziecie, czy może z Los Pinos?

— A, tak, z Los Pinos — powiedział zerkając z trudem spod chróstu najstarszy mężczyzna. — A seniorita w aptecę tu pracuje?

— Nie, ja tu po prostu mieszkam — odpowiedziałam nie bardzo odpowiadając, bo przecież wiadomo, że nikt nigdy nigdzie po prostu nie mieszka, że trzeba *kimś* być i *coś* zrobić aby *móc mieszkać*, bo dla najbardziej samotnych nawet wszystkie drogi są krętymi ścieżkami konkretnych społeczeństw...

— Ale jeśli wy z Los Pinos, to znacie chyba Don Antonio Bravo? — powiedziałam zmieniając ton. — Który to dzisiaj, chyba 28-my, za dwa dni, trzydziestego, jestem zaproszona przez Don Antonio na wesele jego syna, więc was może zobaczę tego dnia w Los Pinos?

Najstarszy mężczyzna położył górę chróstu na ziemi, obtarł ręce o spodnie i kłaniając się do pasa przywitał się podając mi rękę serdecznie, ale wiotko, tak jak to robią *Mazahuowie* z Mbayo.

— Seniorita *profesora* — powiedział. — Don Antonio mi mówił... i wszyscy na panią tam czekamy, bo już od trzech lat bez profesora jesteśmy więc tak się cieszymy, że senioritę *profesorę* do nas przysłano...

— Ależ nie jestem *profesora*... to znaczy jestem... — zaczęłam bąkać — ale do Los Pinos na wesele mnie zaproszono i uczęć nikogo nie będę...

— Seniorita *profesora*... my wszystko wiemy... i o tym, że na wesele seniorita *profesora* jest zaproszona także wiemy —

ciągnął dalej ładując teraz chróst na plecy... — My teraz na rynek w Las Animas iść musimy, ale pojutrze tu Don Antonio osobiście po senioritę przyjedzie, zaraz po ślubie kościelnym i konia będzie miał dla seniority, a ja konia za uzdę poprowadzę, bo seniorita może nieprzyzwyczajona... a jak się dzieci w Los Pinos ucieszą... one tylko o nauczycielce, jak o Najświętszej Pannie z Guadalupe ciągle mówią... *adiós* teraz seniorito profesora i do zobaczenia pojutrze przed domem Doni Loli Flores bo tam pani przecież mieszka...

Patrzyłam za nimi trochę oszołomiona jak drobnym truchtem biegli kamienistą ścieżką... gdy mijali dom Loli Flores słońce wyszło właśnie zza gór, migające jeszcze i blade, ale już w jego świetle zasrebrzyły się liście agaw i ostrzej zarysowały się ich czarne kolce...

Wieczorem

Dona Edmundo zastałam dzisiaj w domu. Siedział na małym stołku pod drzewem i majstrował coś przy drewnianym pługu. Obok niego na ziemi, szczipła, ale rozłożysta siedziała jego żona Donia Rosaria wyłuskując z kolorowych kaczanów ziarna kukurydzy. Z twarzą przykrytą szaroniebieskim fartuchem Doni Rosarii spało przytulone do jej kolan najmłodsze dziecko — dziewczynka — a starsze dzieci, te kilkoletnie, bawiły się naokoło z czarnym szczeniakiem, podczas gdy kilkunastoletnia Maria (miała dziś wolne od służby w Las Animas) oparta o stos bardzo suchych glinianych cegieł naszywała duże różnokolorowe łaty na rękawach bluzki z kratkowanej różowej *cambaity*. Zastanowiłam się przez chwilę nad rozmiarem tej bluzki, czy to jej czy też może Doni Rosarii, bo podział pracy wśród członków rodziny to ważny klucz do zrozumienia ich struktury społecznej... Zresztą Maria — przypomniałam sobie — nie jest prawdziwą córką ale adoptowaną sierotą. Maria uśmiechnęła się do mnie gdy tak na nią patrzyłam zbyt uważnie, a Donia Rosaria zapytała czy chciałabym zjeść *las avas* — to są takie specjalne duże fasole, smakołyki Indian z Mbayo — prawie surowe bo przypiekane tylko na płaskich patelniach.

— Ale ognia niestety już nie ma, więc *awy* zimne, ale i tak doskonałe, Donio Marylito... — Ale zanim jeszcze Maria przyniosła *awy* zapytałam Dona Edmundo o Antonio Bravo z Los Pinos. Już od kilku dni miałam go popytać o Los Pinos i o rodzinę Bravów, nazwisko ciągle słyszane i w Mbayo i w Las Animas.

— Don Antonio Bravo to *buena gente*, bardzo przyzwoity człowiek — powiedział Don Edmundo, patrząc na mnie małymi i bardzo czarnymi oczkami — „jak czarne oliwki”, pomyślało mi się natychmiast i zła byłam na siebie za to banalne skojarzenie, więc żeby o nim jak najprędzej zapomnieć, głośno i z tryumfem, trochę tajemniczym, powiedziałam bardzo powoli:

— A ja pojutrze będę u nich właśnie w Los Pinos, bo Don Antonio zaprosił mnie na wesele syna... pojedę z nimi konno, zaraz po kościelnym ślubie w Las Animas...

Nic na to nie powiedział Don Edmundo i nawet nie patrzył teraz na mnie. Jedną ręką majstrował coś znowu przy drewnianym pługu... chyba jakąś śrubkę przykręcał a w drugiej ręce miał już *awy*, które właśnie przyniosła Maria, ale ich jeszcze nie jadł. Leżały — widziałam — jasne i gładkie na jego dłoni szorstkiej, ciemnej i nieruchomej, nieruchomością bardzo w tej chwili niespodziewaną i dlatego niepokojącą.

— Konia mi nawet przyprowadzą — chwaliłam się znowu — a o tym weselu w Los Pinos powiedzieli mi, że będzie to „trzeci ślub”, co znaczy chyba ślub *Mazabua*, prawda, bo już od tygodnia są po ślubie cywilnym... na ślub kościelny Don Antonio mnie zresztą nie zaprosił...

Znowu milczenie, więc jedząc *awy* monologowałam dalej i Don Edmundo też zaczął swoje *awy* jeść.

— Bardzo się na ten „trzeci ślub” w Los Pinos cieszę, ale mam kłopot bo za nauczycielkę mnie tam biorą.. spotkałam wczoraj ludzi z Los Pinos i wszyscy myślą, że ja tam już zostanę i będę uczyć...

— Na pewno nie myślą, że pani tam zostanie, Donio Marylito — odezwał się w końcu Don Edmundo — nauczyciel tam przecież nigdy nie mieszkał, bo kto by chciał mieszkać tak daleko za górami bez wody i elektryczności... nauczyciel do nich dochodził, tak, dochodził przez 10 lat nauczyciel z Las Animas, ojciec Leona Guzmana, ale to było dawno... Teraz już od wielu lat nikogo tam nie mają... *Ale pani, Donio Marylito, na ten ślub w Los Pinos nie pojedzie* — zakończył Don Edmundo i spojrzął na mnie stanowczo i spokojnie, tak, że w pierwszej chwili niebardzo wiedziałam jak zareagować na ten nieoczekiwany zakaz...

Może mi to nawet sprawiło pewną przyjemność — myślę teraz przypominając sobie swoje reakcje, bo w tym zakazie było przede wszystkim jakieś zaopiekowanie. W każdym razie mnie ta uwaga Don Edmunda nie rozbawiła, chociaż pewno powinna mnie była rozbawić Zjadłam jeszcze parę *aw* słodkich i chrupiących a potem zapytałam po prostu:

— Dlaczego nie pojedę? Dlaczego?

Don Edmundo i Donia Rosaria zamienili na chwilę spojrzenia i spoważniała Maria nad bluzką z różowej *cambaity*.

— Do Los Pinos pani jechać nie może, niech mi pani wierzy — powtórzył znowu Don Edmundo. — Niech mi pani wierzy, bo wiem co mówię, a o tym „trzecim ślubie” to możemy pani wszystko opowiedzieć bo nasze obyczaje są takie same jak tych z Los Pinos, tylko, że u nas trochę zmienione bo tak blisko jesteśmy od Las Animas, no i Postęp tu szybciej dochodzi więc u nas na przykład młoda para nigdy już prawie konno nie jeździ ze ślubu kościelnego na ślub tutejszy, ten właśnie „trzeci ślub” o którym wspomniał Don Antonio... u nas zwykle taksówkę się wynajmuje, a szkoda bo na koniach było dużo ładniej...

Wiedziałam, że nie można już więcej pytać o ten zakaz niespodziewany, ale o zwyczajach ślubnych też jakoś nie chciało mi się po tym wszystkim rozmawiać... Bo oto zaczyna się *naprawdę dziać* i zaczyna się to dzianie od takiego *zagmatwania* i jak tu można w obliczu własnych dziejów, splatających się właśnie z ich dziejami, zbierać spokojne i beznamiętne dane etnograficzne? Może by Malinowski to potrafił... może by potrafił Radcliffe-Brown? I kto wie, może właśnie tak się powinno jeśli się jest „prawdziwym naukowcem”?... Ooo, tutaj zlepek zwyczajów X-ów ze zwyczajem Y-ów i coś z tego, że od tego zleпка zvariował mały Kukubuku z wsi Tilipopo w lasach zachodniego Zanzibaru? Oto mit pochodzeniowy ostatnich tubylców z wyspy Ekereka w Południowej Indonezji... jakie ciekawe pokrewieństwo tego mitu ze starochińską legendą! Podczas gdy na wyspie Ekereka wbrew mitowi, pod mitem, nad mitem, naokoło niego, nieciekawi już bo nie-tubylcy, bo zdekturowani, na noże i pięści o coś tam ze sobą walczą...

Ale ja niczego i nikogo w ten sposób badać nie chcę, a gdybym nawet chciała to bym i tak nie potrafiła i nic mnie to nie obchodzi czy nauka czy nie nauka! Ostatecznie mogłabym zarobić na życie stolarką lub jeszcze lepiej ujeżdżaniem koni gdyby mi kazano uprawiać „nie taką naukę jakiej chcę”... Ale nikt mi nie każe!

Rozkazał, a raczej zakazał jedynie Don Edmundo i wiem już na pewno, że go usłucham, a właściwie to już usłuchałam, ale jestem oczywiście bardzo rozczarowana. No i trzeba się będzie jakoś z tego zaproszenia na „trzeci ślub” wykręcić... nie wiem jeszcze jak... Najlepiej byłoby może wyjechać z Las Animas, pojechać na *week-end* do Mexico... do teatru... po książki... na rozmowę z Ulisessem...

Las Animas, 29 marca 1962 r. — rano

Ale *détachement* (spoglądanie z perspektywy?) to nie samo co obojętność! Pascal nie był obojętny i nie był obojętny Tołstoj, ani Einstein nie był obojętny a z jakich to wielkich perspektyw do pozazdroszczenia oglądali oni dziejący się naokoło świat... A mimo to mrówka chodząca po stole (bo mogła chodzić mrówka lub mucha gdy Pascal pisał którąś tam stronę *Pensées*) ta mrówka chodząca mogła być nie tylko zauważona, ale i najważniejsza dla jego stron zapisywanych i opisana na tych stronach jako Mrówka Nieprzypadkowa.

Oni wszyscy mieli szacunek dla poszczególności, a więc dla wszystkiego co istnieje — organicznie — i nieorganicznie.

Nie tak jak kuzynka Dusia z czwartego roku Romanistyki (pознаłam tę kuzynkę — pamiętam — dopiero wówczas pod bombami na Wilczej w ostatnich dniach Powstania), nie tak jak kuzynka Dusia, która uważała, że „w takich wypadkach” należy się „wzniesć ponadto” i z tego przekonania, a może po prostu ze strachu i gadatliwości, opowiadała nam wówczas w ochronie o zasadach literatury porównawczej — pamiętam — zasadach „nieśmiertelnych wśród śmiertelnych ludzi”, aż ktoś ją w końcu wyrzucił za drzwi, których już zresztą nie było, ale potem żał mu się zrobiło i przyprowadził ją z powrotem za rękę, — pamiętam — wychudzoną małą i bladą rączkę...

Więc pewno chodzi o umiar. Takie się to wydaje łatwe chociaż jest chyba najtrudniejsze, bo jak tu właściwie zdecydować, że tu właśnie jest umiar a tam go nie ma...

Kiedy wracałam z Ulissem i Armandem z tej mojej drugiej już najważniejszej wyprawy do Las Animas, zauważyliśmy zbiegowisko ludzi na skrzyżowaniu ciemnych szos nad głębokim rowem. W rowie był roztrzaskany samochód i Ulisses się zatrzymał.

— Po co się zatrzymujesz? Czy z ciekawości? — zapytałam z obraźliwą chyba, jak to teraz widzę, nieufnością. Ale Ulisses odpowiedział spokojnie: — Zatrzymuję się po to żeby zobaczyć i po to żeby pomóc, o ile pomóc będzie można.

Tak... Ulisses wie jak utrafić w samo sedno, jak mierzyć umiar... a może nawet wie bez mierzenia...

Wieczorem

Donia Elena już słyszała, jak się okazuje, o ślubie w Los

Pinos i o mojej rozmowie z Don Edmundo. Nie zaczęła jednak o tym sama mówić i dopiero gdy jej powiedziałam, że jadę jutro rano do Mexico bo nie bardzo wiem jak im z Los Pinos odmówić, okazało się, że Donia Elena wszystko wie...

— Czy pani pojedzie do Mexico czy nie pojedzie — powiedziała — oni i tak będą wiedzieli o co chodzi... Ale Don Edmundo wie co mówi. Tutaj w Mbayo sami dobrzy ludzie, ale za tych z Los Pinos gwarantować nie możemy i gdyby się pani coś stało, Donio Marylito...

— Ale jeśli pani się coś stanie, „urocza sylwetko” — mówił wówczas *pan R.* śmiejąc się uśmiechem Ulissesa — jeśli pani się coś stanie, „urocza sylwetko”, niech pani raz na zawsze sobie zapamięta, że nikt pani w niczym nie pomoże... najwyższej *sandwich* pani do więzienia pošlemy, *c'est tout!*

— Mnie by się na pewno nic nie stało, Donio Eleno, ale nie pojedę na ślub bo już powiedziałam Don Edmundo że nie pojedę... Co by mi się zresztą mogło stać w Los Pinos? — zapytałam prowokująco.

— Kto wie co by się stać mogło, Donio Marylito... kto wie...

— Na przykład?

— Bo kiedyś zeszłego roku mężczyźni z Mbayo, nie chłopcy, ale panowie, jak Don Edmundo poszli tam na *fiestę* i w siatkówkę grali z tymi z Los Pinos. No i wygrali, Donio Marylito, a tamci tak byli na nich wściekli, że nie tylko ich niczym nie poczęstowali, ale nawet za żadne pieniądze jednej *tortiji* sprzedać im nie chcieli... Wrócili nasi panowie do Mbayo zgłodniali... Donio Marylito...

Więc nie pytałam już więcej, bo przecież ta odpowiedź nie była odpowiedzią na moje pytanie i rozmawialiśmy już potem o czym innym: o zwyczajach ślubnych w Mbayo, o cenach *pulque*, zmiennych zależnie od dnia, godziny, ulicy czy pagórka, deszczu czy pogody... No i o saradeli też rozmawialiśmy trochę, o tym dlaczego większość ludzi w Mbayo jest przeciwko saradeli, chociaż saradela jest przecież nieodzowna „gdy się ma w domu zwierzęta”, no i trzeba ją kupować od kupców z Las Animas bardzo drogo o ile się samemu nie zasieje...

I podczas tej rozmowy — a siedziałyśmy na tarasie *Ngeme*, na słomie, wyłuskując twarde ziarna z czarnych kaczanów kukurydzy — zapytałam Donię Elenę po raz pierwszy czy nie będzie miała nic przeciwko temu o ile te wszystkie informacje o *pulque*, o ślubie i o saradeli zapiszę sobie w notesiku.

— Bo gdy wrócę do Ameryki — powiedziałam — chcę żeby

dorośli w mojej szkole — bo do mojej szkoły chodzą tylko dorośli — dowiedzieli się o waszej ziemi...

Donia Aurora, z punktu przekonana i wyraźnie tą moją prośbą zaszczyczona zaczęła teraz mówić znacznie wolniej, patrząc pilnie czy wszystko w notesie zapisuję i odganiając od czasu do czasu dwie granatowe indyczki również moim notesem bardzo zainteresowane.

Ani Marii Wiktorii ani Dona Edmundo nie było dzisiaj w Mbayo. Maria Wiktorina spędza wtorki na Kalwarii a dziś właśnie wtorek, a Don Edmundo pojechał z Jorge do Atlacomulce po nasiona. W ogóle Mbayo było dość puste tego popołudnia, tak, że nie liczyłam nawet na to, że zobaczę się z Teodoro, zastałam go jednak reperującego płot od *coralu*, w którym ziewała właśnie, jednooka łaciata krowa. Teodoro zaprowadził mnie do ławki przed domem, ale drzwi nawet nie otworzył i wiedziałam już że i tym razem nie poprosi mnie abym weszła... Matki zresztą nie było w domu — powiedział Teodoro. Gdyby była — przygotowałaby dla mnie jajecznicę „bo właśnie jest jajko od tej białej kury”... Wyciągnęłam notes z cenami *pulque* i zaczęłam je sprawdzać z wiadomościami Teodoro na ten temat. Zgadzało się mniej więcej wszystko, ale brak było cen *pulque* z Hacienda Ruiz, to jednak nic dziwnego, bo Donia Aurora tam przecież nigdy nie chodzi...

Przed Teodoro nie potrzebowałam się oczywiście usprawiedliwiać z mego notesu i zapisywania. Jego zdziwiłoby raczej gdybym próbowała bez notatek zapamiętać te wszystkie szczegółowe informacje, bo przecież Teodoro na maszynie pisze i egzaminy zdawał...

Ale te rozmowy z Teodoro o cenach *pulque* to był tylko wstęp i pretekst. Chodziło mi przecież nie o sprawdzenie cen *pulque* a o zapytanie dlaczego Teodoro i chłopcy zbojkotowali Poświęcenie Szkoły. Nie wiedziałam jednak jak do tego tematu podejść, więc rozmawialiśmy tak o *pulque* z pół godziny. W pewnym momencie gdy nie mogłam ani rusz odcyfrować swego własnego pisma w notesiku, Teodoro zaśmiał się i powiedział:

— Czy nie byłoby prościej nagrywać to wszystko na magnetofon?

Była jakaś arogancja w tej uwadze, tak to w każdym razie odczułam, niecierpliwa byłam zresztą i bezsilnie zła na samą siebie za tę rozmowę nie na temat. Więc ze złością niezbyt dobrze zamaskowaną odpowiedziałam Teodorowi:

— Nie, nie byłoby prościej bo magnetofon jest za ciężki do noszenia. A potem, nie pozwalając mu na dalsze rady, które już, już odgadywałam z jego uśmiechu, zapytałam go wprost:

— A dlaczego nie byłeś na Poświęceniu Szkoły? Widziałam cię jak z chłopcami przyglądałeś się z daleka.

Uśmiech znikł z ust Teodora. Spuścił głowę zasępiiony i powiedział:

— Bo Don Edmundo nie pozwala nam grać w piłkę...

I nic już więcej z niego na ten temat wyciągnąć nie mogłam...

Z tą piłką enigmatyczną pojedę więc jutro rano do Mexico, a dziś w nocy, kto wie, może mi się będzie śniła piłka, wielka jak globus, a może małe piłeczki od ping ponga, trudno przewidzieć... a może piłka wielka jak ziemia...

Las Animas, 31 marca 1962 r. — wieczorem

I rzeczywiście pojechałam do Mexico — po nocy bez snów, wówczas gdy snów najbardziej oczekiwałam... I pojechałam tak jak myślałam, że pojedę: autobusem, o jedenastej przed południem. Przynajmniej to jedno się udało — ta jedenasta przed południem i ten właśnie a nie inny autobus, ten na którym napisane „Viva Amor!”, ten w którym plastikowa głowa niemowlęcia na rączce od hamulca. Z jakim tryumfem — pamiętam — spojrziałam na zegarek z niewątpliwą godziną jedenastą i zarejestrowałam w świadomości te autobusowe szczegóły. „Oto typowa granica naszej przewidywalności!” — pomyślałam. — „W taki właśnie sposób *udaje się* nam w życiu. Oto przewidywalne granice planowania i naszej kontroli nad ludzkim i nieludzkim światem... Przewidywalne, ale zwykle nieprzewidziane bo nie chcemy, nie potrafimy przewidywać aż takiej nieprzewidywalności... *Ecce Homo*... I ja też nie chcę, nie mogę, nie będę!...” — Tak mniej więcej myślałam. Bo prócz tego autobusu o jedenastej nic się poza tym *nie udało*, wszystko stało się inaczej niż to sobie wyobrażałam, a wyobrażam sobie tak a tak, bo tak a tak chciałam... Ale życie rozwija się zwykle wbrew naszym chceniom (może i życie Napoleona?) i teraz, właśnie w tej chwili, patrząc wstecz, chcę już retrospektywnie nie to czego chciałam, ale to co się stało. „Niech żyją fakty dokonane!” Ale na tej właśnie śliskiej kładce między rzeczywistością a wyobraźnią jakże łatwo się potknąć i fałszując swoją bezsilność... raz na zawsze stracić siłę...

Więc jeszcze raz: *nie stało się prawie nic z tego czego chciałam*, jedynie ten autobus „taki a nie inny” i ta godzina jedenasta

i za to „trochę” też jestem wdzięczna... Z jamy tradycji wysuwając głowę i patrząc w górę jestem wdzięczna Bogu przez duże „B” i z długą brodą, i Losowi przez duże „L” też jestem wdzięczna i Niewiadomemu przez duże „N”...

Nie stało się prawie nic z tego co chciałam, ale stało się co innego i z tego czego innego, i — powtarzam — niechcianego — już jestem naprawdę zadowolona, już je lubię bo się stało, bo je przeżyłam, bo — przeżyte — już je mam, tak jak miałam moje chcenie, teraz już minione, a więc historyczne...

... Trakt rzeczywistości z chceń i faktów... jedna belka — chęć... druga belka — fakt... *mam trakt pod nogami więc jestem!* Co za szczęście jedyne...

A działo się tak: ja myślałam, że ślub syna Don Antonio odbędzie się 31-go, a tymczasem odbył się wczoraj, tj. 30-go. Albo ja pokręciłam daty albo pokręcił je Don Antonio. Dość, że aby się z tego wesela w Los Pinos, zabronionego przez Don Edmundo wykreć, postanowiłam wyjechać w przeddzień ślubu do Mexico, a wrócić dnia następnego. U Doni Loli miałam zostawić list dla Don Antonio — i już go nawet zostawiłam w zalepionej białej kopercie — cała strona przeproszeń pisana dużym, drukowanym pismem, żeby Don Antonio na pewno potrafił przeczytać. Ale do tego w ogóle nie doszło, bo właśnie gdy wychodziłam z domu na autobus o jedenastej (wychodziłam zresztą o 40 minut za wcześniej), na *patio* wkroczył orszak ślubny z Los Pinos... Rzeczywiście „wkraczali”: poważni i uroczyści, najpierw mężczyźni w białych koszulach i spodniach z niebieskiego drelichu, potem kobiety w kolorowych spódnicach ze świecącego sztucznego jedwabiu i w bluzkach z rękawami długimi i bufiastymi...

Tak mnie ten orszak, jak ze złego snu, przeraził, że nawet nie zauważyłam, że pierwszym wkraczającym był oczywiście Don Antonio, młody jeszcze, wysoki i jak najbardziej zauważalny. Dosłownie znieruchomiałam i zaniemówiłam i nawet nie myślałam o niczym innym — pamiętam — prócz drżącego myślenia o mojej niebieskiej podróżnej torbie w żółtą kratkę, którą trzymałam w prawej ręce, akurat w taki sposób, że bezpośrednio za nią były purpurowe *bukambilie*, pnące się wysoko naokoło okna i jeszcze wyżej... Całą świadomość wypełniła mi ta torba niebiesko-żółta na tle purpurowych *bukambili* aż w końcu nie mogłam już wytrzymać tej jaskrawości i schowałam torbę za siebie... To pierwsze poruszenie zaraz mnie rozbudziło i zauważyłam wówczas, że Don Antonio stoi tuż przede mną, a przez bramę spostrzegłam pannę młodą w sukni białej, świecącej i bu-

fiastej, siedzącą razem z panem młodym w czarnych spodniach i białej koszuli, na koniu siwym i grzywiastym... Nie pamiętam już jak się usprawiedliwiłam z mojego autobusu do Mexico o jedenastej... Może kiedyś zapytam Donię Lolę o te moje usprawiedliwienia niezapamiętane, ale pamiętam doskonale, że Don Antonio wcale się nie zdziwił, że na wesele nie pojedę, tak, że moje usprawiedliwienia padały — pamiętam — w niewygodną pustkę i przez to jeszcze bardziej mnie peszyły...

Ani się nie zdziwił, ani nie namawiał, ani nie powiedział, że żałuje, poprosił tylko żebym młodą parę sfotografowała, więc wróciłam do mego pokoju, wyciągnęłam aparat i potem... co za ulga... już tylko samo fotografowanie: fotografia z Don Antonio trzymającym konia za uzdę i fotografia bez Dona Antonio... państwo młodzi na koniu i państwo młodzi obok konia... panna młoda sama z ojcem i koń z młodą parą wśród wszystkich...

Z tego mętliku weselnego — już na pewno nieistniejąca, bo niezauważona, z torbą moją za jaskrawą, ale już na pewno niewidzialną i z aparatem fotograficznym najważniejszym, biegłam potem jak najprędzej przez calle de la Rabia i już wolniej, przez calle de la Paz bo stamtąd już było widać autobus, już wiadomo było że jedenasta.

Las Animas, 2 kwietnia 1962 r. — popołudniu

W Mexico byłam tylko jeden dzień: niepotrzebny i nieunikniony, jak złe stąpanie. Właściwie nie powinnam była w ogóle pojechać. Bo po co skoro i tak mnie zobaczyli i tak wiedzieli, że nie pojedę na ślub i w dodatku w ogóle się tym nie zdziwili i nie mieli nic przeciwko temu. Trzeba było rozpakować niebiesko-żółtą torbę i zostać. Ale tego nie potrafiłam zrobić bo brakowało mi interpretacji. Brakowało mi jakiegokolwiek, choćby fałszywego, choćby najbardziej prowizorycznego zrozumienia tej sytuacji i jedyną możliwą reakcją był ten pośpiech bezsensowny: inercja nieuzasadnionej już w tym wypadku decyzji... Czasami rozładowują się takie inercje w momencie osiągnięcia któregoś tam, może nawet i pierwszego etapu celu jakkolwiek trywialny ten cel. W momencie gdy dobiegłam do autobusu mogło przyjść zrozumienie i mogła wyłonić się decyzja powrotu. Ale ani na przystanku autobusowym, ani w autobusie, ani później w Mexico nie wyjaśniło się nic i oto znowu jestem w Las Animas nadal nic nie rozumiejąc.

Donia Lola wypytała mnie już szczegółowo o to jak się w Mexico „bawiłam” i nigdy jeszcze tak się nie zmęczyłam jej

pytaniem a może jeszcze bardziej moimi własnymi odpowiedziami, jak banalne nowelki o kim innym. Gdybym potrafiła łatwiej zapominać, gdybym nie pamiętała na przykład o tym co powiedział mi Don Edmundo a potem potwierdziła Donia Lola, że między Panami z Mbayo a Panami z Los Pinos stosunki są teoretycznie poprawne, ale w gruncie rzeczy bardzo napięte — może wówczas wytłumaczyłabym sobie reakcje Don Antonio jako rezultat interwencji Don Edmundo, i takie choćby częściowe wytłumaczenie przyniosłoby mi wielką ulgę... Ale cóż z tego kiedy nie potrafię (i nie chcę) niczego zapomnieć... „jak policjant” pamiętam wszystkie szczegóły, jak to zauważył kiedyś Ulisses.

Ale nie przed ludźmi i nie przed samą sobą bronią mnie chyba te moje kartoteki wewnętrzne i gdyby Ulisses się nad tym zastanowił pewno by zrozumiał. Chodzi o to że nie chcę żadnych uogólnień ani naukowych ani poetyckich wbrew tym szczegółom męczącym i prawdziwym. Nie wiem, więc czekam. Z nadzieją że dożyję wyjaśnień. Jedynym ratunkiem jest czasami wiara w czas, mimo, że czas podobnie jak inne wiary tyłu już ludzi zawiódł.

Z Ulissem spotkałam się jak zwykle we *Flor de Mexico*, ale nie opowiedziałam mu nic o tym co się stało w Mbayo i dlaczego tu przyjechałam. To czego Ulisses chce od ludzi to nie detale ich życia, ale uzasadnione uogólnienia z którymi konfrontuje swoje własne, liczne, zmienne i bardzo własne intelektualne zdobycze... W ten sposób rozmawia z przyjaciółmi z *Quadernos Americanos* i w ten sposób rozmawia ze mną. Dla Ulissesa niezanalizowane szczegóły: własne czy cudze są jedynie materiałem do zanalizowania i dopiero dla zrozumianych faktów ma on szacunek. Wściekle szybko miał się na żarnach liczne fakty jego zwariowanie intensywnego życia a to co nie zdąży się zemleć to dla Ulissesa plotki lub śmieci. Nie mógłby być nigdy etnografem taki Ulisses: zawsze skoncentrowany i chłonny ale bardzo niecierpliwy...

— Napisałeś mi niedawno, że w Mexico dzieją się ciekawe rzeczy i, że wkrótce zdarzy się pewno coś jeszcze ciekawszego, powiedz czy się to już zdarzyło? — zapytałam Ulissesa. — I jeśli się zdarzyło to co znaczy to zdarzenie, bo do Las Animas oczywiście nie dochodzą prawie żadne wiadomości, a ja poza tym za mało jeszcze wiem o strukturze politycznej Meksyku...

Piliśmy mocną kawę mokka, w małych filiżaneczkach i jedli długie, lekkie i puste ciastka *banderille*... naokoło nas siedzieli sami prawie mężczyźni, przy małych stolikach nad filiżaneczkami czarnej, z białymi papierosami, szczupli i ciemni, o czarnych lśniących oczach i ostrych profilach. Ulisses był do nich i podob-

ny i niepodobny. Znał przynajmniej połowę spośród nich, ale nikt nie podszedł do naszego stolika.

— Oni wszyscy rozmawiają o tym samym co my — zaśmiał się Ulisses — jestem tego pewny, bo właśnie dzisiaj w *Universal*...

— I jest to bardzo ważna zmiana — mówił dalej... — posłuchaj...

— — — — —
— — — — —
— — — — —
— — — — —
— — — — —

Słuchałam jedząc bardzo ostrożnie moją *banderillę*, tak żeby nie chrupała i potem miałam wielką ochotę na drugą mokrą, ale nie chciałam przerywać monologu Ulissesa, więc nie zawołałam kelnera. I potem słuchałam jeszcze nie wiem jak długo już bez *banderilli*, zadając od czasu do czasu pytania, chwytając od czasu do czasu słowa i nawet całe zdania z podobnych rozmów przy innych stolikach... I najpierw trochę, a potem coraz bardziej byłam tym co mówił Ulisses zdziwiona i rozczarowana. Bo to co się stało w Mexico i o czym oni wszyscy tak zawzięcie dyskutowali, nie było wcale tym czego się spodziewałam.

Była to po prostu ważna zmiana w strukturze polityki wewnętrznej i nic więcej... a ja tymczasem z perspektywy mojego życia którego tutaj nikt chyba tak naprawdę nie jest już w stanie zrozumieć, ja myślałam terminami rewolucji i powstań, ja myślałam o jakimś naprawdę radykalnym przedefiniowaniu wszystkich społecznych zadań i znaczeń, o śmiertelnych niebezpieczeństwach i cudownych uratowaniach...

Ja i Ulisses... Ja i Oni... A może jednak w jakiś sposób „My”? Bo nawet jeśli oni nie są w stanie przetłumaczyć swego życia na moje, to ja przecież na pewno potrafię przetłumaczyć moje życie na Ich życie i nie ma chyba w tym przekonaniu żadnej aroganckiej dumy... Może jest trochę redukcjonizmu i trochę smutku, ale dumy nie ma. Bo z czego? Ich Rewolucja — ale Ulisses przecież nie wiele już z niej może pamiętać. Ulisses był dzieckiem podczas Rewolucji, więc może pamiętać jej cień, a może światło... Ulisses i jego rówieśnicy wychowali się na epifenomenach Rewolucji a poza tym ta ich Rewolucja należała do jednej epoki historycznej podczas gdy moja Wojna, moje Powstanie, do innej i ja pamiętam (bo jakże bym nie miała pamiętać?) każdy grób, każdy zawalony dom, każdy kwiat na ruinach, każdy granat domowej roboty, każdą piosenkę...

— Słuchaj Ulisses... — ale nic mu wówczas nie powiedziałam i Ulisses tylko na chwilę przerwał swój monolog namiętny i pełen treści... Odłożyłam więc na później to co miałam wów-

czas powiedzieć... trochę dlatego, że nie chciałam stracić dalszych treści Ulissesa, a mieliśmy jeszcze tylko pół godziny, bo za pół godziny odjeżdżał mój autobus, a trochę dlatego, że właściwie nie bardzo wiedziałam jak wyrazić to co mu chciałam powiedzieć... Może kiedyś mi się to lepiej wyjaśni i wówczas Ulissesowi lub komuś już innemu o tym powiem.

W tej chwili widzę to już odrobinę jaśniej: więc niepowtarzalne są sytuacje historyczne, na tym polega właśnie ich „historyczność” — niepowtarzalne, ale jednocześnie można je jakoś częściowo przekazać innym. Można się z ludźmi na pewno nie tylko międzynarodowo, ale i między-etnicznie i między-historycznie porozumieć. Trudność polega na tym, że człowiek chce zbyt dużo od człowieka: żąda zupełnej przetłumaczalności, porozumienia całkowitego, jedności niemożliwej i dlatego zafałszowanej, która jak każdy inny fałsz zabija wszelkie porozumienie...

Las Animas, 3 kwietnia 1962 r. — wieczorem

Całe przedpołudnie spędziłam dzisiaj w Mbayo — spokojne „etnograficzne” godziny i właśnie skończyłam przed chwilą klasyfikowanie tych wszystkich moich cierpliwych i nie zrozumianych jeszcze informacji. Na tej kartce dane na temat budżetów rodzinnych — na tej drugiej takiej samej tylko z innym numerkiem ważne dane na temat produkcji *pulque* etc. Wszystkie te dane cierpliwie wbrew moim nadziejom i przewidywaniom. Bo chciałam się dowiedzieć oczywiście przede wszystkim o Los Pinos, zrozumieć dziwne reakcje Don Antonio, zrozumieć niewyjaśniony zakaz Don Edmundo... Te zrozumienia były dla mnie najważniejsze gdy wcześniej niż zwykle, krótszą drogą przez strome pagórki szłam dzisiaj do Mbayo... „Najważniejsze bo mój punkt widzenia jest socjologiczny raczej niż etnograficzny” — myślałam — i tego rodzaju zrozumienia są nieodzowne dla interpretacji „spokojniejszych” danych... W ten sposób myślałam idąc do Mbayo, no i zrobiłam oczywiście wszystko co było w mojej mocy aby naprowadzić rozmowę na ten temat. Ale niczego się nie dowiedziałam. Ani od Don Edmundo ani od Doni Eleny, ani od Jorge, ani od Weroniki z którą spędziłam chyba ze trzy godziny pomagając jej robić *tortije*. Wszyscy oni zbywali mnie nic nieznaczącymi odpowiedziami, zmieniali temat, wykręcali się jak mogli... tak mi się przynajmniej zdawało, a potem przyszło mi na myśl, że może to ja po prostu nie umiem zadawać odpowiednich pytań, że może ktoś inny (Malinowski, Radcliffe-Brown — jeden z tych Niewątpliwie Kompetentnych) potrafiłby pytać tak aby się dowiedzieć...

I wówczas rozczarowana bardzo uświadomiłam sobie nagle, że może odpowiedzi na te właśnie pytania nie są aż tak ważne dla moich badań, jak mi się wydawało, że może ta ich ważność wypływa z motywów osobistych raczej niż naukowych, bo przecież to zaproszenie na ślub, ten zakaz i tajemnica to moje pierwsze prawdziwe zahaczenie się o ich życie... Nie wiem jeszcze w jaki sposób, ale na pewno *jakoś* i na pewno *prawdziwie* moje życie splątało się z ich życiem: sama inercja mego istnienia coś im tam obiecała (im z Los Pinos) i czymś im tam zagroziła (im z Mbayo)... Już nie samymi pytaniami, tym razem, ale własnym życiem wprowadziłam w ich życie niepokój i naokoło tego niepokoju zaczęła się formować moja pierwsza rola społeczna w *Ich świecie* oglądanym dotąd jedynie z zewnątrz.

Prócz tych etnograficznych danych, najróżniejszych detali, które dopiero kiedyś w przyszłości ułożą się w jakąś całość, zdobyłam dzisiaj coś znacznie ciekawszego: opis dnia Weroniki, najstarszej córki Doni Eleny. Weronika i jej mąż Jorge wstają codziennie o 6-ej rano a kładą się spać dopiero między 10-tą a 11-tą co nie jest zresztą typowe dla mieszkańców Mbayo zasypiających na ogół znacznie wcześniej, „razem z kurami”, gdy się zaczyna ściemniać. Ale Weronika i Jorge „lubią rozmawiać” a Jorge umie nawet trochę czytać — jest to najbardziej wykształcona młoda para w Mbayo... stąd te późne godziny przy lamce naftowej czyli „bez światła” bo „światło” dla Weroniki i Jorge to jedynie światło elektryczne, które „niedługo już przyjdzie do Mbayo”, jak zapewniła mnie Weronika.

O 6-ej rano jest już zwykle jasno i zaraz po obudzeniu się Jorge zaczyna pracować „naokoło domu” przygotowując chróst dla Weroniki, reperując ściany lub dach, karmiąc prosięta... podczas gdy Weronika rozpala ogień na trójkamiennym piecu w rogu izby i przygotowuje *tortije*. O 8-ej jedzą wszyscy razem śniadanie: Jorge, Weronika i troje małych dzieci: jedzą *tortije* popijając *atole*, białym napojem z kukurydzy. A potem Jorge wychodzi do pracy w polu na odległych ziemiach *ejidalnych* i wraca dopiero o 4-ej popołudniu. Przez ten czas Weronika sprząta, idzie na rynek do Las Animas po zakupy i przygotowuje obiad: znowu *tortije* i czasem rosół z kawałkiem mięsa, czasem jedzą fasolę kupowaną w Las Animas i Jorge popija *pulque*. Po obiedzie już się nie pracuje, ale zawsze jest coś do roboty około prosiąt i drobiu. Wieczorem już nic nie jedzą bo w Mbayo kolacja jest nieznaną... Chyba że idą do *Ngeme* do rodziców Weroniki, którzy zawsze jedzą wieczorem bo Donia Elena tak się przyzwyczaiła w swoim *barrio*, *La Fuente*.

Las Animas, 5 kwietnia 1962 r.

Nie mogę przestać myśleć o Los Pinos. Wczoraj znowu krążyłam naokoło tego tematu w rozmowach z Don Edmundo i Donią Elena, ale nie dowiedziałam się nic, a nie chcę zadawać żadnych zbyt bezpośrednich pytań. Mogłabym oczywiście — przyszło mi to kilka razy na myśl — porozmawiać o Los Pinos z kimkolwiek z Las Animas z Don Miguelem, właścicielem tekstylnego sklepu, z Conchitą, siostrą *presidente municipal*, z nauczycielem Chano, z Donią Lolą... Byłoby to może najprostsze i kto wie, może nawet bez moich pytań kiedyś od nich a nie od ludzi z Mbayo dowiem się o tym. Ale wolałabym dowiedzieć się o tym bezpośrednio od ludzi z Mbayo... To jest ich tajemnica, ich prawda, ich odpowiedź i czułabym się i oszukana i oszukująca otrzymując ją od innych.

Ale mimo braku tej najważniejszej odpowiedzi moje badania idą chyba dobrze. Zapełniają się szybko czarne notesy i twarde kartki z numerkami. Dziś na przykład pracowałam cały dzień nad religią i prawie wszystkie te religijne dane pochodzą od Don Edmundo bo od czasu tej historii z Los Pinos staram się naturalnie widywać go jak najczęściej z jego strony oczekując najistotniejszych wyjaśnień.

Las Animas, 6 kwietnia 1962 r. — rano

Muszę choćby krótko zanotować coś przed wyjściem do Mbayo bo nie powinny wśród nowych spostrzeżeń i wrażeń zniknąć wrażenia i spostrzeżenia wczorajsze. Otóż mimo to, że nie dowiedziałam się nic o Los Pinos — moja wczorajsza rozmowa z Don Edmundo była bardzo interesująca. Prócz kilku świętych obrazów (sfotografowanych i opisanych dokładnie na twardej kartkach) dość zresztą banalnych reprodukcji pod szkłem, jest w chatce Dona Edmundo ciemny blaszany obraz przedstawiający dusze w czyśćcu, podobny do tego, który widziałam zeszłego roku podczas Zaduszek w *Ngeme*, ale bardziej skomplikowany. Podobnie jak na obrazie z *Ngeme* bardzo biały mężczyzna i bardzo biała kobieta oboje około pięćdziesiątki mniej więcej i oboje prawie nadszy, ale z różnicami na szyjach, kłęczą naprzeciwko siebie z dłońmi złożonymi do modlitwy, a pod nimi ciemno-czerwone płomienie. Gdy się wpatrzyłam uważniej (obraz ten był tak ciemny i zamazany że pewno nie wyjdzie dobrze na fotografii) zauważyłam jednak, że te ciemne płomienie pełne są najróżniejszych stworów, które ludzkimi lub zwierzęcymi ła-

pami czeptały się białych kolan rozmodlonej pary. Jedne z tych stworów miały ludzkie twarze, inne chimerowate twarze nieistniejących zwierząt... „Aaa — diabły i wampiry!” — zawołałam najniepotrzebniej i Don Edmundo oczywiście potwierdził tę moją diagnozę... „Diabły i wampiry” — powtórzył, ale znam już zbyt dobrze, aby im ufać te ich tutejsze uprzejme potwierdzenia: w ten sposób zawsze rozmawiają z tymi „Którzy Wiedzą”, a jeśli ci „Którzy Wiedzą” są w dodatku ich gośćmi, gościnność nie pozwala na jakiegokolwiek zaprzeczenia, zwłaszcza w takich nie wiele znaczących, z ich punktu widzenia, rozmowach. I potem trzeba dopiero akrobatycznie i mozolnie wyciągać z nich ich własne przez nich samych niedoceniane, a dla takich badań zasadnicze zrozumienia... Więc trzeba było nie pisać ani słowa o diabłach i wampirach... jak z obrazów Boscha, jak z najkoszmarniejszych dzieciennych snów... A może są „badacze” którzy potrafią raz na zawsze zapomnieć o swoim życiu podczas takich badań... może... Ale czy unikając w ten sposób mylnych przetłumaczeń, nie zatracają oni jednocześnie raz na zawsze zdolności tłumaczenia z jednego świata na drugi? Nie wiem...

Te diabły i wampiry — czymkolwiek one dla nich są — starają się pazurami ściągnąć rozmodloną parę do ciemnych płomieni.

— Tam na dole jest piekło — powiedział Don Edmundo (a ja już potem nic nie mówiłam tylko słuchałam uważnie) a tam na górze nad nimi, widzi pani Donio Marylito, jest taka jasna smuga, ta smuga to droga do nieba, a tam w obłokach...

Wpatrzyłam się w szare esy-floresy nad białą smugą, która wyrastała jakby z głów pary i rzeczywiście w tych esach-floresach, które były, już wiedziałam, obłokami, zauważyłam dwie kobiece postacie w długich szatach...

Ta większa to Dziewica Maria — powiedział Don Edmundo — a ta mniejsza to Dziewica Carmen, a tam w środku między piekłem i niebem — bo obie Dziewice Najświętsze są w niebie — jest czyściec. Dziewica Maria i Dziewica Carmen, widzi pani Donio Marylito — starają się wyciągnąć dusze moich dziadziusiów z czyścica... ale to nie tak łatwo bo „tamci z piekła” ściągają ich, jak pani sama widzi na dół. A — oni, mój dziadzius i moja babcia, modlą się i modlą, żeby się z czyścica wydostać i my się też za nich modlimy bo bardzo ich te płomienie przypalają... i w końcu się wydadzą, Donio Marylito... Bo wydostają się wszyscy, ale musi to potrwać.

— Jak to, nikogo nigdy „tamci z piekła” nie potrafią ściągnąć na dół? Nikt nie dostaje się nigdy do piekła? — zapytałam ze zdumieniem...

— Nikt, Donio Marylito, nikt — odpowiedział Don Edmundo z przekonaniem.

— Nawet dziedzic z Hacienda Ruiz? — pytałam dalej — nawet nieznany morderca, który zabił przywódcę waszych *agrarios*, jak on się nazywał, aha już pamiętam, Don Roberto Devalos... Nawet ten żołnierz ateista, który podłożył dynamit pod skałę w Las Animas, tę skałę w kształcie Matki Boskiej z Guadalupe...?

— Nawet on nie jest w piekle, Donio Marylito — oni są wszyscy w czyścicu i my się za ich dusze też modlimy a Dziewica Maria z Dziewicą Carmen im także pomagają...

— W Europie... — zaczęłam, ale zaraz się poprawiłam i powiedziałam — „*en mi tierra*”, bo nie chciałam tracić czasu na tłumaczenie Don Edmundo co to jest Europa... — W mojej ziemi, Don Edmundo, jest więcej obrazów piekła i nieba niż obrazów przedstawiających czyściec — czy u was też się maluje obrazy na których jest piekło i obrazy przedstawiające niebo?

— Nikt z naszych malarzy nigdy takich obrazów nie malował — zapewnił mnie znowu Don Edmundo — bo po co?

— A czy wiadomo kiedy dokładnie dusze z czyścica przechodzą do nieba? — zapytałam — bo skoro przecież istnieje niebo — nudziłam go dalej moją na pewno zbyt uproszczoną logiką — to przecież ktoś tam musi być prócz aniołów Boga i świętych...

Ale Don Edmundo nie spieszył się mojemu indagacjami:

— Tak na pewno to wiadomo jedynie, że *los angelitos* są w niebie, dusze dzieci, które ubieramy w trumnie jak aniołki i fajerwerki dla nich strzelają przez całą noc — musiała pani słyszeć nawet z Las Animas... Nie słyszała pani fajerwerków zeszłego tygodnia w nocy? Bo umarła dziewczynka w tym domu koło studni i do nieba posyłałiśmy ją jako *angelito*... może pani słyszała fajerwerki bo czasem na calle de la Rabia też się słyszy...?

— Nie, nic nie słyszałam...

— No, to jak pani się sprowadzi do nas do Mbayo — powiedział najniespodziewaniej Don Edmundo — będzie pani miała często okazję oglądania jak do nieba idzie *angelito*, bo u nas dużo dzieci umiera... O innych nigdy nie wiadomo czy są już w niebie czy jeszcze w czyścicu, ale jedno jest pewne, że kiedyś wszyscy się do nieba dostaną...

Las Animas, tego samego dnia wieczorem

Maria Wiktoria opowiedziała mi dzisiaj bardzo dużo i szczegółowo o pogrzebach małych dzieci i przez całe popołudnie przepisywałam te jej dane na twardych kartkach. Ale Maria Wiktoria

patrzy na to wszystko zupełnie inaczej niż ja i byłaby pewno znacznie lepszą etnografką. Pamięta ona rzeczywiście wszystkie szczegóły: z jakich kwiatów o jakiej porze roku robi się koronę dla *angelito*, co się pije w nocy przy trumnie gdy nie można zrobić zwyczajowej herbaty z kwiatu pomarańczy — kto kupuje sukienkę dla *angelito*, gdy nie żyje już jego chrestna matka... To są wszystko niewątpliwie ważne szczegóły i trzeba je wszystkie zanotować w nadziei, że kiedyś ułożą się w zrozumiałą całość... Ale ta całość najważniejsza dla Marii Wiktorii nie wiele znaczy. Jej podejście do tych zwyczajów jest podobne do podejścia „dobrej dziedziczki” — tłumaczyło mi się gdy z nią o tym rozmawiałam — takiej ciotki Janki na przykład, która zawsze rozumiała „smutki prostych ludzi”, brała w nich w jakiś tam sposób udział, gdy „mogła pomóc”, ale jednocześnie patrzyła jednak jakoś z góry na te ich „chłopskie obyczaje” na te stypy smutno-wesołe, ziółka, ognie i kadzidła zapewniające i przeciwdziałające. Dla niej to były wszystko „przesady”, które „są zrozumiałe w tym stadium rozwoju” i nawet „ładne i wzruszające, więc nie warto i nie trzeba ich *par force* zmieniać”. Maria Wiktorii myśli podobnie i nigdy — powiedziała mi — nie próbowała tłumaczyć *Mazabuom*, że na przykład szkoda pieniędzy na tyle fajerwerków wyprawiających *angelito* do nieba, że byłoby znacznie lepiej aby te pieniądze zaoszczędzili i wydali potem na doktora, gdy rozchoruje się następne dziecko... Jej taktyka jest inna. Nie zwalczając bezpośrednio „przesądów” stara się wprowadzać Postęp, stara się oświecać i ureligijniać podczas swoich „godzin pracy”, w ciemnej świetlicy w której uczy kobiety i dziewczęta szycia i gotowania... Tam, słyszałam, jak tłumaczyła im kiedyś „w jaki to sposób podczas mszy świętej woda przemienia się w wino”: im, „przesądnym i prymitywnym” tłumaczyła i tłumaczyła te swoje prawdy ze świata tych, „Którzy Wiedzą”... Te rozmowy (wywiady?) z Marią Wiktorią odbywają się zwykle w ten sposób, że po prostu wracamy razem z Mbayo do Las Animas i po drodze rozmawiamy. Zwykle idziemy wąską ścieżką przez strome góry, wśród kaktusów, skał i kwiatów i często gdy wracamy zachodzi właśnie słońce nad łąkami i rzeką i zmieniają się od tego zachodzącego słońca kolory chmur i kwiatów... Trudno czasami o uważne skupienie i kontynuowanie wątków rozmowy na tej ścieżce wąskiej wśród coraz to innej i ciągle jeszcze nowszej urody tego ich świata... Ale mimo większej chyba dzisiaj niż zwykle bujności słońca i kwiatów, dowiedziałam się wiele od Marii Wiktorii, a najważniejsze z mego punktu widzenia było to, że nie wszystkie *angelitos* to małe dzieci. Czasami umiera dziesięcioletnia dziewczynka lub chłopiec i też ich chowają jako

angelitos, już po pierwszej komunii, już zdolnych do grzechu... A czasem umiera 18-letnia dziewczyna i też się ją wyprawia do nieba jako *angelito*. Ale 18-letniego chłopca nigdy się za *angelito* nie uważa, no i zamężna, 14-letnia choćby dziewczyna, też nie może pójść do nieba jako *angelito*... Maria Wiktoria zaczęła się tak śmiać gdy ją o to zapytałam, że na chwilę musiałyśmy się zatrzymać i śmiałyśmy się obie jak zwariowane. Po tym jej śmiechu zaraźliwym zostało mi ważne zrozumienie, ale o tym nie warto było nawet z Marią Wiktorią rozmawiać. Więc strata „cnoty” (udowodniona w wypadku małżeństwa i przypuszczalna, założona w wypadku nieżonatego 18-letniego chłopca) jest dla nich, Indian *Mazahua*, grzechem, a może zresztą nie grzechem lecz stanem ciała i ducha, bardzo specjalnej kategorii. A seksualna niewinność dzieci i młodych (ale tylko bardzo młodych bo na przykład gdy dziewczyna ma już powiedzmy ponad 25 lat nikt by jej nie pochował jako *angelito* nawet o ile „cnoty” nie straciła) ta seksualna niewinność jeszcze niedorostłych jest jedyną gwarancją bezpośredniego zbawienia... Bardzo to ciekawe, rzeczywiście i na pewno okaże się jeszcze ciekawsze kiedyś w przyszłości gdy będę już wiedziała więcej o innych dziedzinach życia *Mazahuów* z Mbayo.

Las Animas, 11 kwietnia 1962 r. — wieczorem

Przez kilka ostatnich dni nie miałam czasu pisać, ale praca moja idzie bardzo dobrze i to głównie dzięki pomocy Don Edmundo, który jest dla mnie wyjątkowo uprzejmy i tłumaczy mi wszystko o co tylko zapytam bardzo rzeczywiście cierpliwie, tak, że często aż się dziwię tą jego cierpliwością. Maria Wiktoria, której o tym wspomniałam mówi, że Don Edmundo „to wielki gaduła, a ponieważ ma teraz więcej czasu niż poprzednio więc nic dziwnego”. Nie sądzę jednak aby to wytłumaczenie było wystarczające. Nie mogę tego oczywiście udowodnić, ale wydaje mi się, że cierpliwość Don Edmunda ma jednak coś wspólnego z tym, że go usłuchałam w sprawie Los Pinos i z tym, że nigdy więcej go już o to bezpośrednio nie indagowałam. Więc może Don Edmundo rewanżuje się cierpliwością za moją niełatwą cierpliwość. Ten ton naszych rozmów, to wzajemne nieoczekiwane zaufanie jest dla mnie dużo cenniejsze od wszystkich danych etnograficznych, które piętrzą się na moich twardych kartkach po każdej rozmowie z Don Edmudem.

Ale prócz tych danych z twardych kartek mam przecież coś znacznie ważniejszego, ten ich czyściec jeszcze niezaklasyfikowany, pełen płomieni i nadziei. Kto wie, może to będzie właśnie moją Wielką Hipotezę i powinnam się czuć szczęśliwa choćby z samego przecucia tej hipotezy...? Bo jeśli religia naprawdę coś znaczy dla ludzi, którzy ją „mają”, musi być ona jakoś związana z ich życiem społecznym najgłębszym, z ich aspiracjami, wątpliwościami, trudnościami, przewyciężeniami i klęskami. Więc może ten czyściec z niebem ponad nim, trudnym ale ewentualnie osiągalnym i z piekłem na dole, pełnym diabłów i wampirów, które mimo wysiłków nie potrafią nikogo do piekła ściągnąć... może tego rodzaju czyściec jest najprawdziwszym symbolem ich codziennego życia trudnego, ale nie beznadziejnego, pełnego niebezpieczeństw, ale mocno osadzonego w ich solidarności społecznej niezawodnej.

O tym czyścicu już teraz mogłabym napisać artykuł, porównać koncepcje czyścica w różnych społeczeństwach, albo jeszcze lepiej, zastanowić się nad tym dlaczego w jednym społeczeństwie mówi się więcej o niebie i piekle a prawie nic o czyścicu a dla nich, *Mazabuów* z Mbayo (a może dla wszystkich *Mazabuów*) piekło i niebo prawie nie istnieje... Bo przecież na moje pytanie czy *Mazabuowie* malowali także obrazy piekła i nieba, Don Edmundo odpowiedział, że obrazów piekła i nieba nigdy się u nich nie malowało, „bo po co”?

I mogłabym może napisać o tym ich czyścicu wiersz... ale nie teraz, bo za mało jestem jeszcze w tę moją Wielką Hipotezę wciągnięta. Fascynuje mnie ona intelektualnie, ale jej nie odczuwam, tak jak się odczuwać powinno... Nie potrafiłam się jeszcze w ten czyściec naprawdę wciągnąć, bo zbyt jestem zaabsorbowana, jak zwykle, tym co dla mnie zawsze najważniejsze: zahaczeniem własnego życia o życie ich z *Mbayo*. Nie ma we mnie miejsca na nic więcej prócz tej Wielkiej Ciekawości, co do Los Pinos zabronionego i myśląc o Los Pinos, myślę jednocześnie o tym co powiedział Don Edmundo, że „gdy zamieszkać w Mbayo, wówczas...” To co się kryje za tym „wówczas” jest naturalnie znacznie mniej ważne niż sam fakt zaproszenia i ten fakt, jestem pewna, ma coś wspólnego z tym, że bez żadnych dalszych pytań, z pełnym (ślepy?) zaufaniem przyjąłam zakaz Don Edmundo, jednego z najważniejszych, o ile nie najważniejszego spośród panów z Mbayo.

Las Animas, 12 kwietnia 1962 r. — rano

W jakich okolicznościach, jakich społeczeństwach, pod wpły-

wem jakich dziejów ludzie od ludzi wymagają takiego właśnie ślepego zaufania? Bo zdarza się to przecież i wśród „prymitywnych” i wśród „cywilizowanych”, w krajach o różnych religiach, między ludźmi najodleglejszych generacji.

— W Stanach Zjednoczonych — mówiła mi kiedyś Zosia, i nie wierzyłam jej wówczas, bo było to jeszcze przed moim zetknięciem się z Ameryką — w Stanach Zjednoczonych, gdy się okaże ludziom tego rodzaju zaufanie, wyglądają na bardzo speszonych, nie wiedzą jak reagować. Czy podobnie reagowaliby wszyscy ludzie wychowani w „kulcie bezosobowości”? Amerykanie ale również i Indianie Panajachel z Guatemali? Może należałoby mówić o społeczeństwach „obiektywistycznych” (kult bezosobowości) i społeczeństwach „personalistycznych” jak np. Polska i Meksyk... I czy ślepe zaufanie jest zawsze sprzeczne z racjonalizmem? Bo jeśli nie jest, to nie powinno się tego rodzaju zaufania nazywać „ślepy”...

Wieczorem tego samego dnia

Za kilka dni inauguracja Szkoły! Tak w każdym razie zapewnili mnie Don Edmundo i Don Pablo i tym razem naprawdę im uwierzyłam. Nie ma jeszcze dachu ale za parę dni będzie, nie ma okien ale za parę dni będą, nie ma ławek, ale je przywiozą w dzień inauguracji, no i sam Gubernator z Toluki przyjedzie.

— Niech pani pamięta Donio Marylito — powiedział Don Edmundo — żeby pani tego dnia przyszła wcześniej, bo nie wiemy kiedy Gubernator przyjedzie więc trzeba wszystko z góry przygotować żeby wstydu nie narobić. I niech pani nie zapomni zabrać aparatu fotograficznego i tego swego *portagłosu*, żeby nagrać przemówienie Gubernatora.

— Gubernator jest sławnym lekarzem i bardzo porządnym człowiekiem — powiedziała Maria Wiktoria. „A poza tym sympatycznym i przystojnym...” — chciałam dodać bo poznałam go przecież zeszłego roku na raucie z okazji Kongresu Socjologicznego, ale zorientowałam się w sam czas, że tego rodzaju „wynanie” skomplikowałoby niepotrzebnie i tak już skomplikowane pojęcie jakie mają o mnie *Mazahuowie* z Mbayo. Marii Wiktorii mogłabym to była jakoś wytłumaczyć, ale przy tej rozmowie byli i Don Edmundo i Don Pablo, nie powiedziałam więc nic. „Moja ziemia to Polonia, Polska, daleko za wielką wodą, ale w mojej ziemi nie mogę mieszkać bo rząd jest zły... jest to rodzaj dyktatury”... Tak im to wytłumaczyłam dość już dawno temu, bo słowo „dyktatura” mniej więcej rozumieli. „Mu-

siałam więc wyjechać z mojej ziemi i teraz uczę dorosłych w nieswoim kraju, w Stanach Zjednoczonych i dlatego jestem *extranjera*, cudzoziemka i dla tych ze Stanów Zjednoczonych i dla tych z Mexico i dla tych z Las Animas i dla nich z Mbayo...” O Polsce opowiadam im dużo, o Stanach Zjednoczonych mało. Mówię im tylko o „mojej szkole dla dorosłych” i o stypendium, które stamtąd dostałam, „aby dowiedzieć się jak żyją ludzie w Meksyku i opowiadać o tym później moim uczniom”. W żadnym wypadku nie powinnam im zawracać głowy zbyt wieloma światami, w których żyłam i żyję, a zwłaszcza nie powinnam się przyznawać do tego, że moje Mexico to nie ich Mexico. Oni starają mi się pomóc w zrozumieniu meksykańskiego życia i oni mają prawo wtajemniczyć mnie w życie tej ich mało znanej, wielkiej i niebezpiecznej stolicy...

Tak... ale skoro jestem *extranjera* to dlaczego mój kraj nazywa się Polonia a nie *Extrania* — zapytała mnie, pamiętam, Lucita, gdy pierwszy raz jej o tym mówiłam, a potem chciała wiedzieć czy Polacy, którzy mieszkają w Polsce też są, tak jak ja, *extranjeros*? Bo gdy Pedrito wrócił z robót pod Mexico opowiadał jej, że spotkał tam ludzi bardzo podobnych do nich z Mbayo, ale mówili oni jakimś dziwnym językiem, ani po hiszpańsku ani po *mazahua*, tak, że nie można się było z nimi porozumieć, więc może byli to także *extranjeros*, chociaż nazywano ich tam *Inditos*, tak jak czasem nazywają w Las Animas ludzi z Mbayo.

Jedyny człowiek w Mbayo, z którym mogę o tych rzeczach rozmawiać to Don Edmundo, zawsze ciekawy nowych pojęć i zawsze inteligentny. Z innymi nawet nie warto próbować i gdy zaczną zadawać tego rodzaju pytania, najlepiej zmienić temat...

Las Animas, 13 kwietnia 1962 r.

W Mbayo przygotowania do przyjazdu Gubernatora „za kilka dni” (nie byłam się w stanie dowiedzieć którego dnia przyjeżdża) i o niczym innym ani z Don Edmundo ani z Don Pablo ani nawet z Donią Eleną rozmawiać nie można. Jedynie Teodoro trzyma się na uboczu, ale on teraz bardzo zajęty, bo dostał jakąś pracę w Las Animas na dwa tygodnie. Szkoła ma już kawałek dachu i wstawiono dzisiaj ramy okienne dla szyb, które mają przynieść jutro. I szyby i ławki to wszystko według Don Pablo „prezenty” przysłane przez stan Mexico i Don Pablo jest bardzo z tych „prezentów” dumny.

— Za to wszystko trzeba będzie — mówi — podziękować Gubernatorowi.

Gdy wspomniałam o tych „prezentach” Don Edmundowi, uśmiechnął się i powiedział:

— Nie warto ani Don Pablowi ani innym tego wszystkiego tłumaczyć... Może za kilka lat, gdy ich dzieci będą umiały czytać i pisać i oni, starsi, zrozumieją, że to nie żadne prezenty, ale prawo. To znaczy, że mamy prawo wymagać aby nam przysłali i dachówki i ławki i szyby i nauczycielkę. Ale nasi panowie jeszcze tego nie rozumieją... Jeśli chodzi o *ejido* to już zrozumieli i wiedzą jak wymagać, ale szkoła to dla nich przecież zupełna nowość. My tu nikomu niczego nie zawdzięczamy, Donio Marylito, bo samiśmy to wszystko zdobyli, ale Gubernatora oczywiście przyjemy jak najgościnniej i dziękować mu za wszystko będziemy. Bo przecież nie do wszystkich wsi Gubernator na otwarcie szkoły przyjeżdża...

Więc jednak Szkoła będzie stanowa a nie federalna, jak wynika z tych wszystkich „prezentów” stanowych. I jak szybko zapomnieli oni o swoich staraniach (a może tylko marzeniach?) o szkole federalnej! Jak łatwo się z tym pogodzili! Czy z braku zrozumienia, czy z rezygnacji, czy... z mądrości...?

Las Animas, 14 kwietnia 1962 r.

Mimo to, że przypuszczalnie istniał kiedyś (mniej więcej w roku 750-tym A.D.) kraj nazywający się *Mazahuan* („przypuszczalnie” bo nie wiadomo czy była to nazwa kraju czy miasta) *Mazahuowie* nie byli nigdy chyba „tak naprawdę niepodlegli”... tak sobie to często formułuję, ale już po chwili spostrzegam zawsze ten cały werbalizm zaciemniający, który się kryje poza tym „naprawdę niepodlegli”. Bo mieli oni przecież (i nadal mają) daleko idącą lokalną autonomię, no i w czasach kolonialnych mieli również swoich przedstawicieli w najróżniejszych radach i koalicjach, zmieniających się z biegiem lat, Potężnych i Ważnych. Posyłali tych swoich przedstawicieli (dyplomatów?) do odległej stolicy, Tollan z owocami, piórami, muszlami dla zmieniających się władców. Czasami ci królowie-żołnierze, czy królowie-kapłani mówili językiem podobnym do *Mazahuów*, tacy na przykład *Tapanecas*, czasami mówili językiem zupełnie innym jak ci Najpotężniejsi z *Tenochtitlan*... Czasem mówiono na tych radach i rautach kilkoma językami, jak na przykład w *Texcoco* i oni, *Mazahuowie*, zwykle mieli także coś do powiedzenia, ale rzadko te ich słowa brane były pod uwagę przez Potężnych i Ważnych.

Mimo przedstawiciele w radach i koalicjach, mimo trybutów i prawa głosu, musieli *Mazahuowie* budować świątynie w odległych miastach dla bogów, którzy nie byli ich bogami i walczyć (choć walczyć nie umieli i nie chcieli) w armiach i partyzantkach Potężnych lub Potężniejszych przeciwko Mniej Potężnym i Słabym, często sąsiadom zza gór, z którymi wymieniali owoce i gliniane garnki.

To pojęcie „niepodległości prawdziwej” trzeba by kiedyś zanalizować i zastąpić szeregiem jaśniejszych pojęć... Niepodległy rząd? Niepodlegli ludzie? Ograniczające konsekwencje władzy delegowanej? Może w Texcoco głosowało się także demokratycznie, ale nie bezpośrednio? Może decyzje Koalicji znane tym „Którzy Wiedzą”, nieznanne były w ogóle tym „Którzy Nie Wiedzą”? Czego chcieli polscy chłopci z Polesia czy znad Proсны i jaki był ich kontakt z Ważnymi z Warszawy? Czy był w ogóle ktoś kto się dowiadywał (i umiał dowiedzieć) czego prócz ziemi, soli czy chleba oni naprawdę chcieli?

Mazahuowie nigdy nie mieli wykształconych dyplomatów, bo *Mazahuowie* najprawdopodobniej nigdy nie umieli ani czytać ani pisać, podczas gdy niektórzy z Potężniejszych Współczesnych umieli. Tak, że różnica nawet między Polską Najdawniejszą a Mazahuanem *Mazahuów* jest niezaprzeczalna. Bo nawet jeśli jedynie ta garstka czytała to co się czytało Gdzie Indziej na Świecie... Podczas gdy w takim na przykład Mbayo współczesnym sześcioro ludzi umie co prawda czytać, ale czytają oni tylko z książki do nabożeństwa i gazetki kościelnej. Jedynie Don Edmundo i Teodoro potrafią czytać gazety rolnicze i wiadomości z *Uniwersal* i *Excelsior* i potrafią nawet powoli czytać „z dwóch bardzo ważnych książek, *Kodeks Rolniczy* i *Konstytucja Meksykańska*...

Więc nie chodzi tu jedynie o samo czytanie i pisanie, ale także o to co się czyta i z kim się potem rozmawia o tym co przeczytane, o to do kogo się pisze i po co i czy ten do kogo się pisze odpisuje czy nie...

Czy mówienie o niepodległości grup etnicznych, które nie mają swoich elit ma w ogóle jakiś sens? Chyba nie... Ale i słowo „autonomia”, którego przed chwilą użyłam też należy do innego słownika tych „Którzy Wiedzą...”

Bez wykształcenia, bez książek, bez władzy, bez pojęć, niektórzy spośród nich, *Mazahuów*, taki Don Edmundo, na przykład, przeczuwają jednak jaką drogę powinno się obrać aby „coś więcej znaczyć” i aby „nie zginąć”... Dlatego właśnie zbudowali szkołę w Mbayo i gotowi są poświęcić bardzo wiele, aby mieć

wśród siebie takich „Którzy Wiedzą”. Wówczas dopiero przyjdzie czas na pojęcia jak „autonomia”, czy „niepodległość”.

Te intuicje kilku najinteligentniejszych spośród panów z Mbayo nie wypływają zresztą z refleksji nad historią szczepu bo nic oni tu nie wiedzą ani o kraju (czy też mieście?) *Mazabuan*, ani o Wielkiej Unii Texcoco, ani o świątyniach Tenochtitlanu, które budowali ich przodkowie kilometrami zganiani do nie swojej stolicy. Ani z refleksji nad historią sprzed Podboju, ani z ciągów tej historii nie nauczyli się *Mazahuowie* nic. Wszystkie ich intuicje, lęki, cała ich historyczna mądrość pochodzą z „czasów haciendy” z epoki kolonialnej i z czasów niepodległości, bo tak samo wedle ich zrozumienia i dawniej i potem rządził nimi *hacendado*, dziedzic Hiszpan. Podczas tego długiego okresu byli oni na pewno podporządkowani, rządzeni, nie mający nic do powiedzenia w sprawie swego losu. I dopiero w latach 30-tych *los agraristas* zmienili ich świat... Reforma Rolna w Meksyku i Chrzesz Polski...? Ależ nie!

Nic już więcej nie będę o tym dzisiaj pisać bo jestem bardzo śpiąca i boję się trochę własnych półsennych spekulacji. Wróć do tego jutro...

Las Animas, 15 kwietnia 1962 r. — przedpołudniem

Spałam za długo twardym snem, ale obudziłam się zmęczona i podniecona w połowie jednego z ostatnich zdań napisanych przed zaśnięciem. Nie pójde chyba dzisiaj do Mbayo, bo już 11 a zaproszona jestem na obiad do Guzmanów o 2-ej.

„Reforma Rolna w Mbayo i Chrzesz Polski”... ta pierwsza część zdania aż do „i” śniła mi się jeszcze, a ta druga część pomyślała mi się już po obudzeniu i potem powtórzyłam sobie w myśli całe to zdanie, śmiejąc się bardzo. Bo dlaczego Chrzesz Polski i Reforma Rolna, a nie po prostu Chrzesz Polski i Chrzesz Mbayo, bo przecież Zdobywcy ochrzcili kiedyś *Mazahuów* z Mbayo, tak jak ochrzcili wszystkich innych Indian. Ale cóż z tego skoro *Mazahuowie* z Mbayo nigdy o tym Chrzcie nie mówią...

A myśmy jednak mówili. A może to wskutek podręczników historii i tej naszej garstki Wykształconych, którzy już wówczas pod koniec IX wieku zaczęli kształtować planować, organizować... No i później ci sami Wykształceni (ale dokładnie kiedy, naprawdę nie wiem) doszli do wniosku, że właśnie od tego Chrztu w 966 roku zaczęła się Polska.

Mazahuowie z Mbayo wiedzą, że „Święta Wiara Katolicka przysłała z Hiszpanii” i że ją „przywieźli Hiszpanie, ci sami

spośród których był dziedzic-Hispan”, więc na jakimś tam piętrze świadomości *Mazabuowie* z Mbayo wiedzą, że przez tychże Hiszpanów byli ochrzczeni. Wiedzą, ale nie chcą wiedzieć... My zresztą też wiemy, że misjonarze przyszli do nas z Czech i z Niemiec, ale fakty historyczne są nie zawsze faktami społecznymi i gdy malowałam — pamiętam — sześćioletnia Chrzest Polski czarnym tuszem na białym kartonie, był na tym obrazie bardzo wysoki krzyż na pagórku a naokoło krzyża niewątpliwie Polacy i ani jednego Czecha, ani jednego Niemca...

Gdybym porozmawiała o tym z Ulissem, wiem z góry co by powiedział... powiedziałyby, że przecież między Chrztem *Mazabuów* a Reformą Rolną jest inna, ważniejsza data, rok 1810 i że w tym roku przecież niepodległościowe wojska księdza Hidalgo przemaszerowały przez ziemie *Mazabuów*... Więc według Ulissesa był to moment historyczny od którego powinnam zacząć... Tak, ale co zacząć, skoro dla nich, *Mazabuów* z Mbayo nic się w tym roku naprawdę nie zaczęło...

Nic się naprawdę nie zaczęło, mimo to, że przecież... (o czym Ulisses pewno nie wie, bo kto by się tam grzebał bez potrzeby w historii jednego z wielu indiańskich szczepów) *Mazabuowie* byli jednymi z pierwszych którzy zgłosili się jako ochotnicy do Armii Hidalgo „aby walczyć o niepodległość Meksyku”...

„Aby walczyć o niepodległość Meksyku”,... tak się oczywiście mówi, ale te ich motywy sprzed wieków są tak niejasne jak motywy moich przodków przed wiekami przyjmujących chrzest. Czego się oni, *Mazabuowie*, po tych walkach niepodległościowych spodziewali? Bo jakże mogli oni z 1810 roku, z perspektywy swojej historii kolonialnej i przedkolonialnej rozumieć słowo „niepodległość”?... Ulisses by niewątpliwie to wszystko zrozumiał, może jeszcze zanim skończyłabym te moje powolne tłumaczenia i razem ze mną odrzuciłby te fakty historyczne niepokrywające się z faktami społecznymi... Ulisses nie jest wprawdzie socjologiem, ale rozumie na pewno i wielotorowość niezafałszowanej historii i te wszystkie ideologizujące i upraszczające siły, zawsze na służbie Ważnych...

Ale po odrzuceniu „Niepodległości” Ulisses zacząłby pewno mówić o „Rewolucji”. — Bo jeśli Niepodległość niczego u nich z Mbayo nie zaczęła, to zaczęła na pewno Rewolucja — dokładnie sto lat później...

Rewolucja... oczywiście, ale jedynie pod warunkiem, że się ją zrozumie jako ciągłość przemian, nie jako książkowy fakt historyczny: kule wybrane spośród wielu, dekrety właśnie te a nie inne i właściwie nie bardzo wiadomo dlaczego właśnie te

i dlaczego ta właśnie a nie inna data „do zapamiętania”... tak jakby nie było innych kul, innych dekretów, innych dat... Rewolucja — tak Ulissesie, jeśli Reforma Rolna z lat trzydziestych „liczy się” też jako Rewolucja. Ale nie ma sensu wyobrazić sobie co by na to odpowiedział Ulisses, bo przecież Ulisses zwykle...

Musiałam przerwać bo niespodziewanie przyszedł Teodoro i teraz już nie wiem co chciałam napisać o Ulissesie... Teodoro pracował tu blisko przy przesadzaniu agaw, więc wpadł na chwilę, żeby porozmawiać. Był zbyt zmęczony — powiedział — aby pisać na maszynie więc poczęstowałam go papierosem i zapytałam co słyhać z inauguracją szkoły...

— Aaa, tak, będzie inauguracja i Gubernator przyjedzie z *Toluki* — powiedział tonem obojętnym — przyjedzie 23 kwietnia rano i najpierw zatrzyma się przez godzinę w Las Animas, potem zrobi tę inaugurację szkoły, a po inauguracji jedzie do Hacienda Ruiz na obiad.

Przyjrzałam się uważnie, jakby na nowo, temu Teodorowi szesnastoletniemu, który właśnie podał mi jakby od niechcenia ową datę inauguracji, o którą się nie mogłam doprosić nikogo w Mbayo... Bo ludzie w Mbayo nie myślą terminami dat — dla nich „kilka dni”, „wkrótce” to wystarczające miary czasu. Ale prócz tej kalendarzowej świadomości i prócz zmęczenia, które Teodoro i zapowiedział i niewątpliwie ze sobą przyniósł, zauważyłam jeszcze coś innego w jego głosie, jakiś ton rezygnacji tak kontrastujący ze spokojnym ale niewątpliwym entuzjazmem z którym Panowie z Mbayo mówili o nadchodzących wydarzeniach.

— Co myślisz, jak to będzie z tą inauguracją no i w ogóle ze szkołą — zapytałam go może zbyt po prostu, ale Teodoro nie wyglądał na zdziwionego moim pytaniem.

— Mnie to już nie dotyczy — powiedział — ani moich chłopców, bo my i tak pracować musimy, więc nie wiem co będzie ze szkołą... Niech pani najlepiej zapyta Dona Edmundo, Donio Marylito... przecież to wielki przyjaciel pani — zaśmiał się z ironią — i on wszystko zawsze najlepiej wie...

I potem dopalił już tylko papierosa, pożegnał się, zachmurzony jeszcze bardziej i odszedł. Został po nim w pokoju kurz od korzeni agaw i zapach potu tak silny, że musiałam otworzyć okno i przez to okno od calle de la Rabia razem z gwiazdami i ciemnością wtargnęło do pokoju zimne, ostre powietrze tak że po kilku minutach nie zostało już nic z zapachu Teodora. Teraz już zamknęłam okno i uchyliłam lekko to drugie od strony *patio*... za chwilę położę się spać...

Las Animas, 24 kwietnia 1962 r. — rano

„Czyściec Indian *Mazabua*...” tak, ale mogłoby być znacznie gorzej, bo co czyściec to nie piekło a kto wie może w innych szczepach, w innych krajach za górami ludzie idą do piekła... Ale nie oni, *Mazahuowie*, na nich czeka tylko niebo, no a w czyścicu zawsze można wytrzymać gdy w perspektywie jest niebo... Nawet gdy czekać trzeba bardzo długo...

Już po inauguracji! Dla jednych trwała ona dwie minuty, dla innych cały dzień. Odsłonięcie tablicy z nazwą szkoły trwało nie więcej jak minutę, przemówienie Gubernatora drugą minutę, ale nasze bardzo intensywne czekanie w kurzu i słońcu wlokło się długie godziny...

Bo Gubernatora zatrzymano w Las Animas przez całe przedpołudnie mimo że przyjeżdżał on do Mbayo a nie do Las Animas! Ale cóż znaczy Mbayo dla tych z Las Animas... oni sobie nawet wyobrazić nie mogą co by Gubernator mógł zrobić przez kilka godzin w takim Mbayo i bardzo możliwe, że i Gubernator mimo Rewolucji, mimo Ideologii mimo Własnym Słowem Gdzie Indziej, w gruncie rzeczy podobnie myślał. Przygotowali dla niego bramy tryumfalne z wielkimi napisami *Bienvenido nuestro Gobernador*, porozstawiali ciężarówki z głośnikami naokoło ubranej kwiatami estrady na rynku przed *Ayutamiento*, a naokoło estrady postawili dzieci w granatowo białych mundurkach z chorągiewkami biało-czerwono-zielonymi. Przemówienia, kwiaty, dymiące półmiski z najdoskonalszym *mole* o której to, o 10 czy 11 przed południem i przed *fiestą* w Haciendzie Ruiz na którą miało być znowu *mole* a prócz *mole* i *barbacoa* z młodego byka zabitego specjalnie na to *fiestę*...

„Wszystko to ukradzione” — myślałam — „od nich, *Mazahuów*, którzy ani na głośniki, ani na taką *fiestę* ani na dzieci w mundurkach z chorągiewkami (po 5 centawów chorągiewka) pozwolić by sobie nie mogli”...

W Mbayo tylko jedna flaga meksykańska, ale za to bardzo duża, wypożyczona z *La Presidencia* na tę okazję i brama z kwiatów, które kosztowały 50 pesów (a za dzień pracy ci z Las Animas płacą *peonowi* z Mbayo 5 pesów) ale i tak ta brama trzy razy mniejsza od bramy z Las Animas, a dwóch latarni elektrycznych zapalonych po raz pierwszy na cześć inauguracji i tak Gubernator nie zauważy, bo kto by zauważył latarnie świecące jasnym światłem w bardzo słoneczny dzień... chyba żeby zapowiedzieć te latarnie bardzo głośno przez głośniki, których

nie ma... Jedno na co mogli byli sobie ludzie z Mbayo pozwolić to *mole*, na gorszych półmiskach, ale kto wie, może i lepsze od tego które przygotowali dla Gubernatora w Las Animas... Ale ani dla Wikarego podczas Poświęcenia ani teraz dla Gubernatora nikt żadnego *mole* nie przygotował i zrozumiałam to dopiero po inauguracji. Bo łatwiej znieść długie godziny czekania, łatwiej pogodzić się z tymi Wielkimi Kradzieżami i Odwiecznym Lekceważeniem... to wszystko i jeszcze więcej jest niewątpliwie łatwiejsze niż ledwo skosztowane, niedocenione *mole* a *Mazahuowie* dobrze i chyba od zawsze wiedzą, że Ważni z Las Animas, z Toluki, z Mexico uważają ich za „brudnych”, „zaraźliwych”, więc po co się narażać na takie upokorzenia... Lepiej poczekać... i kto wie, może już za kilka lat, gdy dzięki Szkole będzie wśród nich garstka tych „Którzy Wiedzą” wówczas będzie można podać *mole przyjaźni nieodrzuconej* tym innym „Którzy też Wiedzą...”

Tak na to patrzą Panowie z Mbayo, ale nie powiedzieli mi tego naturalnie słowo w słowo, tak jak to opisałam. Z rozmów podczas czekania i z rozmów po inauguracji, z uśmiechów, uwag, kilku słów rzuconych z okazji innych zupełnie rozmów, wyłoniłam te ich definicje społeczne.

Mam chyba z dziesięć fotografii Gubernatora odsłaniającego tablicę inauguracyjną Szkoły Imienia Miguela Hidalgo w Mbayo i przez ten cały czas, zaabsorbowana swoją rolą fotografki „z ramienia Panów z Mbayo” uchwyciłam tylko fragmenty tego jednonumutowego przemówienia. Ale utkwilo mi dobrze w pamięci to *buena gente* (dobrzy ludzie) odwieczna chyba pochwała, którą „Ci Co Wiedzą” obdarzają „Tych Co Nie Wiedzą”, coś więc dziwnego, że i Gubernator nazwał *Mazahuów* „dobrymi ludźmi”, a potem — podobnie pewno jak Hiszpan z Haciendy i jak Wuj Michał z Leszczycy, Gubernator wziął pod brodę jednego ze starszych chłopców, spozryzał mu ojcowsko w oczy i zapytał.

— A ilu masz synów, mój człowieku?

— Ani jednego, Senior *Gobernador* — wybąkał wówczas przerażony chłopak... Ani jednego bo się jeszcze nie ożeniłem... — i nikt się ani nie zaśmiał ani nie rozżościł. Ludzie z Mbayo stali osłupieni, a Gubernator, jestem pewna, nie usłyszał tej odpowiedzi.

— *Que bueno*, to świetnie — powiedział do chłopaka poklepując go po plecach a potem uściśnawszy mu rękę i nic już więcej nie mówiąc zniknął w aucie bardzo niebieskim w ostrym popołudniowym słońcu i odjechał wśród milczenia i kurzu...

Rozeszły się kobiety i dzieci coś tam szepcząc, chłopcy —

zauważyłam — znikali cicho i jeden za drugim, ale zawsze osobno, szli w kierunku chatki Teodoro. Don Justo, szef Mbayo, z nic niemówiącym wyrazem twarzy zniknął w bramie kościoła, a ja z Don Edmundo i z resztą Panów zostałam przed Szkołą. Obejrzelśmy najpierw dokładnie tablicę z datą „23 kwietnia 1962” roku wyrytą ostro i czysto na białym alabastrze. Pod nazwą szkoły i datą inauguracji było imię i nazwisko Gubernatora. Dotykaliśmy po kolei tej tablicy gładkiej i bardzo chłodnej mimo gorącego słońca... „Co za szczęście, że Gubernator nie zauważył mnie fotografującej i innej” myślałam — „że nie wyłowił mnie i nie zabrał do Hacienda Ruiz gdzie wszyscy z całej okolicy Najważniejsi zgromadzili się na *Wielką Fiestę*”.

Maria Wiktoria zaraz po Inauguracji tam pojechała — ale nie z Gubernatorem — przyjechał po nią autem nauczyciel z Las Animas, Don Fernando i jechali teraz tym autem, czarnym, ale zszarzałym od kurzu tuż za niebieskim autem Gubernatora... Patrzyliśmy na te dwa zuczki aut i dwa dymki na szosie i Don Pablo powiedział:

— Dobrze, że Marię Wiktorię zaprosili... To były chyba pierwsze słowa po tym odjeździe i potem usiedliśmy na schodach i Don Edmundo poczęstował wszystkich Panów papierosami... Palili milcząc ze mną, niepalącą, wśród nich i dopiero gdy już zaczynało słońce zachodzić Don Edmundo powiedział:

— No i mamy naszą Szkołę, szkoda tylko, że to nie el Senior Presidente de Mexico podpisany na naszej tablicy, ale i tak się udało bo mogło być dużo gorzej...

Nie zrozumiałam o co mu chodzi, ale nie chciałam pytać nic więcej „bo bardzo mi było dobrze, niewidzialnej” — myślałam — „chyba przez nikogo niezauważonej, ale jakoś należącej już do Mbayo, tak jak schody Szkoły, nowe schody na których siedzieliśmy... albo jak pierwsze w Mbayo szyby w oknach Szkoły”.

Schody i szyby, kamienie i latarnie... Ze zwierzętami się rozmawia w Mbayo ale z szybami i latarniami nie... o nich się tylko mówi, bo ludzie z Mbayo już dawno odrzucili „wiarę w idole”... Ale z tych rozmyślań mętnych wyrwał mnie głos Dona Refugio.

— Donio Marylito — mówił — pani pewno twarzo na tych schodach, oo, niech pani to sobie podłóży... — i już zdejmował odświętny niebieski bluzak z jedną tylko łątą, bardzo elegancką łątą tego samego koloru, już podawał mi bluzak zwinięty w małą kwadratową poduszeczkę...

— A pani, Donio Marylito, nie zaprosili do Hacienda Ruiz? — zwrócił się teraz do mnie Don Edmundo — Maria Wiktoria też by zresztą nie była zaproszona, aleśmy ją prosili żeby się

postarała, bo to nam się przydać może w związku z wyznaczeniem nauczyciela do Mbayo...

— Jak to — nauczyciela? — zapytałam zdumiona. — Przecież chcieliście nauczycielkę.

Czyżby koncepcja Teodora zwyciężyła koncepcję Don Edmunda — przyszło mi na myśl, ale nie... takie ścieranie się koncepcji o jakim mi się pomyślało nie należy jeszcze do świata ludzi z Mbayo — za mało mają oni jeszcze wolności efektywnej, za mało władzy, kontaktów i alternatyw...

— Nadal chcemy nauczycielkę — zaśmiał się Don Edmundo — ale będziemy zadowoleni i z nauczyciela... Chodzi o to, żeby nas nie potraktowano tak jak od lat traktują tych z Los Pinos... oni budynek szkolny tam już od dawna mają, co prawda nie taki jak nasz, bo przerobili tylko świetlicę przy kościele, ale jednak jest szkoła tylko, że nie było nigdy inauguracji i ani nauczyciela ani nauczycielki od lat się doprosić nie mogą.

— Tak, tak, żeby nas tylko nie potraktowano tak jak tych z Los Pinos — pokiwał głową Don Pablo. — Ale Seniorita Maria Wiktoria wie jak z tymi z Toluki rozmawiać tylko że gdy tam jeździła do samego Gubernatora nigdy jej nie dopuścili.

Czerwieniało już słońce coraz niżej nad *rancho* San Lorenzo, nad rzeką o której tu się zawsze pamięta mimo, że nigdy w najjaśniejszy dzień jej stąd nie widać i rozmawiali tak coraz bardziej ożywieni Panowie z Mbayo o rzeczach jeszcze dla mnie niezrozumiałych, ale coraz bardziej o moje życie zahaczających... Tak to w każdym razie czułam i wskutek tej mojej obecności tutaj wśród nich, teraz już na pewno zauważonej i chyba jakoś naprawdę zaakceptowanej... i wskutek tego Los Pinos zabronionego. Rozmawiali i rozmawiali aż w końcu bez żadnych dalszych zapytań z mojej strony, Don Edmundo powiedział:

— Donio Marylito — z tego aby dostać nauczycielkę federalną dawno już zrezygnowaliśmy, bo przecież Szkoła jest stanowa. Ale kilka dni temu — akurat kiedy pani tu nie było — przyjechały dwie nauczycielki stanowe, jednego dnia jedna i drugiego dnia druga, we wtorek i środę... no i pokazaliśmy im Szkołę i Szkoła im się podobała, Donio Marylito... Ale potem gdy zobaczyły, że ani wody nie ma w chatce przygotowanej dla nauczycielki ani światła, to słyszeć nawet nie chciały o tym, żeby tak prymitywnie wśród nas tu mieszkać... Tak, Donio Marylito... mimo, że i podłoga w tej chatce jest i dwa krzesła i stół, tylko że łóżka jeszcze nie było... Więc teraz już nie myślimy o nauczycielce i Maria Wiktoria ma omówić sprawę nauczyciela, bo chcą nam narzucić takiego młodego z Toluki, który już mieszka w Las Animas i uczy w *Escuela Primaria*... ale my wolimy

starego Don Juan Ramirez bo on od lat uczył w szkołach *Otomi* i bardzo go tam lubili... Tak to wygląda, ale pani, Donio Marylito... jak pani tylko będzie miała ochotę może Pani się tu do nas sprowadzić, do tej chatki przygotowanej dla nauczycielki... ... najpierw damy pani trochę *alfalfa* i *sarapę*, żeby się miękko spało, a potem zrobimy pani takie łóżko jak w domu mojej kумы w Las Animas...

WIEŚ OBIECANA

Mbayo, w czerwcu 1962 r.

Jestem w Mbayo już mniej więcej od tygodnia... Tydzień w Mbayo to zresztą jak miesiąc gdzie indziej... Nie, nie jak miesiąc ani nie jak rok i powinnam się bronić jak mogę przed takimi łatwymi i fałszującymi przetłumaczeniami, bo tutaj czasu nie mierzy się kalendarzem... który to dzień dzisiaj? Nie pamiętam... ale to nieważne... Czas w Mbayo mierzy się chyba zaufaniem... Taka Donia Elena, urodzona w La Fuente jest tu na przykład „od zawsze” mimo, że nie nauczyła się nigdy mówić po *mazahua*, a może raczej nie chciała się nauczyć bo przecież wszystko rozumie gdy po *mazahua* mówią do niej dzieci, mąż i wszyscy inni... odpowiada jednak po hiszpańsku. Ale dla nich z Mbayo nie są ważne takie szczegóły, im chodzi o znacznie głębsze wżycie się w ich świat wielowymiarowy i trudny... Donia Elena jest tutaj „od zawsze”, a ja jestem „od dawna”.

Taka rozmowa z Donią Eleną, która właśnie mnie odwiedziła w mojej chatce białoniebieskiej, chatce należącej do jedynego syna Doni Eleny i Dona Pancho, czternastoletniego Mateo:

— Donio Marylito, jaka szkoda, że nie ma pani córki...

— Dlaczego córki, Donio Eleno, w mojej ziemi wolimy mieć synów niż córki, podobnie zresztą jak tutaj w Mbayo, prawda?...

— Najprawdziwsza prawda, Donio Marylito, ale i tak szkoda, że pani córki nie ma.

— ? ? ? ? ?

— Bo gdyby pani miała córkę, Donio Marylito, to pani córka mogłaby wyjść za mąż za mojego Mateo i może by się pani tutaj z nami została... Do chatki drugą izbę można by dobudować i taras taki jak w *Ngeme*... Donio Marylito, gdyby pani miała córkę dałaby ją pani za żonę mojemu Mateo?

Milczałyśmy przez chwilę i potem Donia Elena powtórzyła swoje pytanie.

— Nie, Donio Eleno, na pewno nie! — powiedziałam w końcu.

— Dlaczego, Donio Marylito... dlaczego?

I potem słuchała uważnie moich wytłumaczeń prawdziwych, dziwiąc się od czasu do czasu i zadając pytania aż w końcu się ze mną najzupełniej zgodziła, przyjęła moje argumenty, rozumiejąca raczej niż pogodzona, przekonana już najzupełniej, że moja córka nieistniejąca i jej Mateo czternastoletni nie byłiby najlepszą parą.

— Ale i bez córki, Donio Marylito, mogłaby tu pani z nami zostać — powiedziała po namyśle Donia Elena — i nawet jeśli pani teraz nie zostanie to może kiedyś, Donio Marylito, jeśli nie wróci pani do swojej ziemi za wodą...

Nie pamiętam już co jej na to odpowiedziałam, zdziwiona i wzruszona, ale przede wszystkim jakoś bardzo swymi wahaniem zaambarasowana... Bo nie od razu zdobyłam się przecieź na tę negatywną odpowiedź co do „mojej córki” i Mateo. Przez kilka trudnych chwil zastanawiałam się czy by nie skłamać łatwym i uprzejmym kłamstwem bo przecieź skoro i tak nie mam córki... U nich w Las Animas i nawet u nich w Mexico, u Meksykańczyków z prowincji i ze stolicy, ciągle się kłamię w ten sposób aby umilić trudne życie. I przypominałam sobie podczas tych chwil wahania rozmowę z Don Leon Guzman i jego siostrą Martitą, podczas tej bardzo już dawnej wycieczki w góry, rozmowę o *bolerach*, które dla mnie wówczas śpiewali i to wszystko co mi potem powiedzieli o ważności łatwych i miłych kłamstw...

Ale na szczęście nie skłamałam... nie przemyślałszy niczego do końca... zrobiłam to co, wydawało mi się, trzeba było zrobić w świecie tak innym od świata Meksykańczyków, niezbyt dobrze jeszcze znanym ale na pewno innym... Więc skoro u nich w Las Animas kłamstwo — w Mbayo prawdopodobnie prawda...

Teraz po wyjściu Doni Eleny gdy już wiem na pewno, że udała mi się moja trudna prawda, chcę zrozumieć i wytłumaczyć sobie te moje słuszne, jak się okazało, intuicje... To zrozumienie — ważne dla mnie osobiście — jest również bardzo ważne dla metodologii badań socjologicznych, więc chyba warto spróbować. Ale zamknę najpierw drzwi bo gdy siedzę tu przy otwartych drzwiach co chwilę ktoś przychodzi z wizytą...

Już drzwi zamknięte i zapalone dwie bardzo nowoczesne i bardzo niebieskie okrągłe latarki elektryczne, jak dwa księżycy na hakach wbitych w sufit nad moim stołem ogromnym... Naj-

pierw jeszcze zjem ze dwie *tuny*, kaktusowe owoce, przyniesione przez Donię Elenę i zaraz potem siadam do maszyny...

O dwóch rzeczach powinnam pisać, o dwóch problemach:

1) o *problemie intuicji*, o tym jak działa intuicja w sytuacjach nowych i o tym czy kształcenie intuicji jest w ogóle możliwe, a jeśli jest możliwe to czy można uczyć innych jak kształcić intuicje, czy da się tu sformułować jakieś reguły, rady, wskazania?... John Steward Mill bardzo się tym interesował pisząc o hipotezach. Ja stawiam ten problem na trochę innej platformie: chodzi mi o efektywność intuicji nie tylko w badaniach naukowych ale i w codziennym życiu, badania naukowe są zresztą jedną z klamek codziennego życia Niektórych...

2) o *problemie symboli kulturowych* (czyli o problemie języka w najszerszym tego słowa znaczeniu) symboli tak różnych w różnych społeczeństwach. Tylko po zrozumieniu systemu symboli charakterystycznych dla danego społeczeństwa jesteśmy w stanie zrozumieć czym jest prawda czym kłamstwo dla ludzi żyjących w tym społeczeństwie. Gdyby na przykład tacy Guzmanowie z Las Animas zadali mi to samo pytanie co Donia Elena, odpowiedziałabym im pewno śmiejąc się, że naturalnie, gdybym miała córkę dałabym ją za żonę etc. i oni wzięliby to na wpeł serio, przyzwyczajeni do niejasności i łatwych kłamstw. Donia Elena taką samą odpowiedź zrozumiałaby zupełnie inaczej, bo oni w Mbayo przyzwyczajeni, bardziej pewno, niż ci z Las Animas do zawiłości moralnych, nie są przyzwyczajeni do niejasności i chcą prawdy lub nieprawdy, jasnych i udowodnionych. Ale nie chodzi zresztą ani o samą prawdę i kłamstwo ani o samo bezpośrednie krzywdzenie lub chronienie ludzi przed krzywdą. Chodzi tu o coś znacznie głębszego: o prawo ludzi do prawdy, do koncepcji świata opartej na prawdziwych, nie fałszywych informacjach. Gdybym była powiedziała Doni Elenie, że naturalnie „odałabym” moją córkę za żonę dla Mateo, zafałszowałabym tym „niewinnym kłamstwem” ważny fragment jej poglądu na świat i słusznie, „logicznie”, mądrze, na podstawie tych fałszywych przesłanek zaczęłaby się Donia Elena spodziewać nie tylko po mnie ale i po innych do mnie podobnych najróżniejszych postaw życiowych, przyrzeczeń i czynów nierealistycznych, niedospełnienie, niedowyołanie a więc osłabiających, rozzarowujących, wikłających.

Mbayo, w czerwcu 1962 r.

Do Mbayo nie przeniosłam się bezpośrednio z Las Animas.

Najpierw z Las Animas wyjechałam i dwa miesiące spędziłam Bardzo Daleko ale nie w „mojej ziemi”. Nikt w Mbayo nie pytał mnie gdzie byłam przez ten czas i nikt się jakoś nie dziwi, że tu mieszkam. Moja chatka jest bardzo wygodna, z ogromnym łóżkiem wysokim jak stół operacyjny, ze stołem jak dwa stoły i dwoma ogromnymi „mażeńskimi krzesłami”, jak je nazwał Don Edmundo. Wszystkie te meble zrobił Teodoro. Stół i krzesła zrobił już zresztą dość dawno i były one przeznaczone dla „nauczycielki”, może dlatego są takie duże, reprezentujące szerszy i większy świat „Tych Co Wiedzą”... Ciekawa jestem czy i dla mnie samej wymyślono by takie ogromne meble. To łóżko ogromne zrobione było już zresztą wówczas gdy wiadomo było, że nauczycielka nie będzie mieszkać w Mbayo, zrobiono je więc dla mnie... ale czy te rozmiary są „moimi rozmiarami” czy jedynie kontynuowaniem stylu, trudno powiedzieć... Bo oni, *Mazabuwowie* z Mbayo mają tu wielkie poczucie harmonii — ich nieliczne przedmioty są zawsze porozwieszane i porozstawiane, nie przypadkowo, więc może to łóżko ogromne dopasowano po prostu do innych ogromnych mebli?

Jedynie meble w chatkach *Mazabuów* to krzesła gościnne a raczej krzeselczka za małe nawet dla najmniejszych dorosłych i nie które z nich, jak te z *Ngeme*, pomalowane w kolorowe róże... Są to symboliczne raczej niż użytkowe krzesła: gest gościnności w stosunku do zawsze mile widzianych gości... Ile razy przyjdzie gość do *Ngeme* zaczyna się ceremonia krzeselkowa — biegnie Aurelia lub Augustina po krzeselka, podaje krzeselka gościom, zaprasza żeby usiedli, goście przez chwilę wahają się, potem siadają, kręcą się w prawo i w lewo, bo krzeselka zawsze za małe. Pisałam już o tym zdaje się poprzednio, że na krzeselkach siadają tylko mężczyźni, to jest mężczyźni *Mazabua*... Gdy do domu *mazabua* przyjdą goście Nie-Indianie, wówczas krzeselkiem częstuje się nie tylko mężczyznę ale i kobietę. Bardzo to niby wszystko proste, ale to jedynie pozorna prostota. W gruncie rzeczy te krzeselczka są „naładowane znaczeniami”. Dlaczego na przykład gościnność *Mazabuów* w stosunku do swoich wyrażona jest przede wszystkim poprzez krzeselko, czyli właściwie w języku obcym, bo krzeselka są przecież przedmiotami z nie-indiańskiego świata? Czy ta obcość ma wartość prestiżową dla *Mazabuów* z Mbayo, tak jak dla cioci Feli z Leszczycy prestiżowe były francuskie słowa, których używała nie na codzień, ale „od gości”? I co jeszcze? Może te bidety bardzo francuskie, których nikt i tak w Leszczycach nie używał? Ale kto wie... skoro częstuje się gości obcością, może ta obcość nie jest już tak obca jakby się zdawało — może takie częstowanie to pierwszy znak

nowej aspiracji po której przyjdą inne aspiracje, inne przedmioty, inne życie? Ale o cioci Feli myślałam zawsze, że była snobką i nadal chyba tak myślę, więc może krzeselkowość *Mazabuów* z Mbayo jest także snobizmem? Jest czy nie jest? Krzeselka, francuskie słowa i bidety: śmieszne i wzruszające, czy też śmieszne i niewzruszające czyli... ośmieszające?... Dekadencja czy pionierskość? Chwilowo tylko ta krótka notatka ale kiedyś będę musiała to dalej przeanalizować. I może kiedyś zrozumieć...

Od czego to zaczęłam? Acha, od tej ogromności mebli zrobionych dla nauczycielki — przecież oni bardzo tej nauczycielki chcieli, więc może te meble ogromne były i gestem gościnności największym na jaki ich było stać i symbolem ważności tej nauczycielki wymarzonej. Nie, dla mnie chyba nie zrobiliby takich wielkich mebli, meble zrobione dla mnie byłyby na pewno znacznie mniejsze, bo przecież oni niczego już właściwie ode mnie nie oczekują: już wiedzą, że nie jestem ani panią CARE ani reprezentantką CARE, która dostarczy im maszyn do szycia i sztucznych nawozów, o które mnie prosili kilkakrotnie gdy mieszkałam w Las Animas. Już wiedzą, że ani uczyć ani leczyć nie potrafię mimo to, że mój hiszpański jest jednak lepszy od ich hiszpańskiego. Więc na pewno nie jestem dla nich aż taka ważna jak nauczycielka. Na szczęście, bo dużo przyjemniej czuć się zaproszoną i mniej ważną niż zaproszoną bo ważną. Ciekawe swoją drogą dlaczego Don Edmundo mnie tu zaprosił... I bez zaproszenia jakoś bym się była tu ewentualnie dostała, ale o ile milaj być tak naprawdę zaproszoną i tak naprawdę przyjętą, bo co do tego nie mam wątpliwości, chociaż nie wiem jeszcze dlaczego i po co.

Nie mogę kontynuować tego wątku bo przyszła Lucita i jej obecność mi przeszkadza. Lucita tu ze mną mieszka, śpi na podłodze na nowiutkiej *petate*, plecionej z żółtych włókien, chyba palmowych, ale tego jeszcze na pewno nie wiem. Ale wiem za to dlaczego *petate* jest taka nowa bo o tym 13-toletnia Lucita powiedziała mi zaraz pierwszego wieczoru: rezolutna i pouczająca.

— Gdy mamy nową *petate* nie potrzebujemy się tu niczego bać — powiedziała — bo ludzie w Mbayo to wszyscy *buena gente*, dobrzy ludzie, więc ich się bać nie trzeba. A po nową *petate* żadna czarownica nie przyjdzie... Stare *petaty* natomiast, zdaniem Lucity, są bardzo niebezpieczne, bo czarownice przyczepiają je sobie jak skrzydła, chodzą więc po domach i szukają takich starych *petat*.

Dwa punkty metodologiczne ważne dla moich badań:

1) Cokolwiek mówią statystycznie nastawieni socjologowie,

sprawdzanie tego czy wszyscy ludzie w Mbayo wiedzą o czarownicach szukających starych *petat* byłoby nonsensem. Skoro Lucita mi o tym powiedziała, wystarczy po prostu, że Lucita jest mniej więcej normalną *Mazabuanką*, która sobie tego wierzenia z palca nie wyssała. A tego jestem już dzisiaj pewna. Dla zwiększenia jednak tej mojej pewności „naukowej” zapytam jeszcze kilku osób w Mbayo o niebezpieczeństwa związane ze starymi *petatami*. Chodzenie od domu do domu z pytaniami na ten temat byłoby i niepotrzebne i szkodliwe: szkodliwe dla moich badań, szkodliwe dla ludzi z Mbayo, szkodliwe dla mnie samej, dla wszystkich moich ludzkich treści!

2) Więc wiem już co znaczy *petate* dla ludzi z Mbayo chociaż nie wiem jeszcze z czego jest zrobiona i prawdę mówiąc, wbrew etnografii uczciwej i obowiązkowej, nie bardzo mnie obchodzi z czego się robi *petaty*! Dowiem się, naturalnie i zapiszę na twardych kartkach, ale dla mnie, mimo to, że nadal jestem na pewno pozytywistką, dla mnie przedmioty są zrobione ze znaczeń i tak naprawdę to obchodzą mnie tylko znaczenia!

Lucita przyniosła wodę ze studni w ogromnym dzbanie przyczoconym grubym sznurem do jej delikatnych ramion. Ale to nie największy dzban: starsza Ernestina, nosi wodę w dzbanie znacznie większym a najstarsza Aurelia w jeszcze większym...

Lucita już wyszła i zamknęłam za nią drzwi — powiedziała, że za chwilę przyjdzie z miotłą, „bo trzeba zamieść”, ale ta jej „chwila” może potrwać godzinę lub dwie, więc znowu piszę...

To w jaki sposób Lucita pouczała mnie o czarownicach i starych *petatach* jest dość typowym przykładem podejścia do mnie ludzi z Mbayo. Oni mnie ciągle czegoś uczą a czasem, gdy nie mogę zrozumieć, lub uczę się zbyt wolno zaczynają się niecierpliwić. Zauważyłam to zresztą jeszcze przed sprowadzeniem się do *Mbayo*, ale wówczas nie zwróciłam na to uwagi i teraz dopiero układa mi się to w jakąś całość. Gdy wspomniałam Teodorowi, że chciałabym się nauczyć języka *mazahua*, powiedział mi, że gdy się naprawdę zabiorę „w trzy tygodnie powinnam się nauczyć” i potem ile razy przychodził pisać na maszynie, starał się mnie uczyć *mazahua* dużo szybciej i intensywniej niż ja tego chciałam i potrzebowałam. Po jakimś tygodniu, bardzo rozczarowany, moim zbyt ograniczonym słownikiem *mazahua*, Teodoro zaproponował, że codziennie wieczorem inny chłopiec z Klubu Chłopców będzie przychodził mnie uczyć przez dwie lub trzy godziny, ale tę propozycję z punktu odrzuciłam... Język *mazahua* nie jest dla mnie aż taki ważny skoro przecież wszyscy w Mbayo znają hiszpański — znacznie ważniejszy był i jest czas na pisanie,

przepisywanie, refleksje. Ale Teodoro tego oczywiście nie mógł zrozumieć i po jakimś czasie powiedział mi:

— Donio Marylito — pani jest po prostu albo leniwa, albo się pani nie chce po *mazahua* nauczyć.

„Cóż za bezczelny chłopak” — pomyślałam wówczas trochę dotknięta — „jak on do mnie mówi, do mnie, która by mogła być jego matką...” Ale nic mu na szczęście wówczas nie powiedziałam i teraz już wiem, że to nie tylko Teodoro, „dzięki tej szkole zawodowej i wpływom szerszego świata”, że to wszyscy ludzie w Mbayo bardzo podobnie mnie pouczają. Trochę mnie to nadal denerwuje ale chyba jeszcze więcej cieszy bo dzięki tym wszystkim pouczeniom najważniejsze dane socjologiczne, jak pieczone gołąbki... A poza tym jest to chyba jeszcze jednym z powodów, że oto naprawdę tu mieszkam, że naprawdę jakoś tu z nimi współżyję w tej mojej wsi obiecanej...

... A może to dzięki Matce Boskiej Częstochowskiej — kto wie, bo skoro w „mojej ziemi” taka ciemna indiańska Matka Boska, to Polacy pewno nie należą jednak tak zupełnie do świata „Tych Którzy Wiedzą”, mimo mojej skóry białej, mojej maszyny do pisania i moich książek, z których na pewno potrafię czytać...

Mbayo, w czerwcu 1962 r.

Teodoro nie odwiedził mnie jeszcze ani razu. Dziś rano poszłam do jego chatki i zastałam go reperującego *coral*, w którym spała cielna łaciata krowa.

— Bardzo mi się podobają meble które zrobiłeś — powiedziałam — tylko, że łóżko za wysokie, może by się dało przypiliować trochę nogi — jakieś 10 centymetrów wystarczy.

— Oczywiście, że za wysokie i w ogóle wszystkie meble za duże — mruknął Teodoro nie odrywając się od przybijania belek *coralu*.

— Ile ja się wstydu przez te ogromne meble najadłem, Donio Marylito, nie ma pani pojęcia — tak się tu ze mnie moi chłopcy wyśmiewali, że w końcu w tajemnicy przed nimi przynosiliśmy te meble do chatki nauczycielki a pomagał mi Jorge i przenosiliśmy je w nocy.

Dość trudno było wyciągnąć z Teodoro dalsze wyjaśnienia, ale w końcu po dwóch może godzinach dowiedziałam się „prawdy”, którą może powinnam była sama odgadnąć bez tych mozolnych wyjaśnień. Więc, oczywiście, skoro ani Teodoro ani jego chłopcy nie chcieli nauczycielki, samo robienie dla niej mebli było i tak wielką koncesją czy kompromisem,... ale że nikt

inny prócz Teodoro mebli robić nie umie (Teodoro zresztą nigdy przedtem nie robił ani krzesel ani łóżek tylko stoły i *trasteros*, ale „to co innego”...) więc „dla świętego spokoju” Teodoro zgodził się i Don Edmundo uparł się przy takich wielkich meblach.

— Wszyscy Panowie zresztą chcieli tych wielkich mebli — powiedział Teodoro. — Nie tylko Don Edmundo, a jak im wszystkim razem coś takiego do głowy przyjdzie, nie ma co z nimi walczyć... zresztą oni i tak nie słuchają tego co my, młodzi mamy do powiedzenia. Ja przecież dobrze wiedziałem od samego początku, że żadna nauczycielka tu nie zamieszka... No, ale jeśli meble pani odpowiadają, Donio Marylito, to bardzo mnie to cieszy, a te nogi od łóżka oczywiście przypituję, może najlepiej jutro wieczorem, jeśli można?

Przy końcu tego zapytania obudziła się właśnie łąciata krowa, wstała, przeciągnęła się i Teodoro poklepał ją bardzo czule po wielkim brzuchu.

— Za kilka dni powinna się ocielić — powiedział. — To dla cielaka, nie dla łąciatej reperuję *coral*, bo dla cielaka trzeba dodatkowej belki, żeby się nie wymknął, a tamta stara, widzi pani sama, taka już nadwerżona, że jednym kopnięciem ją można wykopać...

— A gdyby miał zamieszkać nauczyciel w Mbayo, czy dla niego robiłbyś te meble chętniej niż dla nauczycielki? — zapytałam bardzo naiwnie, ale nie miałam się już czasu poprawić...

— Nauczyciel, Donio Marylito — zawołał Teodoro — taki nauczyciel jakiegośmy chcieli, my chłopcy, nie mieszkałby w Mbayo, on by mieszkał w Las Animas i utrzymywał kontakty z Toluką i Mexico i miałby tam swoje mieszkanie z wodą bieżącą, z elektrycznością i z telefonem!

Ile godzin snu potrzebuję aby funkcjonować mniej więcej normalnie? Może sześć godzin wystarczy, ale po sześciu godzinach jestem jednak bardzo śpiąca... A może powoli można się przyzwyczaić do sześciu albo nawet pięciu godzin snu, bo widzę już po tym tygodniu w Mbayo, że pisać tu będę mogła jedynie wieczorami, po zaśnięciu Lucity, bo w dzień ciągle ktoś przeszkadza. Z początku zamykałam drzwi, ale to nie wiele pomagało, bo przed drzwiami gromadzili się ciekawi: przeważnie dzieci, ale i dorośli i nic nie mówiąc, wśród zadziwiającej naprawdę ciszy, stukali do moich drzwi bardzo cierpliwie i monotonna. Kiedyś spojrzałam na zegarek i okazało się, że już tak przez piętnaście

minut stukali... Więc w końcu zawsze otwierałam i wchodzili wówczas nieśmiali i przepraszający:

— My tu pani, Donio Marylito, przeszkadzać nie chcemy, ale popatrzymy tylko jak pani pisze — i stawali kołem naokoło stołu milcząc, śledząc pobożnie każde moje maszynowe uderzenie, a gdy się na chwilę zamyśliłam, wówczas dopiero zaczęli mówić i pytać, bo praca dla nich to tylko samo pisanie...

Gdy pisałam o Teodoro zaczęto stukać do drzwi i otworzyłam natychmiast bardzo już zmęczona wytrzymywaniem tego cierpliwego stukania z poprzednich dni, i okazało się, że byli to Don Pablo i Don Edmundo.

— Niech pani pisze, niech pani nie przerywa, myśmy tylko koło domu pani przechodzili i chcieliśmy panią pozdrowić, chwilę tu tylko zostaniemy, niech pani pisze — i stanęli obok stołu patrząc...

Ale oczywiście nie mogłam już pisać, więc zakreskowałam tylko całą linijkę i poczęstowałam ich papierosami. Zapalili milcząc i po kilku minutach wyszli wyraźnie zmartwieni, że przeszkodzili mi w pracy... Szkoda, bo miałam wrażenie, że chcieli mi jednak coś powiedzieć, może o szkole, bo od kilku tygodni mają tu dochodzącego nauczyciela z Las Animas... tego samego *viejito*, staruszka, który przez wiele lat uczył po sąsiednich wsiach dzieci Indian *Otomi*... Widziałam go już kilka razy, ale nie poznałam go jeszcze osobiście, bo chcę aby inicjatywa tego mojego zapoznania się z nim, wyszła jednak od nich, *Mazabuów*... Ale nie potrafiłam jakoś o nic dziś zapytać... jadłam jedno po drugim suche ziarnka słonecznika podczas gdy oni palili milcząc... Czekam pewno jeszcze w Mbayo wiele takich nieudanych wizyt... o ile są one rzeczywiście nieudane...

Mbayo, w czerwcu 1962 r.

Więc jestem, definitywnie jestem w mojej wsi obiecanej i trochę brak mi czekania na nią, trochę za dobrze się tu czuję i brakuje mi niepokoju i niepewności, a może to zresztą moja własna wina, może nie umiem dojrzeć tej niepewności, która na pewno jakoś istnieje we wszystkim co obiecanie i potem osiągnięte, ale nigdy na pewno i naprawdę i na zawsze osiągnięte więc właściwie ciągle jeszcze obiecanie... Analogie z miłością narzucają się w tym momencie tak nachalnie i banalnie, że muszę je odpędzić czy prędeż.

Co prawda nie byle kto, bo na przykład taki George Simmel pisał o miłości w związku z taką właśnie problematyką nieosią-

galności osiągniętego, ale i Simmel i inni używali tego słowa „miłość” czasami za szeroko a zaraz potem za wąsko i czasem w jednym i tym samym zdaniu tak się okropnie plątali mieszając te dwa znaczenia że...

Była chyba 9 wieczorem i Lucita już zasypiała na swojej *petate* — pisałam przy świetle jednej tylko z moich niebieskich lampek, bo baterie drugiej lampki albo się zamoczyły od wczorajszego deszczu albo się wypaliły... trochę mi było ciemno, ale jednak pisałam aż do momentu gdy ktoś zapukał do drzwi. Lucita otworzyła i okazało się, że to mały czteroletni Ignacio, synek Weroniki, a więc siostrzeniec Lucity. Przyszedł tu do nas spać bo chce żeby Lucita nauczyła go dalszego ciągu „Ojczy Nasz”... Leżą teraz przytuleni do siebie, przykryci biało-szarą *sarape* i Ignacio powtarza za Lucitą zdanie po zdaniu... Już parę razy tu spał i wiem, że jeszcze może pół godziny potrwa to powtarzanie a potem głosy ich będą coraz to powolniejsze i słabsze aż zasną oboje w środku któregoś tam zdania czy słowa...

Ta moja codzienność w Mbayo wygląda zupełnie inaczej niż ją sobie wyobrażałam. Wstaję wcześniej niż myślałam, kładę się później, chodzę mniej, „przyjmuję” więcej...

Z tym „przyjmowaniem” to największa niespodzianka, ale raczej przyjemna. Myślałam, że będę spędzać całe dnie w Mbayo na chodzeniu od chatki do chatki i odwiedzaniu mieszkańców, a tymczasem oni tu do mnie przychodzą bez przerwy, tak, że nie mam nawet czasu gdziekolwiek wyjść. Przychodzą przedstawić się, przywitać, pogadać i przynoszą ze sobą najróżniejsze rzeczy: owoce kaktusów, *tuny*, ciemnoczerwone, żółte, różowe... obierają te *tuny* kolczaste „żeby się nie pokłuła” a potem uczą mnie jak obierać, mimo to, że już od dawna umiem... Przynoszą czasami maleńkie jabłuszka, z pokurczoną skórką i robaczywe, a jabłko to dla nich rarytas coś jak w Polsce ananasy...

... Czasami przynoszą kaczan ugotowanej kukurydzy a przedwczoraj Donia Maria, żona Don Pablo, przyniosła bukiet kwiatów, ale nie dla mnie... dla *El Santito*, dla świątka którego tu jeszcze nie ma... Chciałam te kwiaty zatrzymać dla siebie: niebiesko-różowe polne kwiaty, świeże i pachnące, ale Donia Maria mi je odebrała... Dla nich z Mbayo kwiaty są tylko dla świątków, nie dla ludzi... znaczy to, że i ja sama nie mogę sobie zrywać kwiatów, skoro nie mam w domu ołtarzyka ze świątkiem. Czy wszystkie chatki mają takie ołtarzyki, jak te które widziałam w *Ngeme* i u Don Edmundo i w „gabiniecie” Teodoro?

Jeszcze nie wiem... Mogłabym sobie zresztą zrobić ołtarzyk

tylko, że moje obrazki z Matką Boską Częstochowską są za małe — ich „świętki” są i zapewne muszą być większe... Ale za to mam tych obrazków Matki Boskiej Częstochowskiej bardzo dużo i ofiarowuję je przy każdej okazji... Bardzo się przydają bo, jak dotąd, nie bardzo wiem czym częstować moich gości... Mam co prawda kawę w proszku, ale nie wszyscy chcą tę kawę pić bo nie są tu do kawy przyzwyczajeni. Dla mężczyzn mam zawsze papierosy i to jest najłatwiejsze, ale kobiety nie palą, dla dzieci mam cukierki, dla dorosłych kobiet powinnam jednak mieć co innego, z czasem wymyślę co... gdy się je częstuje cukierkami chowają je dla dzieci, które zostały w domu...

Dzięki tym wszystkim wizytom moje badania są jak dotąd bardzo łatwe. Moje „dane” dosłownie przychodzą do mnie i wieczorami siedzę czasem do 12-ej w nocy zapisując je na twardej kartkach i już po tak krótkim czasie orientuję się dość dobrze w strukturze rodziny *mazahua* i w niektórych aspektach przedkolonialnej, a może raczej przed-kolonialno-kolonialnej struktury politycznej, która tu w Mbayo przetrwała. To są dobre, „przyjemne”, strony tych bezustannych wizyt. Ale jest w nich także coś bardzo „nieprzyjemnego” do czego trudno mi się będzie przyzwyczaić... Teraz zwłaszcza odkąd przestałam pisać na maszynie w dzień i piszę jedynie wieczorem gdy wszyscy w Mbayo już śpią, nikt tu nie wierzy w to że w ogóle pracuję... Na mojej werandzie, ocienionym *solar*, zawiesiłam z pomocą Jorge kolorowy hamak z Tehuantepec i w tym hamaku właśnie przyjmuję moich licznych gości.

Jest to niewątpliwie najwygodniejsza forma „przyjmowania”, bo w *solar* cieplej i jaśniej niż w chłodnej i ciemnej chatce, no i goście mają tu na czym siedzieć bo *solar* ma cementowe balustrady, a w chatce na tych dwóch wysokich krzesłach „małżeńskich” tylko Don Edmundo i Teodoro mają odwagę siadać, a przy śniadaniu na łóżku tak się ceremoniują, że traci się na to masę czasu: otrzepują *sarapes*, siedzą na samym brzeżku bardzo niewygodnie i w ogóle „przyjmowanie” we wnętrzu chatki ma zupełnie inny, dużo mniej swobodny charakter. Tak, że ten hamak był jednak świetnym pomysłem, ale ponieważ hamaki używa się tutaj rzadko i tylko jako kołyski dla dzieci, jest oczywiście coś bardzo śmiesznego w tej mojej hamakowej egzystencji. Ta śmieszność i ta dziecinność w ogóle mi nie przeszkadza... Im więcej się będą ze mnie śmiać tym lepiej, byle by nie było to wyśmiewanie, ale jak dotąd żadnego wyśmiewania z ich strony nie zauważyłam, jedynie pobłażliwe żarty, że oto „Donia Marylita leży w kołysce”. Im więcej takich żartów tym lepiej, tym mniej odległa jestem ja, „Która Wie”, od nich, „Którzy Nie

Wiedzą". Sama już zaczynam żartować z nimi na swój własny temat a atmosfera moich nigdy się nie kończących *jour-fixów* jest coraz swobodniejsza i przyjaźniejsza... Nie mogę się jednak pogodzić z tym, zrozumiałym w tej sytuacji, ciągłym „oskarżaniem mnie” (wiem, że oni nie oskarżają, ale tak to właśnie odczuwam) o nieróbstwo, lenistwo o ten „hiszpański” dobrobyt, rozpieszczanie i bogactwo, które mi pozwalają na taki tryb życia. Bardzo mi rzeczywiście trudno wytrzymać to moje „ja” narzucone przez gości z Mbayo, „ja” buduarowe, leżakowe, „pasożytnicze” i bronię się jak mogę (i wiem, że bezsensownie) przed ich uwagami dobrodusznymi na temat tego jak to dobrze w swej kofsycie odpoczywam, jak dobrze mi się w niej śpi etc... „Co za niesprawiedliwość pełna ironii”... myśli mi się wówczas, ale nie jestem w stanie oczywiście wytłumaczyć, że leżąc w hamaku pracuję, że to leżenie i słuchanie i pytanie to właśnie moja praca... Czasami jestem tak zmęczona, że naprawdę zasypiam między jedną wizytą a drugą i to potwierdza jeszcze ich stereotyp dobroduszny, niewinny, ale jakże krzywdzący...

Bo przecież jedynie praca, jedynie wysiłek nieustanny, jedynie prawdziwe szczerze i aktywne przejęcie się ich losem, jest usprawiedliwieniem tego rodzaju badań. Nie mogę im tego jednak powiedzieć bo na pewno by nie zrozumieli albo co gorsza zrozumieli źle. Gdyby chociaż Don Edmundo i Teodoro mogli kiedyś zrozumieć...

Gdybym miała okazję porozmawiania o tym z Ulissemem powiedziałby pewno to samo co by powiedział był kiedyś Władysław, coś w tym rodzaju, że „ludzie dorośli” powinni być wskutek tej swojej dorosłości przyzwyczajeni do takich niesprawiedliwości pozornych, że nie powinni się nimi w ogóle przejmować, bo „to nie są prawdziwe problemy”...

Ale jakże się tu nie przejmować, nie wiem... a może nie powinnam w ogóle aspirować do tego wątpliwego zaszczytu „dorosłości”? Bo skoro dorosłość to znieczulenie na wydarzenia własnego życia, to po tego rodzaju znieczuleniu przychodzi niewątpliwie i znieczulenie na życie innych i wówczas kończy się wszystko...

Tak, ale ani dla Władysława ani dla Ulissesa na pewno nie skończyło się nic i na pewno zaczęło się wiele razem z tą ich dorosłością niepojętą... Kto wie, może oni nie odrzucają swej wrażliwości... może umiem ją tłumaczyć na coś czego jeszcze nie widzę i nie przeczuwam... ciekawe czy i Don Edmundo jest w podobny sposób dorosły?

Mam tu ze sobą budzik z Amsterdamu i Lucita każe mi nastawiać ten budzik codziennie na 5-tą rano. Najpierw, muszę

przyznać, starałam się ją trochę oszukiwać i nastawiałam budzik na 6-tą ale Lucita zna się na godzinach chociaż nie umie jeszcze czytać i bardzo szybko się w tym zorientowała.

— Pani może spać jak długo pani chce, Donio Marylito, bo pani przecież nie pracuje — powiedziała — ale ja mam pracę rano przed szkołą i muszę się obudzić na czas, a bez Aurelii sama się obudzić nie potrafię...

U nich w *Ngeme*, jak się okazuje, Aurelię budzi kogut, którego tylko ona słyszy, a potem Aurelia budzi wszystkich po kolei.

— No a my tutaj koguta nie mamy a nawet gdybyśmy miały i tak bym go nie usłyszała — oświadczyła Lucita — bo tylko Aurelia słyszy pianie kogutów.

Więc budzimy się codziennie o 5-ej rano, gdy na dworze ledwo świta, Lucita mówi pacierz i wymyka się cicho z chatki a ja staram się jeszcze spać, zwykle jednak ledwo zasnę już wraca Lucita z miotłą i przez godzinę (zupełnie bez potrzeby ale jak tu ją przekonać?) wielką miotłą zamiata podłogę naokoło mego łózka, pod stołem, za stołem, skrapla ją wodą i znowu zamiata i znowu skrapla... Tak, że o szóstej rano po tym codziennym zamiataniu jestem już prawie zupełnie rozbudzona i w długim granatowym, wełnianym szlafroku (bo bardzo tu rano zimno, jeszcze zimniej niż w Las Animas) przygotowuję sobie kawę na maleńkiej maszynie spirytusowej firmy „Pavo”. To przygotowywanie kawy jest zawsze wielką atrakcją i dla Lucity i dla innych młodszych dzieci bo mój miniaturowy piecyk zaczyna się, szumi, fuka, wytryskuje spirytusem, gaśnie a potem nagle zapala się wielkim jasnym płomieniem, na który wszyscy razem dmuchamy, żeby się nie rozprzestrzenił i nie spalił słomianego króla, stołu, chatki... Prócz Lucity zwykle z pięcioro dzieci stoi zafascynowanych naokoło mego piecyka — częstują je potem kawą i sucharkami, które tu ze sobą przywiozłam ale nie chcą ani jeść ani pić, „bo to za wcześnie”. Oni w Mbayo jedzą śniadanie dopiero około 9-ej rano a czasem później i nie mogą zrozumieć jak o tak wczesnej godzinie można w ogóle coś przełknąć. No, a gorąca kawa i w dodatku zrobiona z butelkowanej wody, z wielkiej butli jest na pewno „bardzo szkodliwa”... Mała, trzyletnia Iza, która jeszcze takich rzeczy nie rozumie spróbowała kiedyś trochę kawy i bardzo jej nawet smakowała, ale Lucita nie pozwoliła jej pić więcej i podała jej zaraz miseczkę z brudną wodą ze studni, „znacznie lepszą i zdrowszą” — powiedziała.

Po śniadaniu zaczynam „urzędować” w hamaku, a czasem jeszcze w trakcie śniadania przychodzą goście. Taki Alfredo na

przykład melduje się u mnie codziennie w drodze do pracy. Pracuje on w fabryce kapeluszy w Las Animas i będąc się go musiała o tę pracę któregoś dnia dokładnie wypytać, bo Alfredo jest bodajże pierwszym robotnikiem fabrycznym w historii Mbayo. Może nawet pójdę z nim któregoś dnia do tej fabryki, którą się zawsze chwali. Jakoś nigdy mi nie przyszło na myśl, że w Las Animas może istnieć jakakolwiek fabryka...

A między drugą i trzecią przybiega po mnie zwykle mały Ignacio i zabiera mnie na obiad do *Ngeme*. Po obiedzie kontynuuję swoje hamakowe urzędowanie aż do kolacji w *Ngeme*, mniej więcej około w pół do ósmej. Ta kolacja zwykle trwa prawie do dziewiątej i potem Lucita i dzieci kładą się spać a ja zacznam pisać...

Mbayo, w czerwcu 1962 r.

Przeczytałam wczorajszą kartkę i wygląda z niej tak jakby się rzeczywiście nic w moim życiu tutaj nie działo... Ale to tylko pozór, bo ciągle coś się tutaj dzieje i oczywiście ten dzień typowy to jedynie ramy mojego codziennego życia w Mbayo. Z tych ram wybiegam często i zwykle niespodziewanie.

Wczoraj na przykład nie mogłam już wytrzymać nerwowo tego mojego „nieróbstwa” hamakowego i przeprosiłam Panów zgromadzonych naokoło mówiąc im, że nie mam już czasu na dłuższą rozmowę, bo muszę sobie wyprać „swoje rzeczy”. Zaniemówili na chwilę moi Panowie, a potem zaczęli się śmiać.

— Ależ Donio Marylito, przecież pani prac nie potrafi — powiedział spokojnie Don Edmundo, niech pani chwilkę poczeka ja tu zaraz zawołam Adolfo i poślę po Lucitę to ona pani wypierze co pani potrzebne.

Ale uparłam się przy tym praniu, zostawiając ich w samym środku bardzo ciekawej dla mnie rozmowy o zbliżającej się wielkiej *fieście* ku czci patrona Mbayo Santiago. Zrobiłam mały węzełek z kilku brudnych bluzek i pobiegłam na dół wybrukowaną okrągłymi kamieniami drogą a potem wąską ścieżką poprzez pole *alfalfa* aż do kanału irygacyjnego. Gdy dobiegłam do najlepszego z kamieni na którym — widziałam już wiele razy, że prało się najwygodniej, obróciłam się i pokiwałam do Panów z Mbayo, którzy jeszcze siedzieli na moim *solar* naokoło pustego hamaku i pewno o czymś rozmawiali... A może się śmiali ze mnie, może mnie podziwiali... nie wiem, bo z tej odległości widać było zaledwie ich sylwetki w niebieskich bluzkach, na tle białych ścian chatki.

Rozwiązałam węzełek i zanurzyłam bluzki w mętnej, brązowej wodzie zazielenionej gdzieniegdzie lepкими wodorostami... Ale to nic nie szkodzi! Wiedziałam, że gdy się mocno i długo trze brudne rzeczy o ten najlepszy kamień wypiorą się i wybielą wspaniale mimo to że woda mętna... Mętna zresztą to niekoniecznie brudna. Ale okazało się, że zapomniałam mydła i wstyd mi było po mydło wracać, więc prałam tak przez chwilę bez mydła, aż wreszcie zauważyłam, że z wielkim węzłem na plecach idzie w moją stronę młoda kobieta cała opatulona w niebieskie *reboso* i owiązana długim fartuchem z pomarańczowej *cambaity*. Za nią dreptał mały chłopczyk w połatanym bluzaku. Zbliżyła się do mnie, położyła węzeł na ziemi i podała mi rękę. Okazało się, że jest z sąsiedniej chatki, nigdy jej jednak dotąd nie widziałam a nie odwiedziła mnie dotychczas bo „teściowa chorowała więc była z nią zajęta, ale teraz już dzięki Bogu czuje się lepiej”... Gdyby nie to od dawna by mnie już odwiedziła i nawet miała przygotowane dla mnie *quesadille* ale wstyd jej było posłać przez chłopca „bo to jeszcze taki malec i nieobyty”...

Poprosiłam ją żeby mi pożyczyła kawałek mydła. Wyciągnęła spod spódnicy niebieską kulkę, taką samą jak ta którą się myje Lucita.

— Może ją pani całą zużyć — powiedziała — ja mam jeszcze trzy bo tyle dzisiaj do prania. Zebrało mi się z całego tygodnia... Jakoś się nie dziwiła tym moim praniem i nie starała się mnie uczyć, jak się do tego zabierać, może dlatego, że już klęczałam przy tym kamieniu najlepszym, widocznie więc „wiedziałam”... Tą niebieską kulką, utulaną z proszku do prania, małą i twardą prało się rzeczywiście znakomicie, a jeszcze tak niedawno śmiałam się z Lucity, która nie chciała przyjąć mojego mydła do prania białego i kwadratowego, bo dla niej tylko taka kulka niebieska utulana własnoręcznie z proszku do prania pierze naprawdę dobrze.

Młoda kobieta — na imię jej było Virginia — zaczęła prac na sąsiednim kamieniu. Miała w tym swoim węzle ogromnym same męskie rzeczy: połatanie spodnie, wypłowiałe niebieskie bluzki i jedną bardzo elegancką jasnoróżową koszulę.

— Czy te rzeczy męża? — zapytałam. Ale nie.. to były wszystko rzeczy teścia bo mąż już od roku w Stanach Zjednoczonych jako robotnik sezonowy, *bracero*, ale teraz ma już lada dzień wrócić. Bardzo się tą wiadomością dziwiłam bo nie przyszło mi jakoś na myśl dotąd, że mieszkańcy Mbayo jeżdżą także do Stanów jako *braceros*, okazało się jednak, że tylko kilku, może czterech, pojechało na roboty do Stanów i tylko dwóch wróciło — jeden z pieniędzmi a drugi bez grosza i chory. Ale

i ten co wrócił z pieniędzmi opowiada „rzeczy straszne” o tej podróży i o pracy... Nie dowiedziałam się jeszcze jakie to „straszne rzeczy” opowiadają, ale niedługo odwiedzę Virginie i wówczas ją popytam. A może ona sama do mnie przyjdzie...

Mbayo, w czerwcu 1962 r.

Nie wiem czy to wypranie trzech bluzek wpłynie jakoś czy nie na stosunek ludzi z Mbayo do mego „nieróbstwa”, ale mnie samej bardzo to dobrze zrobiło na samopoczucie. Gdy wróciłam nikogo już nie było przed moją chatką, tylko na balustradzie *solaru* stał mały koszyczek żółtych *tun*... Nie obierając ich potrafię już teraz poznać czy są żółte, czerwone czy różowe... poznaje się po takich żyłkach na skórcie. Na żółtych *tunach* żyłki są żółtawe.

Po chwili przyszła Lucita i powiedziała:

— To Don Pablo pani ten koszyk zostawił. Wrócił do domu a potem przysłał chłopaka z koszyczkiem, żeby się pani dobrze najadła po tym praniu...

Byłam zadowolona i z tego koszyczka i z samej siebie bo moje bluzki bardzo czyste suszyły się już na dwóch kaktusowych drzewkach. Ale to właśnie rozwieszenie ich na kaktusowych drzewkach okazało się fatalnym błędem i Lucita czym prędzej te bluzki pościągła. Bo tylko na agawach można wieszać rzeczy — jak się okazuje — „bo kolce agaw są dłuższe i nieczepliwe, podczas gdy kolce kaktusów wczepiają się w materiał i potem rady sobie z nimi dać nie można”.

Oto moja nowa wiedza... ale dotąd nie wiem jeszcze z czego się robi *petaty*.

Mbayo, w czerwcu 1962 r.

Przy kolacji w *Ngeme* było dzisiaj bardzo wesoło bo Don Pancho przywiózł z *rancho* San Lorenzo nie tylko chróst ale i grzyby, z tych grzybów więc zrobiono jakąś wspaniałą niby zupę niby sos... Maczaliśmy w nim *tortije* i jedli bez końca, siedząc przy trójkamiennym piecu — ja i mężczyźni na krzeselkach a wszyscy inni na ziemi. Ten sos grzybowy okropnie mi ściekał po palcach bo nie nauczyłam się jeszcze tak naprawdę jeść wszystkiego jedynie przy pomocy *tortiji*, ale tuż obok mnie leżał pies, Kantinflas, jedyny pewny siebie i tłusty pies w Mbayo i oblizywał mi palce, tak dokładnie, że nie miałam kłopotu z wycieraniem grzybowego sosu.

Don Pancho i Jorge dobrze już sobie podbili i Ernestina znowu dolewała im *pulque*, a potem przyszedł Alfredo i wszyscy zaczęli podśpiewywać jakąś nieznaną mi jeszcze piosenkę, prawie zresztą bez słów, ale melodia była wyjątkowo skoczna.

— Co za szkoda, że Jorge nie umie grać na gitarze — powiedział nagle Alfredo — bardzo by się nam gitara teraz przydała...

— Dlaczego właśnie Jorge? — zapytałam zdziwiona.

— A bo Jorge uczył się grać na gitarze, jako młody chłopak od nauczyciela z Las Animas i szło mu bardzo dobrze ale musiał przerwać.

Zamilkli teraz wszyscy i słychać było krople deszczu, ciężkie i powolne. Donia Elena dorzuciła chróstu do ognia i ogień zasumiał. Zastanowiłam się chwilę czy pytać dalej czy nie.

— A może by się tak pani, Donio Marylito, napiła z nami *pulque* — bardzo dziś dobra, bo przez kilka dni nie padało — powiedział Jorge.

— Z przyjemnością — powiedziałam. — Ale chyba taki mniejszy kubek, Ernestino. I już z kubkiem w rękę zapytałam ich wszystkich razem:

— A dlaczego Jorge musiał przerwać te lekcje w Las Animas?

Znowu milczenie i słychać było lekkie chrapanie małej Izy wtulonej w fartuch Doni Eleny, a potem ziewnął Kantinflas i mały Ignacio zaczął się śmiać.

Alfredo podniósł swój wielki kubek *pulque* i zawołał do mnie:

— Donio Marylito, *salud!*

— Dlaczego? — zapytałam znowu.

— Powiem pani, Donio Marylito, tak powiem, żeby pani wiedziała skoro tu pani z nami mieszka — zaczął teraz Don Pancho i widziałam że w tym momencie Donia Elena pociągnęła go za rękaw.

No se mete mujer, nie przeszkadzaj, kobieto — odepchnął ją — *salud*, Donio Marylito, ale niech pani wypije taki porządny łyk, Donio Marylito. Bo widzi pani on musiał te lekcje przerwać z powodu tego *Gringo*, Amerykanina, co go to zamordowali w Los Pinos...

Ale nic więcej się nie dowiedziałam, bo Jorge i Alfredo zaczęli znowu śpiewać a Donia Elena powiedziała:

— I bez gitary śpiewać umieją, na nic by mu się gitara nie przydała.

Jorge przerwał na chwilę i powiedział cicho:

— Teraz gdy mamy własną szkołę mój Ignacio będzie się mógł uczyć czego chce i gdy mu przyjdzie ochota to i na gitarze też grać się nauczy.

Ale zaraz wrócił do przerwanej piosenki i dołączył się do nich, dwóch młodych, bardzo już pijany Don Pancho. Jedliśmy znowu *tortije* z grzybami i popijali *pulque* a potem już zrobiło się bardzo późno i trzeba było iść spać.

Ale nawet gdybym mogła dziś spać, nawet gdybym nie miała żadnej pracy i tak bym spać nie potrafiła. Nareszcie po tylu miesiącach dowiedziałam się czegoś na temat Los Pinos i to nie od obcych, ale od nich samych z Mbayo! Jakie to irytujące jednak, że nie powiedzieli mi nic więcej! Kiedy się dowiem nareszcie dlaczego Don Edmundo nie pozwolił mi pojechać do Los Pinos? Oczywiście już teraz nawet po tych kilku słowach mogę się mniej więcej domyślić dlaczego, ale takie „mniej więcej” naturalnie mi nie wystarcza. Nie będę jednak nic na ten temat fantazjować, jeszcze trochę cierpliwości, jeszcze trochę... A teraz chyba zrobię sobie filiżankę czarnej kawy po tych dwóch kubkach bardzo mocnej *pulque* a potem zacznę przepisywać dane z notesu na twarde kartki... która to godzina... już w pół do jedenastej... może za jakieś dwie godziny zmęczone się pracą i wówczas będę już mogła spać.

Mbayo, w czerwcu 1962 r.

Alfredo jak zwykle wstąpił do mnie dziś rano w drodze do fabryki a potem w jakąś godzinę później przyszedł Jorge z małym Ignacio i przynieśli mi wielką drewnianą ramę.

— W tej ramie będzie pani *Santito*, Donio Marylito — powiedział Jorge. — Donia Elena już zamówiła półkę na ołtarzyk u Teodoro a Don Edmundo ma już dla pani *Virgencitę* i Weronika ją dzisiaj wyprasuje bo bardzo się pogniotła u niego, bo on, jak to zwykle Don Edmundo, wszystko w rulony zwija i pod belkami od sufitu chowa, taki już ma zwyczaj.

Ale nie potrafiłam się jakoś zainteresować tą *Virgencitą* jeszcze niewyprasowaną teraz gdy wiedziałam, że oni w każdej chwili mogliby mi powiedzieć o tym co się stało w Los Pinos, o tym morderstwie niezrozumiałym i tak silnie związanym z moim obecnym losem, ale nie wiadomo jeszcze jak związanym i dlaczego. Nie chciałam jednak ani Alfreda ani Jorge o nic pytać a żaden z nich o wczorajszej rozmowie nie wspomniał. A potem w drodze powrotnej na *rancho* San Lorenzo przyszedł do mnie Don Pancho i z pół godziny siedział na balustradzie *solaru* i monologował ale i z tego monologu nie dowiedziałam się niczego o Los Pinos. Bo monolog był na temat okropnego konfliktu i wielkiego smutku Dona Pancho.

— Od kiedy otwarto szkołę Mateo jest naturalnie w szkole — skarżył się Don Pancho — i nie może zajmować się krowami na *rancho* San Lorenzo. Więc co było robić, młodych dziewczyn: Aurelii i Ernestiny przecież na to odległe *rancho* nie poślę, bo tego się tu w Mbayo nigdy nie robi, żeby takie młode na niebezpieczeństwo narażać.

Więc naturalnie on Don Pancho musiał się poświęcić i od czasu gdy szkołę otwarto mieszka na *rancho* i tylko dwa razy na tydzień do domu przyjeżdża z mlekiem i chróstem, tak jak dawniej przyjeżdżał Mateo.

— Ale co mąż to nie syn, co syn to nie mąż i Donio Marylito — zamyślił się Don Pancho — ile ja się tam nacierpię bez tej mojej Doni Eleny, bez mojej ukochanej żony, Donio Marylito, ale co było robić i widzi pani, ja wiem, że ją kocham najwięcej na świecie, Donio Marylito, ale jednej rzeczy sobie wytłumaczyć nie potrafię... Jak tu siedzę u pani, Donio Marylito, i patrzę poprzez pola i rzekę w kierunku mojego *ranchito*, to już o Doni Elenie wcale nie myślę tylko o tych krowach, które tam na mnie czekają... I nie wiem czy to tak być powinno, Donio Marylito, bo ja ją przecież, tę moją Donię Elenę ponad wszystko kocham, ale tak między nami mówiąc to jednak o krowy jestem bardziej zazdrosny niż o nią i może to jest nie w porządku wobec naszego Pana Jezusa Chrystusa i wobec mojej żony, Donio Marylito, tak sobie czasem myślę i stąd ten smutek.

Taki był mniej więcej ten monolog. Bardzo interesujący bo to mówienie o „miłości” i „zazdrości” to już wpływy innego nie-indiańskiego świata i oto Don Pancho nie bardzo wie jeszcze jak sobie z tymi nowymi pojęciami dać radę. Ale nie potrafiłam poradzić mu nic, zbyt rozczarowana tym, że nie udało mi się naprowadzić rozmowy na temat Los Pinos i zamordowanego *Gringo*.

Władysław i Ulisses na pewno potrafiliby tak pokierować monologiem Don Pancho, że w końcu wszystko by im powiedział, a przecież ani Władysław ani Ulisses nie są socjologami. Więc cóż? Dlaczego oni by potrafili a ja nie potrafię, a może nie tyle nie potrafię ile nie chcę, może nie chcę wydostać tej tajemnicy kosztem czegoś ważniejszego. Ale czego właściwie?... Może kosztem wrażliwości tych innych, którą sobie wyobrażam pewno zanadto na wzór mojej własnej wrażliwości. A jednak są ludzie którzy potrafią jakoś żyć i skutecznie i wrażliwie. Taki Władysław, taki Ulisses... i może wśród socjologów i etnografów spotyka się także tego rodzaju ludzi, naprawdę wrażliwych i naprawdę produktywnych.

Tak mi się mniej więcej myślało podczas monologu Don

Pancho i starałam się ten monolog jednocześnie jak najdokładniej zapamiętać i zapamiętałam go chyba mimo tych wszystkich wątpliwości osłabiających. I jeszcze jedno mi przyszło na myśl, że może ja się po prostu bawię tą tajemnicą Los Pinos, tak jak kiedyś będąc dzieckiem bawiłam się książkami o duchach, które mogłam przecież przeczytać od razu ale wolałam czytać powolutku bo w ten sposób przedłużał się fascynujący wątek, „a kto wie czy w następnej książce znajdzie się równie ciekawą tajemnicę”, a poza tym — wiedziałam dobrze — istnieje wiele książek które są i bez duchów i bez tajemnic.

Mbayo, w czerwcu 1962 r.

Byłam dzisiaj w Las Animas na poczcie, ale zamiast listów czekała tam na mnie ogromna paczka z Londynu a w niej trzy książki: z reprodukcjami Giotta, Matisa i Picasso i taka kartka: „Drożej Marylicie z prośbą aby wśród Indian nie zapomniała o sztuce europejskiej — Irena i Bogdan”. Bardzo mnie ta przesyłka wzruszyła i jeszcze bardziej zaskoczyła. Po raz pierwszy bowiem uświadomiłam sobie, że ani sztuki ani kultury europejskiej ani w ogóle jakiegokolwiek innej wcale mi tu w Mbayo nie brakuje i że jedyna rzecz której mi tu brakuje to sny. Bo jakoś nic mi się tu nigdy nie śni... może dlatego, że za mało śpię i potem przez te pięć czy najwyżej sześć godzin mojej krótkiej nocy śpię jak kamień, ale rzeczywiście bardzo brak mi moich snów i jak zwykle gdy czegoś dobrze znanego tak bardzo brak, wydaje mi się, że może już nigdy w życiu nic mi się nie będzie śniło. Ale sztuki europejskiej na pewno mi tu nie brak! I nie brak mi amerykańskiej cywilizacji... Zamiast do łązienki chodzić pod agawę za chatką, zamiast ciepłej wody myję się wodą zimną, zamiast noży, widelcy i łyżek mam *tortije*, które się potem zjada. Ale snów brak mi rzeczywiście bardzo... gdyby tak istniało jakieś lekarstwo na sny, jakiś sennodawczy lubczyk... A może istnieje?

Po raz pierwszy chatka moja jest dzisiaj pełna kwiatów: polne kwiaty żółte i niebieskie i półdzikie różowe pelargonie i dalej białe i czerwone. Poprzynoszono mi te wszystkie kwiaty dla mego „świętka”, bo Don Edmundo zainstalował właśnie w drewnianej ramie na półce, już parę dni temu przyniesionej przez Teodoro tę swoją już wyprasowaną *Virgencię*, która się okazała świętą Carmen, biało-niebiesko-żółtą o jasnoróżowych policzkach i otoczoną cukierkowymi aniołkami. Zastawiłam tę cukierkowość odpustową jak najwyższymi kwiatami, ale Lucita

odsunęła kwiaty na bok, żeby *Virgencitę* było widać. Teraz Lucita już śpi a przede mną różowieje ta odsłonięta *Virgencita* w niebie nieprawdziwym, bo nigdy przez *Mazahuów* nie malowanym. *Mazahuowie*... czyśćcem natchnieni czy może „opętani”...?

Chciałabym tę moją *Virgencitę* czymś zasłonić, ale boję się, że Lucita obudzi się i zobaczy. Swoją drogą na przyszłość będę jednak musiała coś wymyślić skoro nie da się postawić krzesła tak żeby jej nie widziała, a nie da się na pewno, bo po jednej stronie stołu jest umywalnia: mały stołeczek z miednicą i wielką glinianą beczką z wodą do mycia — a po drugiej stronie stołu śpią Lucita i Ignacio a dzisiaj jest z nimi także mała Iza.

Gdy Don Edmundo instalował ten ołtarzyk, starałam się jak mogłam, naprowadzić rozmowę na Los Pinos, ale znowu nic z tego nie wyszło. Może trzeba go było *po prostu zapytać* (według tych rad z metodologicznych książek amerykańskich... zaraz, zaraz jakie to motto miała jedna z tych książek? Zdaje mi się, że brzmiało ono tak: „O ile się chcesz dowiedzieć co ludzie myślą, dlaczego ich po prostu nie zapytasz?”), tak, trzeba go było może *po prostu zapytać*, ale jednak jak zwykle nie zapytałam. Don Edmundo zresztą bardzo był czymś innym zaabsorbowany podczas instalowania *Virgencity*.

— Jutro, Donio Marylito, przedstawię panią profesorowi, Don Enrique — powiedział — nie chciałem tego zrobić wcześniej żeby go nie przestraszyć, ale teraz jest odpowiedni moment.

Nie mam pojęcia co znaczy ten „odpowiedni moment” i to „przestraszenie”, ale nie będę próbowała zgadywać, po prostu położę się spać i może *Virgencita* Carmen ześle na mnie sny wyjaśniające lub sny niepokojące lub JAKIEKOLWIEK byle by sny po tylu już nocach bez snów.

Mbayo, w czerwcu 1962 r.

Już znam Dona Enrique Ramirez, wysokiego i bardzo przystojnego staruszka z siwą bujną czupryną i świecącymi oczami. Dwa razy dziennie widywałam jego sylwetkę w „kolonialnym” stroju: piaskowych spodniach, piaskowej wiatrówce i piaskowym kapeluszu, bardzo innym od kapeluszy noszonych i przez mieszkańców Mbayo i przez mieszkańców Las Animas... „Don Enrique w kapeluszu kolonialnym” — pomyślałam i to wrażenie kolonialności być może bardzo mylne, tak się do mnie silnie przyczepiło, że trzeba będzie uważać aby nie zamąciło mi ono dalszych spostrzeżeń...

Don Enrique nie bardzo mógł zrozumieć co ja tu właściwie

w Mbayo robię, ale nie wypytywał o nic... Zdziwiony był pewno, że to Don Edmundo przedstawił mnie jemu, a nie on mnie Don Edmundo i to zdziwienie trwało niezaspokojone i widoczne podczas całej naszej rozmowy. Nie zrobiłam nic aby je zmniejszyć, bo sprawiło mi ono pewną (może perwersyjną?) przyjemność. „Zresztą” — pomyślałam — „skoro Don Enrique ma taki Inny Kapeluszu powinien uznać również moją Inność”. I bawiło mnie trochę to wypróbowywanie granic jego tolerancji i taktu. Smakowała mi w ogóle ta cała sytuacja — jestem pewna — bardzo niezwykła, bo przecież *gente de razón*, „ludzie rozumni” powinni być wprowadzeni do Mbayo przez innych „ludzi rozumnych”, takich właśnie jak on, Don Enrique. Oni mają monopol na tego rodzaju kontakty, a ja znalazłam się tu nie wiadomo jak i w dodatku mieszkalam i mieszkam z nimi, *Mazabuami*, a jednak jestem inna, i nawet nie udaję, że jestem taka jak oni, więc co to wszystko znaczy?

Ale tak jak zapewnił mnie Don Edmundo, Don Enrique niczego się już nie bał, a mógł się bać dwóch rzeczy, widzę to teraz po naszej rozmowie. Po pierwsze mógł się bać, że przyjechałam tu z ramienia jakichś władz meksykańskich aby sprawdzić jak idzie szkoła, po drugie, mógł się obawiać, że jestem w gruncie rzeczy nową nauczycielką, która ewentualnie jego, emeryta, z Mbayo wygryzie, a wtedy skończyłoby się wszystko. Ale Don Edmundo niewątpliwie rozmawiał z nim przed tym naszym dzisiejszym zapoznaniem i Don Enrique był już chyba spokojny chociaż nadal bardzo zaintrygowany... Czułam wyraźnie to jego zaintrygowanie, pełne zresztą szacunku i rezerwy...

Spotkanie to odbyło się podczas wielkiej dwudziestominutowej przerwy, o 11-ej przedpołudniem i siedzieliśmy w bardzo białej sali szkolnej, na nowych ławkach, podczas gdy wszystkie bodaj dzieci (od czterech lat do lat do dwudziestu) wszystko to stało z nosami przylepionymi do bardzo czystych szyb, „nowych i nieznananych” — myślałam — „fascynujących”, może nawet świętych, świętych bez cudzysłowu, o ile religię rozumie się tak jak ją rozumiał Emile Durkheim...

„Święte szyby”... doskonały tytuł... jak łatwo wymyślać tytuły i jak trudno badać to co poza tytułami.

Za chwilę więcej o tytułach, chwilowo chcę jednak zanotować te kilka rzeczy na które nie ma miejsca (bo nie ma właściwych kategorii) na moich twardych kartkach.

Więc „odpowiedni moment”, o którym wspomniał Don Edmundo, przyszedł wówczas gdy Don Enrique zorientował się że nie może już liczyć w tym roku na transport książek. Rok szkolny zaczyna się tu w lutym, a Szkoła w Mbayo zaczęła ofi-

cialnie istnieć dopiero w dniu inauguracji, 23 kwietnia, a *de facto* istnieje dopiero od dwóch czy trzech tygodni, od momentu przydzielenia tu Dona Enrique, więc może to z powodu tych spóźnionych początków Ministerstwo Oświaty nie przysłało podręczników. Nie wiem... Don Enrique w każdym razie uczy dzieci z elementarza sprzed lat trzydziestu. Ma zresztą tylko trzy kopie tego elementarza a dzieci w szkole jest chyba setka. Chodzi więc teraz o to abym ja „przez swoje stosunki w Mexico” wydestała podręczniki z Ministerstwa Oświaty i może najlepiej sama je tu przywiozła, „bo inaczej czekać trzeba będzie bardzo długo”.

Oto pierwsze moje konkretne zadanie — „zamówienie społeczne” *par excellence* i jestem z niego oczywiście bardzo zadowolona. Jak podejść do tego zdobywania książek, nie mam w tej chwili pojęcia, ale już im przyrzekłam (bo jakże mogłam nie przyrzec?), że zrobię wszystko co będzie w mojej mocy i Don Enrique uściśnął mi dłoń, a potem zawołał małego Marcelino i coś z nim poszeptał... Marcelino zniknął i po chwili wrócił przynosząc mi trzy brzoskwinie:

— To z naszego szkolnego ogrodu — powiedział Don Enrique.

— Don Pablo i Jorge zasadzili drzewka już trzy lata temu powiedział z dumą Don Edmundo — wówczas ten teren, na którym jest teraz Szkoła należał jeszcze do Doni Conchity, tej która ma sklepik koło *los gigantes*, córki Dona Ludovico, i rosły tu agawy... Nikt z Mbayo nie wierzył jeszcze, że się nam uda zbudować Szkołę, ale ja im powiedziałem, że Szkoła będzie i to właśnie tutaj na tym wzgórku bo Szkoła powinna być jeszcze wyżej niż Kościół i tak, żeby widać było całą okolicę, Donio Marylito. Najładniejsze miejsce na tę naszą Szkołę wybrałem, i powiedzieliśmy potem Doni Conchicie, że jeśli nie chce sprzedać z własnej woli, i tak zmusimy ją do sprzedania. No i w końcu sprzedała.

Ile spraw jeszcze niezrozumiałych, ile pytań na które będę musiała zdobyć odpowiedzi, moim sposobem, koniecznie moim sposobem, czyli bez zadawania pytań, to bardzo ważne, chociaż nie nazwałam jeszcze tego mojego stylu badań (czy stylu życia?) „nową techniką badań socjologicznych” i pewno nigdy nie nazwę...

Ale najbardziej zaintrygowało mnie to, że jak się okazało Don Enrique przez jakiś czas uczył w Los Pinos. Ta wiadomość zupełnie mnie zbulwersowała, ale opanowałam, chyba dość dobrze moje podniecenie.

O *tytułach*: jest we mnie jakieś wielkie (atawistyczne?) lenistwo... Bardzo bym w gruncie rzeczy chciała spędzić życie na

wymyślaniu tytułów najróżniejszego rodzaju: tytułów książek, wierszy, artykułów. Kto wie, może do tego właśnie mam największe zdolności... A poza tytułami interesują mnie również wszelkiego rodzaju początki i zakończenia np. wstępy do książek. Wiem na pewno, że umiałabym je dobrze pisać ale nic z tego, bo takie wstępy piszą zwykle ludzie którzy już sami napisali dużo tego nudnego i męczącego „co w środku”. Ostatnie zdania wierszy, początki i zakończenia powieści nigdy nienapisanych, rymy do których ktoś inny (lokaj?, służąca?, furman?, niania?) powinien doczepić treść. Gdybym umiała i chciała sprzedawać mogłabym pewno tego rodzaju talenty bardzo dobrze sprzedać na Madison Avenue i wówczas najróżniejsi amerykańscy Nic-Mnie-Nieobchodzący zaczęliby mnie uważać za poważną *business woman*.

Może zresztą nie tylko na Madison Avenue. Może dałoby się wykorzystać tego rodzaju talenty i bez sprzedawania. Na przykład dla propagandy niezakłamanej w konsulacie Jakiegoś Kraju-Który-Się-Wierzy. W Konsulacie Mazahuanu nieistniejącego? W Konsulacie Polski Sprawiedliwej?...

Ale bez takiego Konsulatu lepiej chyba o talentach tego typu raz na zawsze zapomnieć, lepiej: po prostu, systematycznie, pracowicie, jednowymiarowo, nudno. Byle by tylko nie rozdmuchiwać tego „ognia słomianego”, o którym tak wiele mówiliśmy i milczeli, Wiktor, Władysław i ja, wówczas w 1942 roku, gdy nigdy nie wymieniając ani słowa „Polska” ani słowa „Przyszłość”, rozmawiało się bezustannie o Polsce Przyszłości.

Chodziło o to, żeby nie była ona ani Młodopolska ani „Słowiańska”, żeby nie była „głęboka” i „rozchełstana”, ale żeby nie była również tak zwyczajnie i naśladowczo i dekadenccko-„zachodnioeuropejska”. Aby zrozumieć i zachować pewną świeżość, bezpośredniość, fantazję a wyczesać raz na zawsze to co bezczelnie powierzchowne, zakłamane, nieodpowiedzialne.

Więc do wymyślania zakończeń i tytułów ma się chyba tylko wówczas prawo gdy się jednocześnie (bez lokai, nianiek, furmanów!) pracuje nad tym „co w środku”. Wtedy jedynie takie zakończenia i tytuły mają rację bytu, wtedy jedynie są jednocześnie wesołe i poważne bo usprawiedliwione poważnym życiem tych co je wymyślili.

Przeczytałam to „zdanie powyższe” i jak się okazuje brzmi ono bardzo pompatycznie, jak fragment z inauguracyjnego przemówienia:

Inauguracja Kopalni: a teraz zacznę kopać, kopać, kopać,

kopać i może w końcu coś wykopię bo mam przecież te swoje „Święte Szyby”, poza którymi jak dotąd nic.

Mbayo, w czerwcu 1962 r.

Lucita mówi przez sen i ja też mówię, ale Lucita mówi po *mazabua* i nie mogę jej zrozumieć a ja pewno mówię po polsku, a może po angielsku a może po francusku, a może po włosku, w każdym razie nie po hiszpańsku bo Lucita mówi, że „nic nie można zrozumieć” chociaż podobno mówię głośno i powoli. Więc jednak musi mi się coś śnić skoro mówię... Gdyby magnetofony były automatyczne mogłabym nastawić magnetofon i dowiedzieć się może czegoś ciekawego o samej sobie, czegoś co pozwoliłoby mi szybciej i lepiej zrozumieć Mbayo prawdziwe. Ale ten mój siódmy cud świata, najnowszy z istniejących i najdroższy magnetofon, który po skończeniu badań muszę oczywiście oddać Uniwersytetowi, ten mój magnetofon tak przez wszystkich i tu i tam podziwiany, jest jednak bardzo prymitywny. Zaraz, co to powiedział Bertrand Russell? Coś w tym rodzaju, że gdy Amerykanin patrzy na nową maszynę, myśli o potędze człowieka-wynalazcy i pana natury, a gdy Anglik patrzy na tę samą maszynę myśli o bezsilności człowieka, który tak nie wiele potrafił zrozumieć i opanować. Muszę o tym porozmawiać z Don Edmundo i z Ulisesem. Bo ja sama mam raczej „angielski” sceptycyzm w stosunku do maszyn. Ale swoją drogą przeszedł mi właśnie na myśl diabelski wprost pomysł: przecież przy pomocy mojej maszynki jakkolwiek niedoskonałej, przy pomocy mego magnetofonu tak przed chwilą oczernionego, mogłabym świetnie nagrać to wszystko co Lucita mówi przez sen, a potem z pomocą Teodoro przetłumaczyć. A Lucita mówi przez sen prawie codziennie!

Mbayo, w czerwcu a może już w lipcu 1962 r.

Do Mexico naturalnie pojedę i te książki dla nich jakoś zdobędę, ale nie zaraz. Pojadę dopiero za kilka dni mimo to, że Don Edmundo chciał mnie tam wysłać natychmiast po rozmowie z Don Enrique. Ale powiedziałam, że „nie” i że „dopiero za parę dni”. Była to z mojej strony niewątpliwie spontaniczna reakcja, ale teraz widzę to również jako bardzo mądre posunięcie. Bo nie mogę przecież pozwolić na to aby Don Edmundo aż do tego stopnia mi rozkazywał, nie mogę zgodzić się na rolę bezwolnego posłańca, nie tylko dlatego, że ta rola byłaby dla mnie

osobiście nieznośna, ale i dlatego, że ograniczyłaby ona moją wolność ruchów, moją swobodę kształtowania badań w Mbayo. Moja dotychczasowa bierność nie jest biernością inercji, jest raczej biernością zaczajenia, a więc właściwie nie jest w ogóle biernością. I bardzo możliwe, że z tej pozycji zaczajenia przejdę prędzej czy później do pozycji ataku, że przestanę w pewnym momencie czekać na własne życie w Mbayo i zacznę nim jakoś żyć.

Jeszcze nie wiem jak się zabiorę do tego zdobywania książek dla Mbayo. Bo przecież nie mam żadnych właściwie kontaktów z Ministerstwem Oświaty, a Ulissesa, który ma kontakty z Wszystkim-Co-w-Meksyku-Ważne, jakoś nie bardzo chcę o to prosić. Byłoby to właściwie najprostsze, ale mimo to nie chcę i nie bardzo jeszcze wiem dlaczego nie chcę.

Przez całe popołudnie siedziała tu u mnie Gabriela, żona Alfreda, moja sąsiadka, i opowiadała mi o tym jak Alfredo się o nią starał a potem wszystko po kolei o trzech ślubach: świetne etnograficzne dane i za chwilę zacznę je przepisywać na twarde kartkach. Będzie tego przepisywania bardzo dużo bo gdy Gabriela się rozgadała zapytałam ją czy nie ma nic przeciwko temu bym to wszystko zapisywała w notesie „aby potem opowiadać moim dorosłym uczniom” jak się żyje w Mbayo. Bardzo jej się to zapisywanie podobało i zaczęła mówić wolniej i z większą ilością szczegółów. Najciekawsze z tego wszystkiego jest pojęcie „dobrej woli”, o którym już poprzednio słyszałam, ale teraz po rozmowie z Gabrielą zaczynam je dopiero naprawdę rozumieć. Więc jedyną gwarancją szczęścia, jedyną gwarancją ciągłości jest w małżeństwie nie miłość ale „dobra wola” i ta „miłość” Don Pancho dla Doni Eleny jest niewątpliwie rezultatem akulturacji. Donia Elena, choć pochodzenia *mazahua*, wychowana była w meksykańskiej wsi, gdzie mówiono już tylko po hiszpańsku i gdzie wiedziano o „miłości”, o której taka Donia Gabriela na przykład nigdy w ogóle nie słyszała. Don Pancho nauczył się tej terminologii miłosnej od Doni Eleny, ale biedaczek, nie bardzo sobie umie z nią poradzić. Ciekawe czy ich córki także myślą terminami „miłości” (i czy dają sobie z tą miłością lepiej rady niż ojciec), czy też terminami tradycyjnej tutaj „dobrej woli”. Muszę koniecznie na to zwrócić uwagę. Alfredo oświadczył się Gabrieli pytając ją czy ma w stosunku do niego „dobrą wolę” i czy jest tego zupełnie pewna. Ale to nie wystarczyło — potem jeszcze po raz drugi Gabriela musiała wyznać tę „dobrą wolę” w obecności swoich rodziców aby wiadomo było na pewno, że

nikt jej nie zaszantażował, nikt jej do niczego nie zmusił, że to jest jej własna, nieprzymuszona „dobra wola”.

To pojęcie „dobrej woli” wydaje mi się genialnym pomostem między tradycyjnym typem małżeństwa opartym na decyzji rodziców (bo jeszcze przed dwoma bodaj generacjami młoda para w Mbayo nie miała nic do powiedzenia w tych sprawach i o wszystkim decydowali rodzice) a koncepcją małżeństwa opartego na „miłości”, koncepcji „tych którzy wiedzą”. Bardzo to ciekawe rzeczywiście, że czasem ci „którzy wiedzą” wprowadzają takie pojęcia, jak na przykład „miłość” tyle trudniejsze do zdefiniowania, niż pojęcie „dobrej woli”. Trzeba by pogrzebać się w historii Europy, może najlepiej w pojęciach teologów i poetów i zobaczyć kiedy to w Europie pojawiło się pojęcie „miłości”, jakie sytuacje historyczne sprzyjały popularyzacji tego pojęcia i czy przyjęło się ono jednocześnie czy nie w różnych klasach społecznych.

Ani słowa więcej na ten temat bo już bardzo późno, a jeśli nie przepiszę wszystkiego co zanotowałam na twarde kartki, potem, po kilku dniach, trudno mi już będzie zrozumieć moje własne notatki.

Mbayo, już pewno w lipcu 1962 r.

Zdecydowałam, że już na pewno jutro skoro świt jadę do Mexico! Nie wiem jeszcze jak, ale muszę dla szkoły w Mbayo zdobyć nowe podręczniki!

Mały Juanito, syn Doni Eleny i Dona Pancho przyszedł mi dzisiaj pokazać z dumą swój elementarz. Juanito jest zresztą jedynym bodaj właścicielem tej książki najważniejszej, z której się uczą tutejsze dzieci i pewno jedynym spośród młodszych dzieci którzy już umie z tej książki czytać. Nauczyła go Aurelia i dlatego — powiedział — Don Enrique ofiarował mu jeden z tych trzech cennych podręczników z roku 1926! Juanito bardzo dumny że umie już czytać, przeczytał mi głośno całą czytanekę o imieninach małej Conchity, podczas gdy grupka dzieci zgromadzonych naokoło słuchała zafascynowana.

A była to historia o przyjęciu które Mamusia Conchity urządziła dla niej w willi na Lomas de Chapultepec, najbardziej ekskluzywnej dzielnicy Mexico. Ale to jeszcze nie najgorsze bo ci mali *Mazahuowie* wyobrażają sobie Lomas de Chapultepec jako coś w rodzaju bardzo ładnego i jeszcze nieznanego *barrio*, po drugiej stronie pagórków Mbayo. Ale o imieninach na przykład większość z nich jeszcze nie wie. Maria Wiktoria coś tam opo-

wiała, że w Las Animas „i gdzie indziej” obchodzi się *día del santo* i że każdy ma własnego *santo* od którego pochodzi jego imię, ale nie tylko dzieciom, nawet i dorosłym z Mbayo bardzo trudno jest zrozumieć takie zindywidualizowane święto. A tutaj w dodatku Mamusia Conchity przywiozła jej z francuskiej Riwiery „taką laleczkę która umiała chodzić i zamykać oczy”, a dzieci tutejsze nie tylko laleczki, ale żadnej innej zabawki nigdy nie widziały! A potem zaczął się bal kostiumowy i małe dziewczynki przebrały się za motyle a mali chłopcy za krasnoludków...

Żadne z dzieci nie zadało ani jednego pytania, ale widziałam, że nie rozumieją i Juanito też pewno nie wiele rozumiał, a Don Enrique im na pewno nic nie wytłumaczył. Zresztą może to i lepiej, że nie wytłumaczy!

Mexico, 4 lipca 1962 r. — popołudniu
Hotel „Santo Tomas” koło Zapateria Revolución

Zapateria to dosłownie „buciarńia”, sklep z butami. Nigdzie chyba na świecie nie nazwaliby „buciarńi” — REVOLUCIÓN i nigdzie chyba na świecie hotel imienia Świętego Tomasza nie stałby tak blisko buciarni REVOLUCIÓN, tak z nią idealnie pogodzony i architektonicznie (choć buciarnia to nowy budynek a hotel XIX-towieczny) i symbolicznie. Mieszkańcy Mexico nie zwracają w ogóle uwagi na tę paradoksalną mieszaninę; widoczna jest ona jedynie dla cudzoziemców, dla cudzoziemców przyzwyczajonych do innych, własnych niewidzialnych dla nich paradoksów, które zaskoczyłyby Meksykańczyków.

Jestem tu dopiero chyba od sześciu godzin. Sześć godzin to nie wiele, ale życie dzieje się tu szybko i w ciągu tych sześciu godzin stało się bardzo wiele. A teraz jest *siesta* i właśnie się pożegnałam z Ulissem, nie na długo zresztą, bo przyjedzie tu po mnie znowu wieczorem zabrać mnie na swój odczyt do *Colegio de Mexico*, bardzo stąd blisko, zostawimy więc pewno auto w garażu hotelowym i pójdziemy piechotą przez wąskie uliczki z różowymi aniołami podtrzymującymi dachy domów na skrzydłach posłusznych... A potem przejdziemy przez taki mały plac, trochę mniejszy niż Plac Małachowskiego a trochę większy niż Place Dauphine, i tam po raz nie wiem już który, może piąty, będziemy się przyglądać jak „Ci Którzy Wiedzą”, ubrani w wyświecone ciemne garnitury, piszą w małych budkach na wielkich czarnych maszynach ważne listy dla tych „Którzy Nie Wiedzą”. Biorą od nich po 5 pesów za list a czasem trochę mniej

bo przecież różowe anioły z posłusznymi skrzydłami, przecież nietoperze z ogonami diabłów, tam pod pułapem kościoła Santo Domingo, nigdy by nie pozwoliły „Tym Którzy Wiedzą” na krzywdzenie „Tych Którzy Nie Wiedzą”. A za tym placem z budkami skręca się najpierw na lewo a potem raz jeszcze na prawo i już brama Pałacu Staszycy... nie, co ja piszę... brama Colegio de Mexico...

Świetnie zresztą, że przypomniał mi się Pałac Staszycy, bo od dawna już chciałam opowiedzieć Ulissesowi o Koperniku, kwiatkach, SSmanach i Stasiu...

W hallu mojego hoteliku po jednej stronie mozaikowa ściana a na tle tej ściany na trójnożnym stoliczku ogromny biust Napoleona, o którym tutejszy portier mówi zresztą „Nasz Cauthémoc”. Po drugiej stronie na takim samym stoliczku, pod obrazem *Virgen de Guadalupe* dwa kościotrupy fantastyczne z delikatnego, pobielanego, wijącego się drutu. Jeden kościotrup jedzie na bardzo wysokim rowerze i lewym piszczelom podtrzymuje na głowie ogromną pakę imieninową czy gwiazdkową — druga taka sama paka przytroczona jest z tyłu do siedzenia roweru. Kościotrup ma tryumfalną minę i z czaszki, jak włoski orzech, szczyrzy białe zęby w szerokim uśmiechu. Drugi kościotrup to wedle informacji tegoż portiera ni mniej ni więcej ale „szkielet znietoperzałego diabła”. Po diable został mu ogon różowy, po nietoperzu zielonawe skrzydła, poza tym jest on takim samym kościotrupem jak poprzedni: wysuszonym, białym i roześmianym; z podskrzydeł wyrastają mu piszczele i w jednym piszczelu trzyma szkielecik rozbawionego dziecka, w drugim szkielecik tańczącego kota... Obok kościotrupów z jednej strony bukiet kwiatów a z drugiej świeczka. Dla umarłaków czarujących czy dla *Virgen-city*? Nie mam pojęcia!

Jak to jest z tym gustem? Zły gust czy dobry gust? Kto o tym decyduje? Sztuka - nie sztuka? Życie czy koncepcja życia, to znaczy czyjeś tam pomysły (czasem na sprzedaż) o tym jak się żyć powinno?

Mieszkanie mojej koleżanki Gene Riley na chicagowskim Gold Coast — bo Gene ma „pieniądze skądinąd” i woli tam mieszkać niż w dzielnicy uniwersyteckiej. Wszystko w tym mieszkaniu jest w „świetnym guście” i wspaniale zharmonizowane: zielono-niebieskie — a żeby połączyć te dwa kolory w sposób niedrażniący, „trzeba mieć rzeczywiście świetny gust”. Na zielono-niebieskiej kanapie Gene w niebieskiej sukni z zielonym paskiem, a na palcu ma zielono-niebieski pierścionek. Nad kanapą czarno-zielony

obraz w seledynowej ramie przedstawiający korzenie drzew. Na sąsiedniej ścianie nad *Hi-Fi* obraz tej samej wielkości i w takiej samej ramie, ale przedstawiający niebiesko-czarne gałęzie.

Miałam wielką ochotę opowiedzieć Gene o „Komisji Kulturowej” w Poznaniu. W roku 1945 byłam członkiem tej Komisji z ramienia Związku Literatów a prócz mnie było w niej coś trzech malarzy, dwóch aktorów, dwóch dziennikarzy i jeden spec od marksizmu-leninizmu, jednocześnie poeta a ostatnio z zawodu Główny Cenzor. Miał on zresztą znacznie bardziej skomplikowany tytuł, ale mniejsza o to.

Ale nie opowiedziałam Gene tej historii bo za dużo musiałabym była tłumaczyć a bez odpowiedniego wytłumaczenia nic by na pewno nie zrozumiała, a gdyby zrozumiała byłoby jej pewno bardzo przykro, i nie pomogłoby to i tak ani jej ani mnie ani nikomu innemu z żyjących nakoło Gene.

Gdyby taki Marks był pod ręką (Karol Marks oczywiście) z nim by się było na pewno ciekawie na ten temat porozmawiało. I może nawet z Don Edmundo także. Ale nie z Gene Riley — to pewne.

„Komisja Kulturowa” miała tego wiosennego dnia ocenić poziom artystyczny wędrownej trupy teatralnej spod Bydgoszczy. To była jeszcze przedwojenna pomorska trupa i aktorzy nie byli już najmłodszy. Był podobno jakiś donos, że przedstawienia ich nie są „na poziomie”, a ponieważ „cieszą się wielkim powodzeniem” więc „szkoda społeczna jest tym większa”. Do tego przedstawienia w Świetlicy ZMP mieli się oni specjalnie przygotować, ale sztuka miała być z ich stałego repertuaru, no i była... Zresztą oni wszyscy, w pióropuszkach i papierowych smokingach, bardzo byli dumni z tej swojej sztuki jarmarcznej. A była to fantastyczna mieszanina cyrku, odpustu i dworu królewskiego i w tej mieszaninie kolorowej wszystko od początku do końca było bardzo wesołe: piosenki, dialogi, wypinania się, pocałunki, przytupnięcia. Ale oczywiście „poziom artystyczny” był wątpliwy wedle orzeczenia Komisji Oburzonej, więc zawieszono im Zdumionym te przedstawienia wędrowne, aż do momentu gdy z dobrze opanowanym nowym repertuarem, jeszcze raz w tej samej sali i przed tą samą Komisją...

Hotel „Santo Tomas” jest w samym centrum Mexico, tam gdzie był dawny Tenochtitlan. Osiemnastoletni Cauthemoc z przyjaciółmi siadywał pewno na schodach świątyni (tam gdzie obecnie Zocalo i rozłożysta katedra z żółtego kamienia) i godzinami rozmawiali, ciekawa jestem bardzo o czym. Czy Cauthmoc,

tak jak Krzyś Baczyński (też wówczas dwudziestoletni) najpierw przeczuwał swoją tragiczną epokę, a potem o niej pisał po to tylko aby natychmiast *przestać pisać* i zacząć walczyć gdy nadejdzie *odpowiednia chwila*?

Nie jestem zresztą pewna czy Cauthemoc w ogóle pisał wiersze, bo wiadomo tylko że młodzi intelektualiści z jego epoki „zabawiali się wymianą błyskotliwych przemówień”. Pewna jestem jednak tego, że ani Krzyś ani Cauthemoc nie liczyli ani na zwycięstwo, ani na sławę, ani na pamięć.

*„Więc sławę nam znaczone stworzyć bezimienną
Jak okrzyk..... odchodzących w ciemność...”*

Cytuję ten wiersz Krzysia z pamięci... ale uciekło mi jedno słowo i ani rusz nie chce wrócić... może to było słowo „potępionych”?

Ale wyłuskano go, Krzysia, i to dość szybko z anonimowości masowego bohaterstwa, wydano jego wiersze wojenne kilkakrotnie, porównano z Rimbaud którego lubił i z Camusem, o którym nie słyszał, wybudowano mu (Cauthemocowi) pomnik tam gdzie kończyły się już chyba budowle Wielkiego Tenochtitlanu, a teraz, o ironio, myślą go z Napoleonem.

Nie, to słowo, które uciekło nie było słowem „potępionych”... było to słowo „pożegnalny”...

*„Więc sławę nam znaczone stworzyć bezimienną
Jak okrzyk pożegnalny odchodzących w ciemność”...*

Tak mnie ten Tenochtitlan wciągnął — ta Stolica Odbudowana z gruzów i Nie Moja a jednak Moja — że nie wspominałam nawet o tym jak zdobyłam książki. *Bo mam już książki* — 125 elementarzy w pięciu wielkich pakach! Na prawo od stołu, na którym piszę, trzy paki, na lewo dwie, wszystkie obwiązane nie wiem ile razy grubymi sznurkami. A zdobywanie zaczęło się od tego, że najpierw zmieniłam skórę z wiejskiej na miejską — zdjęłam moją *cambaitę* pomarańczową i sandały, wykąpałam się w szalonym tempie, a potem włożyłam jasnorożowy kostium, czarne lakierki z czarnymi akcesoriami (a wszystko to musiałam taszczyć z Mbayo, w plecaku bo to najwygodniej, najpierw piechotą z góry na dół — potem przez rozbitoconą drogę, potem już łatwo bo autobusem bez przesiadki 3 godziny aż do stolicy) — ale te czarne akcesoria nie wystarczyły bo byłam okropnie wprost *despeinada* czyli po prostu rozczochrana, więc

musiałam najpierw jeszcze pójść do fryzjera i potem już prosto od fryzjera... na zamek!

Zamek? Nie, to był chyba dawny klasztor, wielkim kwadratem wciśnięty między cztery wąziutkie uliczki i rozrośnięty na kilka pięter krużankami naokoło których malowidła Diego Rivery, rozepchnięty od środka wielkim *patio*, a na *patio* czarne auta azteckich książąt-bogów. Do takiego przyszedł Ministerstwa — Ministerstwa Oświaty. Znałam zresztą ten budynek, ale nigdy nie myślałam o nim, że to jest właśnie Ministerstwo. Gdy się zwiedza nowe miasta szukając dzieł sztuki — a malowidła Diego Rivery na tych ścianach są bardzo sławne — nieważne jest czy dany budynek jest Ministerstwem, Bankiem czy Biblioteką, bo jest on wówczas tylko pretekstem, tłem dobrym lub złym dla tych dzieł sztuki oderwanych od wszystkiego co ważne, podobno uniwersalnych ale często po prostu niezrozumiałych, na które skazuje nas turystyka. Ale teraz na szczęście nie byłam już turystką i nawet nie czułam się cudzoziemką gdy z jednego biura do drugiego biegałam w poszukiwaniu „człowieka od którego to wszystko zależy”. Na twardych krzesłach w pustych biurach bez kwiatów i dywanów, siedzieli ciemni mężczyźni o najróżniejszych profilach i zawsze nad krzesłem tego najważniejszego w danym biurze wisił portret ich obecnego prezydenta o pięknych rysach trubadura operowego i przenikliwym spojrzeniu intelektualisty. I wszyscy oni, ci Najważniejsi — zauważyłam — mieli podobne do tego Ich Prezydenta skupione spojrzenia. Gdy wchodziłam wstawali ze swoich niewygodnych krzeseł, ściskali mi dłoń, patrzyli prosto w oczy a potem przedstawiali mnie swoim kobietom które siedziały ciemne, spokojne i dumne na tle białych ścian na jeszcze mniejszych krzesłkach, wyprostowane przy czarnych maszynach do pisania, które w tej atmosferze „naprawdę ministerialnej” były czymś więcej niż maszynami. Tak mi się w każdym razie wówczas myślało i zadowolona byłam ze swoich wysokich obcasów i czarnych akcesoriów bo wszystko tu było eleganckie i poważne mimo swobody i prostoty, łatwej bo na pewno ceremonialnej. Czym byłam dla nich w tej ich ceremonii codziennej i jakoś odwiecznej (mimo porwanej historii o której nie zapomniałam ani na chwilę) czym byłam dla nich — nie wiem, ale nie było w tych naszych spotkaniach ani zdziwienia ani zaambarasowania. Prowadziły mnie potem te ich kobiety posłuszne, piękne i niezależne do innych biur i w końcu na trzecim bodaj piętrze znalazłam nareszcie Tego-Od-Którego-Zależało-To-Wszystko. Siedział wyższy i starszy od poprzednich na swoim twardym krzesłku pod portretem Prezydenta a obok niego, oparta o ścianę, stała gitara. Wysłuchał mojej historii o szkole w

Mbayo i o podręcznikach „z roku 1926, ale w gruncie rzeczy z czasów dyktatury Porfirio Díaz”, uśmiechnął się i pokazał mi gitarę.

— Z tą gitarą — powiedział — jeździłem po całym Meksyku. To było wiele lat temu za czasów Misji Kulturalnych. Walczyliśmy z analfabetyzmem, zakładali szkoły, szpitale... Czego zresztą nie robiło się? I potem wieczorami śpiewałem Im i samemu sobie i Nam — bo w każdej Misji było z piętnastu ludzi — śpiewałem skomponowane przeze mnie *corridos* i ta gitara jeździła ze mną wszędzie, może byliśmy nawet w tej pani wsi wybranej...

A potem w parę minut bez pytań i bez usprawiedliwień — a przygotowana byłam przychodząc tutaj na usprawiedliwienia i na pytania — wszystko już było załatwione i z pięcioma pakami elementarzy autem ministerialnym wróciłam do hotelu „Santo Tomas”.

Teraz położę się na chwilę, bo to przecież *siesta* i powinnam trochę odpocząć przed tym wieczorem w Colegio de Mexico. Ale przedtem jeszcze jedno uzupełnienie tego co napisałam poprzednio: ten Najważniejszy z Ministerstwa (bo nie mogę jakoś myśleć o Nich, że są to po prostu szefowie departamentów, urzędnicy i maszynistki) ten Najważniejszy-od-Elementarzy nazywa się Gustavo Marino y Barrios del Valle i mam tu oczywiście jego wizytówkę, bo inaczej nigdy bym tego nazwiska fantastycznego nie zapamiętała. I prócz adresu domowego w Mexico mam także adres jego *rancho*, w stanie Michoacan i zaproszenie bardzo serdeczne abym „w jakiś piątek najlepiej” przyjechała do jego domu w Colonia del Obrero Mundial na „skromną kolację”. Poznam wówczas i jego żonę i sześciu synów, a potem, zaraz po kolacji, pojedziemy wszyscy na *rancho* i tam zostanę z nimi przez sobotę i część niedzieli. Pokaże mi filmy które nakręcił podczas podróży z Misjami Kulturalnymi i, jeśli chcę, pojeździmy trochę konno bo wszyscy oni, prócz żony i najmłodszego syna, szaleją za konną jazdą.

Ale nie położyłam się ani na chwilę. Zresztą kto dziś w Mexico może sobie pozwolić na *siesty*? Na pewno nie ta Indianka wychudzona i rozłożysta, która na trotuarze pod moim oknem układa w maleńkie piramidy rozłupane włoskie orzechy z wnętrzami tajemniczymi, jak małe twarde mózdzki. Ani Ulisses nie sypia podczas *siesty*, ani nie sypia Gustavo-od-Elementarzy.

Te konie z *rancho* przypomniały mi zresztą o mojej uździe prawie zapomnianej. Bo w Las Animas znalazłam wprawdzie dość porządne siodło w domu Loli Flores i brat Loli obiecał

mi je pożyczyć i wystarać się potem o konia, ale z uzdą „prawdziwą” były kłopoty, bo jak się okazało uzdy z wędzidłami są w tych okolicach moich prawie nieznanne, a na uzdę bez wędzidła nie mogę się jednak zdecydować... Więc trzeba kupić „prawdziwą uzdę” tutaj w Mexico. Już nawet rozmawiałem o tem dziś rano z portierem i obiecał dowiedzieć się gdzie się uzdy kupuje...

... Telefon... to właśnie w sprawie uzdy. Okazuje się, że na ulicy Pino Suarez, niedaleko stąd, jest pełno sklepów z uprzężą. Świetnie!

... I drugi telefon — tym razem od Ulissesa, że nie może tu po mnie wstąpić bo w *Cuadernos Americanos* mają niespodziewaną wizytę dziennikarza z Argentyny. Tak, że spotkamy się dopiero na jego odczycie w *Colegio de Mexico*, a potem po odczycie pójdziemy na kolację do *Hosteleria Santo Domingo*.

Mexico, 5 lipca 19 62 r. — Hotel „Santo Tomas”

Chociaż mogłam spać spokojnie przez dziewięć godzin obudziłam się, tak jak w Mbayo, po sześciu godzinach krótkiej nocy bez snów i teraz mam jeszcze sporo nieprzewidzianego czasu przed odjazdem autobusu. Najpierw to co mniej ważne, bo może się łatwo wymknąć, a potem dopiero o odczycie Ulissesa w *Colegio de Mexico*.

Gdy podczas kolacji w *Hosteleria Santo Domingo* opowiedziałam Ulissesowi o tym jak łatwo zdobyłam książki nie zdziwił się wcale.

— Kultura meksykańska jest kulturą personalistyczną — powiedział — i dużo łatwiej załatwić coś przez znajomości osobiste niż drogami oficjalnymi, nawet gdy się ma wysokie stanowisko.

— Ależ Ulissesie! — zawołałam. — Przecież ja tego Gustavo w ogóle nie znałam!

— To zależy od tego co się rozumie przez „znać”, może ty go nie znałaś, ale on cię na pewno znał! — powiedział Ulisses najspokojniej.

— Co ty opowiadasz Ulissesie! — zawołałam na pewno za głośno bo dwóch mężczyzn „o azteckich profilach”, siedzących zresztą dość daleko od nas, spojrzało na mnie roześmianymi oczami. — Ulissesie — mówiłam już potem znacznie ciszej — Ulissesie, przecież on mnie widział po raz pierwszy i nie tylko dał mi zaraz podręczniki, ale zaprosił mnie nawet do domu na kolację i zapoznał mnie z sześciu synami i żoną, i potem mają

mnie zabrać na *rancho* w Michoacan... nawet mu nie powiedziałam skąd jestem.

— Wiedział, że nie jesteś Amerykanką — powiedział Ulisses.

— Skąd mógł wiedzieć, nie powiedziałam mu absolutnie nic!

— Bo przecież napisane jest na tobie „made in Poland” — zaśmiał się Ulisses i potem już dodał poważnie: — Widzisz, my jeszcze ufamy naszej uogólnionej, niesprawdzalnej wiedzy o człowieku; w Zachodniej Europie i w Stanach Zjednoczonych ta wiedza już od dawna zanikła... ale ty jesteś przecież inna i nie powinnaś się dziwić...

Taka była moja rozmowa z Ulissem i muszę ją jeszcze raz dobrze przemyśleć bo nauczyła mnie ona czegoś ważnego — czego nie umiem jeszcze sformułować — i o Meksyku i o tym co pewno niezmiennie w zmieniającej się Polsce...

I jeszcze coś co łatwo może się wymknąć. Dowiedziałam się od Ulissesa, że istnieją w Meksyku dwa rodzaje intelektualistów: jedni kupują domy w eleganckiej Cuernavace, drudzy kupują małe *ranchos* w *tierra fria*, w zimnych, tanich i turystom nieznanymi ziemiach, koło Toluki, Tenancingo, w północnym Michoacan. Ulisses naturalnie należy do tych którzy kupują *ranchos*, mimo to, że sam żadnego *rancho* nie ma i nie chce mieć. *A propos* Cuernavaki to w takiej popularnej książeczce dla amerykańskich turystów Cuernavaca ogłasza się jako „miejsce kuracyjna w której azteccy cesarze mieli swoje letnie rezydencje”, gdy sobie jednak teraz staram przypomnieć, którzy z moich znajomych intelektualistów mają domy w Cuernavace a którzy mają (lub mogliby mieć) *ranchos* w „zimnych ziemiach”, widzę, że raczej ci od *ranchos* mają „azteckie profile” jak Gustavo i ciemnie prosto w oczy patrzące oczy, jak Ulisses, podczas gdy ci od Cuernavaki są raczej, na tle Meksyku wyblakli, o jaśniejszych cerach i oczach patrzących mniej bezpośrednio — w każdym razie nie są oni na pewno podobni ani do turystycznej wersji azteckich cesarzy ani do azteckich cesarzy takimi jakimi byli naprawdę.

Rozpisałam się jak zwykle i teraz mam już bardzo mało czasu na opisanie odczytu Ulissesa, a był to ważny odczyt, „bo możliwy chyba tylko w Meksyku”, chociaż oczywiście z takimi uogólnieniami trzeba uważać gdy się nie zna całego świata. I poza tym stało się podczas tego odczytu coś takiego co nie mogłoby się stać chyba nigdzie indziej „z wyjątkiem może polskich Kresów z czasów młodości mego ojca” — pomyślało mi się znowu dość nieodpowiedzialnie bo przecież tych Kresów w ogóle nie pamiętam.

Po tym telefonie Ulissesa wczoraj popołudniu poczułam się jednak bardzo zmęczona, położyłam się więc spać „na piętnaście minut”, ale spałam prawie dwie godziny... I było już potem bardzo późno, tak, że nawet nie byłam pewna czy sklepy na Pino Suarez będą otwarte i czy będę mogła kupić uzdę. Okazało się jednak że były już zamknięte ale otwierano je dla mnie i oglądałam uzdy za uzdami w jednym sklepie po drugim bo wszystkie te uzdy były okropnie strojne: z czerwonymi frendzlami, nabijane srebrem i złotem, ze skórą wytłaczaną w desenie, a ja chciałam uzdy zwyczajnej i „prawdziwej” czyli dokładnie takiej jak moja ostatnia uzda z Polski, więc naturalnie miałam trudności. W końcu jednak taką uzdę „prawdziwą” znalazłam, ale było już tak późno, że nie miałam czasu odnieść jej do hotelu, a odesłać nie chcieli. Więc oczywiście, i właściwie bez wahania, zabrałam tę uzdę niezapakowaną (bo jak tu zapakować uzdę?) ze sobą na odczyt Ulissesa. Spóźniłam się nawet trochę i dopiero wówczas gdy wchodziłam do tej sali dużej, cichej i na wpyół jedynie wypełnionej ludźmi samotnymi i skupionymi — dopiero wówczas trochę się tej swojej uzdy z hałasującym wędzidłem zawstydziałam. Ale trwało to tylko chwilę bo zobaczyłam na sobie poważne spojrzenie Ulissesa, między jednym słowem a drugim (a Ulisses mówił właśnie o odrzuceniu pojęcia instynktu przez psychologów amerykańskich) i minęło mi to niepotrzebne już — wiedziałam — zawstyżenie. Przytrzymałam wędzidło ręką tak żeby nie hałasowało i trochę tylko chrzęszcząc skórą uzdy nowej i pachnącej stajniami mego dzieciństwa, miękkim chodnikiem wśród mężczyzn i kobiet patrzących nieruchomo prosto w oczy Ulissesa, doszłam do trzeciego rzędu i tam już usiadłam, kładąc uzdę na sąsiednim krześle obok starszego pana o profilu Mayów z ruin Bonampak. Uzda zachrząściła i wędzidło zadźwięczało, ale ani mój sąsiad ani nikt inny nie zwrócił na to najmniejszej uwagi.

Odczyt Ulissesa był o Ewolucji jako hipotezie kulturalnej Meksyku. Skrytykował on Ewolucję jako naukę, ale zaraz potem zrehabilitował ją jako ważne założenie kulturalne „tych wszystkich krajów, których kultury, podobnie jak kultura Meksyku”...

Był to fascynujący odczyt, ale przez tę uzdę której poświęciłam zbyt dużo czasu nie zdążę go tu już opisać, więc odkładam to na kiedy indziej. Zresztą mam notatki z tego odczytu w małym czarnym notesie, nawet bez notatek nie zapomniiałabym jednak tego odczytu Ulissesa Bardzo-Dziś-Poważnego.

Teraz muszę jeszcze zapakować szczoteczkę do zębów, pastę, mydło, szlafrok, piżamę, pantofle nocne i zatelefonować po taksówkę, bo bez taksówki nie potrafiłabym przecież dotaszczyć

do autobusu tych moich Pięciu Pak Zdobytych. I potem już prosto do Mbayo...

Ale jeszcze pięć minut pisania zanim zamknę moją Olivetti. Napisałam, że ta historia z uzdą mogłaby się zdarzyć tylko w Meksyku i może również na polskich Kresach z czasów młodości mego ojca. Pisząc to „myślało mi się” o tym jakimś ciotecznym pradziadku z Kresów, którego imienia i nazwiska nawet nie pamiętam — a może był to raczej przyjaciel ciotecznego pradziadka niż sam pradziadek. Mniejsza zresztą o to kim on naprawdę był, ważne jest to, że miał duży majątek na Kresach i w tym majątku pozwalał sobie na dziwactwa fantastyczne, nikt się temu jednak za bardzo nie dziwił, bo podobno wszyscy ci ziemianie kresowi mieli najróżniejsze dziwactwa. Znaleźć wśród nich kogoś bez wielkiego dziwactwa było podobno bardzo trudno i ktoś taki byłby zapewne w tych warunkach nazwany „nienormalnym”. Bo szerokie stopy kresowe — bo wielkie odległości między jednym majątkiem a drugim — bo pieniądze łatwe i niezaskłużone, ale i przez właścicieli niedoceniane — bo odległość „Zachodniej Europy”, do której się wprowadzie jeździło, ale którą się interpretowało po swojemu... bo te wszystkie książki przeczytane bez ładu i składu, ale żarliwie... wszystko to sprzyjało rozwinięciu się bardzo specyficznego indywidualizmu, bardzo specjalnej tolerancji, częściowo powodujących te dziwactwa fantastyczne, częściowo z nich wypływających. A Dziwactwo Największe tego Pradziadka czy Niepradziadka było takie, że wszystkich licznych gości, którzy do niego przyjeżdżali „z całej Polski” ważył i mierzył bardzo dokładnie, bo od lat konikiem jego była antropologia fizyczna i miał już całe tomy danych antropometrycznych zaklasyfikowanych w specjalnych pudłach, w specjalnie wybudowanej na ten cel altanie i „w przyszłości” miał zamiar te dane opracować i wydać jako swoje *opus maximum*. Do tego opracowania i wydania nigdy nie doszło, a ponieważ syn jego miał inne Wielkie Dziwactwo i do tego swego Dziwactwa potrzebował tej samej altany, dane antropometryczne zostały przeniesione na strych i tam je pewno myszy zjadły. O tych myszach to już mój dodatek, wszystko inne jest jednak najprawdziwszą prawdą. I podobno tych gości, którzy nie chcieli poddać się pomiarom (dotyczyły te pomiary zresztą jedynie mężczyzn) przytrzymało dwóch lokajów, podczas gdy Pradziadek z gorzelnym ważył i mierzył...

Warto by spojrzeć na kolonialne czasy meksykańskie porównawczo — porównać te ich *haciendy*, te ziemie które rozdawano bohaterom Podboju i te ziemie które oni sami sobie przywłaszczyli, ziemie rozległe, „jak daleko sięgnie ludzkie oko”; warto by

porównać te ich *haciendy* z naszymi kresowymi dworami i na tle tego porównania zrozumieć „sprawę uzdy”. Ale nie teraz, bo nie chcę się spóźnić na autobus, i tak o jeden dzień później przyjeżdżająca do czekających na mnie na pewno bardzo niecierpliwie mieszkańców Mbayo.

Mbayo, w lipcu 1962 r. — wieczorem

Więc nareszcie wiem co się stało w *Los Pinos*! Powiedziała mi Lola Flores. Przyjechałam do *Los Pinos* mniej więcej o 2-jej popołudniu i na przystanku autobusowym zastałam Don Orlando, brata Loli. Pomógł mi wyładować mój bagaż sensacyjny i powiedział, że on mi te wszystkie paki osobiście ciężarówką swego zięcia zawiezie do Mbayo.

— Nawet gdyby to były same bomby atomowe czy jądrowe, Donio Marylito — powiedział — też bym je dla pani zawiózł, ale pod jednym warunkiem, Donio Marylito, że najpierw zaraz prosto stąd pójdzie pani do nas na obiad „bo biedna Lola nie może zrozumieć dlaczego od tak dawna nas pani nie odwiedziła”.

Więc przyrzekłam bo nie bardzo wiedziałam jak nie przyrzec i paki z książkami zostawiliśmy na „stacji autobusowej”, czyli w sklepie z wodą sodową, Coca Cola i innymi *refrescos*, gdzie można, o ile się koniecznie chce, kupić bilet autobusowy, który zwykle kupuje się po prostu w autobusie. Człowiek od biletów i *refrescos*, spojrzął na paki i powiedział:

— To książki dla szkoły w Mbayo — prawda?

Bo tu już wczoraj ci *Inditos* stamtąd aż dwa razy po panią przychodzili.

— Książki dla szkoły w Mbayo! — zawołał Don Orlando. — To pani tylko dla tych *Inditos* taka dobra, a ja myślałem, że jeśli nie bomby atomowe to przynajmniej dla nas kilka pak *whisky* pani przywiozła, ale trudno, trudno, Donio Marylito, chociaż pani o nas zupełnie zapomniała, ani siostra Lola ani ja, ani staruszek wuj Emetrio ani nikt inny z *calle de la Rabia* o pani nie zapomniał.

Tak rozmawiając szliśmy przez *calle de la Paz* a potem na ukos przez pusty plac „na którym Don Mauricio Velazquez zacznie budować stodołę jak tylko miną deszcze”, a potem na lewo koło wysokich agaw skręciliśmy na *calle de la Rabia* tuż obok domu w którym mieszka pies z białym okiem. Z domu przylegającego do domu rodziny Flores słychać było monotonne stukanie. „To najemny robotnik” Loli wystukuje za siedem pesów dziennie swoją porcję kolorowej *cambaity*, tak samo jak wówczas

gdy tu mieszkałam” — pomyślało mi się bez sensu, bo przecież tak naprawdę to żadnych zmian się nie spodziewałam.

Don Orlando pchnął drzwi od *patio* i razem z ich skrzypnięciem usłyszeliśmy głośno:

— Donio Marylito — *qué milagro* — Doni Loli. — Co za cud, że pani do nas zawitała, bo myśmy tu już wszyscy myśleli, że pani nas nie lubi, albo że się pani obraziła, ale nie wiedzieliśmy za co i bardzo nam było przykro, naprawdę, bo przecież pani nas tu ani razu nie odwiedziła od czasu gdy u *Inditos* w Mbayo pani mieszka, aż się sąsiedzi pytają dlaczego pani nas nie odwiedza, Donio Marylito...

Zawahałam się co na to oskarżenie Loli odpowiedzieć: prawdę, nieprawdę a może pół-prawdę, ale zanim to wszystko zdążyłam przemyśleć wyskoczyła mi odpowiedź spontaniczna więc w pewnym tego słowa znaczeniu na pewno jakoś prawdziwa.

— Donio Lolu! — zawołałam. — Przecież pani powinna się była domyślić, że ja od czasu tej historii z weselem w Los Pinos, okropnie się boję ich z Los Pinos spotkać, okropnie mi wstyd po prostu, że tak się to wszystko ułożyło, że nawet wytłumaczyć nie mogłam dlaczego nie pojechałam na ten „trzeci ślub”, ale pani wie dobrze Donio Lolu, bo z panią przecież o tym rozmawiałam, że Don Edmundo z Mbayo po prostu mi zabronił tam pojechać i nigdy mi nawet nie powiedział dlaczego! Więc jakże im mogłam wytłumaczyć! Ale Don Edmundo podobno zawsze wie co mówi...

— Wie, albo nie wie — powiedziała Lola Flores z niezwykłą jak na nią stanowczością, a siedzieliśmy już wówczas przy obiedzie w dużej kuchni przy stole przykrytym pomarańczową *cambaitą* i jedliśmy zupę fasolową.

— Tym razem to Don Edmundo nie miał racji, Donio Marylito — powiedziała Lola — i mogła pani śmiało bez najmniejszego niebezpieczeństwa jechać do Los Pinos. Sam Don Antonio Bravo wiele razy mi mówił, że po tym co się tam oni nacierpieli po zabiciu tego jednego Amerykanina nigdy już więcej żadnemu innemu *Gringo* nic nie zrobią. Zresztą ile to czasu minęło od tego zamordowania — to było w roku 1948 a dziś mamy 1962 — ile to lat... no ile?

Ale nie pomogłam jej w obliczeniu lat, siedziałam milcząca nad swoją zupą fasolową, i pewno przestałam ją nawet jeść, bo Lola bardzo się zaniepokoiła:

— A może pani ta zupa fasolowa nie smakuje, Donio Marylito... — zaczęła.

Pamiętałam zbyt dobrze te jej wątpliwości kulinarno-klasowe, ale nie miałam naprawdę siły na rozmowę o zupie fasolowej,

raka wypełniona byłam tym swoim niespodziewanym zdziwieniem, więc zjadłam tę już dość zimną zupę prędko do końca i poprosiłam o drugi talerz. Donia Lola rozpromieniła się i już zupełnie uspokojona wróciła do tematu:

— Więc mogła pani śmiało pojechać Donio Marylito, bo po tym wszystkim co oni tam przeszli na pewno by pani nie zamordowali, nawet gdyby myśleli, że pani jest *Gringa* a nie *Polaca*, a takie ich wesele bardzo by panią było zaciekawiło Donio Marylito. A co ci biedni ludzie tam przeszli w Los Pinos, Donio Marylito, to niech pani sama kiedyś zapyta tych *Inditos* od których pani domek odnajmuje, bo Don Pancho wmieszany był w to morderstwo, Donio Marylito, i potem coś ze dwa lata biedak siedział w więzieniu w Toluca, więc on pani najlepiej opowie.

Jedliśmy teraz różowy ryż z wąskimi paskami zielonego *chile* i małymi bardzo czerwonymi skrawkami pomidorów; ani Don Orlando ani Donia Sofia nie przerywali Loli, a Carmelita i Manuel słuchali „podobnie jak ja” — przyszło mi na myśl — „bo oni, kilkunościeletni, nie mogli przecież pamiętać tych wydarzeń z 1948 roku”.

— Donio Marylito, co się ci biedni ludziska nacierpieli, tylko nasza *Virgencita de Guadalupe* naprawdę wie i może *Nuestro Senor z Jilotepec*, do którego oni potem wszyscy chodzili prosić o wypuszczenie więźniów, Donio Marylito. Ale my tutaj przy calle de la Rabia widzieliśmy także bardzo wiele, Donio Marylito, bo tędy przejeżdżały tanki Federalnych w drodze do Los Pinos i samoloty nad nami latały a z samolotów słycać było wołanie „Guillermo, Guillermo”, a potem już wołali inaczej: „Bill, Bill” — wołali, bo zorientowali się, że jak on ani słowa po hiszpańsku nie umiał to nie zrozumiałby swego prawdziwego imienia, więc zmienili je na „Bill”, bo nauczyciel z Las Animas im powiedział, że tak wołają na Guillermów w Stanach Zjednoczonych. Więc słycać było to „Bill, Bill, Bill”, Donio Marylito, od rana do wieczora i czasem jeszcze w nocy. Przez trzy dni chyba tak wołali ale on nie mógł odpowiedzieć, bo był już biedaczek zamordowany. Nożem był zakłuty, Donio Marylito, bo potem go w końcu znaleziono pod olszyną ze trzy kilometry od Los Pinos już niedaleko od Colanquillac i całą koszulę miał młodziak zakrawawioną niczym nasz San Sebastian, ten młodszy, z ołtarza obok Najświętszej Paniénki Carmencity.

— Nie „młodszy”, Lolito, nie „młodszy” — odezwał się teraz Don Orlando dobierając sobie ryżu — chciałaś powiedzieć, że „San Sebastian Mniejszy” i nie trzeba, żeby Donia Marylita, która się tutaj uczy o Meksyku, źle to sobie zapamiętała.

Zapewniłam Lolę i Dona Orlando, że na pewno nigdy nie pomylę Świętego Sebastiana Mniejszego z Świętym Sebastianem Młodszym i słuchałam znowu, jedząc jakąś mieszaninę mięsa i gotowanej zieleniny o nazwie nie do wymówienia, a Donia Lola tak była teraz przejęta, że już mnie na szczęście nie zapytała, czy mi smakuje ta mieszanina zielono-brązowa.

— Bo trzeba pani wiedzieć, Donio Marylito, że w 1948 roku wybuchła tu w okolicy wśród bydła choroba pyska i racic i tak się ta choroba rozprzestrzeniać zaczęła, że zrobiono umowę między naszym rządem Federalnym a rządem Stanów Zjednoczonych i przyjechał tu z ramienia rządu amerykańskiego ten właśnie młodzik *Gringo*, świętej pamięci Bill-Guillermo. Weterynarzem on był, Donio Marylito, i przyjechał tu szczepić te krowy, które się jeszcze dało uratować i zabijać te których już uratować nie było można. Ale biedulek ani słowa po hiszpańsku nie mówił — widziałam tu tego młodzika jak przyjechał, Donio Marylito, bo z tłumaczem wtedy właśnie do Los Pinos na dwóch mułach jechali a za nimi szły jeszcze dwa muły z ładunkiem bo wybierali się w tamte strony na cały tydzień, Donio Marylito, jak mi ten tłumacz powiedział... To był nasz człowiek, z Toluki, ale taki co w biurze siedzi i wsi tutejszych nie zna, więc jechał on ze strachem wielkim, Donio Marylito i źle zrobili oni, że od Los Pinos zaczęli. Potem jak już młodzika *Gringo* zamordowali, ten tłumacz, człowiek już nie najmłodszy, przyszedł tu do nas kiedyś zupełnie wykończony, Donio Marylito, bo ciągal go potem codziennie do Los Pinos z ekspedycją karną i raz nawet na tanku jechać musiał, a wszystkim to, tedy przez calle de la Rabia szło, tak że napatrzyliśmy się Donio Marylito, napatrzyli... A biedaczek tłumacz, świętej pamięci, bo też mu się wkrótce potem z tego zmartwienia na serce zmarło — biedaczek tłumacz opowiadał nam, że on młodzikowi odradzał to Los Pinos za górami, ale młodzik się uparł i powiedział że niczego się nie boi. Bardzo on był, jak to się mówi, Donio Marylito, bardzo *idealista* i dobry człowiek chociaż pewno protestant bo się tu przed kapliczką na calle de la Rabia w ogóle nie przeżegnał i nawet kapelusza nie uchylił, a kupił sobie, Donio Marylito, w Las Animas taki wielki słomiany kapelusz żeby wyglądać jak wszyscy, ale mu to nic nie pomogło biedulkowi, niech mu ziemia będzie lekką gdziekolwiek spoczywa.

— Spoczywa w Nebraska — odezwał się teraz Don Orlando. — Bo potem przyjechała tu jego żona i siostra i matka i do tej Nebraski w trumnie go odwiozły.

— A tak, Donio Marylito — potwierdziła Lola Flores — ma rację braciszek Orlando, przyjechały tu po niego i pod to

drzewo poszły obejrzeć jak tam zakrwawiony leżał. To znaczy już tam nie leżał bo przewieziono go do *Ayutamiento* w Las Animas, ale one chciały widzieć jak to było, więc pod to drzewo je zawieźć musieli i nasi Federalni uzbrojeni z nimi poszli, żeby ich w razie czego chronić, ale nic im już wówczas nie groziło, Donio Marylito, bo cała Dywizja była już od kilku dni w Las Animas i ci z Los Pinos dobrze o tym wiedzieli. Zresztą w Los Pinos same kobiety i dzieci się zostały i kilku niedołączonych staruszków, reszta już była w więzieniu, a że w *Ayutamiento* miejsca nie było, bo tam generał z wojskiem stacjonował więc i kino na calle de la Paz i stodołę Dona Dawida na więzienie zabrano. Tak, że nic się wtedy tym *Gringom* i tak stać nie mogło, bo ludzie byli tak sterroryzowani, że wszystko w domach pozamykane siedziało i te trzy Amerykanki owdowiałe do pustej wsi, jak opowiadają, swoje lamentsy i przekleństwa wykrzykiwały.

Nigdy nie myślałam, że Lola Flores taka zwykle niepewna siebie i przepraszająca, będzie w stanie w ten sposób opowiadać te wydarzenia. Siedziałam coraz bardziej tym wszystkim zdumiona i przyszło mi nagle na myśl, że może ukochana siostrzenica Doni Loli, Nenita, to w gruncie rzeczy córka nieslubna Loli. Bo skoro Lola jest aż taka inna niż myślałam, to może i jej życia innego nie odgadłam podczas tych długich tygodni, nie... miesięcy na calle de la Rabia z nią... Teraz Nagle-Taką-Inną.

— Ale ta ich żałoba, Donio Marylito, to nic w porównaniu z cierpieniami tych z Los Pinos i nawet to młode życie biedulka Billa co to był *idealista*, wedle męża Nenity, nauczyciela, nawet to jego młode życie zasztyletowane, nie warte było tego całego cierpienia tych *Inditos* naszych, Donio Marylito. Bo czy to sprawiedliwie, żeby za jednego *Gringo*, Donio Marylito, tylu *Inditos* zginęło niewinnie, a jak ten Generał, świętej pamięci — bo potem też go zamordowano za to wszystko co on tu wyprawiał — gdy ten Generał z ekspedycją przez rząd amerykański i nasz Federalny nakazaną, tu przyjechał, to przecież nie tylko do więzienia wszystkich *Mazabuów* z okolicy pozamykał, ale kilku spośród *autoridades*, najbardziej szanowanych w Los Pinos, do tanków przywiązać kazał i potem ich tu wlekli z Los Pinos i przez calle de la Rabia aż do *Ayutamiento*, a jednego z nich na miejscu w Los Pinos zastrzelili.

Słuchaliśmy Loli Flores, nieśmiałej a teraz tak wymownej, aż do mroku — i Carmelita, nie Lola, przygotowała potem kawę i postawiła owoce na stole: *granadille*, krwiste i zielone *tuny*. Ale nikt z nas tych trudnych do obierania owoców nawet nie tknął i dział się jeszcze może przez godzinę lub półtora ten

dzień Loli Flores, „jak imieniny moralne”, bo oto Lola nieśmiała i zawsze Najmniejważna była teraz przez parę godzin Najważniejsza, była autorytetem moralnym: uogólniała, oceniała, ganiła, przebaczała, wśród nas wszystkich milczących i pełnych szacunku niewątpliwego... „Ile razy w życiu” — zastanowiłam się — „ci Najmniejważni (i czy wszyscy?) obchodzą takie imieniny moralne?”

— Czy słyszałaś już przedtem tę historię? — zapytałam icho Carmelitę, gdy dolewała mi kawy.

— Słyszałam — odpowiedziała Carmelita szeptem. — Ciocia Lola od czasu do czasu ją opowiada, ale za każdym razem dowiaduję się czegoś nowego...

Gdy już było tak ciemno, że prawie nic nie było widać — a elektryczność zepsuła się od wczorajszej ulewy skończyło się opowiadanie Loli Flores i wyszliśmy we trójkę, Don Orlando, ja i siedemnastoletni Manuel. Pomiędzy ciężkimi chmurami migało już kilka gwiazd i ciemniały agawy ogromne po obu stronach calle de la Rabia... Milczeliśmy wszyscy troje i nagle wśród tego milczenia niespokojnego poczułam się bardzo speszona i pełna nieokreślonej winy, więc zapytałam Dona Orlando po to jedynie aby przerwać tę ciszę!

— Ile też lat mogą mieć te najwyższe agawy?

— Te najwyższe mają już swoje dwanaście — odpowiedział Don Orlando. — To ich ostatnie miesiące, niedługo już je trzeba powyrwać i zasadzić nowe, młode.

— Donio Marylito, jeśli pani chce to ja pani kiedyś opowiem wszystko o agawach — powiedział Manuel.

Znowu milczeliśmy ale było to już na calle de la Paz i zamiast agaw naokoło nas były domy a w oknach domów świeczki bo elektryczność, jak się okazało, zgasła wszędzie nie tylko przy calle de la Rabia.

— Manuel jest najlepszym agawiarzem w Las Animas — powiedział Don Orlando patrząc z dumą na syna — nikt ze starszych agawiarzy nie umie wycinać serc agawowych tak dobrze i szybko jak mój Manuel.

— Jeśli pani chce, Donio Marylito — powiedział Manuel i dopiero teraz mimo zmroku zauważyłam jaki bardzo ciemny jest i lśniący: włosy, skóra, zęby, oczy, wszystko jakby lakierowane... — jeśli pani chce, pokażę pani kiedyś moją kolekcję noży agawowych.

Gdy dochodziliśmy do stacji autobusowej Don Orlando zauważył ciężarówkę swego zięcia stojącą przed samym *Ayutamiento*, a na schodach *Ayutamiento* siedział, jak się po chwili okazało, sam zięć nauczyciel rozmawiając z *el Presidente Municipal*. Dosta-

liśmy od niego klucze załadowaliśmy paki i już wkrótce potem, hałasując okropnie wjeżdżaliśmy do Mbayo po wyboistych kamieniach, a z chatek wybiegały kobiety, dzieci, prosiaki, indyczki, kurczęta i od czasu do czasu dużo powolniej wychodzili przed chatę chłopcy i *los Seniores*...

Gdy stanęliśmy przed moją chatką bardzo jasną na tle innych niepobielonych chat okazało się, że cała rodzina z *Ngeme* już tam na mnie czekała. Donia Elena objęła mnie swoim nietutejszym, nie *mazahuowskim abrazo* a inni: Aurelia, Lucita Mateo, Ernestina, Weronika, Jorge i cała chmara dzieci, oni już po *mazahuowsku*, podawali mi rękę miękko i luźno i wszyscy byli bardzo wzruszeni a Donia Elena i Weronika co chwila wykrzykiwały:

— *Qué milagro*, Donio Marylito, co to za cud, że pani wreszcie przyjechała!

A potem przyszli inni najpierw z sąsiednich chat, potem z dalszych i te ich powitania trwały i trwały...

Teraz jest już bardzo późno, ale nie mogę spać. Lucita już od dawna śpi a naokoło niej śpi z sześcioro małych dzieci, nawet nie wiem dokładnie kto dziś z nami został: Ignacio, Iza i Teresita — tak, oni przyszli na pewno, ale kto są te inne dzieci, nie wiem.

Ludzie z Mbayo, nie tylko „moja rodzina”, wyraźnie ucieszyli się z mego powrotu i niepokoiłi się podobno bardzo tym, że nie wróciłam wcześniej... ale zdumiona jestem że nikt się w ogóle nie zdziwił tymi pięcioma pakami książek. Przecież powiedziałam im, że wcale nie jestem pewna czy uda mi się te książki zdobyć i nadal uważam to za rodzaj cudu, a oni... Czemu to ich niezdziwienie przypisać?

Kto wie, może dla nich „Którzy Nie Wiedzą”, ci „Którzy Wiedzą” (a więc i ja) są jednocześnie tak potężni, że zrobić mogą wszystko: jeszcze więcej niż sami Święci, bo Święci czasem pomagają a czasem nie. Trzeba by się zastanowić jednakże nad dziedzinami ważności, potęgi, wolności działania czy też skuteczności (szukam i szukam odpowiedniego słowa) tych „Którzy Wiedzą”. Bo może w jednej dziedzinie są oni uznani za wszechmocnych a w innej nie — i jeśli tak jest, to jak się różnią te dwa rodzaje dziedzin? A Święci? Kiedy pomagają a kiedy nie? Czy to zależy od jakichś właściwości tych Świętych czy może od rodzaju modlitwy, czy też od właściwości modlących się ludzi? Próbuję zrozumieć, ale i tak jestem rozczarowana bo myślałam, że oni ucieszą się, że mi będą dziękować, a ta ich radość była jedynie radością z mego powrotu. No, ale i to jest naturalnie

bardzo wiele i to ja z kolei powinnam się tą ich radością z mego powrotu i dziwić i cieszyć.

Może zresztą cieszyłabym się i dziwiła gdyby nie ta historia o zabitym *Gringo*, która tak niespodziewanie zaspokoila nagle moją wielomiesięczną już największą ciekawość i tak mną wstrząsnęła, że niewiele już potem zostało we mnie siły na inne myśli i wzruszenia.

Zdecydowałam się jednak nie mówić nikomu w Mbayo o tym czego się dowiedziałam. Będzie to wymagało z mojej strony trudnej gry, ale myślę, że jestem do tej gry zdolną. Chcę żeby mi oni sami o Los Pinos opowiedzieli. Jest to ważne i ze względów naukowych, bo chcę zdobyć ich definicje tej całej sytuacji nienaruszoną przez moje opowiadania. I jest to ważne również ze względów osobistych, bo wtajemniczenie mnie w tę ich tragedię zbiorową będzie jednak z ich strony wielkim dowodem zaufania i myślę, że nadal będę czekała na to wtajemniczenie, tak jak czekałam dotychczas, a może jeszcze niecierpliwiej. Będą to moje *rites de passage* i nie chcę ani siebie ani ich pozbawić tych rytuałów. Nie jestem zresztą pewna czy będą to rytuały — czy powiedzą mi o tym od razu i ceremonialnie, czy może będzie to powolne wprowadzenie mnie w ten ważny, a może najważniejszy etap ich niedawnej historii. A może nie powiedzą mi nigdy o niczym, może by woleli abym nic nie wiedziała. A może... — i to byłoby najgorsze — zaczną wymagać ode mnie wiedzy i niewiedzy równocześnie.

Ileż to już razy byłam terroryzowana i sama terroryzowałam innych takimi właśnie absurdalnymi wymaganiami wiedzy i niewiedzy równocześnie!

Ile razy? Nie, to nie pytanie prawdziwe — to pytanie retoryczne. Taki Ulelu zaraz by mi powiedział, że takie kwantytatywne myślenie: to „ile” czy „ileż” niebezpiecznie wślizguje się w myślenie ludzi zachodnich zaciemniając pod pozorem rozjaśnienia, nasze najważniejsze znaczenia. Podczas gdy na Wschodzie (bo Ulelu wolał zawsze mówić „na Wschodzie” niż „w Indiach”) jest oczywiście inaczej.

Aaa, która to godzina? Już pierwsza w nocy, czarodziejski budziku mego świata? Trudno, to nie jest codzienna noc, tej nocy szykuję się do skoku!

Więc ileż to razy terroryzowano mnie tak absurdalnie, ileż razy ja sama tak absurdalnie innych terroryzowałam!

Taki Patrick na przykład z Czarnej Atlanty ileż to on razy miał do mnie pretensje, że za dużo mówiłam o jego Południu murzyńskim, bo on chciał abym wiedziała i nie mówiła. A ja

znowu opowiadając mu o Polsce nie bardzo wytrzymałam jego zupełną prawie niewiedzę a gdy zaczął czytać *Cambridge History of Poland* nie mogłam mu z kolei przebaczyć, że to nie ode mnie a skądinąd tego wszystkiego się dowiedział.

A teraz obserwuję to samo w rozmowach z Ulissem. Od kilku lat przecież czytam po hiszpańsku i czytam bardzo dużo o Meksyku więc naturalnie w rozmowach z Ulissem używam od czasu do czasu tych moich wiadomości zdobytych. Ale Ulisses wolałby aby cała moja wiedza o Meksyku pochodziła jedynie od niego i abym ją nabyła poprzez milczenie raczej niż poprzez rozmowy i poza tym czasami się dziwi, że ja nie wiem czegoś więcej o tym co on wie, niż on sam jest w stanie wiedzieć. Bardzo to niejasno wyraziłam, jest jednak na pewno w tym niejasnym sformułowaniu jakiś „głębszy sens”.

A gdy Ulisses czasem pyta mnie o Polskę złości mnie bardzo to, że nie rozumie on takich słów jak na przykład „ulica”, „głos”, „droga”... ale skąd on ma je rozumieć skoro odebrałam mu przecież niedawno polsko-hiszpański słownik, bo „ze słownika i tak się języka nie nauczysz” — to mu chciałam wówczas powiedzieć — pamiętam — ale powiedziałam co innego. — „Ty tego słownika przecież nie potrzebujesz Ulissie!” — powiedziałam — „po co udawać! A mnie on się bardzo przyda!”

Ale ani w tym co chciałam powiedzieć ani w tym co naprawdę powiedziałam nie było oczywiście tyle najgłębszej szczerości ile być powinno. I znowu to „ile” przekłete świata zachodniego... Znowu jest ze mną!

Bo *ile to razy* w życiu człowiek jest zdolny do prawdziwej szczerości?

Ile razy w życiu tę szczerość prawdziwą jest się w stanie podzielić z innym człowiekiem?

Od takich terrorów osobistych absurdalnych i chyba nieuniknionych psują się przyjaźń, miłość, zaufanie, nadzieja, siła.

Od takich sprzecznych wymagań i pretensji absurdalnych i chyba nieuniknionych łamią się traktaty międzynarodowe — z nich powstają czary, wojna i co jeszcze?

Już druga w nocy i beczelnie słodko patrzy na mnie z mego domowego ołtarzyka, spoza bukietów za niskich aby ją zasłonić, nic niemówiąca *Virgencita* Carmen... Jakże tu przygotować się do skoku gdy cały świat się na mnie wali a noc za krótka aby trenować przez sen. Ulisses bardzo by się pewno na mnie rozłościł za to „chyba nieuniknione” w obu powyższych zdaniach i nazwałby ten mój pesymizm półświadomy (bo jakże być tak zupełnie świadomą w takiej chwili i o tej porze?) nazwałby go pewno „nieodpowiedzialnym pozwalaniem sobie na estetyczne

ambivalencji”. Ale Ulissesa nie ma pod ręką i nikt inny tu się na mnie nie rozżołości, nikt inny mi nie pomoże... Chyba że zmiłuje się nade mną mój słomiany Król Polski na koniu, z fioletowym kwiatkiem zamiast głowy i wtedy może zasnąć...

Mbayo, w lipcu 1962 r.

Rozdawanie nowych podręczników odbyło się dzisiaj w obecności Don Edmundo i Don Pablo. Książki rozdawał Profesor Enrique Ramirez a ja stałam obok niego i przyjmowałam oklaski. Don Edmundo i Don Pablo siedzieli w ostatnich ławkach, razem z najstarszymi „dziećmi”, z Aurelią, Ernestiną, Marceliną, Tomaszem i Mateo. Don Enrique mówił kwieciste „drętwą mową” do nich z Mbayo, słuchających pobożnie i uważnie i pewno, tak jak ja, nierozumiejących nic.

Zatrzymałam sobie jeden egzemplarz a potem wyjeżdżając z Mbayo ofiaruję go Doni Chepie, która ma wielką ochotę na „swoją własną książkę” chociaż jeszcze czytać nie umie. Don Edmundo i Don Pablo też się nie zdziwili tym moim wyczynem książkowym, ale byli bardzo zadowoleni. Don Edmundo umie czytać i przeglądając jeden z elementarzy powiedział, że książki te są znacznie lepsze niż poprzednie, bo „piszą o Hidalgo, Pancho Villa i tym młodym bohaterskim cesarzu, któremu Wielki Cortez pięty przypalał”, a nie o jakichś imieninach o których tu nikt nie wie i wiedzieć nie powinien, bo to tylko strata ciężko zarobionych centawów... A Don Pablo, który czytać nie umie, z uznaniem obejrzał kolorowe obrazki, „duże ładniejsze niż tamte niekolorowe z poprzedniej książki” i dodał:

— „Tych książek jest tyle ile dzieci albo i więcej, a tamtych było tylko trzy”.

I tak się zaczął, bardzo właściwie nudnie, mój pierwszy dzień w Mbayo po rewelacjach Loli.

Dopiero około 4-ej popołudniu zaczęło się dziać naokoło mnie czy też ze mną trudno jeszcze przewidzieć co. A zaczęło się od uzdy, którą zawiesiłam na haku przy oknie. Okazuje się, że na tę uzdę zwrócili uwagę nie tylko wszyscy moi bliźsi i dalsi sąsiedzi, ale, że została ona również zauważona w Las Animas. Nic w tym dziwnego zresztą, bo leżała przecież przez kilka godzin na spiętrzonych pakach z książkami, na stacji autobusowej przez którą się przewija dużo ludzi. Dość, że rozeszła się po Las Animas wiadomość, że przyjechałam z uzdą i dziś o 4-ej gdy, bardzo zmęczona, odpoczywałam leżąc na łóżku i myślałam nawet,

że za chwilę zasną, przyszedł do mnie kilkunastoletni wyrostek z Las Animas i przedstawił się jako „posłaniec od księdza proboszcza”.

— Ksiądz proboszcz słyszał, że pani przywiozła ze sobą uzdę — powiedział chłopak — więc zapytuje się, czy nie potrzeba pani konia, ale o żadnym wynajmowaniu słyszeć nie chce, bo koń — powiedział — i tak nic nie robi, więc jak tylko pani będzie chciała pojeździć jest on do pani dyspozycji.

Szalenie się z tej niespodziewanej propozycji ucieszyłam i już siadałam do maszyny żeby napisać do księdza list z podziękowaniem, gdy nagle posłyszałam lekkie stukanie do drzwi i po chwili stanął przede mną Don Edmundo. Jedną ręką obejmował małego Adolfo a w drugiej trzymał coś, jakby węzełek z dużego liścia. Rozwinął ten liść ogromny i okazało się, że były w nim przypiekane *awy*.

— To dla pani, Donio Marylito — powiedział. — A co ten chłopak od księdza robi tutaj w pani hamaku?

— Aaa, nic — powiedziałam — widocznie się po prostu położył, bo kazałam mu poczekać na mój list do księdza.

I opowiedziałam Don Edmundo o koniu. Ale Don Edmundo namarszczył się i powiedział:

— Niech pani mu napisze, że żadnego konia pani nie potrzeba!

— Kiedy właśnie potrzeba! — zawołałam.

— No, to my się pani wystaramy, Donio Marylito, ale niech pani napisze tak jak powiedziałem!

Okropnie się zirytowałam tym rozkazem nieuzasadnionym, ale zanim zdążyłam coś powiedzieć Don Edmundo wziął za rękę małego Adolfo i zaprowadził go do hamaku w którym kołysał się chłopak od księdza.

— Adolfo zaprowadzi cię do mojej pani, Doni Rosalii — powiedział — to wam obu da więcej *aw* przypiekanych bo ja tu przyniosłem tylko garść a Doni Marylicie bardzo smakują.

Chłopak wyskoczył z hamaka i za chwilę już ich obu nie było. Don Edmundo spojrzął na mnie poważnie i powiedział:

— Donio Marylito, niech się pani nie gniewa, ale widzi pani ten ksiądz pół roku temu nas tu wszystkich obraził i od tego czasu nikt z Mbayo z nim w ogóle nie rozmawia no i jak trzeba księdza, wikary do nas przychodzi. Więc widzi pani, ten ksiądz przez to, że tak się nam naraził stracił już opinię w Las Animas, no i pewno u biskupa także. Bo im tam w Diecezji mówią, że mają szanować *los Inditos*, bo to tacy sami ludzie w obliczu Boga jak i inni... Ale nam, Donio Marylito, nie o takie względy chodzi. My tu wiemy od dawna jakie są nasze prawa i widzi pani teraz

z tym koniem, to on się chce po prostu do nas jakoś poprzez pani pośrednictwo zbliżyć a na to pozwolić nie możemy...

— Oczywiście że nie! — zawołałam ale tym razem chciałam wiedzieć dokładnie co się stało i Don Edmundo mi opowiedział.

Więc po mszy za duszę staruszki Doni Lupity Navarro, ksiądz proboszcz zostawił w pośpiechu żałobne ornaty w tym małym pokoiku który służy jako zakrystia obok świetlicy Marii Wiktorii, ale z osobnym wejściem od strony kościoła. Gdy zauważył potem że brak mu czarnych ornatów (a były mu potrzebne do mszy za duszę jakiegoś staruszka) ksiądz proboszcz we własnej osobie taksówką po te ornaty do Mbayo przyjechał, a ponieważ Don Justo klucze od kościoła i zakrystii zawsze przy sobie nosi, a był tego dnia właśnie razem z innymi Panami z Mbayo przy robotach *ejidalnych* daleko za *Haciendą Ruiz*, więc nikt oczywiście nie mógł mu drzwi otworzyć. Ksiądz się bardzo złościł i zażądał aby chłopcy, Teodoro i Tomasito, drzwi na siłę otworzyli. Ale oni powiedzieli, że nie mogą bez pozwolenia Don Justo i na to ksiądz, silny chłop — Donio Marylito — dobrze odżywiony i wypoczęty, sam te drzwi od zakrystii wyważył w obecności kobiet i tych dwóch chłopaków bardzo onieśmielonych. Wielkie było oburzenie w Mbayo, a gdy wrócił Don Justo zaraz do mnie przyszedł z Konstytucją Meksykańską, bo Donio Marylito, Don Justo chociaż *cabezilla de pueblo*, nasz szef najważniejszy, ale ani czytać ani pisać nie umie, i prawdę mówiąc, Donio Marylito, to jedynie w sprawach kościoła się orientuje. Ale wiedział, że w Naszej Konstytucji jest taki paragraf, w którym piszą o tym jakie są obowiązki parafialnego księdza wobec wiosek parafialnych, więc poprosił mnie żebym mu ten paragraf znalazł i z palcem na tym paragrafie do księdza zaraz pobiegł ze złością wielką. Nie chciał czekać z innymi w poczekalni parafialnej tylko zaraz prosto do księdza poszedł i ten paragraf mu pokazał:

— Tu, proszę księdza — powiedział — napisane jest w Konstytucji Naszej Meksykańskiej jak się ksiądz zachowywać powinien gdy do wsi, jak Mbayo, przychodzi. A ksiądz się nie tak zachował i szkody nam wielkiej narobił z tymi drzwiami wyważonymi, no i wstydu w całej wsi, więc według tejże Konstytucji Naszej Meksykańskiej, ma ksiądz mi zaraz tu wypłacić 5 pesów na reperację drzwi.

Ale ksiądz się okropnie rozzłościł, o płaceniu słyszeć nawet nie chciał i Don Justo wrócił do Mbayo bez niczego, ale tu o te głupie pięć pesów oczywiście nie chodziło, ale o samo zachowanie się księdza i o nasze prawo. Więc od tego czasu nikt się do księdza nie odzywa, ani mu się nie kłania i rozeszło się po całej

okolicy jak on się tu zachował, tak, że teraz chce naturalnie to wszystko załagodzić i próbuje jak może.

Więc naturalnie po tym opowiadaniu napisałam zupełnie inny list do księdza. Napisałam, że bardzo mu dziękuję, ale *Panowie z Mbayo* już mi się o konia wystarali! Użyłam naumyślnie terminu „Panowie” bo Don Edmundo mi powiedział, że podobno tu w samym Mbayo, proboszcz zawołał na Tomasito „ty Indito!”, gdy nie chciał drzwi na siłę otworzyć, ale że nie było świadków, bo Teodoro już odszedł, „więc nie można go było za to skarżyć”. Don Edmundo przeczytał mój list z aprobatą i potem jeszcze przez chwilę chrupaliśmy gorące *awy* przyniesione przez Adolfo w grubej chustce, „żeby nie ostygły”. Podczas tego chrupania myślałam o tym co Don Edmundo powiedział o „skarżeniu” księdza... Zastanawiałam się nad tym czy rzeczywiście można tu podawać do sądu za obelżywe słowo „Indito”, czy to słowo tak ciągle przez wszystkich Nie-Indian używane, ten odpowiednik polskiego i też ciągle od wieków chyba używanego słowo „Żydek”, jest tu rzeczywiście przez prawo meksykańskie uznane za obelżywe. Ale nie zdążyłam się o to zapytać.

Prawa broniące szczepy podbite przed nadużyciami „imperialistów” (na przykład Azteków) istniały na tej ziemi od dawna — potem za czasów Kolonialnych też istniały specjalne prawa broniące Indian. Jak to wygląda teraz, gdy oficjalnie, według prawa meksykańskiego, wszyscy mieszkańcy Meksyku są po prostu (ale jakże skomplikowane jest to „po prostu”) obywatelami meksykańskimi, gdy rozróżnienie między Indianinem a Nie-Indianinem według prawa meksykańskiego w ogóle nie istnieje, gdy w podręcznikach szkolnych, tych nowych, które przywiozłam, wprowadzone są pojęcia „wieśniak” i „mieszczanin” a wyeliminowane kompletnie słowa „Indianin”? I nie tylko zresztą o „Indianach” czy „Inditos” nie ma ani słowa w tych elementarzach — przejrzałam dokładnie strona po stronie ten podręcznik dla pierwszej klasy i nie znalazłam w nim również ani słowa o *Mazahuah*, *Tzeltalach* czy *Zapotekach* — ani słowa o żadnym z ilu to indiańskich szczepów.

Ciekawe czy w książkach dla drugiej, trzeciej, piątej klasy temat ten potraktowany jest inaczej. Muszę poprosić Dona Gustavo przy pierwszej okazji o podręczniki dla wyższych klas.

Mbayo, w lipcu 1962 r.

Nadal brak mi bardzo moich zwykle ciekawych chociaż często męczących snów — nic mi się tutaj nie śni od czasu gdy spro-

wadziłam się do Mbayo. Wczoraj na przykład położyłam się dość wcześniej spać i spałam całe osiem godzin, ale mimo to nic... Chociaż Lucita twierdzi, że nadal mówię przez sen, więc pewno jednak coś mi się śni czego nie pamiętam. Bardzo to irytujące!

Ale dni moje tutaj są bardzo wypełnione i coraz ciekawsze. Dziś rano zaczęłam moje rozmowy z Donią Genowefą, najstarszą, podobno mieszkanką Mbayo. Nie bardzo mi się chce wierzyć, że jest ona rzeczywiście najstarsza, ale nie ma sposobu aby to sprawdzić. Wszyscy twierdzą, że ma już przeszło 68 lat, a Donia Genowefa twierdzi, że ma nie więcej jak 62, ale nie wie na pewno. Te rozmowy mają dotyczyć historii wsi, bo historia to zawsze najłatwiejszy do zrozumienia temat i dla tak zwanych „prymitywnych” i dla tak zwanych „cywilizowanych”: i jednym i drugim historia wydaje się bezpiecznym i pouczającym tematem, o ile się ją traktuje z punktu widzenia tych, którzy tę historię „posiadają”. — Powiedziałam Doni Genowefie, to samo co poprzednio powiedziałam wszystkim innym z którymi rozmawiałam o moich badaniach w Mbayo, że mianowicie chcę dowiedzieć się o historii Mbayo aby potem „moim dorosłym uczniom” o niej opowiadać.

Drugim najbezpieczniejszym tematem po historii są zwykle „obyczaje” i obyczaje te są zwykle rozumiane jako najróżniejsze odświętne ceremonie. Będę musiała tego wszystkiego cierpliwie wysłuchiwać, i powoli wyłuskiwać z tej „historii” i z tej „odświętności” tę najbardziej mnie zawsze fascynującą, żywą i niebezpieczną codzienność.

Donię Genowefę wszyscy tu niesłuchanie szanują ze względu na jej wiek. Ile razy przychodzę do *Ngeme* zawsze naokoło Doni Genowefy odbywają się najróżniejsze ceremonie: gdy wychodzi z domu na taras wszyscy obecni wstają i milkną, potem podają jej rękę kłaniając się w pas, a niektórzy ją całują w rękę. Trzeba będzie zbadać dokładnie kto właściwie całuje w rękę Donię Genowefę czy tylko młodszy czy też młodszy z rodziny, czy starszy z rodziny a młodszy spoza rodziny — jeszcze się w tym nie orientuję. A potem stojąc i milcząc pytają Donię Genowefę o zdrowie i dopiero gdy siada, siadają inni znowu z nią przede wszystkim rozmawiając. Ale Donia Genowefa zwykle ma niewiele do powiedzenia i w ogóle wydaje mi się dużo mniej inteligentna niż inni trochę młodszy od niej. Powiedziałam o tym Don Edmudowi, gdy sugerował, a potem — jak to zwykle Don Edmundo — starał się mnie zmusić do zaczęcia wywiadów na temat historii Mbayo właśnie z Donią Genowefą... Ale Don Edmundo w kółko powtarzał, że od Doni Genowefy właśnie dowiedzieć się mogą najwięcej o historii Mbayo. Trochę się jeszcze broniłam, ale bez

większego rezultatu — jak dotąd to raz tylko wygrałam w moich rozgrywkach z Don Edmundo. Może powinnam napisać „rozmowach”, ale wszystkie te rozmowy mają charakter rozgrywek. Raz wygrałam: w tej rozmowie na temat księdza, o którym dowiedziałam się tego co chciałam się dowiedzieć. Poza tym zawsze wygrywał Don Edmundo. Tym razem użyłam nawet takiego argumentu, którego nigdy prawie z nikim nie używam. Powiedziałam Don Edmundo, że wołałabym dowiedzieć się o historii Mbayo od mężczyzny raczej niż od kobiety, bo kobiety mają zwykle „zbyt wąskie horyzonty” i mówią o sprawach domowych raczej niż o innych, szerszych, które mnie i „moich dorosłych uczniów” bardziej interesują. Gdy mu o tym mówiłam przypomniał mi się wiersz ze „Słówek” Boya o starych kobietach. Zadeklamowałam go najpierw po polsku:

*„Czemu stwór podeszły wiekiem
Co kobietą być już przestał
A nigdy nie był człowiekiem
Windujecie na piedestał?”*

I potem zaczęłam tłumaczyć go Don Edmundo, na angielski, ale już po pierwszych paru słowach przestałam, widząc, że Don Edmundo jest wyraźnie znudzony. Może Teodorowi by się ten wiersz spodobał, ale nie Don Edmundo i trzeba się było w tym zawczasu zorientować. Ale nie stało się nic, Don Edmundo spojrzął na mnie tylko surowo i powiedział:

— Donia Genowefa jest bardzo inteligentną kobietą, Donio Marylito, i dużo wie o historii Mbayo, najwięcej z nas wszystkich „i wszystko pani opowie o cierpieniach i zmaganiach naszych ojców i dziadków”.

Więc to jest historiozofia Don Edmundo: historia jako historia cierpień i zmagani! Ale Donia Genowefa wcale od cierpień i zmagani nie zaczęła... Notowałam te jej opowiadania prawie słowo w słowo w czarnym notesie i teraz za chwilę będę je przepisywać pod odpowiednimi rubrykami na twardych kartkach. Są to detale życia codziennego: o sukniach, potrawach, cenach, krowach i drobiu i wszystko to zabarwione „postawą klasową” można by chyba powiedzieć, ale naturalnie prowizorycznie i ostrożnie, bo jeśli w ogóle istnieje społeczność bezklasowa to jest nią niewątpliwie takie Mbayo. Ale w tej gloryfikacji własnej rodziny, gloryfikacji przetłumaczonej na *los centavitos*, na groszową fortunę, na szacunek lokalny i na lokalną władzę było jednak coś „klasowego”. Będę musiała jednak z czasem zmienić to słowo

na jakieś lepsze... słowa „klasowo” używam tu prowizorycznie — na twardech kartkach w ogóle go nie umieszczę!

Ale jeszcze jedno dzisiejsze wydarzenie zanim zabiorę się do twardech kartek. Wcześniej rano, chyba między 7 a 8 razem z małym Ignacio zrywałam *tuny*, z kaktusów tuż przed moją chatką. Nadziewaliśmy je na ostrza długich kijów i mały Ignacio uczył mnie jak „atakować” *tunę* tak, żeby jej nie zniszczyć. Bawiliśmy się doskonale i dopiero po chwili zauważyliśmy wśród tej zabawy doskonałej, że drogą, tuż obok nas przechodził Jorge i jeszcze jakiś Pan z Mbayo dotychczas znany mi tylko z widzenia.

— Kim jest ten człowiek, który idzie z twoim ojcem? — zapytałam Ignacio.

— To Don Emilio, młodszy *Mayordomo* — powiedział Ignacio, nadal bardzo zajęty nadziewaniem *tun* na długi kij. I Jorge także ani się do syna nie odezwał, ani do nas nie podszedł. Zawołał tylko „*Adios!*” i wszedł do sąsiedniej chatki tam gdzie mieszka ta młoda kobieta z którą prałam w kanale irygacyjnym. Trochę mnie to zachowanie Jorge zdziwiło, nie tylko jego zachowanie w stosunku do małego Ignacio ale i w stosunku do mnie, bo przechodząc tędy Jorge zawsze jednak wpadał na pogawędkę, a pośpiech nie jest jeszcze znany w Mbayo.

Więc później, przy kolacji w *Ngeme*, zapytałam go dlaczego do mnie nie przyszedł, a Jorge wówczas gdy go o to pytałam pieścił właśnie małego Ignacio, systematycznie i tkliwie głaszcząc go po główce i zauważyłam naturalnie jak inny był teraz jego stosunek do syna (*Twarda kartka Nr 563 a*: „stosunki między rodzicami i dziećmi”, i może jeszcze twarda kartka *Nr 342 c*: „segmentalizacja światopoglądu”). Ale nie o to mi chodziło. Bardziej niż o Ignacio i o twarde kartki chodziło mi o samą siebie i Jorge nie przerywając pieszczenia synka powiedział:

— Nie przyszliśmy do pani, Donio Marylito, bo zbieraliśmy pieniądze na pierwszego sierpnia.

— Na pierwszego sierpnia?

— Tak, Donio Marylito, na *fiestę* naszego patrona Santiago — dlategośmy do pani nie przyszli.

Zrobiło mi się bardzo przykro — tak przykro, że nawet nie potrafiłam o nic więcej zapytać i nadal mi jest przykro. Przecież już od dawna mieszkam w Mbayo i jak to oni tak od domu do domu chodzili a mnie, niewątpliwie „najbogatszą”, opuścili... Jorge zrozumiał chyba wówczas, że mi było przykro, ale nie powiedział nic. Jedliśmy potem *tortije* z gotowanymi *navos*, takimi zielonymi cienutkimi trawkami bardzo smacznymi, ale ciągnącymi się jak włoski makaron, tak, że to jedzenie przy co chwilę gasnącym świetle łuczywa, bardzo nas wszystkich zaabsorbowało.

A potem już mała Iza zaczęła chrapać w fałdach fartucha Doni Eleny i Donia Elena zaniósła ją do drugiego pokoju a ja z Lucitą, małym Juanito i malutką Teresitą poszliśmy do mojej chatki. Ignacio został tym razem z rodzicami. Jutro postaram się wyjaśnić dlaczego nie poprosili mnie o pieniądze, może najlepiej popytam o to ludzi z Mbayo, wcześniej rano żeby naprawić sobie humor przed długim i na pewno znowu bardzo pracowitym dniem... Pracowitym? Tak... wbrew temu, że nadal wszyscy myślą, że nic tu nie robię!

Mbayo, w lipcu 1962 r.

Zaraz po śniadaniu poszłam dziś z awanturą nie do Jorge ale do Don Edmundo:

— Nie rozumiem w ogóle zachowania się Panów z Mbayo — powiedziałam zdając sobie sprawę w tym momencie, że skarżę się właściwie „ministrowi bez teki”, bo Don Edmundo nie ma oficjalnego stanowiska w Mbayo — jest szarą eminencją, już od dawna i z własnego wyboru — „bo w ten sposób ma swobodę ruchów”, jak mi kiedyś powiedział.

— Nie rozumiem zachowania się Panów z Mbayo wobec mnie, zamieszkałej już tutaj od tak dawna — mówiłam. — Jorge i Don Emilio zbierali pieniądze na *fiestę* Santiago a do mnie nie tylko że nie przyszli, ale nawet moją chatkę naumyślnie ominęli, tak jak bym tu w ogóle nie mieszkała, naprawdę nie rozumiem!

— Zrobili tak jak powinni byli zrobić — powiedział Don Edmundo najspokojniej.

— Powinni, powinni — wołałam już teraz nie pamiętając w ogóle ani o strategii moich badań socjologicznych, ani o tym, że Don Edmundo nie jest jednak człowiekiem wykształconym.

— Ten Pana spokój, Don Edmundo, wygląda mi na ironię! Czego jeszcze więcej trzeba aby mieć prawo naprawdę mieszkać w Mbayo? Przecież robię wszystko co mi każecie robić: do Los Pinos nie pojechałam, książki wam przywiozłam, a teraz tracę czas na rozmowy z Donią Genowefą o jej spódnicach sprzed lat czterdziestu i o pozycji społecznej jej ojca tak wysoko, że mąż Doni Genowefy przez całe swoje życie nie mógł mu dorównać... A może obcy, nieurodzony w Mbayo na zawsze tu zostanie obcym!

Don Edmundo uśmiechnął się spokojnie, podał mi krzeselko (bo cała ta awantura odbywała się na stojąco) i powiedział:

— Donio Marylito, to wszystko jest bardzo proste. Obcy czy nie obcy, będzie mieszkańcem Mbayo dopiero gdy tu sobie

kupi kawałek ziemi. Taki Don Juan Porrez na przykład, Donio Marylito, przecież on jest z Las Animas, nie stąd i po *mazabua* mówić się nie nauczył, a jednak jest naszym *Delegado Municipal* i wszyscy go tu uważają za swojego. Nie przyszli do pani zbierać na *fiestę* bo pani tu nie ma ani domu ani ziemi, Donio Marylito, pani mieszka w domu Mateo, więc od Mateo wzięli na *fiestę* nie od Pani...

Tego się nie spodziewałam i ta odpowiedź rozładowała mój gniew najzupełniej i zamiast gniewu opanowało mnie „teoretyczne zdziwienie” i nadal jestem tak właśnie „teoretycznie zdziwiona”. Bo nie rozumiem zupełnie jak tacy prymitywni pod tyłu względami ludzie, mogą brać tak bardzo na serio takie ścisłe prawne fakty jak kupno ziemi: „Kupuję więc mieszkać”... ciekawa jestem swoją drogą czy pierwszemu lepszemu sprzedano by ziemię w Mbayo, tę ziemię której jest przecież za mało dla samych mieszkańców.

— A czy gdybym chciała tu kupić kawałek ziemi — zapytałam nieśmiało — sprzedalibyście mi taki kawałek?

— Ależ Donio Marylito, naturalnie — zaśmiał się Don Edmundo i podał mi obraną *tunę*, którą przyniosła właśnie Donia Rosaria.

— Mogłaby pani kupić choćby ten kawałek ziemi na której stoi dom Mateo, no i ten domek także i z nami tu zamieszkać.

— Dlaczego ta *tuna* taka zimna? — zapytałam zupełnie już uspokojona.

— Bo jest bardzo wcześniej rano i ma w sobie jeszcze chłód księżycy — powiedział Don Edmundo.

— Może pani nie smakuje taka zimna *tuna*, Donio Marylito?

Taka była rozmowa z Don Edmundo i naturalnie czuję się po niej znacznie lepiej, ale zdziwienie chyba jeszcze wzrosło: ten „chłód księżycy” w kaktusowym owocu i te „kapitalistyczne” kryteria przynależności do małego światka w Mbayo... Kto wie zresztą, może te „kapitalistyczne” kryteria nie są aż tak kapitalistyczne jak mi się wydaje — może są to symboliczne wymagania przetłumaczone na język nowych symboli i dlatego tak niezrozumiałe?

Wniosek: nie kupię oczywiście domku w którym mieszkać, ale będę musiała zadać jeszcze wiele cierpliwych pytań, aby dowiedzieć się komu sprzedaliby ziemię w Mbayo, a komu by nie sprzedali, a fakt, że nie ma tu prawie ziemi na sprzedaż jest w tym wypadku drugorzędny. Dla ludzi z Mbayo — i może dla wielu innych ludzi także (ale jakich, jakich i gdzie?) — najważniejsza jest zawsze ich moralna rzeczywistość, ich aspiracja

niezależna od warunków spełnienia tej aspiracji: ich święte GDYBY.

A potem całe rano rozmawiałam znowu z Donią Genowefą na tarasie *Ngeme* pomagając jej wyłuskiwać rude tym razem ziarna kukurydzy z wielkich kaczanów obrośniętych suchymi już liśćmi, przezroczystymi i cieniutkimi, „jak prasowany alabaster”, myślało mi się bez sensu.

Gdyby nie te przesłiczne rude ziarna i te alabastrowe łuski — każda z nich w inny delikatny deseń — nie wiem naprawdę jakbym była dzisiaj wytrzymała te cztery czy pięć godzin rozmowy z Donią Genowefą. A dzisiaj dla odmiany opowiadała mi ona nie o spódnicach ale o swoich chorobach sprzed lat trzydziestu i co chwila zatrzymywała się żeby zobaczyć czy naprawdę wszystko dokładnie notuję. Zresztą „to” o chorobach też jest właściwie niezwykle interesujące i tego rodzaju dane etnograficzne są bardzo cenne (twarda kartka numer 134 a), ale jakże okropnie dla mnie, Bardzo Niecierpliwej, nudne...

A *propos* chorób, to już od jakiegoś czasu prawie codziennie popołudniu przychodzą do mnie kobiety z Mbayo ze swoimi dolegliwościami: opowiadają mi o najróżniejszych bólach „w kościach”, „w żołądku” i „w mózgu” i proszą o lekarstwa. Wiedzą już teraz na pewno, że nie jestem nauczycielką, bo nikogo niczego nie uczę. Wiedzą również, że nie jestem „jak Maria Wiktorja”, bo nie mam pojęcia ani o kroju, ani o szyciu, ani o robieniu konserw z pomidorów i brzoskwiń, więc widocznie „umiem leczyć” myślą zapewne, „bo jakże bym mogła tak tu mieszkać nie robiąc nic”. Bardzo mi to ich głośne myślenie naturalnie pochlebia — bo one jedyne mimo mego leżenia w hamaku uważają mnie jednak za „mniej leniwą” — więc naturalnie daję im „lekarstwa”... Na wszystko o czym mówią daję im amerykańską aspirynę, której tu one na szczęście nie znają, przyzwyczajone do meksykańskiego *mejoralu*, który jest właściwie tym samym, ale nazywa się i wygląda inaczej. Czasem gryzie mnie trochę sumienie od tej kłamliwej aspiryny i otwieram moją wielką księgę medycyny „szpitalnej”, którą Lois i Mel ofiarowali mi przed pierwszą podróżą do Meksyku. Tak, jak wielu Amerykanów (i Europejczyków) wyobrażali sobie oni, że w Meksyku jest wszędzie tropikalnie a zresztą księga ta towarzyszyła im podczas kilkuletnich badań na Filipinach, więc jakże mogłam odmówić, wiedząc już zresztą wtedy, że jadę do *tierra fria*, to znaczy wiedząc, że będę się broniła jak nie prawdą to kłamstwem przed zarobaczonym lepkiem upałem tropikalnych *tierras calientes*, „ta-

kich jak Atlanta w lipcu, takich jak Atlanta w sierpniu” — myślałam wówczas — przypominając sobie moje pierwsze i ostatnie lato w upalnej Georgii. Ale nie potrzebowałam się na szczęście ani przed samą sobą (co najtrudniejsze) ani przed nikim innym, bronić, bo Mbayo okazało się niezależnie od klimatu najciekawsze. Może zresztą to „najciekawsze” nie jest odpowiednim terminem, bo zakłada on racjonalny czy emocjonalny wybór, porównanie, wielość, a ja przecież Mbayo nie wybierałam, nie porównywałam z innymi oglądanymi wsiami. Mbayo mi się po prostu „zdarzyło” — znalezienie Mbayo było „szczęśliwym przypadkiem”, poprzedzonym innym „szczęśliwym przypadkiem”, spotkaniem Almity, już bardzo dawno — przeszło rok temu — w bibliotece Narodów Zjednoczonych przy calle *Hamburgo*.

Ciekawa jestem ilu to antropologów i socjologów tak naprawdę wybiera swoje wsie... Zwykle piszą oni o wybieraniu (według kryteriów, ma się rozumieć metodologicznych) i nikt by się nigdy w druku do tego nie przyznał, że czasami zimno a czasami upał są dla nich nieznośne i uniemożliwiające badania. I nie piszą ani o „szczęśliwych przypadkach” ani tym bardziej o „przeznaczeniu” (bardziej staroświecka nazwa dla „szczęśliwego przypadku”) czy też „zbiegu okoliczności”. „Wybierają” wieś, „wybierają” żonę, „wybierają” zawód — no, i czasami się jednak *naprawdę wybiera*, ale oni z tych rzeczy nie naprawdę wybranych też są na ogół dumni, i jeszcze jak! Ale ja w mojej monografii o Mbayo na pewno nie będę udawać! Nie! A może nigdy takiej monografii nie napiszę... Co za tasiemcowa dygresja... A zaczęłam przecież pisać o chorobach. Więc czasem zdarza się jakaś choroba naprawdę interesująca: dzisiaj przyszły do mnie dwie młode kobiety — nie pamiętam ich imion — zapytać „czy moje lekarstwo pomaga na *espanto*”. O *espanto* już coś niecoś wiedziałam z literatury etnograficznej i opowiadań moich przyjaciół przeprowadzających badania w północnej Guatemali. Więc *espanto* wedle nich to choroba dzieci: dziecko się nagle przestraszy, ktoś na nie spojrzy „złym okiem”, albo matka zostawi je na chwilę same w ciemnej izbie, albo wypadnie matce z *rebozo*, najróżniejsze są przyczyny *espanto* i symptomy też najróżniejsze. Ale postanowiłam udawać, że nic o *espanto* nie wiem. I to *espanto* tutejsze okazało się rzeczywiście inne. Przede wszystkim obie kobiety, zwłaszcza jedna z nich, skarżyły się na swoje własne *espanto*: bolała je głowa — mówiły — budziły się w nocy, nie mogły jeść chociaż były głodne...

— Od czego się dostaje *espanto*! — zapytałam zorientowany się po chwili, że takiego ogólnego pytanie nie powinnam była

zadawać. I rzeczywiście obie kobiety bardzo się namarszczyły starając się moje pytanie zrozumieć.

— A kto tam wie — powiedziała w końcu jedna a druga zaczęła się skarżyć, że wszyscy jej bliscy po kolei wymierali i nadal wymierają.

— Więc jakże tu nie dostać *espanto* — powiedziała — nawet już moje *hierbitas*, moje trawki, mi nie pomagają — dodała pokazując mi wiązkę zielonych chwastów — więc dlatego do pani po radę przyszedłam.

A druga kobieta dodała:

— A ja nie od śmierci, ale od upijania się mego *viejito*, mego staruszka, takiego *espanto* dostaję, że czasami przez trzy noce spać nie mogę, chociaż jemu już dawno gniew przeszedł.

— A czy wasi mężowie też na *espanto* chorują — zapytałam i obie kobiety zaczęły się śmiać i tak się zdrowo śmiały, „że od tego śmiechu przejdzie im chyba to smutne *espanto*” — pomyślałam. Ale nic podobnego... Okazuje się tylko, że sama myśl o tym, że mężczyzna może się rozchorować na *espanto* była tak zabawna, jak na przykład myśl o mężczyźnie w ciąży, a kto wie, może jeszcze zabawniejsza... Po tym śmiechu wróciły obie znowu do swoich narzekañ więc dałam im po aspirynie i bardzo przejęte, dziękując mi nabożnie, odeszły zawinięte w swoje *rebosos* niebieskie, a z każdego *reboso* sterczała główka niemowlęcia.

Mbayo, w lipcu 1962 r.

Mam już historię życia Doni Genowefy i jutro zacznę ją przepisywać z notesu na twarde kartki. Jest to historia „bogatej” i niezwykle egotystycznej jedynaczki, rozpieszczonej przez owdowiatego ojca a potem przez uwielbiającego ją męża, który „ojcu nigdy dorównać nie mógł”. Historia ta potwierdza moje poprzednie obserwacje o nieoczekiwanym przeze mnie zindywidualizowaniu pewnych dziedzin życia *Mazabuów*. Każda rodzina, na przykład, bogaci się tu osobno i „kontrola społeczna” nie dotyczy nigdy tego indywidualnego bogacenia się. Bogatsi nie mają większych obowiązków wobec biedniejszych niż biedniejsi wobec bogatszych. Tyle się dowiedziałam (i może to dużo) z tej okropnie nudnej, drobiazgowej i małostkowej autobiografii Doni Genowefy. Dotychczas wydawało mi się, że to zindywidualizowanie jest wynikiem akulturacji — obecnie wydaje mi się, że jest ono tradycyjną cechą kultury *Mazahua* i będę musiała pogrzebać się jeszcze w materiałach kolonialnych i prekolonialnych tego szczepu, aby podbudować tę moją hipotezę. Ale o historii Mbayo prawie

nic się z tych opowiadań Doni Genowefy nie dowiedziałam i będę musiała tę historię: społeczną, polityczną, ekonomiczną wyciągnąć od innych.

Ale dziś przed samym obiadem, pod koniec ostatniej chyba z tych nieudanych rozmów na temat historii Mbayo, zdarzyło się coś bardzo ważnego, co niewątpliwie wpłynie jakoś (nie wiem jeszcze jak, ale to pewno zależy w dużej mierze ode mnie) na mój pobyt w Mbayo. Donia Genowefa „przy świadkach” (Doni Elenie i Ernestinie) wspomniała zamordowanego *Gringo!* A było to w związku z jej chorobami, bo Donia Genowefa starała się sama zrozumieć i mnie wytłumaczyć przyczyny swoich licznych chorób. Więc ból żołądka, łamanie kości, bóle głowy („bóle mózgu” jak mówi się w Mbayo) to wszystko zaczęło się „już dawno przedtem”, ale To Co Najgorsze przyszło dopiero później i z tego już się chyba nigdy nie wyleczy, a ta ostatnia najgorsza choroba polega na tym, że Donia Genowefa „nie może oddychać” i od tego braku powietrza „pewno już niedługo umrze”.

— Czasem wydaje mi się, że rzucono na mnie czary — powiedziała szeptem, bo Donie Elena i Ernestina były już na tarasie *Ngeme*. — Ale ksiądz mówi, że to grzech wierzyć w czary, więc staram się nie wierzyć, ale co by to innego być mogło, niech pani sama powie, Donio Marylito. Ale jeśli w czary wierzyć będę, to okropne męki mnie po tej bliskiej śmierci czekają... — i zakryła twarz dłońmi wysuszonymi i żyłastymi. — Po raz pierwszy zrobiło mi się żal Doni Genowefy i chciałam ją jakoś pocieszyć.

— To na pewno nie czary — powiedziałam — zresztą kto by tam rzucał czary na taką dobrą kobietę, która nikomu przecież niczego złego nie wyrządziła, Donio Genowefo.

— Aaa, tak, nie wyrządziła, na pewno nie wyrządziła, ale skądinąd by przyszło na mnie to załamanie, Donio Marylito, bo wówczas gdy się to stało jakby coś we mnie tu, za sercem pękło i od tego pęknięcia zatrzymało się powietrze... Mówiła mi Donia Manuela, *curandera*, że nie ma przez co przejść bo zatkały się *los tubos*...

— Donio Genowefo, zastanówmy się razem, przypomnijmy sobie, kiedy to, jak dawno temu, przy jakiej okazji „pękło za sercem”, wtedy może zorientujemy się skąd przyszła choroba — powiedziałam — i może jakoś ją wyleczyć będzie można.

Donia Genowefa milczała i znowu zakryła twarz a po chwili zakaszła sucho.

— Czy to może wówczas *los tubos* się zatkały i powietrze się zatrzymało, gdy umarł mąż Pani, Donio Genowefo, Don José?

— zapytałam myśląc o jednym z incydentów opisanych przez Freuda w „Studiach nad Histerią” — Donia Genowefa bardzo tego męża w swoich opowiadaniach oczerniła — był on na pewno w jej oczach ostatnim fajtlapą, który zawsze przyjmował pomoc bogatego ojca Doni Genowefy. Ale potem, gdy umarł, Donia Genowefa najpierw przez kilka tygodni z tego miejsca na którym umarł ruszyć się nie chciała, a potem powiedziała, że już tylko na śmierć czeka i że chce umrzeć w tej samej izbie i na tej samej *petacie* na której umarł jej mąż. O tym ostatnim wiem zresztą nie od niej, ale od Lucity, która opowiadała mi ile kłopotów wszyscy mieli ze zmienianiem *petaty* Doni Genowefy, „bo przecież na starej *petacie* spać bardzo niebezpiecznie”, a ona uparła się, musieli więc zmienić *petatę* w tajemnicy i zawsze ją trochę zabrudzić musieli, żeby Donia Genowefa myślała że to ta sama co przedtem.

— Nie — powiedziała Donia Genowefa, a siedziała obok nas teraz i Ernestina i Donia Elena obierając zieloną fasolę na dzisiejszy obiad.

— Nie, po śmierci Don José tylko kaszlu dostałam... Tamto z powietrzem przyszło znacznie później, gdy mojego Pancho po zabiciu tego *Gringo* do więzienia w Toluca wsadzili...

Donia Elena i Ernestina nie powiedziały nic, ale już wiedziały, że wiem i Donia Genowefa zaczęła coś jeszcze mówić popłakując. Niewiele z tego zresztą zrozumiałam, bo zakaszła się bardzo i potem już zaraz przyszli Jorge z Weroniką i przeszliśmy do kuchni na obiad.

Podczas obiadu mówiło się prawie wyłącznie o cenach prosiaków, o tym, że za kilo prosiaka płacą w Las Animas 3 pesy więc jeśli ma się w sumie „100 kilo prosiaków” to można by dostać bez trudu aż 300 pesów... fantastyczna suma dla *Mazabuy* z Mbayo, ale nawet w *Ngeme* nie było nigdy tylu prosiaków na sprzedaż. Bardzo mnie to prosiakowe *plurale tantum* zdziwiło, bo myślałam, że nie są oni w stanie w ten sposób uogólnić tych swoich ukochanych „pokojoyowych” prosiaków, rozpieszczonych i rozpoznawanych — tematu rozmów codziennych. — „Ten łaciaty prosiak z podkreślonym ogonem szuka zawsze czegoś pod *petatą* Aurelii i Ernestiny, a tamten czarny nie lubi kaczanów kukurydzy...” — a tu nagle ni stąd ni zowąd te wszystkie zindywidualizowane prosiaki przetłumaczone na kilogramy! Właściwie oburzyło mnie to jeszcze bardziej niż zdziwiło, ale nie bardzo wiedziałam jak to *plurale tantum* zaatakować tak aby mnie zrozumieli, więc powiedziałam tylko włamując się w ich handlową rozmowę:

— A czy wam nigdy nie żal posyłać tych waszych prosiaków

na śmierć do Las Animas? — i zaraz przypomniałam sobie jak zawsze wyśmiewałam się sama z podobnych „sentymentalnych i naiwnych pytań” ludzi z miasta, „którzy nie rozumieli mentalności chłopów”.

Ale to moje pytanie nie dotarło chyba do nikogo z nich, zbyt zaabsorbowanych rozmową o prosiakach, rozmową dotyczącą ich „świętej codzienności ekonomicznej” — myślało mi się teraz — „ich Aspiracji Wielkiej”, którą ja tak naiwnie zredukowałam do wymiarów stereotypowych, wyobrażanych, ale nie odczuwanych, do rzeczywistości zafałszowanej przed którą bronie się od czasu gdy zaczęłam myśleć.

Ale jednak dotarło do nich to moje pytanie niejasne! Jorge w każdym razie moje pytanie usłyszał i nie przerywając ogólnej rozmowy o cenach prosiaków powiedział cicho podając mi gorącą *tortiję*:

— Donio Marylito przecież prosiaki nie czują gdy się je zabija.

I potem już do końca obiadu trwała ożywiona rozmowa o prosiakach i Donia Genowefa — zauważyłam, znowu ze zdziwieniem — też w niej brała udział, „tak jakby nigdy nic”...

To moje nowe zdziwienie, wątpliwości, potknięcia, zrozumienia czy też pół-zrozumienia odciągnęły mnie na parę chwil od mojej Ciekawości Największej, od Los Pinos po raz pierwszy „przy świadkach” wymienionego. Ale gdy po obiedzie wróciłam do mojej chatki nie myślałam już ani o prosiakach niezindywidualizowanych, ani o koncepcji zwierzęcego bólu wśród *Mazahuów* z Mbayo, ani o moich „niewybaczalnych” (a może zresztą wybaczalnych) błędach metodologicznych. — „Czy chcą czy nie chcą” — powiedziałam sobie — „będą musieli już teraz rozmawiać ze mną o Los Pinos. Oto nareszcie mam pretekst do rozpoczęcia rozmowy na ten temat. Oto właściwy moment”... i tak się tym sformułowaniem swoim przejęłam, że nie mogłam wyleżeć w moim leżaku dłużej jak parę minut, nie potrafiłam cierpliwie czekać na codzienne dane etnograficzne, które mi do tej mojej „kołyski” ze wszystkich stron Mbayo przynoszą. Nie myśląc wówczas — jestem pewna — o symbolicznym znaczeniu tego gestu, zawiązałam hamak na gruby węzeł, podciągnęłam go wysoko, pod same belki mego ocienionego *solar*... i poszłam prosto do Don Edmundo.

Ale Don Edmunda nie było w domu, ani Doni Rosarii, ani nikogo prócz zwierząt, „które nie czują”: kilku rudych prosiaków i dwóch czarnych wychudzonych psów. Więc wróciłam do siebie

a tam już czekała na mnie Lucita, zaniepokojona wyraźnie tym moim hamakiem zawiązanym na węzeł.

— Co się tu stało, Donio Marylito — zawołała — może ktoś chciał się przez dach do chatki dostać i dlatego kołyskę tak podwiązał...

Niewiele zrozumiałam z tego rozumowania Lucity, ale nie miałam cierpliwości do rozgrzebywania tej nowej zagadki, jednej z wielu zagadek codziennych i coraz to częstszych...

— To ja ją sama podwiązałam, Lucito — powiedziałam niecierpliwie — bo znudziło mi się leżeć w kołysce. Teraz już nigdy nie będę leżeć, będę chodzić po Mbayo! Może pójdziesz ze mną tą ścieżką w górę, za kościołem, nigdy tam jeszcze nie byłam! Ale Lucicie nie podobał się ten pomysł.

— Tam nic nie ma, same kamienie — powiedziała — a zresztą nie może pani teraz wyjść, Donio Marylito, bo Teofila powiedziała, że tu do pani przyjdzie o czymś porozmawiać...

Więc nie poszłam kamienistą ścieżką, bo zresztą nie miałam dokąd. Był to jeden z tych pomysłów zaimprovizowanych a może należałoby powiedzieć „irracjonalnych”, bo nie związanych z żadnym z moich konkretnych celów, a jedynie z moim niepokojem wewnętrznym, którego się chciałam pozbyć. Ale gdy Ulisses mówi o mnie że jestem *inquieta*, niespokojna, jest to w jego ustach jednym z największych komplementów, więc może w Meksyku nie uważa się takich z niepokoju wyływających odruchów za irracjonalne, skoro Ulisses, który ceni racjonalizm tak bardzo...

I rzeczywiście Teofila przyszła i to nawet dość szybko. Teofila jest najładniejszą dziewczyną w Mbayo i jedyną, która naprawdę umie dobrze czytać i pisać. Teofila miała bardzo tajemniczą minę i Lucita, młodsza od niej, też od razu się jakoś do niej upodobniła i obie ze świeżymi oczami i mówiąc głośnym szepem zaciągnęły mnie do chatki, posadziły na łóżku a potem Lucita wspięła się na palce i zamknęła drzwi na skobel.

— Bo tu chodzi o Ricardo, profesora z Aurory — zaczęła Lucita.

— Ricardo jest moim *novio*, narzeczonym — zaszeptęła Teofila i zakryła twarz fartuchem.

— Ale o to chodzi, że Ricardo nie jest *Mazabua* ale *Otomi* — powiedziała Lucita.

— Jest profesorem w Aurorze i nikt mi go nigdy nie odbierze — zaszeptęła znowu Teofila. — Nikt mi go nie może odebrać bo się bardzo kochamy.

Lucita spojrzała na mnie i zauważyła, że nie bardzo jeszcze rozumiem, więc tym samym co poprzednio głosem, młodszym,

ale jakby starszym, bo tyle od głosu Teofila głośniejszym i spokojniejszym, powiedziała:

— Rodzice Teofila nie pozwalają się jej w ogóle spotykać z Ricardem, bo Ricardo jest *Otomi*, nie *Mazabua*, nawet prac jej od tygodnia nie pozwalają, bo tamtędy koło studni codziennie przechodzi Ricardo. Tam się zresztą poznali...

— I nie pozwalają mi nawet chodzić wieczorem po wodę miodową, bo się boją, że Ricardo między agawami mnie spotka, chociaż im powiedziałam, że on jest wtedy w Las Animas bo się po angielsku uczy od profesora Federica, który... — mówiła Teofila już teraz trochę głośniej, ale Lucita przerwała jej i zaszeptła przyciskając się do mnie, aż gorąca z przejęcia:

— Donio Marylito, a jak Teofila ojcu o tych lekcjach angielskiego powiedziała, to się tak rozgniewał, że zdjął pas i pasem ją przez godzinę okładał, tak, że do tego czasu ma sińce na plecach! Sama widziałam, bo pomagałam się jej w domu kąpać, bo teraz gdy do studni chodzić jej nie wolno musi się kąpać w domu, Donio Marylito, w takim wiaderku jak to które tu mamy do brudnej wody.

— Donio Marylito — powiedziała teraz płacząco Teofila — tylko raz na tydzień możemy się teraz z Ricardo widywać, tylko raz na tydzień w niedzielę po mszy o 5-ej rano, bo ojciec myśli, że Ricardo chodzi na msze w swojej wsi, Aurora, a nie w Las Animas...

— Więc chodzi o to — powiedziała teraz Lucita z bardzo poważną miną — że Ricardo chce tu przyjść jutro wieczorem zapoznać się z panią, Donio Marylito.

— Bo my wiemy, Donio Marylito, że pani nikomu nic nie powie — szeptała teraz Teofila — zresztą w tym nic złego nie ma, Donio Marylito, że się kochamy i byłoby nawet grzechem i to śmiertelnym gdybyśmy się nie kochali, bo tak ksiądz Lucrecio, ten z *El Seminario* w kazaniu mówił, Ricardo może potwierdzić.

Zapisałam tę rozmowę jak najdokładniej, bo jest ona bardzo ważna dla zrozumienia wielu elementów współczesnej kultury *Mazabuów* z Mbayo. *Endogamia versus exogamia* — akulturacja poprzez kazania — problem generacyjny etc... etc... Stało na tym, że Ricardo przyjdzie tu jutro wieczorem po lekcji angielskiego aby mi się przedstawić, a potem już będzie miał pretekst do odwiedzenia mnie, i w ten sposób Teofila będzie się z nim mogła częściej spotykać u mnie i przy mnie jak obie Lucita i Teofila zaznaczyły, najlepiej po kolacji, bo wówczas Ricardo tędy i tak przechodzi w drodze z Las Animas do Aurory.

Narastające dane etnograficzne — narastające zrozumienia powiązań między ludźmi w Mbayo — piętrzące się twarde kartki i coraz więcej luk, pytań, niejasności. Pracuję coraz więcej i coraz mniej wiem — może takie badania powinny trwać całe życie? Całe życie jednego badacza lub kilka lat kilku badaczy, ale dla mnie takie zbiorowe badania są nie do wytrzymania, chociaż naturalnie widzę ich wartość a może nawet ich nieodzowność. I jednocześnie z tą moją narastającą wiedzą i niewiedzą wzrasta moja nienaukowa, osobista niecierpliwość nie do opanowania. Teraz na przykład powinnam zdobyć przede wszystkim tyle a tyle odpowiedzi na tyle a tyle konkretnych pytań z najróżniejszych dziedzin, ale nie potrafię się w to grzybobranie cierpliwe tak naprawdę wciągnąć, Męczy mnie i wciąga tak naprawdę jedynie moje własne zahaczenie i rzeczywistość Mbayo: chcę już teraz jak najprędzej dowiedzieć się wszystkiego o zamordowanym w Los Pinos *Gringo* — dowiedzieć i zrozumieć i zrozumieć jak najlepiej dlaczego Don Edmundo (i może również inni Panowie z Mbayo) uważają, że nie mogą nigdy do Los Pinos pojechać. I chciałabym bardzo tam kiedyś pojechać i przekonać się „sama na własnej skórze”... — pojechać z ich pozwoleniem lub, wbrew ich woli, ale najpierw dowiedzieć się, dowiedzieć jak najwięcej i jak najdokładniej od wszystkich mieszkańców Mbayo po kolei!...

A tu tymczasem w czarnym notesie i na białych twardych kartkach tyle, tyle zaległości...

Mimo tych zaległości zdecydowałam się jednak poświęcić moje dane etnograficzne i już dziś przy kolacji w *Ngeme* poruszyć temat Los Pinos, nawet gdybym miała im przerwać najważniejszą rozmowę. Zdecydowałam się, ale nic z tego nie wyszło, bo zaczęło okropnie lać i Lucita przyniosła mi tu kolację w koszyczku: gorące *tortije* i *salzę*, zielony sos z *chile* w małym garnuszku. A z Lucitą przyszedł tu na noc mały Juanito. Teraz już od dawna oboje śpią a ja siedząc na moim wysokim krześle piszę i piszę. Nade mną szumi deszcz i od czasu do czasu dociera do mnie jedna lub dwie kropelki. Czasem siadają mi na głowie, czasem na klawiszach maszyny i wówczas wycieram maszynę rękawem od szlafroka.

Mbayo, w lipcu 1962 r.

Ach co za dzień... i co za dni! Od tygodnia nie miałam czasu pisać dziennika tyle pracy miałam z przepisywaniem najróżniejszych danych z czarnego notesu na twarde kartki! A poza tym *działo się* naokoło *mnie* bez przerwy i chyba zaczęło się także

dziać moje własne życie, bo codziennie przy kolacji rozmawiamy teraz już zupełnie otwarcie o Los Pinos i zamordowanym *Gringo*. I nie potrzebowałam nawet niczego forsować. Sami zaczęli o tym mówić tak jakby przede mną nigdy nic przedtem nie ukrywali. Nawet jestem trochę rozczarowana, że stało się to tak łatwo i jakby bez wysiłku z mojej strony. „Jakby” — bo mój wysiłek polegał na zaczajeniu, na cierpliwym czekaniu i właśnie gdy zdecydowałam się z tym czekaniem skończyć, gdy zdecydowałam się wtargnąć w ten temat, oni, nagle sami zaczęli o tym mówić, nie pozwalając mi na tę postanowioną zmianę taktyki, kradnąc mi moją wolną wolę i moją zasługę!

No... „kradnąc” to oczywiście za mocne słowo, bo nie było to na pewno zrobione z premedytacją, nie było w tym z ich strony żadnej złej woli, żadnej winy.

A jednak czuję się jakoś oszukana mimo to, że już mam to właśnie czego chciałam najwięcej: ten ich dramat największy, rozgrywający się codziennie przy mnie i dla mnie w zadymionej kuchni *Ngeme*. Tę ich przeszłość niezapomnianą, a więc wmontowaną w teraźniejszość i... powiązaną z moim własnym życiem, a więc WSPÓLNĄ.

Chciałabym bardzo zrozumieć trzy „rzeczy”:

1. Które z „prawd historycznych” zostają jedynie w książkach, które z nich stają się „historią żywą” a może należałoby powiedzieć „mitem społecznym”, gdyby słowo „mit” nie brzmiało jak coś wymyślonego i zafałszowanego po to aby pocieszać, podtrzymywać na duchu, zbawiać? A tymczasem ta „historia żywa”, którą mam na myśli jest dramatyzacją zdarzeń prawdziwych i nie zawsze pomaga w życiu... czasem przeskadza!

Nasze, polskie powstania... Rewolucja — Ich Meksykańczyków. To Co się Stało w Los Pinos — Ich, *Mazahuów*...

2. W jakim momencie rodzą się, w jakim umierają takie mity społeczne? Kim są akuszerki tych mitów? Kto im daje ostatnie namaszczenia i wtlacza w trumienki rzadko czytanych książek?

3. I czym się żywią takie mity? Może jak pasożyty, jak wampiry, jak embriony żywią się naszym własnym życiem? A może plewami cudzych Historii? A może obrokiem własnej Mądrości?

To są oczywiście notatki na mój własny użytek, nie operacyjnie sformułowane pytania przygotowane do wiwisekcji seminaryjnej. Sama ze sobą — trudno już taka jestem — porozumiewam się najlepiej przy pomocy takich właśnie metafor!

Gdybym rozumiała te trzy „rzeczy” powyższe, może nie

czułabym się taką oszukującą i oszukaną. Bo kto wie, może tacy jak ja, wyobcowani wędrowcy, są czasami katalizatorami społecznych mitów? Może dlatego, bez mojej woli, ale wskutek mojej wśród Nich obecności odżył, „zredramatyzował się” ich Mit Najważniejszy, może ode mnie, Obcej, potrzebowali oni takiego właśnie, niemego, potwierdzenia tego Mitu?

Zaraz... zaraz... Co to mi powiedział już dawno temu Patrick z Czarnej Atlanty, gdy chciałam wówczas, tak jak tutaj, jakoś bardziej aktywnie zahaczyć się o ich życie, jakoś im pomóc w ich obronie przed Białymi.

Tak, Patrick, powiedział mi wówczas:

— Na miłość boską, nic nie rób... proszę! Po prostu bądź sobą, po prostu żyj... niczego innego od ciebie nie chcemy!

A przedtem, jeszcze Dawniej, akurat dziesięć lat wcześniej, przecież my to samo mniej więcej powiedzieliśmy Johnowi Reley, dziennikarzowi z Londynu, który przyplątał się nie wiadomo skąd do naszej kwatery przy Alejach Ujazdowskich 32. Powiedzieliśmy mu coś w tym sensie: „Nie narażaj się, nie walcz, patrz naokoło i notuj żebyś nie zapomniał, rozmawiaj z nami, a potem, jeśli przeżyjesz, opowiesz to wszystko Na Zachodzie”.

Więc tak... Oni, *Mazahuowie*, potrzebują mnie (właśnie takiej niedziałającej), aby zrozumieć, podtrzymać i przekazać swoje społeczne prawdy. A ja — potrzebuję ich chyba jakoś podobnie: dla przetłumaczenia i rozszerzenia, a więc podtrzymania i przekazania moich społecznych prawd...

Chciałabym jakoś streścić to co oni w *Ngeme* opowiedzieli mi przez ten tydzień o Los Pinos. A opowiadają głównie trzy osoby: Donia Elena (poprzednio najgłośniejsza na ten temat milcząca), Jorge i Donia Genowefa. Reszta mieszkańców *Ngeme* to jakby chór, nieodzowny, ale niezindywidualizowany. Don Pancho był tylko raz na kolacji w ciągu tego tygodnia, ale o jego roli w tej codziennej, już teraz redramatyzacji sprawy zamordowanego *Gringo*, napiszę później.

Każda z tych trzech *dramatis personae* mówi o czym innym: Donia Elena opowiada o samym zabiciu *Gringo*, Jorge o społeczno-politycznych okolicznościach, które temu morderstwu towarzyszyły i o represjach Misji Karnej w odpowiedzi na morderstwo, a Donia Genowefa opowiada o cierpieniach więźniów, o sposobach wyciągania ich i naturalnie, jak to Donia Genowefa, o swoich własnych symptomach histerycznych, towarzyszących tym wydarzeniom.

Według Doni Eleny odbyło się to w ten sposób:

Młody *Gringo* (Donia Elena nie nazywa go nigdy ani Guillermo ani Bill i chyba nie wie w ogóle, że był on weterynarzem), młody *Gringo* przyjechał tu i zaczął mordować krowy. Najpierw zaczął je mordować w El Bordo koło Haciendy Ruiz a potem przeniósł się z tym mordowaniem do Los Pinos. Tak że ludzie z Los Pinos wiedzieli już czego oczekiwać. Młodzik *Gringo* był bardzo piękny, wyglądał jak archanioł, z różowymi policzkami, oczami niebieskimi i włosami jasnymi, sterczącymi w górę jak pszeniczne ściernisko. I nie miał przy sobie nic gdy ci dwaj razem, młodzik *Gringo* i „ten z Toluki” do Los Pinos jechali: ani karabinu ani noża ani rewolweru, ale obok nich szedł muł obładowany bronią najróżniejszego rodzaju do mordowania krów przeznaczoną. Gdy zatrzymali się przed kościołem w Los Pinos, wieś wyglądała jakby w niej wszyscy wymarli, bo ludzie po domach się pochowali i dopiero po jakimś czasie z jednej chatki wyszła młoda kobieta i podeszła prosto do *Gringa*, który już wtedy po wsi spacerował, a muły zostały z „tym z Toluki” koło kościoła. Młoda kobieta zbliżyła się do niego i najpierw w rękę go pocałowała chciała, niby na powitanie, ale młodzik *Gringo* w rękę się pocałować nie pozwolił, więc objęła go szerokim *abrazo* i to mu się bardziej podobało, ale nie wiedział młodzik *Gringo* co go czeka... Bo ona w *reboso* miała schowany nóż i tym nożem jak go w samą szyję dziobnęła, to krew trysnęła jak z ran świętego Sebastiana i Młodzik *Gringo* bez słowa się przewrócił i leżał martwy u jej stóp, a ona z nożem w rękę na niego patrzyła. Potem już wszyscy z chat wybiegli a „ten z Toluki” gdy się zorientował co się stało wsiadł na muła, dwa drugie muły za uzdy do siodła przytroczył i w wielkim strachu do Las Animas uciekł. Potem nie wiadomo właściwie co się działo i co oni tam w Los Pinos z tym trupem młodzika *Gringo* wyprawiali, dość, że w kilka dni później gdy Federalni przyjechali się mścić, ani tanki ani samoloty trupa tego znaleźć nie mogły i w końcu wyrostek z mego *barrio*, z La Fuente, który w górach pasł owce, natknął się na szkielet Młodzika *Gringo* pod drzewem kaktusowym, ze trzy kilometry od Los Pinos a może i więcej. Szkielet był bielusiński tak go dokładnie sępy przez te trzy dni objadły, a obok leżało ubranie Młodzika i słomiany kapelusz nietknięty, który sobie Młodzik w Las Animas kupił, i leżały także dwie fotografie, które ze spodni młodzika wypadły: starszej kobiety i młodszej, pewno matki i żony Młodzika nie-szczęsnego.

Jorge wiele razy przerywał opowiadania Doni Eleny aby do-

dać swoje prawdy i Donia Elena nigdy się za to przerywanie nie gniewała, zawsze wysłuchując komentarzy swego zięcia ukochanego z największą uwagą.

Zdaniem Jorge, Młodzik *Gringo* był tylko jednym z wielu Amerykanów, którzy w porozumieniu z rządem Meksykańskim przyjechali w tym roku pamiętnym 1948 do Meksyku. A w roku tym Stany Zjednoczone zaczęły produkować tyle maszyn rolniczych, traktorów, żniwarek itd., że u nich w kraju nie wiadomo było co z tymi wszystkimi maszynami robić, więc ministrów do Meksyku posłali i „zrobili między sobą kontrakt”: Rząd Federalny Meksykański zobowiązał się do kupienia tylu a tylu traktorów po cenie hurtowej i w związku z tym — aby ludzi do kupowania tych traktorów zmusić — postanowiono w Palacio Nacional de Mexico, aby wobec tego wszystkie pociągowe zwierzęta, których się tu w Meksyku „w rolnictwie używa”, najpierw woły a potem muły i konie, pozabijać. I do pomocy w tym zabijaniu przyjechały w porozumieniu z Federalnymi misje amerykańskie, „bo oni specjalne instrumenty do zabijania mają i robią to znacznie szybciej niż nasi”. No i zaczęli od zabijania wołów, ale że oni tak jak ten Młodzik *Gringo*, co tu przyjechał — wszyscy z miast wielkich jak Nowy Jork pochodzą — wołów od krów rozpoznać nie mogli więc krowy też zabijać zaczęli i ludzie się naturalnie zbuntowali. Najpierw zbuntowali się w El Bordo, bo tam Młodzik *Gringo* mordować zaczął, tak że w Los Pinos już wiedzieli czego się spodziewać. Zresztą to całe mordowanie było robione niby dlatego, że wybuchła wśród bydła choroba pyska i racic i Federalni (a z każdym *Gringo* miał jeździć dla opieki jeden Federalny) mieli za każde zabite zwierzę właścicielowi płacić żeby mu potem niby łatwiej było ten traktor kupić. Ale na ogół jednak nie płacili, albo płacili tak mało „że kto by za te kilkanaście pesów mógł traktor kupić?” A zresztą nawet gdyby można było kupić, to ludzie patrzeć nie mogli na mordowanie zupełnie zdrowych zwierząt, więc naturalnie z Młodzikiem *Gringo* skończyli. Ale za to zamordowanie Młodzika, Rząd amerykański zażądał zemsty i Federalni Misję Karną tu przysłali pod dowództwem takiego Generała „co to się zasłużyć i wzbogacić chciał przede wszystkim” i ten Generał z tankami i samolotami na Los Pinos szarżował, ale nie tylko na Los Pinos. Wszystkich *Mazabuów* i *Otomi*, chłopców co trochę większych z całej okolicy i mężczyzn najpierw na trzy tygodnie do więzienia zamknął, a pomagali mu ci z Las Animas, „bo przecież parę setek nas było i nie tak łatwo było do więzień nas zaprowadzić i przez trzy tygodnie przetrzymać”. A potem wybrali ze trzydziestu mężczyzn, między innymi także Don Pancho i jeszcze kilku

Panów z Mbayo i pod sąd ich za tego *Gringo* postawić mieli. A resztę ludzi rozpuścili do domów, ale nikomu przez trzy miesiące nie wolno było do Las Animas chodzić „i dlatego skończyły się moje lekcje grania na gitarze i w ogóle moje chodzenie do szkoły, a z dziesięciu chłopaków od nas wówczas do szkoły w Las Animas chodziło”. A po tych trzech miesiącach to już naturalnie nikt do szkoły w Las Animas wrócić nie chciał. Wskutek tego tyłu w Mbayo „alfabetów” i dopiero teraz z wielkim trudem zbudowaliśmy naszą własną szkołę, ale o tym jak nas potraktowano, gdyśmy własnych krów bronili, nikt z nas nigdy nie zapomni — zakończył swoje opowiadanie Jorge.

A Donia Genowefa przerywała co chwilę opowiadania Doni Eleny i Jorge płacząc i wyjąkując swoje prawdy, „od których coś jej w środku pękło”.

— Mój syn jedyny, Don Pancho — mówiła — zobaczył co się dzieje w El Bordo, bo to blisko *rancho* San Lorenzo, i zaraz naturalnie inne wsie pozawiadamał, żeby na ich krowach ciężką pracą zdobytych nie powtórzyły się te morderstwa okropne... Ale nic nie pomogło i w Los Pinos już mieli zacząć krowy mordować, a po Los Pinos zaczęliby i w Mbayo ale już do tego nie doszło, bo ci z Los Pinos się obronili. Ale za tę ich obronę nie tylko ich z Los Pinos, ale i naszych Panów z Mbayo do więzienia Federalni wzięli i najgorzej mego Pancho potraktowali bo do Toluki go wysłali związanego takimi łańcuchami, co to mu się w ręce i nogi wpijały... I to wszystko mimo modlitw moich najpierw do Najświętszej Paniarki z Guadalupe a potem do Naszego Patrona Santiago... Okazało się jednak, że ani Paniarka Najświętsza ani Nasz Patron Santiago na tego rodzaju nie-szczęście pomóc nie mogą i w końcu Donia Emilia staruszka, żona Dona Venustiano powiedziała mi, że w Jilotepec bardzo stąd daleko jest w kościele taki *Santito*, który zajmuje się wyciąganiem więźniów. Więc najpierw piechotą, aby liczyło się to za pielgrzymkę, potem autobusem, bo inaczej rady bym nie dała, dobrnęłam w końcu poprzez Ixtlahuakę do Jilotepec, gdzie ów *Santito* się znajdował i przez trzy dni się tam u niego zostałam, modląc się o wypuszczenie Pancho i o to żeby „zatrzymane powietrze” do mnie wróciło bo jak nie wróci to zemrze mi się na pewno zanim Pancho z więzienia w Toluca wypuszczą.

No i modlitwy jej „pomogły”, ale tylko częściowo, bo z trzech lat więzienia zamienili mu karę na półtora roku, ale „powietrze do niej już nie wróciło” i nie wróciło nawet wówczas gdy Pancho wychudzony, ale szczęśliwy do Mbayo „dzięki tym jej modlitwom wrócił”.

Chociaż modlitwy pomogły tylko częściowo („ale przecież to nie wina *Santito*, że więcej wstawić się nie mógł”) i tak po wypuszczeniu Pancho z więzienia Donia Genowefa do Jilotepec wróciła aby za ten „cud częściowy” podziękować i jeszcze raz o własne wyzdrowienie prosić, szybko się jednak zorientowała, że jak *Santito* jest „od wyciągania więźniów”, to i tak bardzo nad tym pracować musi i czasu już nie ma na inne cuda. Więc teraz już tylko do Świętych z Mbayo modli się o swoje zdrowie, ale nic a nic nie pomagają i pewno już niedługo jej przyjdzie w ślady za swym mężem świętej pamięci Don José do czyśćca powędrować...

To opowiadanie Doni Genowefy jest zrekonstruowane przeze mnie z dziesiątek jęklivych zdań, którymi przerywała co chwila opowiadania Doni Eleny i Jorge. Gdy mówiła, zalegała kompletna cisza — nikt nie zadawał pytań, nikt nie dodawał nic. Mało kto tak naprawdę lubi Donię Genowefę w *Ngeme*, i poza *Ngeme* ale wszyscy ją bardzo szanują. Jest głową domu i dlatego, że najstarsza w rodzinie, i chyba dlatego również, że dom nadal do niej należy i nie tylko dom ale i kawałek *niecejidalnej* i bardzo dobrej ziemi, przylegającej do drogi między Las Animas i Aurorą. Czy „starszeństwo” czy też „bogactwo” odgrywają większą rolę w tym ogólnym szacunku dla Doni Genowefy, nie wiem... i powinienem się koniecznie dowiedzieć bo to bardzo ważne dla zrozumienia struktury społecznej Mbayo.

Don Pancho jak dotąd tylko raz był obecny przy tych rozmowach o zamordowanym *Gringo* i przez cały czas nie powiedział ani słowa, uśmiechał się tylko na wpół tryumfalny, na wpół zaambarasowany, gdy Donia Elena, Jorge i Donia Genowefa o nim mówiły. Nie ma wątpliwości, że tu w Mbayo, Don Pancho jest bohaterem tego dramatu, ale Don Pancho od czasu zwolnienia z więzienia odpoczywa, mam wrażenie, na laurach swego bohaterstwa. Niczym poza swym domem i gospodarstwem tak naprawdę się nie interesuje i nie mogę sobie wyobrazić aby jeszcze raz w życiu ostrzegał, agitował, przemawiał. Jorge mogę sobie wyobrazić łatwo w tej roli, i może później, gdy będzie trochę starszy, 14-toletniego Mateo, ale nie Dona Pancho! — On się już raz na zawsze zmęczył.

Mbayo, w lipcu 1962 r.

Przez cały tydzień nie mogłam złapać Don Edmundo, a chodziłam do niego codziennie, trochę z lojalności a trochę z potrzeby bo czasem ma się jednak ochotę porozmawiać z kimś

naprawdę inteligentnym, a Teodoro jest jednak za młody, a poza tym Teodoro właściwie nie bardzo chce się ze mną widywać a gdy się widzujemy nasze rozmowy są teraz inne niż dawniej. Teodoro zamknął się i zasępił od czasu gdy zaczęłam się codziennie widywać z Don Edmundo... czyli od chwili mego zamieszkania w Mbayo.

Ta moja lojalność w stosunku do Don Edmundo jest dość skomplikowana. Po pierwsze, podobnie jak inni mieszkańcy Mbayo, i ja uważam, że właściwie Don Edmundo mimo to, że nie zajmuje żadnego oficjalnego stanowiska, jest tu w Mbayo Najważniejszy, że jest on poza wszystkim co się naprawdę zdarza, poza wszystkim co ważne. Ten komponent mojej lojalności jest stosunkowo łatwy do zrozumienia, dla mnie samej w każdym razie a pewno i dla tych którzy kiedykolwiek mieli jakiś głębszy kontakt z jakąkolwiek wsią. Drugi komponent mojej lojalności jest trudniejszy do zindyfikowania i zrozumienia. Czuję się w obowiązku informować Don Edmundo o ważnych wydarzeniach mojego życia w Mbayo, radzić się go, pytać o wszystko co dla mnie wątpliwe, dlatego chyba, że jest on taki zrównoważony i mądry, a potrzeba mi tutaj bardzo takiego właśnie podtrzymania moralnego. Gdyby Ulisses był tu pod ręką nie potrzebowałabym pewno Don Edmunda, ale Ulisses tu nie ma i Don Edmundo jest jedynym, który może mi to wszystko dać. Ale Don Edmundo wie ile mi daje i liczy na lojalność z mojej strony.

Don Edmundo podobno aż dwa razy jeździł w tym czasie do Atlacomulco, a poza tym, jak mówi Donia Rosaria zajęty był codziennie od samego rana przy robotach *ejidalnych* koło Hacienda Ruiz.

Ale dziś popołudniu nareszcie Don Edmunda zastałam. Siedział na małym krzeselczku przed chatą i reperował sandał wyrównując rzemyki na kamieniu krótkim ostrym nożem.

— Gdybym tak miał pięć tysięcy pesów — powiedział zanim zdążyłam mu podać rękę na przywitanie — to z tym kapitałem mógłbym zacząć fabryczkę sandałów w Mbayo. Nie wiem czy pani mówiłam, Donio Marylito, że ja się bardzo dobrze na wyrobieniu sandałów znam, bo przez trzy lata pracowałem u Don Salvadora, mego *compadre*, w Las Animas.

Ale nie podchwyciłam tego sandałowego tematu:

— Don Edmundo — powiedziałam — od tygodnia staram się pana zobaczyć. Mam coś bardzo ważnego do powiedzenia.

Don Edmundo spojrzął na mnie uważnie, odrywając się na chwilę od sandałowego rzemyka:

— Ja wiem, wiem co mi pani powie, Donio Marylito — zaśmiał się i wrócił do swego rzemyka.

— Bardzo możliwe — powiedziałam. — Właściwie zdziwiłabym się gdyby człowiek tak dobrze poinformowany jak pan nic o tym nie wiedział...

— I z góry mogę pani dać odpowiedź, Donio Marylito — powiedział Don Edmundo, tak zajęty swoim sandałem, że bardzo mnie to nagle zirytowało.

— Dziwię się bardzo, że z tą reperacją sandała idzie panu tak ślamazarnie — powiedziałam podniesionym głosem i zaraz się tego głosu zawstydziałam.

— Donio Marylito — powiedział Don Edmundo nadal majstrując przy rzemyku — jeśli mi pani znowu powie, że Donia Genowefa nie potrafi pani opowiadać o historii Mbayo, to ja pani na to odpowiem, że to pani nie wie jak jej zadawać pytania. Gdy się zadaje odpowiednie pytania, dostaje się zadawalające odpowiedzi. To wszystko...

— Donia Genowefa nie opowiedziała mi nic o historii Mbayo z wyjątkiem historii swoich spódnic i swoich krów! — zawołałam. — Ale opowiedziała mi coś znacznie ważniejszego i nie tylko ona ale i Jorge i Donia Elena. Opowiedzieli mi o najnowszej historii Mbayo, o zamordowaniu *Gringo* w Los Pinos. Teraz już wiem dlaczego mi pan zabronił tam jechać, Don Edmundo, ale nie jestem wcale pewna czy miał pan rację!

O tym, że się przez ten tydzień *wszystkiego* dowiedziałam Don Edmundo chyba naprawdę nie wiedział, a może zresztą wiedział, ale tego po sobie nie pokazał. Nadal dłużył przy tym samym rzemyczku przekłętym i przez chwilę oboje milczeliśmy a potem Don Edmundo powiedział odrywając się na chwilę od sandału:

— Cokolwiek pani tu w Mbayo powiedzieli, ja powtarzam, że pani tam do Los Pinos jechać nie może, bo mogłoby się to dla pani źle skończyć, zwłaszcza, że jest pani blondynką.

— Don Edmundo, niech pan nie żartuje! — zawołałam — to są dla mnie bardzo ważne sprawy!

— Ależ ja wcale nie żartuję, Donio Marylito — obruszył się Don Edmundo — gdyby pani nie była blondynką byłoby może łatwiej, naprawdę, bo one wszystkie trzy były blondynkami...

— Jakie *one*, Don Edmundo?

— No... matka tego weterynarza, żona jego i potem jeszcze jedna kobieta, która tam kilka lat temu pojechała i za żonę się podawała, ale żoną nie była, bo wyglądała inaczej niż poprzednia, tyle tylko, że miała jasne włosy... więc widzi pani, Donio Maryli-

to, gdyby pani tam teraz pojechała pomyśleliby zaraz, że się druga taka za żonę chce podawać i kapliczkę dla *Gringo* budować i mogłoby się to dla pani bardzo źle skończyć mimo to, że Don Antonio tak panią zapraszał, i szczerze, jestem pewny, bo to dobry człowiek, ale ani on ani ja ani nikt inny za tłum odpowiadać nie może. A ludzie tam w Los Pinos tyle wycierpieli, że im to łatwo nie minie... nawet winić ich za to nie można...

Don Edmundo powiedział mi jeszcze dużo, ale nie mam już dzisiaj siły na dalsze pisanie. Jestem okropnie tym dniem zmęczona i nie będę już nawet pracowała nad moimi twardymi kartkami... Ile razy zabieram się teraz do tych setek twardych kartek wyrzucam sobie, że się jednak nie zdecydowałam na sekretarkę, ale już na drugi dzień myślę inaczej. Bo co bym ja tu za kłopoty miała z sekretarką i to w dodatku amerykańską sekretarką, którą chciał mi przydzielić Uniwersytet. Przecież taka Amerykanka żyć by mi tu nie dała! Jutro będę miała podwójną porcję twardych kartek do rozpracowania... trudno... A teraz już pójdę spać. Gdyby wszystkie dni mego życia mogły być tak intensywne!

Mbayo, w lipcu 1962 r.

To co Don Edmundo mi powiedział na temat zamordowanego *Gringo* polegało częściowo na sprostowaniach a częściowo na uzupełnieniach.

Zdaniem Don Edmundo choroba pyska i racic zaczęła wówczas, w 1948 roku, przybierać charakter katastrofy narodowej a nawet międzynarodowej, bo „zaraza przeniknęła do Stanów Zjednoczonych, poprzez Rio Grande”. Tak, że porozumienie między rządem meksykańskim i amerykańskim istotnie miało miejsce i ekipy weterynarzy amerykańskich z pomocnikami meksykańskimi przyjechały do Meksyku szczepić te krowy, które można było jeszcze uratować, a zabijać te których się już nie dało wyleczyć. Gdy weterynarz Bill przyjechał do Las Animas i zaczął swoją działalność w El Bordo popełnił on, zdaniem Don Edmundo, kilka zasadniczych błędów.

Po pierwsze, nie bardzo umiał rozróżnić zdrowe bydło od chorego i czasami zabijał zupełnie zdrowe krowy. Po drugie, za każdą zabitą krowę miał z ramienia misji weterynarskiej, płacić właścicielowi i czasem rzeczywiście płacił a czasem nie... „to znaczy nie on sam, bo on się tym nie zajmował, ale tłumacz i kilku innych z Misji, którzy mu towarzyszyli”. Po trzecie, weterynarz

nie porozumiawszy się z nikim z Las Animas, z obcym tłumaczem, który nie znał ani języka *mazabua* ani tutejszych zwyczajów, pojechał zaledwie po kilku dniach w tych stronach, właśnie do Los Pinos tak daleko i wysoko w górach, do wsi w której ludzie dużo „mniej wiedzą” niż gdzie indziej... „Gdyby zaczął od Mbayo” — powiedział Don Edmundo „nigdy by się TO nie zdarzyło, bo my tu wiemy jak się takich pozbyć bez zabijania”. Ale oni z Los Pinos nie wiedzieli, więc co mieli robić jak nie bronić swoich krów! Zresztą do Los Pinos, rzeczywiście nie doszła jeszcze wówczas ta zaraza, więc oni bronili zdrowych krów.

A to co mówił Jorge o umowie między rządem amerykańskim a meksykańskim co do traktorów, jest zdaniem Don Edmundo, najprawdziwszą prawdą. W tym samym czasie gdy weterynarz Bill przyjechał do Las Animas, w Atlacomulce otwarto wystawę traktorów amerykańskich i te traktory „były na sprzedaż”. Miały one z czasem zastąpić zwierzęta pociągowe, więc to zabijanie krów (bo ci weterynarze amerykańscy nie rozpoznawali krów od wołów) miało w tych planach pomóc, niezależnie od choroby pyska i racic. „Jakie były plany Rządów co do mułów” nie wiadomo, ale „po wołach przyszłaby pewno kolej i na muły...”

Zresztą jest jeszcze jedna sprawa niewyjaśniona w tym porozumieniu między rządem meksykańskim i amerykańskim. Wkrótce potem „gdy zaczęto mordowanie krów” pojawiły się na rynku w Atlacomulco puszki z sardynkami, dużo tańsze niż poprzednio, więc ludzie naturalnie zaczęli kupować. No i co się okazało... że w tych puszkach zamiast sardynek była wołowina.

Czasem wyobrażam sobie kim byłby Don Edmundo gdyby się urodził w świecie tych „którzy wiedzą”: na pewno nie poetą, ale może naukowcem (spokojniejszym, dokładniejszym i logiczniejszym ode mnie, co do tego nie mam wątpliwości), a może byłby politykiem. Ministrem? Dyplomatą?

Poetą mógłby być natomiast Don Venustiano, fantastyczny zebrał z Mbayo, którego dopiero dzisiaj poznałam.

To swoją drogą dziwne, że nadal dzieją się nowe rzeczy, poznaję nowych ludzi i jestem w stanie absorbować nowe sprawy, codzienne i niecodzienne, mimo to, że tak bardzo już wciągnięta jestem w ten ich dramat największy, w to Los Pinos codziennie nowe, bo codziennie przez innych opowiadane i w dodatku wrastające już w moje sny... Bo zapomniałam napisać, że od czasu gdy się od Nich o Tym dowiedziałam wróciły moje sny

i teraz już co noc śni mi się bardzo dużo w tej mojej wsi już nie obiecanej ale naprawdę MOJEJ.

Ale nie mam czasu na opisywanie tu moich snów...

Gdy Don Venustiano, bardzo stary, z kijem rosochatym i w marynarce obszarpanej, ale „miejskiej” zatrzymał się dziś popołudniu przed moją chatką i poprosił o szklankę wody, myślałam najpierw, że to ktoś obcy, „pewno także *mazabua*” — myślałam, „bo podaje rękę tak samo jak tutejsi, ale chyba z innej wsi”...

Ale szybko przekonałam się, że Don Venustiano był jak najbardziej z Mbayo, i Donia Elena, która po chwili przyszła i wypiła z nami kawę mówiła do niego *compadre*, a Lucita podała mu rękę kłaniając się nisko. Don Venustiano był zresztą bardzo pijany i przy pierwszej filiżance kawy gadał jakieś na wpół tylko zrozumiałe bzdury podśpiewując od czasu do czasu piosenki rewolucyjne, których się rzekomo nauczył w armii swego imiennika Venustiano Carranza. O mnie wiedział wszystko od „ludzi z Las Animas”, i wiedział również o moim magnetofonie. Zażądał abym nagrała te wszystkie jego piosenki rewolucyjne i pijane, więc nagrywałam je chyba z godzinę, i potem po kilka razy musiałam grać je dla Don Venustiano bardzo z nich dumnego, podczas gdy Donia Elena i Lucita słuchały trochę tym przedstawieniem — widziałam — zawstydzone, ale mimo to z szacunkiem niezmaconym. A potem już trzeźwy przy drugiej filiżance kawy opowiadał mnie samej (bo Donia Elena i Lucita już wyszły „po trawę dla zwierząt”) o swojej pracy w Las Animas...

— O trzeciej w nocy, codziennie wstaję — mówił — żeby z tych pagórków swoich ponad Mbayo wąską kamienistą ścieżką zejść najpierw do Mbayo — tak, że codziennie tu koło tej chatki pani przechodzę — i potem znowu przez góry do Las Animas, a o czwartej już ulice tam zamiatam...

Podobno od lat już tak „chodzi” i na żadną inną swojej pracy by nie zamienił, nie żeby to zamiatanie lubił, ale dla tych spacerów nocnych, „bo kto inny tak po nocy wędruje sam na sam z Bogiem” i „widzi te wszystkie kwiaty śpiące w blasku księżycy”? Tylko wówczas dawno temu, „w rewolucyjnej armii mego imiennika, gdyśmy maszerowali przez kraj cały, czułem ja taką wolność jak teraz wędrując w nocy na sam z Panem moim, Księżycem...” Takie mniej więcej zdanie na zakończenie naszej rozmowy. Pożegnaliśmy się i obiecał, że będzie wpadał częściej. Potem wieczorem opowiadano w *Ngeme*, że Don Venustiano z nikim się w Mbayo nie zadaje (zresztą godziny jego pracy są takie, że gdy wychodzi z Mbayo, nikogo nie spotyka, a gdy wraca około trzeciej też zwykle nikogo nie widzi bo ludzie wówczas albo w chatkach albo w polu...)

Dopiero podczas tej kolacji w *Ngeme* dowiedziałam się, że po tym zamiataniu ulic w Las Animas, Don Venustiano zebrze, „aby zarobić sobie na swoją *pulque*”, powiedziała Donia Elena, „bo od czasu gdy syn jego najstarszy z Mbayo uciekł, już dawno, dawno temu, mój *compadre* ani dnia bez swojej *pulque* przeżyć nie może”...

Chciałam się jeszcze więcej dowiedzieć o Don Venustiano, o tym jak ludzie z Mbayo patrzą na to zebranie i jak oni, tak uspołecznieni, traktują jednego ze swoich (bo uważają go niewątpliwie za swojego), który „w niczym nigdy nie brał udziału”. Ale nie udało mi się dowiedzieć nic bo znowu zaczęto rozmawiać o zamordowanym *Gringo* i tym razem najwięcej mówił Jorge. Mówił o tym jak „w nocy mężczyźni z więzień na badania wyciągali i na *plazę* w Las Animas prowadzili a tam na *plazy* był taki wysoki słup, do którego ich drutami przywiązywali, a potem takim grubszym drutem bili, tak, że kilku z nich rozum straciło”. Weronika, Donia Elena, Mateo i nawet mały Ignacio słuchali zafascynowani...

— A czy im zaklejali usta gliną, żeby nie krzyczeli? — zapytałam.

— Chyba nie — odpowiedział Jorge niezdziwiony — ale jak pani chce, Donio Marylito, to może pani obejrzeć pręgi od tego grubszego drutu na plecach Dona Jesusa Martinez — chętnie pani pokaże, bo i tak wszystkim pokazuje. Na całe życie się mu zostały i w „Księdze Mbayo” powinniśmy o tym napisać i o tym również, że tego Generała od Misji Karnej w dwa lata potem zamordowano, tak, że nic mu nie przyszło z tych tysięcy pesów, które na tej Misji Karnej sobie zarobił — i nawet w tym domu, jak zamek, który sobie w Stolicy kupił nie miał czasu zamieszkać.

Gdy wracaliśmy potem do mojej chatki, mały Ignacio zaczął mnie wypytывать o tę glinę w ustach. Czy to była glina mokra czy sucha, pytał — ale nie chciałam z nim o tym rozmawiać, więc zamiast mu odpowiedzieć zapytałam Lucitę:

— Jak myślisz czy bardzo bolało Dona Jesusa gdy go tym grubym drutem bili?

— Bolało bardzo, bardzo — odpowiedziała Lucita.

— A czy gdy się bije muła, to go też boli? — zapytałam.

— Ani muła, ani osła, ani psa nie boli jak się go bije — powiedział poważnie Ignacio.

— Więc boli tylko człowieka? — zapytałam znowu.

— Tak, tylko człowieka może boleć — powiedziała Lucita.

— A dlaczego zwierzęta nie czują bólu? — pytałam znowu uzupełniając moje luki z twardych kartek Nr 426 c.

Lucita zamyśliła się głęboko i przez chwilę szliśmy w milczeniu odgarniając na dwie strony kukurydziane łodygi, bardzo seledynowe i lśniące w jasnym świetle księżyca. A potem powiedziała bardzo przejęta:

— Bo Pan Bóg, Donio Marylito, stworzył zwierzęta po to żeby służyły człowiekowi, dlatego bólu nie czują...

Mbayo, w lipcu 1962 r.

Dla Człowieka Zachodu (ale kto to taki? Czy tacy w ogóle istnieją? Może „Ludzie Zachodu” to tak jak „Słowianie” czy „Indianie”?) ... dla Człowieka Zachodu, bo bez tego pojęcia o wątpliwej wartości nie potrafiłabym dokończyć tego zaczętego zdania... Więc raz jeszcze: Dla Człowieka Zachodu dramat życia jest zawsze w taki czy inny sposób wewnętrznym dramatem człowieka, podczas gdy dla takich na przykład Japończyków dramat życia jest podobno dramatem nieczłowieczym, ale na przykład dramatem rosnących roślin, nadchodzącej burzy, przyływu i odpływu morza. Dlatego dla nas, „Zachodnich”, japońskie powieści wydają się bez treści. Szukając w nich ludzkiego dramatu nie dostrzegamy tego ich dramatu przyrodniczego, czy kosmicznego. O ile to spostrzeżenie (nie moje na pewno, ale nie pamiętam już czyje) jest prawdą to oni z Mbayo są tak samo „zachodni” jak i my. I może by warto i w ich i w naszym światopoglądzie coś zasadniczego zmienić, może by warto (znowu nie moja i nie pamiętam czyja sugestia i jak tu, Boże mój, nie popełniać plagiatów!) może by warto przesunąć punkt ważności z dramatów wewnętrznych na dramaty społeczne. Bohaterami takich dramatów byłiby wówczas nie indywidualni ludzie, ale grupy społeczne: wsie, miasta, wojny, rewolucje, chóry, bandy, tłumy. Taki Malraux i Brecht tak właśnie pisali i, kto wie, może ludzie z Mbayo w ten sposób właśnie myślą, mimo to, że ja patrząc na nich, identyfikuję w ich dramacie poszczególne *dramatis personae* i po swojemu (błędnie?) zwracam uwagę na życie wewnętrzne jednostek: Don Edmundo, Teodoro, *Gringo*, Donia Elena, a teraz nowa postać: Don Venustiano...

Takie refleksje z powodu notatek w czarnym notesie. A zanotowałam w nim wczoraj ołówkiem, takim błędym że ledwo to mogę dziś wyczytać, mniej więcej coś w tym sensie:

„Dramat Wątków”

1. Codzienne życie: Czyściec. Zwątpienia: Mexico. *Braceros*. Don Edmundo etc.
2. Przygotowuje się *Fiesta: cobetes (cobeteros)* — Suknie, łuki z kwiatów. Podłoga w kościele.
3. Konflikt generacyjny. Chłopcy kupują ziemię na „Dom Chłopców”. Panowie. Maria Wiktorja.
4. Konflikt etniczny: miłość Teofili i Ricardo.

I teraz przyszło mi na myśl, że można by do tych wątków podejść albo w pierwszy sposób (podkreślając dramat wewnętrzny jednostek) albo w sposób drugi (patrzac przede wszystkim na zbiorowość, tak jakby grupa ludzka była lasem lub łąką...) Spróbuję na chwilę spojrzeć na życie Mbayo z tego drugiego punktu widzenia i zobaczymy co wyjdzie!

Wątek 1: Dla mieszkańców Mbayo życie jest jak czyściec, a czyściec ich jest miejscem męczącym, ale pełnym przede wszystkim nadziei, nie lęków, jak inne czyścice innych ludzi. Bo mimo diabłów z widłami, które czyhają na dusze, nikt nigdy nie zostaje wciągnięty do piekła, a niebo, choć mało prawdopodobne, jest jednak zawsze możliwe. To życie czyścicowe jest trudne, ale na pewno warte przeżycia dopóki trwa nadzieja. Ale czasem załamuje się coś w ludziach, znika nadzieja i wówczas znośny czyściec zamienia się w nieznośne piekło na ziemi. Co inteligentniejsi ludzie z Mbayo przechodzą przez takie okresy zwątpienia i wówczas myślą o sezonowej pracy w Stanach Zjednoczonych, lub o czymkolwiek w Mexico. To są dla nich wszystkich najgorsze ostateczności, ale takie postanowienia trwają zwykle krótko i czyścicowa równowaga wraca szybko, a z nią czyścicowe życie, czyścicowy światopogląd, czyścicowe rytuały.

Wątek 2: Trwają przygotowania do *Fiesty*, o której jeszcze mało wiem, mimo że umiem już wyróżnić te *fiestowe* wydarzenia spośród innych, codziennych. Zrozumieć ich jeszcze jednak nie potrafię. Kupowanie i wyrób fajerwerków: jest kilka rodzajów fajerwerków. Jedne na przykład kupuje się, i kupowanie to jest na pewno ceremonialne, nie zwykłe. Wyznaczeni mężczyźni (nie wiem jeszcze kim oni są) idą do wyznaczonych wsi i gdy wracają z fajerwerkami są już procesją i tę procesją w połowie drogi spotyka druga procesja, kobiet ze świecami. Wszyscy: mężczyźni i kobiety śpiewają, palą się świece i marszrutami jeszcze przeze mnie nieodcyfrowanymi wędrują te fajerwerki na kijach

długich jak szarobrazowe badyle, do kościoła a może do zakrystii. A drugi rodzaj fajerwerków to fajerwerki „z których się robi *el castillo*, zamek”. Do tego zamku specjalnie najęci fajerwerkarze robią już od trzech tygodni wysokie rusztowania. Siedzą w zakrystii i tam pracują. Ludzie mówią o nich i o fajerwerkach codziennie. Chodzi o to aby zamek był „jeszcze wyższy od kościoła” i naturalnie cały fajerwerkowy. Nie bardzo wiem o co tu chodzi ale ludzie z Mbayo wiedzą i czekają z niecierpliwością. Prócz rusztowań zamku fajerwerkarze robią rusztowania ogromnych dziwnych zwierząt. Te zwierzęta to podobno fajerwerkowe byki i pierwszego dnia *fiesty*, przed fajerwerkowym zamkiem odbędzie się fajerwerkowa walka byków.

Inny rodzaj przedfiestowych wydarzeń to przygotowanie strojów i kwiatnych łuków. Trzy rodzaje strojów zauważyłam dotychczas: białe suknie młodych dziewczyn i do nich ogromne białe kapelusze ubrane kolorowymi kwiatami z blachy. Te kwiaty z blachy kupuje się w okolicznych wioskach i dużo się o tym rozmawia, a suknie szyje się albo tutaj w Mbayo z pomocą Marii Wiktorii, albo się wypożycza. Są i „takie domy które już mają swoje białe suknie” i wówczas za 5 pesów można białą suknię „od danego domu wypożyczyć”, o ile dziewczyny z tego domu „nie biorą udziału”... nie wiem jeszcze w czym.

Przygotowuje się również: szyje, wypożycza lub pierze i prąduje dziwne bardzo kolorowe stroje dla mężczyzn: są to jakby tuniki rzymskie zrobione przeważnie z serwet świecących, szali lub ręczników. Ci mężczyźni to *Los Romanos*, Rzymianie jak mówią ludzie z Mbayo. Wiem już, że będą tańczyć z kwiatnymi łukami (kupuje się i wypożycza te łuki i wszyscy o tym rozmawiają), ale nie wiem jeszcze ani na czym polega ten taniec, ani co znaczy ani kto w nim będzie brał udział.

I wreszcie trzeci rodzaj przedfiestowych strojów to stroje zwykłe, ale odświętne, lepsze suknie, ubrania, nowe sandały lub „pierwsze w życiu sandały”, dla wszystkich którzy sobie na to mogą pozwolić, a dla tych którzy nie mogą, choćby nowe kolorowe łąty na starych ubraniach i sukniach.

Mycie podłogi w Kościele i malowanie — to jeszcze jedno z tych przedfiestowych wydarzeń, bardziej zlokalizowane w czasie i przestrzeni niż wszystkie inne. Widziałam jak się to odbywało: na kolanach od rana do wieczora — mycie. A potem na kolanach od rana do wieczora malowanie podłogi w czerwono-zielono-żółte domino. Same młode dziewczyny myły i malowały i w Mbayo dużo się o tym mówiło. Nie zmieniały się przy tej pracy. Były zawsze w ciągu obu dni wszystkie razem. Choć było ich na pewno za dużo, każda jednak coś naprawdę robiła,

a potem śmiejąc się pokazywały wszystkim swoje kolorowe ręce, bo farba nie chciała się zmyć i dotychczas się nie zmyła. Dzieci z Mbayo bardzo im tych kolorowych dłoni zazdrozczą. Zdaje się, że te dziewczyny od mycia i malowania podłogi kościelnej tańczyć będą podczas fiesty w białych sukniach.

Wątek 3: Prócz tych przedfiestowych wydarzeń trwają codzienne coraz bardziej mnie wciągające wydarzenia mniej ogólne może niż również codzienny dramat czystcowej nadziei i zwątpienia, ale niemniej dramatyczne.

Trwa konflikt generacyjny w Mbayo. Panowie (i kobiety, które trudno tu zaklasyfikować według generacji, bo wiek ich jest mniej ważny od ich kobiecości społecznej, zresztą raczej niż biologicznej) mają czystcowe koncepcje życia, życia trudnego, ale pełnego nieokreślonych i nieustannych nadziei (patrz wątek 1), podczas gdy Chłopcy urodzeni w innych warunkach, przeważnie bezrolni, tej koncepcji życia nie potrafią przyjąć po prostu dlatego, że te nadzieje nieokreślone Starszych są nadziejami ludzi jakoś jednak z życiem pogodzonych, a oni, Chłopcy, z życiem pogodzeni nie są. Obecnie — wbrew woli Panów ale w oparciu o Marię Wiktorię — Chłopcy budują powolutku Dom Chłopców, na samych krańcach Mbayo, tam gdzie Mbayo graniczy z Las Animas. W tym Domu będą ich odwiedzać „Ci Którzy Wiedzą” i może nauczą ich jak żyć w Mbayo bez ziemi. Między Panami i Chłopcami nie ma zresztą prawie żadnych starć, ale trwa wzajemne, bolesne dla obu stron Unikanie.

Wątek 4: Teofila i Ricardo spotykają się codziennie u mnie i przy mnie na pół godziny, na piętnaście minut, czasem tylko na parę minut i spotkania te są wielką tajemnicą. Na przywitaniu podają sobie ręce, potem rozmawiają trochę i trochę milczą. Teofila jest okropnie przez rodziców pilnowana, ale dotychczas nie podejrzewają nic. Małżeństwa między *Mazahuami* z Mbayo a *Otomi* z Aurory są tu zresztą dość częste, ale możliwe że za każdym razem młoda para musi przezwyciężyć tego rodzaju trudności. Lucita, Aurelia, Ernestina i chyba wszystkie dzieci z Mbayo wiedzą o spotkaniach Teofili i Ricardo. Starsi nie wiedzą dotąd nic.

Takie są moje „Wątki lipcowe” i gdy przeglądam to co napisałam widzę, że są to prostu uogólnienia socjologiczne. Gdy się pisze krótko i sucho takie właśnie uogólnienia socjologiczne są tym społecznym lasem, o który mi chodziło, tą ludzką łąką. Ale można także pisać inaczej — może kiedyś o Mbayo napiszę powieść.

Mbayo, w lipcu 1962 r.

Prócz tych czterech wątków dzieje się naturalnie, i na szczęście, naokoło mnie i ze mną wiele „rzeczy” niezaklasyfikowanych i nie do zaklasyfikowania. O różnych porach dnia przychodzą do mnie kobiety i proszą o lekarstwa — czasem zatrzymują mnie na jednej z drózek Mbayo (moja „kołyska” jest nadal zawieszona pod sufitem *solaru* i dużo teraz chodzę po Mbayo oglądając wnętrza chatki i uzupełniając moje dane z twardych kartek), a czasem zatrzymują mnie na drodze do Las Animas. Jestem bezsilna wobec tych ich chorób najróżniejszych i po wysłuchaniu cierpliwym i uważnym wszystkiego co mają mi do powiedzenia, daję im aspirynę, a czasem tylko pół aspiryny bo kończy się już mój zapas.

No i pracuję bardzo intensywnie, jak zwykle wieczorami i w nocy, ale ostatnio zaczęłam również pracować w dzień.

Zamykam drzwi i gdy stukają mówię, że nie mogę ich nawet wpuścić, bo twarde kartki porozkładane są po całej izbie. Leżą nie tylko na stole i na podłodze i krzesłach ale i na łóżku więc nie ma ani gdzie stać ani na czym siedzieć. Z tymi twardymi kartkami, to zresztą prawda, ale oczywiście gdybym chciała, mogłabym je jakoś ekonomiczniej rozłożyć. Ale ten argument pomaga — otwieram drzwi i widzą, że wszystko jest rzeczywiście pokryte twardymi kartkami, więc zostawiają mnie samą i opowiadają o mojej pracy innym, tak że i ci inni już potem mniej przychodzą gdy widzą, że drzwi są zamknięte.

Mbayo, w lipcu 1962 r.

Już po raz trzeci pokazywałam dzisiaj przezrocza: kilka przezroczy z Polski i bardzo dużo z Japonii i Indii. Wszystkie te przezrocza „niezaplanowane” i przypadkowe bo wpadłam na ten pomysł dopiero tutaj w Mbayo i kilku przyjaciół przysłało mi po prostu to co mieli pod ręką.

Tak jak poprzednio to moje „kino” odbyło się dziś w *molino*, kukurydzianym młynie Dona Demetrio Santos, na granicy Mbayo i Las Animas, ale oficjalnie już na terytorium Las Animas (bo tam mają tę nieodzowną elektryczność, „sok elektryczny” jak mówią ludzie z Mbayo). No, a Don Demetrio, chociaż nie-Indianin, jest z okolicznymi *Mazahuami* „zaprzyjaźniony” bo miele dla nich przeciw ich kukurydzę codzienną i chciałby jej mleć jak najwięcej.

Te przezrocza z Polski: kościółek modrzewiowy, pole skoszo-

nej pszenicy, chaty pod strzechą i ulica w Katowicach, nie robią na ludziach z Mbayo najmniejszego wrażenia i chociaż mówię im, że to „moja ziemia”, nie bardzo mi chyba wierzą bo te cztery przezrocza przypadkowe to dla nich po prostu Meksyk. Mówię im, że przecież takich kościółków modrzewiowych w Meksyku nie ma, że snopy ustawia się inaczej, że strzechy są ze słomy, nie z liści palmowych, że Katowice to nie Mexico, ale nic nie pomaga, bo „różne są w Meksyku chaty” — mówią — „i różne miasta i kościoły”.

Za to przezrocza z Indii i Japonii mają u nich wielkie powodzenie i chcą je ciągle na nowo oglądać, a ponieważ Indie nazywają się „Indie” a i w Japonii i w Indiach ludzie są bardzo do nich z Mbayo podobni, więc mówią o nich na w pół żartem na w pół serio „*estos Inditos de Japon*” i „*estos Inditos de India*”, „ci Indianie z Japonii” i „ci Indianie z Indii” i nic tu nie pomagają moje tłumaczenia. Ale reakcje na te przezrocza są już zapisane na twardych kartkach pod numerami najróżniejszymi — to moje „kino” bardzo mi rzeczywiście pomogło w badaniach nad światopoglądem ludzi z Mbayo. Dziś zresztą przyszło także kilka osób z rodzinnego *barrio* Doni Eleny, z La Fuente i paru mężczyzn *Otomi* z Aurory. Moje „kino” zdobywa sławę w okolicy i jest codziennym tematem rozmów w Mbayo.

Mbayo, w lipcu 1962 r.

Z małą trzyletnią Izą poszłam dziś stromą kamienną ścieżką między wysokimi drzewami kaktusów do chatki Dona Venustiano. Iza zrywała kwiaty dla mego *santito*, a ja fotografowałam wszystko to czego dotychczas nie zdążyłam sfotografować, bo chcę mieć dobrą fotograficzną dokumentację. Bardzo dobrze mi się zresztą fotografowało, bo nie spotkaliśmy po drodze nikogo, więc nie potrzebowałam się wstydzić. A fotografowania rzeczywiście wstydzę się bardzo: i w Mbayo i chyba w ogóle. Fotografowanie ludzi to „kradzież ich twarzy” jak powiedziała mi jedna z tutejszych kobiet, a fotografowanie krajobrazów to turystyka, i takie „fotografie z podróży” zawsze mi psują moje własne wspomnienia, dużo od nich „prawdziwsze”. Ale tym razem musiałam ze względu na tę dokumentację fotografować i gdy dochodziłyśmy do domu Dona Venustiano, ten jedyny kamienny domek w Mbayo też zaraz sfotografowałam szybko, zanim nas Don Venustiano zauważył. Przyda się do artykułu zamówionego przez „Landscape”. O tym domku słyszałam już od dawna, zanim jeszcze Don Venustiano poznałam. „Tak właśnie budowano tutaj

za dawnych czasów” — powiedział Don Edmundo — „jeszcze przed czasami *haciendy*”.

Don Venustiano nie zdziwił się wcale naszą wizytą i bardzo się zaraz rozgadał, a żona jego, Donia Emilia, wychudzona i kaszląca i tak opatulona w czarne *reboso*, że widać jej było tylko skrawek ciemnej twarzy i wielkie świecące oczy, siedziała cały czas z nami milcząca ale gościnna. Mała Iza obierała jedną po drugiej zielone *tuny* i bardzo dumna z tych wyczynów, podawała je nam — soczyste i po obraniu żółto-pomarańczowe bo takie *tuny* dojrzały właśnie na kaktusowym drzewie dużo większym od chatki Don Venustiano. Nawet niektóre z młodych łodyg kukurydzy były od tej chatki wyższe. Za *milpita*, kukurydzianą grządką raczej niż polem, tuż przy chatce, widać było domki Mbayo odległe i niskie, widać było szkołę, kościół i małe zuczki ludzi na *plazy* przed kościołem.

— Mieszkam tu jak w samolocie Donio Marylito — mówił Don Venustiano. — Wszyscy inni są tam na dole, a ja tu na samej górze i nigdy ich z Mbayo nie odwiedzam. Chyba, że tu sami do mnie przyjdą jak pani, Donio Marylito z małą Izą. Jak przyjdą to ich tu ugoszczę jak się da i moja *viejita*, moja staruszka, też się nimi nacieszy, ale żeby do nich tam na dół chodzić, co to to nie. W nocy, sam na sam z księżycem przez Mbayo przechodzę i wówczas całe Mbayo jest moje, Donio Marylito, ta nowa szkoła z jej świętym patronem Miguelem Hidalgo i kościół z Panem naszym Santiago na białym koniu i z trzema mniejszymi Patronami Świętymi:

„... i kościół z Panem Naszym na białym koniu i z trzema mniejszymi Patronami Świętymi i Plac Trzech Krzyży zrównany z ziemią” — myślało mi się wówczas gdy Don Venustiano mówił dalej nie wiem już nawet o czym — „i puste Aleje Jerozolimskie, atakowane od strony Dworca przez niemieckie tanki... Tak, ale prócz mnie samej było tam jednak zawsze kilka osób przebiegających za mną, przede mną, ze mną, więc z nimi dzieliłam Aleje. A po drugiej stronie Alei w bramie była taka stacja opatrunkowa, na której kiedyś spotkałam niewidzianą od lat kuzynkę Basię o włosach puszystych i bardzo błyszczących oczach... Basia jest teraz lekarką i mieszka w Kongo i może już niedługo, tak jak wówczas w Alejach, przez inne Aleje w Leopoldville...” Chciałam nawet opowiedzieć Donowi Venustiano o kuzynce Basi, ale się na szczęście odmyśliłam, bo co by on zrozumiął, dumny żebrak pobratany z księżycem, o tych naszych ulicach bez księżyca opiekuńczego i o niewybranych ale nieodzownych kontynentach z których potem trzeba uciekać...

— Ale najbardziej mój był chyba jednak Plac Napoleona, bo prócz mnie tamtej nocy nie było na nim rzeczywiście nikogo. Acha, i świecił wówczas także bardzo jasno księżyc. Usiadłam na kamieniu i patrzyłam na ciemny gmach mojego Prudenciału... Tam na 14-tym piętrze ze sto lat temu widziałam po raz pierwszy w życiu *toaster* w garsonierze takiego bogatego pana, do której zaprowadził mnie wuj dyplomata. Pod obstrzałem artylerii zza Wisły chwiały się szkielety mojego Prudenciału... to był już chyba ostatni tydzień Powstania... „Może Donowi Edmundowi” — myślałam — „będę mogła kiedyś o tym opowiedzieć... może Ulissesowi...”

Podczas tej całej chyba dwugodzinnej rozmowy z Donem Venustiano pamiętałam naturalnie o tym jego synu najstarszym, który „zniknął i dotąd nie wrócił”, jak mi powiedziała Donia Elena, ale Don Venustiano unikał tego tematu i gdy zaczęłam go wypytwać o rodzinę mówił wyłącznie o synu Gustavo, który będzie tańczył podczas *fiesty* jako *Romano*. Tę *fiestę* Don Venustiano ogląda także z góry nigdy w niczym nie biorąc udziału. Bardzo bym chciała zebrać dość informacji aby napisać historię życia Don Venustiano i porównać ją z historią życia Don Edmundo. Obaj oni mają bardzo odrębne spojrzenia na Mbayo niż wszyscy inni. Don Edmundo jest człowiekiem samotnym, ale zaangażowanym. Don Venustiano jest człowiekiem wyobcowanym i niesamotnym. Nie mam jeszcze dość danych aby te moje intuicje potwierdzić, ale wydaje mi się, że Don Venustiano myśli wówczas tylko gdy mówi i jako żebrak ma niewątpliwie liczne kontakty z najróżniejszymi ludźmi i w rozmowach z nimi kształtują się pewno jego idee.

Mała Iza zmęczyła się bardzo tym na pewno za długim dla niej spacerem, tak, że wracając, zresztą już pod sam koniec, wzięłam ją na barana i dopiero gdy byliśmy bardzo blisko *Ngeme*, Iza poprosiła żeby się zatrzymać „bo już teraz chciała iść sama”. Iza jest najmłodszą z moich „opiekunek”. Wszyscy tu w Mbayo opiekują się mną na swój sposób a Iza, trzyletnia, nie chce być oczywiście mniej opiekuńcza od swego czteroletniego siostrzeńca, Ignacio, więc mowy nie ma o przyjechaniu do *Ngeme* na barana.

Mbayo, w lipcu 1962 r.

Przez cały dzień dzisiejszy męczyły mnie bardzo te najróżniejsze opowiadania nie wiem już ilu kobiet o chorobach na które nie mogę nic poradzić. Dałam im resztki aspiryny, krajałam pastylki żyletką na cztery części: aspiryna na ból żołądka, aspiryna

na bronchit, na reumatyzm — aspiryna i aspiryna na „smutek który nie chce odejść”...

Wiele już razy myślałam o tym, aby zapisać się na jakiś krótki kurs „pierwszej pomocy” i móc ich tutaj naprawdę jakoś leczyć. A jeśli nie leczyć to czegoś uczyć, ale czego? I czy miałabym wówczas czas na moje badania? I czy potrafiłabym wówczas być taka jaką oni chcą mnie tu widzieć: „Wiedzącą”, ale jednocześnie tutaj w Mbayo bardzo od nich „Niewiedzących” zależną?

Mbayo, w lipcu 1962 r.

Siedzieliśmy dziś wieczorem, jak zwykle, Lucita, Teofila, Ricardo i ja, pijąc kawę i rozmawiając już nie pamiętam dokładnie na jaki temat, gdy nagle w drzwiach zobaczyłam ojca Teofili, Dona Martina, młodego jeszcze i bardzo pięknego w swym ciemnobrązowym *gavanie* w geometryczne wzory i z tym gniewem opanowanym w dużych czarnych oczach. Stał tak przez chwilę nieruchomy i milczący i patrzył prosto na Teofilę i Ricarda, którzy też zamilkli i znieruchomieli. Lucita tylko kręciła się niespokojnie obok mnie i czułam na sobie jej szybki oddech. Obie: Lucita i ja siedziałyśmy na łóżku, podczas gdy Teofila siedziała na jednym z wysokich krzesel, a Ricardo na drugim, po drugiej stronie stołu. Podeszłam do Dona Martina, podałam mu rękę i poprosiłam aby usiadł obok Lucity i mnie. Zdjął kapelusz i usiadł sztywno, nie spuszczać oczu z Ricarda i Teofili. Teofila siedziała ze spuszczonej oczami. Ricardo patrzył prosto w oczy Dona Martina. Lucita wierciła się niemożliwie. Nalałam wody do czajnika z wielkiej butli po drugiej stronie stołu, tam gdzie siedział Ricardo i zabrałam się do zapalenia piecyka. Jak zwykle piecyk zapalał się i gasnął, wybuchał i syczał i zauważyłam z ulgą i zdziwieniem że Don Martin o tym piecyku nieposłusznym zaczął nagle z Ricardem rozmawiać. Rozmawiali tak jakby nigdy nic, ale gdy piecyk się nareszcie uspokoił, urwała się nagle ich rozmowa. Gdy czajnik zaświszczał, milczeli już znowu wrogim i jeszcze bardziej napiętym milczeniem i żaden z nich nie chciał potem kawy. Lucita też nie chciała, więc piłam sama tę kawę z proszku, gorzką i gorącą i nie wiedziałam w ogóle co dalej robić.

W pewnym momencie Don Martin wstał i podszedł do Teofili. Teofila natychmiast, nie podnosząc oczu ani na chwilę, zeszała z krzesła i stanęła obok niego i wówczas pożegnali się oboje ze wszystkimi po kolei (Teofila podała rękę Ricardowi luźno, tak jak wszystkim i również nie podnosząc oczu) i zaraz potem

wyszli powoli z izby. Gdy już byli za progiem Don Martin obrócił się jeszcze w moją stronę z niskim ukłonem i długim „Adiiiiiiiiioooooos”.

Gdy wyszli, Lucita przytuliła się do mnie i szepnęła:

— To mały Eugenio, on ich tu widział i pobiegł powiedzieć Don Martinowi.

Ricardo siedział nieruchomy i milczący na wysokim krześle i przeglądał mój polsko-hiszpański słownik.

— Co teraz będzie? — zapytałam Lucitę.

— *Quien sabe...* kto to może wiedzieć — zaszeptala znowu.

— Może teraz napijemy się jednak kawy — jest już prawie zimna, taka jaką lubicie — powiedziałam, ale ani Lucita ani Ricardo nie chcieli kawy i Ricardo po chwili zszedł z krzesła i powiedział:

— Już późno, Donio Marylito, muszę wracać do domu.

— Do zobaczenia, Ricardo! — powiedziałam odprowadzając go do drzwi.

— Przyjdę jutro wieczorem — *adios* — powiedział Ricardo i potem jeszcze raz się odwrócił i powiedział:

— Donio Marylito, DO WIDZENIA...

Długo jeszcze potem o tej historii z Lucitą rozmawiałam a teraz Lucita już śpi, a ja, jak zwykle piszę. Ale Lucita śpi dzisiaj bardzo niespokojnie i co chwilę mówi coś na pewno bardzo ważnego po *mazahua*.

Ten mały 9-letni Eugenio to sierota, syn chrzestny Dona Martino. Od kilku lat już mieszka u rodziców Teofili, która jest jedynaczką.

Mbayo, w lipcu 1962 r.

Jorge zapisał się na *bracero* i dziś wieczorem miał wyjechać z Toluki z transportem *braceros*, najpierw do Ciudad Juarez, potem do Stanów Zjednoczonych!

Nie mogę się jeszcze z tego nieprzewidzianego odjazdu otrząsnąć. Nie rozumiem jak on to mógł wszystko przygotować tak w tajemnicy przede mną, a może i przed innymi, tego jeszcze nie wiem. Kilka razy, pamiętam, pytał mnie o warunki pracy w Kalifornii, bo słyszał, że tam są najlepsze, ale nie on jeden mnie o to pytał. W momentach zwątpienia w tę ich czystcową nadzieję, prawie wszyscy mężczyźni z Mbayo, nawet sam Don Edmundo przychodzili ze mną o tym rozmawiać. Ale nikt z nich nigdy nie wyjechał, bo wracała szybko ich nadzieja najważniejsza i wciągała ich z powrotem w codzienne, ale zawsze pełne

wydarzeń, życie w Mbayo. Nie wierzyłam aby którykolwiek z nich naprawdę kiedykolwiek wyjechał...

A tu właśnie Jorge, jeden z najlepiej mi znanych Panów z Mbayo, towarzyszył codziennych posiłków w *Ngeme* i to właśnie Jorge i w dodatku teraz, przed samą *fiestą!* A przecież taki wyjazd to dla niego wyjazd w Zupełnie Nieznane, bardziej chyba obce i niebezpieczne niż Nieznane astronautów. I po co właśnie Jorge, mąż Weroniki, który ma tu i dom i ziemię i taką żonę najlepszą i zięciów, którzy go traktują jak prawdziwego syna.

Lucita mówi, że to z powodu mułów, że Jorge od dawna chciał mieć parę mułów, „a z czego kupi gdy nie pojedzie za *bracero...*”. I mówi, że „ani ona, ani Weronika, ani Donia Elena nic nie wiedziały i Jorge pewno też nie wiedział” — a w każdym razie, według Lucity, nie planował tego wyjazdu od dawna.

— Pewno kogoś spotkał parę dni temu gdy był w Atlacomulco i dowiedział się o *transporcie...* może nawet pojechał wówczas zapisać się do Toluki, a zresztą kto to może wiedzieć — powiedziała Lucita. — W każdym razie nic o tym nikomu nie mówił.

A ja sama dowiedziałam się o tym w ten sposób, że bardzo wcześniej rano, chyba o jakiejś 6-ej (ale Lucity już nie było) ktoś do mnie zastukał i okazało się, że to Jorge bardzo jakoś zaambarasowany.

— Przyszedłem się pożegnać, Donio Marylito, bo jadę na Północ — powiedział — za *bracero* do Stanów Zjednoczonych — dodał. — Z Toluki jedzie autobus do granicy a potem na granicy mają nam „sprawdzić krew” i jeśli krew będzie dobra jedziemy dalej, może do Kalifornii, ale kto to może wiedzieć.

O kilka kroków od Jorge stała Weronika z małym Teto w *reboso*, z Ignacio i Teresitą przy spódnicy.

— Muszę już iść, donio Marylito, żeby się nie spóźnić — powiedział i podał mi rękę. — Jeśli Bóg da, zobaczymy się jeszcze w Mbayo, gdy wrócę, Donio Marylito... — a potem podszedł do Weroniki i w taki sam sposób podał jej rękę a potem podał rękę po kolei wszystkim dzieciom, najpierw małemu Teto, potem Teresicie, na końcu małemu Ignacio i coś mu do ucha powiedział. Zapytałam potem Lucitę co też Jorge mógł na pożegnanie powiedzieć czteroletniemu Ignacio.

— Pewno, żeby się opiekował matką i młodszymi dziećmi, bo on przecież najstarszy — powiedziała Lucita — i może mu powiedział jeszcze, żeby się dobrze uczył — dodała — bo chociaż najmłodszy w szkole to przecież w rodzinie najstarszy...

Tak się to pożegnanie odbyło i nikt w *Ngeme* ani słowa

o tym dzisiaj przez cały dzień nie powiedział, tylko teraz przed chwilą, Lucita kładąc się spać westchnęła:

— Biedny Jorge, on już pewno w autobusie na Północ jedzie i kto tam może wiedzieć kiedy wróci...

Mbayo, w lipcu 1962 r. — popołudniu

Wszyscy z którymi rozmawiałam dzisiaj mówili o Jorge — powinnam zapisać na twardych kartkach te najróżniejsze reakcje na jego wyprawę, te sny o nim i niepokoje. I w końcu pewno zapiszę, ale w tej chwili nie mogę, bo zbyt jestem sama tą wyprawą przejęta. Jorge miał ze sobą tylko 20 pesów i nie mogą sobie przebaczyć, że mu nie dałam trochę pieniędzy na drogę. Donia Elena mówi, że czasem ich z granicy odsyłają do domu i wówczas „wracają zebrząc, bo jak mają wrócić bez pieniędzy”?... Dość o tym!

Wczoraj wieczorem przyszedł do mnie Ricardo i nagrał na magnetofonie wiersz miłosny dla Teofili. Wiersz napisany przez niego samego i bardzo zły. Nie było w nim absolutnie nic prawdziwego, ale nie mogłam przekonać Ricardo aby powiedział dla Teofili coś więcej, coś własnego, skoro już posyła jej wiersz. Lucita potem zaniósła magnetofon do kuchni Weroniki (pod jej nieobecność, bo Weronika nie jest wtajemniczona) i tam w tej kuchni nagrała dla Teofili wiersz Ricarda.

Teofila kazała mi powiedzieć, że rodzice zabronili jej widywać się ze mną i że mi „bardzo dziękuje za wszystko”. Lucita nagrała jej odpowiedź na taśmę i jutro Ricardo ma tu do mnie przyjść i wówczas mu tę odpowiedź nagram. Jeszcze nie wiem co Teofila mu powiedziała i trudno mi się tym tak naprawdę zainteresować.

Lucita też zresztą rozmawia tylko o Jorge i nie jest już chyba przejęta sprawą Ricarda i Teofili. Ta ich sprawa nie jest trywialna, mimo banalności wiersza Ricarda, ale wiadomo, że ich historia skończy się dobrze „bo zawsze rodzice się w końcu zgadzają”, jak powiedział mi Ricardo. W najgorszym wypadku młoda para ucieka do Mexico i tam biorą cywilny ślub, a potem gdy dziewczyna jest w ciąży wracają do Mbayo i wówczas odbywa się ślub kościelny bez żadnych trudności, tyle tylko, że rodzice nie urządzają im wesela, „żeby ich ukarać za to co zrobili”. Więc sprawa Teofili i Ricardo to tylko kwestia czasu zwłaszcza, że Teofila „jest na wszystko zdecydowana” i Ricardo o tym dobrze wie. Ale Jorge? Kiedy on wróci? I jak wróci? Czy będzie głodował? Czy będzie musiał żebrnąć? A myśl o tym żebraniu

jest tu dla nich wszystkich najgorsza. I dla mnie też... Zresztą jeśli chodzi o zebranie to nie każde zebranie jest upokarzające wedle ludzi z Mbayo. Don Venustiano zebrze codziennie i nikt się tu za niego nie wstydzi, dlatego chyba, że Don Venustiano właściwie nie potrzebuje zebrać. Z pomocą synów mogłyby jakoś wyżyć ze swej pracy i kawałka ziemi koło chatki. Zebrze aby mieć na *pulque* i takie zebranie jest zebraniem niezależnym. W każdej chwili może przestać zebrać, w każdej chwili może się obrazić na kogoś kto mu dał jałmużnę „nie w taki sposób jak powinien”. Jeśli chodzi jednak o Jorge to musiałby on zebrać inaczej „gdyby go od granicy odesłali”, musiałby znosić upokorzenia, bo jakby inaczej wrócił... i te jego upokorzenia przyniosłyby wstyd, okropny wstyd im wszystkim z Mbayo.

Wieczorem

Jadę do Mexico po aspirynę! Jutro najwcześniejszym autobusem. Bardzo mi to w tej chwili nie na rękę, bo dzieją się tu ciekawe i ważne rzeczy w związku ze zbliżającą się *fiestą*, ale trudno! Przyrzekłam zresztą że przywiozę aspirynę tej kobiecie z dzieckiem, której imienia i nazwiska w ogóle nie znam. Lucita zresztą też nie wie jak się ona nazywa, ale mówi że dwoje dzieci tej młodej kobiecie umarło, „więc jeśli nie przywiozę aspiryny”... To wszystko jest oczywiście absurdalne, ale co robić? Ta kobieta zapukała do nas późno, nie wiem dokładnie o której godzinie (teraz jest już 11-ta) w każdym razie Lucita już spała. Więc nie budząc Lucity wyszłam na *solar* i tam z nią godzinę rozmawiałam. Pokazała mi białą plamę na główce dziecka, między włosami i taką samą plamę na własnej głowie. Zapytałam od kiedy ma tę plamę, ale nie pamiętała. Plamę u dziecka zauważyła dopiero teraz i bardzo się przestraszyła, „bo od takiej plamy na pewno się umiera”, więc przyszła poprosić mnie o „te białe pastylki z mojej ziemi”. Ale nie miałam już aspiryny a meksykańskiego *mejoralu* nie chciała, „bo to na ból głowy tylko, a na co innego nie pomaga”. Więc powiedziałam jej, że jeśli ona sama przez tyle lat z tą plamą na głowie nie umarła, dlaczego by miało umrzeć jej dziecko? To ją na chwilę pocieszyło, ale potem znowu zaczęła płakać, bo przyszło jej na myśl, że może od takiej samej plamy od której dorosły nie umrze, może umrzeć małe dziecko i nic już na to jej rozumowanie nie potrafiłam odpowiedzieć. Dałam jej jabłko, małe pomarszczone jabłuszko, ale oni tu wolą najgorsze jabłka od najlepszych tropikalnych owoców. No i przyrzekłam, że jutro skoro świt pojedę do Mexico po aspirynę.

Mbayo, w lipcu 1962 r. — w nocy

Wyjechałam dziś rano o 6-ej i wróciłam tego samego dnia, autobusem o 9-ej. Nikt chyba nie wie, że jestem w Mbayo, bo pod moją nieobecność Lucita sypia w *Ngeme*. Wśliznęłam się do śpiącego Mbayo pod wysokim niebem pełnym gwiazd. Nie zaszczeakał żaden pies, gdy tak „na palcach” skradałam się do mego domku, nie zamiauczał żaden kot (kotów tu zresztą nie ma). Było zupełnie cicho gdy wracałam... Czasami słyhać tu puchacze a czasami łopocząc przelatuje tuż nad głową nietoperz, ale dzisiaj było naprawdę cicho i myślałam o conocnych wędrówkach Dona Venustiano z Mbayo do Las Animas...” Ale o 3-ej w nocy jest pewno jednak inaczej” — myślałam — ”niż o 10-ej wieczorem. Pewno już się budzą niektóre ptaki i może śpiewają najwcześniejsze koguty, chociaż Don Venustiano zapewnił mnie, że śpiewa jedynie na pożegnanie blednący księżyc”.

Nie przywiozłam aspiryny! Nie mogłam jej znaleźć w trzech aptekach a potem już zdecydowałam się nie szukać więcej, bo wpadłam nagle na inny pomysł! Obok jednej z tych trzech aptek była *papeleria*, sklep materiałów piśmiennych, a w oknie tego sklepu różnokolorowe studenckie okładki, takie same jak te których używają studenci amerykańscy, okładki z trzema sprężynowymi kołami wewnątrz, do wkładania dziurkowanego papieru, a każda kartka papieru musi mieć naturalnie trzy dziurki. Więc weszłam tam szybko i kupiłam śliczną bardzo czerwoną okładkę i dużą pakę białego papieru z dziurkami i mniejszą pakę czarnego papieru, takiego do nalepiania fotografii i musiałam jeszcze kupić dziurkacz, bo czarny papier nie był dziurkowany. A potem na Ulicy Drukarzy (nie pamiętam jak się naprawdę nazywa ale są na niej prawie same drukarnie) weszłam do jednej z drukarni i tam na poczekaniu na mojej czerwonej okładce wydrukowano mi naturalnie złotymi literami:

EL LIBRO DE MBAYO

Bardzo byłam z tej mojej książki dumna i zatelefonowałam jeszcze z tej księgarni do *Quadernos Americanos*, żeby umówić się na obiad z Ulissesem, ale okazało się, że Ulisses wyjechał do Guadelajary. Poszłam więc do lasu Chapultepec i tam spędziłam sama całe popołudnie wśród drzew i ptaków z czarnym notesem, chodząc, myśląc i notując.

EL LIBRO DE MBAYO będzie napisane (podyktowane na taśmę) przez ludzi z *Mbayo* i będzie to Księga Ich Rzeczy Naj-

ważniejszych, Księga, która zostanie Na Zawsze w Mbayo dla synów, wnuków, prawnuków. Będzie ona naturalnie powielona, tak, żeby zostało jakieś co najmniej 20 egzemplarzy, ale jeden egzemplarz Najważniejszy będzie z fotografiami nalepionymi na czarnym papierze. Byłoby najlepiej abym niczego nie potrzebowała ludziom z Mbayo sugerować, aby oni sami wymyślili tematy i tytuły rozdziałów, ale będą im jednak musiała coś choćby ogólnego powiedzieć. Na przykład to, że powinno się zacząć od historii Mbayo a potem dopiero dyktować rozdziały na temat rolnictwa, zwyczajów etc. Zapełniłam kilka stron czarnego notesu tymi pomysłami moimi, których być może nie będę potrzebowała im sugerować. A może będę musiała... zobaczymy. W każdym razie będą potrzebowali mojej pomocy przy pisaniu tej Księgi, co do tego nie mam wątpliwości i tego rodzaju pomoc da im na pewno więcej niż moje aspiryny magiczne! Nareszcie będzie to coś konkretnego, coś dla Nich, tak mi już Bliskich, że pomyślało mi się najpierw „dla Nas”... Nareszcie wyrwałam się naprawdę z mojej kołyski hamakowej! Co za szczęście!

A teraz już kładę się spać i jutro jak najwcześniej rano zaniosę tę Księgę Mbayo Don Edmundowi i wszystko mu wytłumaczę.

Mbayo, w lipcu 1962 r. — popołudniu

Chociaż jest tak bardzo inny, Don Edmundo podobnie jak inni z Mbayo lubi i ceni ceremonie. Więc mimo to, że nikogo spośród Panów na oficjalnych stanowiskach, nie mogliśmy dziś w Mbayo złapać Don Edmundo przyjął ode mnie w imieniu Mbayo moją czerwoną Księgę ze złotymi literami i Księga ta (a raczej, jak dotąd, tylko okładki od Księgi), jest już złożona w zakrystii przy kościele.

Wręczenie to i w ogóle cała rozmowa odbywała się oczywiście zupełnie inaczej niż to sobie wyobrażałam, ale do tej rozbieżności między moją wyobraźnią a rzeczywistością ludzi z Mbayo zdążyłam się już przyzwyczaić. Don Edmundo bardzo był zresztą zamyślony i zaabsorbowany, gdy do niego przyszedłam, tak, że najpierw rozmawialiśmy długo o tym jak on sobie przyszłość Mbayo wyobraża, a potem dopiero, może po dwóch godzinach, wyciągnęłam z torby papierowej Księgę Mbayo i zaczęłam swoje *exposé*. Nie potrzebowałam zresztą Don Edmunda w ogóle przekonywać o ważności mego pomysłu.

— Przyszłość przyszłością — powiedział — nawiązując do swoich planów czy też wizji wprowadzenia do Mbayo małych

warsztatów przemysłowych skontaktowanych z rynkami zbytu w Toluca, Mexico „i może jeszcze gdzie indziej”...

— Przyszłość przyszłością — powtórzył — ale bez przeszłości o żadnej przyszłości myśleć by nawet nie można.

Dla niego Księga Mbayo jest głównie dokumentem historycznym” i trzeba ją koniecznie napisać”, zgodził się ze mną.

— I myślę, że *las autoridades* („rząd” Mbayo mający się zresztą za parę dni, podczas *fiesty* zmienić) zgodzą się na to — powiedział — ale trzeba ich zgody oficjalnej i to jak najprędzej, bo kto wie, może ci nowowyrbrani inaczej będą na to patrzeć, ale gdy obecni *autoridades* zgodzą się na pisanie Księgi, ci nowi nie będą oponować nawet gdyby myśleli inaczej.

I potem małżonkowie Adolfo pobiegł szukać Panów z Mbayo i zaczęła ich także szukać mała Maria, a gdy wrócili bez nikogo Don Edmundo sam przyjął Księgę „w imieniu ludzi z Mbayo”...

WIEŚ MOJA

Mexico, we wrześniu 1963 r.

Rozmawiałam dziś znowu z Clementem Machado o publikacji „El Libro de Mbayo” i znowu musiałam się bronić przed jego ironią na wespół zresztą dobrotliwą ale tym niemniej irytującą. Jest właśnie teraz możliwość opublikowania „El Libro de Mbayo” w takiej specjalnej serii Uniwersytetu Vera Cruz, której Clemente jest współredaktorem. „A za rok” — twierdzi Clemente — „może być dużo trudniej bo zawałeni będziemy archeologicznymi materiałami z Teotihuacan”. Więc Clemente radzi abym zgodziła się na publikację w tym roku, czyli bez pozwolenia ludzi z Mbayo, bo... wbrew przewidywaniom Don Edmundo obecne, dopiero co wybrane władze, mają co do publikacji „El Libro de Mbayo” poważne wątpliwości, a jeden *Mayordomo* wręcz twierdzi, że taka publikacja byłaby dla Mbayo szkodliwa.

— Donio Marylito — powiedział Don Edmundo — moim zdaniem warto i powinno się opublikować „El Libro de Mbayo” jak najwcześniej, ale obecne władze mają wątpliwości i niesposób im tego wytłumaczyć, więc lepiej poczekać do zmiany rządu, do przyszłego roku, nie powinno się w tym wypadku niczego forsować.

Clemente śmieje się ze mnie i mówi, że jestem „przewrażliwiona” i, że „te ich wszystkie *mazahuowskie* obiekcje i wątpliwości wyolbrzymiam”. Ale Clemente jest historykiem Renesansu i nigdy nie przeprowadzał badań nad Żyjącymi... Dla niego pewno *Mazahuowie* z Mbayo to jakby historyczne postacie. Ale nie dla mnie... Nie dla mnie...

Mexico, we wrześniu 1963 r.

Uliseses naturalnie zgadza się ze mną, nie z Clemente Machado.

Zresztą to było do przewidzenia, bo Ulisses już wiele razy przedtem mówił o tym, że nie należy niczego forsować. „Dlaczego nie należy, Ulissesie?” — pytałam wówczas, ale to było dawno... zeszłego roku — teraz już takich pytań nie zadaję, bo wiem że nie ma na nie odpowiedzi, że są takie chwile, wydarzenia, twierdzenia w których etyka zlewa się z estetyką, logika z poezją, doświadczenie z przecuciem i na szczęście nic na to nie można poradzić.

Zresztą Ulissesowi po raz pierwszy pokazałam dziś „El Libro de Mbayo”. Siedzieliśmy jak zwykle we *Flor de Mexico* przy małym stolyczku („tym samym przy którym siadywał Don Porfirio Diaz” jak objaśnił nas kelner staruszek) i piliśmy czarną kawę. Ulisses uważnie przeczytał spis rzeczy i potem jeszcze raz przeczytał głośno tytuły rozdziałów przerzucając „El Libro de Mbayo”, strona po stronie, przy drugiej już małej czarnej.

Parte una — Los Tiempos de Hacienda. Część Pierwsza — Czasy Haciendy.

Parte dos — Nuestros Tiempos. Część Druga — Nasze Czasy — czytał Ulisses.

— Czy te tytuły są ich czy twoje? — zapytał zaciekawiony — i te dalsze tytuły rozdziałów, bo niektóre z nich wyglądają na ich tytuły, jak na przykład rozdział 11 *Haciendo, Comprando, Vendiendo*, Wyrabiając, Kupując, Sprzedając, a niektóre jak na przykład rozdział 16-ty *Desde Nacimiento hasta Muerte* — od Narodzin do Śmierci, wyglądają na wymyślone przez ciebie.

Oba tytuły są wymyślone przez nich, ten pierwszy przez Don Edmundo o którym już wiesz, ten drugi przez jego siostrzeńca, Jorge! — zaśmiałam się. — Z tym rozdziałem 16-tym był zresztą wielki kłopot, bo ani rusz nie mogliśmy wymyślić tytułu dla rozdziału opisującego i tradycyjne i obecne ceremonie i rytuały *Mazabuów*. Ja zaproponowałam: *El Ciclo de la Vida*, ale to się nikomu z nich nie podobało i w końcu Jorge wymyślił tytuł i jego tytuł „przeszedł”, naturalnie z aprobatą Don Edmundo, jak wszystkie inne tytuły.

— Jakto? Czy wszystkie tytuły z nimi tak omawiałaś — zapytał Ulisses wątpięcym głosem — i z kim je omawiałaś, czy z tymi samymi ludźmi których tekst nagrywałaś na magnetofon?

Bardzo mnie zdziwiła ta pamięć Ulissesa tak dokładna, bo w tym roku przecież wcale z nim o tym wydarzeniu nie rozmawiałam.

— Tytuły wymyśliło może pięć osób, nie więcej, i z nimi najpierw cały tekst przedyskutowałam — powiedziałam — ale potem i tytuły rozdziałów i całe ich „wnętrze”, słowo w słowo, sprawdzone zostało raz jeszcze przez całą wieś!

— To niemożliwe! — zawołał Ulisses. — Jak ty to zrobiłaś? Opowiadaj! Ale nie tutaj — poczekaj chwilę — pojedziemy do Lasku Chapultepec, bo tam spokojniej!

I potem już przez całe popołudnie, siedząc na cementowych schodach opowiadałam Ulissesowi jak trzy razy długimi wieczorami, przy dwóch latarkach elektrycznych stojąc na krześle postawionym na ganku tego przykościelnego domku w którym i zakrystia i świetlica, czytałam i czytałam słowo w słowo głośno i powoli całą *Libro de Mbayo* wszystkim Panom i Chłopom z Mbayo. I nawet kilka kobiet było w tym skupionym tłumie, który stał, słuchał, aprobował i poprawiał, przez trzy wieczory z kolei, a raczej noce niż wieczory, gdyż lektura ta zaczynała się o 8-ej a trwała do 11-ej lub dłużej, a to już noc dla ludzi z Mbayo... — Obok mnie na ganku stał Don Justo, *el cabezilla del pueblo*, nic nie rozumiejący, ale przejęty i aprobujący, no i dla nich wszystkich z Mbayo symboliczny: niezmienny wśród zmieniających się co roku władz i jedyny. I stał obok mnie także Don Edmundo a obok niego Don Pablo i dwóch *Mayordomos*, a Jorge siedział na krześle i nagrywał komentarze na magnetofon. To była zresztą najtrudniejsza rola, bo komentarzy było dużo i nikt prawie nie wiedział jak mówić do mikrofonu.

Po każdym zdaniu zatrzymywałam się na chwilę i spoglądałam na skupiony tłum Zmęczonych po całym dniu pracy, na pewno niedożywionych a Takich Żywych. Po paru sekundach milczenia tłum reagował chóralnym: VERDAAAAAAAAAAD

— PRAWDAAAAAAAAAAD, a czasami milczenie trwało trochę dłużej i z tłumy, powoli i nabożnie jakby idąc do Komunii wychodził jeden z Panów z Mbayo i bardzo ostrożnie brał w rękę podawany przez Jorge mikrofon, aby sprostować to co przeczytane, lub uzupełnić. A potem z tym samym nabożnym spokojem wracał na swoje miejsce w tłumie i Jorge nagrywał komentarz a tłum znowu po chwili reagował chóralnym VERDAAAAAAAAAAD na tę nagraną prawdę.

Mbayo, we wrześniu 1963 r.

Już połowa września już dawno po *fiście* Santiago, a mieszkańcy Mbayo nadal mi nie mogą przebaczyć że w tym roku nie przyjechałam na tę *fiestę* chociaż byłam tak blisko, w Mexico.

— Nie przyjechała pani, Donio Marylito, bo nie chciała pani przyjechać, bo gdyby pani chciała przecież by pani mogła — powiedział mi kiedyś Jorge. — Przestraszyła się pani tą zeszłoroczną *fiestą*, bo za głośno strzelały fajerwerki no i naturalnie,

jak to podczas fiesty, było kilku rannych, więc to panią wystraszyło, prawda?

— Nic mnie nie wystraszyło! Zresztą jacy tam ranni, po prostu trochę pokaleczeni i potłuczeni — powiedziałam — ale, że mogłam a nie chciałam przyjechać to prawda. Nie chciałam przyjechać bo raz już *fiestę* widziałam, a nie można tu przez cały tydzień nic robić podczas *fiesty*, a ja mam dużo pracy.

Może powinnam kłamać, ale nie kłamię nawet jeśli tym niekłamaniem robię im przykrość. Od jakiego to momentu przestałam kłamać? Chyba już od zeszłego roku, od chwili zupełnego wtajemniczenia mnie przez Nich Samych w sprawę zamordowanego *Gringo*.

Bardzo mnie męczą te rozmowy na temat mojej nieobecności bo tyle innych rzeczy jest do omówienia, teraz pod koniec mego tegorocznego pobytu w Mbayo, tyle do omówienia teraz w momencie decyzji na temat wydania czy nie wydania „El Libro de Mbayo”. Bardzo oczywiście trywialne w tych warunkach wydają mi się te rozmowy na temat mojej nieobecności podczas *fiesty*.

Ale pewno nie są one trywialne skoro dla nich z Mbayo są tak ważne, pewno to ja znowu nie rozumiem czegoś istotnego w ich życiu, w ich światopoglądzie. Po tylu miesiącach, tylu twardej kartkach, tak dokładnie rozpracowanych, ba... po tylu latach (bo już przecież od przeszło dwóch lat znam Mbayo), nadal jeszcze nie rozumiem tej mojej wsi. To chyba bardzo smutne, chociaż Ulisses na pewno by nie zgodził się z tym określeniem. Ulisses powiedziałby pewno, że nie ma w tym nic smutnego, bo życie polega na dążeniu, a nie na zdobywaniu, na pytaniach, a nie na odpowiedziach. Trudno, wbrew wszystkim mądrościom mnie jest jednak bardzo smutno, że to moja wieś a jeszcze niezupełnie zrozumiana i pocieszam się tylko tym, że może kiedyś ją lepiej zrozumieć.

Mbayo, we wrześniu 1963 r.

Don Edmundo tak samo jak Jorge zaczął mnie dzisiaj męczyć tą *fiestą* i od tego męczenia z jego strony niespodziewanego uciekły mi wszystkie argumenty za tegoroczną publikacją „El Libro de Mbayo”, argumenty które sobie wczoraj wieczorem tak uważnie przygotowałam. A może zresztą nie bardzo w te argumenty wierzyłam skoro tak uciekły?

Szliśmy ścieżką przez góry do Las Animas i gdy Don Edmun-

do zaczął swoje indagacje na temat mojej nieobecności podczas *fiesty*, przystąpiłam natychmiast do kontrataku:

— Don Edmundo — powiedziałam — niech pan się przyzna, czy pan również uważa, że *fiesta* powinna trwać aż tak długo i aż tyle kosztować. Przecież gdyby co roku nie wydawało się tylu pieniędzy na fajerwerki i kwiaty, można by powoli zacząć wprowadzać do Mbayo te różne warsztaty przemysłowe o których pan mi tyle opowiadał.

Don Edmundo spojrzął na mnie poważnie i powiedział:

— *Fiesta* jest bardzo ważna dla nas z Mbayo, Donio Marylito, na wszystkim innym możemy oszczędzić, ale nie na *fiście*.

Milczeliśmy chwilę i podczas tego parominutowego milczenia zaczęłam zrywać liliowe niebieskie kwiaty, które rosły przy skałach po obu stronach ścieżki i po chwili miałam już duży bukiet.

— To dla naszego patrona Santiago — powiedziałam znowu prowokująco — mimo to, że pan, Don Edmundo, przecież nie bardzo w tego naszego patrona wierzy, sam mi pan niedawno powiedział, że Santiago ani deszczu przywołać nie umie, ani chmur rozegnać nie potrafi.

Don Edmundo uśmiechnął się i zerwał duży żółty kwiat na długiej łodydze.

— Jeszcze jeden kwiat do bukietu dla naszego patrona Santiago — powiedział.

— Te wszystkie kwiaty i tak zwędną — powiedziałam — zanim wrócimy z powrotem do Mbayo, może najlepiej je wyrzucić.

— To nic nie szkodzi że zwędną — powiedział Don Edmundo spokojnie — od zwędnięcia kwiatami być nie przestaną.

Więc wcisnęłam, bardzo już zniecierpliwiona ten duży kwiat w sam środek niebieskiego bukietu i powiedziałam:

— Don Edmundo, niech mi pan powie prawdę. Pan pewno uważa, że warto wydawać tyle pieniędzy na fajerwerki i kwiaty bo ta *fiesta* to jedyna okazja podczas której wszyscy mieszkańcy Mbayo czują że są *Mazabuami*, więc dlatego zdaniem pana na wszystkim można oszczędzić prócz *fiesty*. Jeśli pan tak uważa to świetnie pana rozumiem.

Don Edmundo zamyślił się na chwilę i potem powiedział cicho:

— Donio Marylito, ja wiem, że dla innych tak to może wyglądać, ale my tutaj w Mbayo myślimy zupełnie inaczej. My to wszystko robimy dla samego Boga, Donio Marylito...

Nie pamiętam co mu na to odpowiedziałam, może nic...

w każdym razie tego dnia już nie dało się w ogóle zacząć rozmowy na temat „El Libro de Mbayo”, bo Don Edmundo był bardzo małowówny i zamyślony. Ten „Bóg” Dona Edmundo to pewno jego i tylko jego Bóg, abstrakcyjny jak „miłość” Dona Pancho, czy Ricarda, ale na pewno mniej dla Don Edmundo niewygodny niż dla nich, Ricarda i Don Pancho, jest to nowe pojęcie „miłości”.

Rezultaty wpływów szerszego świata na *Mazahuów* z Mbayo. Konsekwencje akulturacji. „Miłość” eliminująca „dobrą wolę” i „Bóg” który pewno po raz pierwszy wyeliminował „Świętego” i to w dodatku patrona wsi... Co dalej?

Mbayo, we wrześniu 1963 r.

Moje argumenty za tegoroczną publikacją „El Libro de Mbayo” uciekły mi na dobre. Staralam się jak mogłam przypomnieć je sobie podczas rozmowy na ten temat ale na nic się moje wysiłki nie przydały.

Siedzieliśmy dzisiaj całe popołudnie na tarasie *Ngeme*: Donia Elena, Don Edmundo, Jorge i ja rozmawiając na ten temat. Ponieważ nie miałam ani jednego argumentu za tegoroczną publikacją, rozmawialiśmy o publikacji późniejszej, „po zmianie rządu” w Mbayo, za niecały rok.

Jorge znowu powiedział, że powinno się dodać rozdział „O krowach wymordowanych przez *El Gringo*” — tak się ten rozdział powinien jego zdaniem nazywać, a Don Edmundo znowu się temu sprzeciwił i powiedział, że jeśli już taki rozdział ma być przed publikacją dodany, to najodpowiedniejszy tytuł będzie „Choroba pyska i racic wśród bydła doliny Ruiz, rok 1948” i ani słowa w tym rozdziale być nie powinno ani o wymordowanych krowach ani o zamordowanym *Gringo*.

— Zresztą ten *Gringo* był przede wszystkim weterynarzem — powiedział Don Edmundo — i pracował tu z naszym rządem Federalnym, więc można by także napisać, że podczas choroby pyska i racic przyjechał tu weterynarz, czyli taki doktor od leczenia bydła.

— Nie doktor, ale Guillermo czyli Bill, jak w jego ziemi mówią — powiedziała Donia Elena.

— Nie od leczenia ale od mordowania — mruknął Jorge.

— Więc cóż? — zapytałam.

— „El Libro de Mbayo” jest dobre takie jakie jest — powiedział Don Edmundo — i najlepiej żadnego rozdziału w ogóle nie dodawać.

— Jorgowi chodzi o to żeby jego Ignacio nie zapomniał — powiedziała cicho Donia Elena a Jorge spojrzął na nią potakując.

— Gdyby żyła Donia Genowefa — zaczęła nieśmiało Donia Elena, ale Don Edmundo jej przerwał:

— To co powinni zapamiętać i tak zapamiętają — powiedział stanowczo i Ignacio zapamięta i Mateo też nie zapomni, że Don Pancho niesprawiedliwie w więzieniu się nacierpiął.

Nie powiedzieliśmy na to nic i potem mówiło się już tylko o tym jaki powinien być tytuł i wszyscy zgodziliśmy się na to, że strona tytułowa powinna być taka:

EL LIBRO DE MBAYO
por la gente de Mbayo
Mbayo 1962

— I na końcu musi być spis rzeczy — powiedział Don Edmundo — taki co się nazywa „indeks”, nie żaden inny.

— A wstęp o pre-kolonialnej historii *Mazahuów*? — zapytałam wahającym głosem, bo przecież nikt z Mbayo tego wstępu nie chciał.

— Ci od publikacji mówią, że bez wstępu nie opublikują — dodałam.

— Wstęp może być w tej książce drukowanej — powiedział Don Edmundo.

— Ale podpisany przez panią, Donio Marylito żeby... — zaczął Jorge.

— ... żeby nikt nie myślał, że to myśmy go napisali... — dokończył Don Edmundo.

— W tym czerwonym „El Libro de Mbayo”, która jest złożona w kościele i tak już nie ma tego co pani napisała o idolach i Chichimekach — powiedziała Donia Elena — bo zaraz jak pani „El Libro” przywiozła, tośmy te kartki wyjęli.

— Naturalnie, że podpiszę — powiedziałam i spostrzegłam, że Don Edmundo patrzy na mnie z uśmiechem i podnosi w moją stronę kubek *pulque*.

— *Salud* — na zdrowie — Donio Marylito — powiedział i oboje, Jorge i ja podnieśliśmy nasze kubki z *pulque*. — Bo wie pani, Donio Marylito... gdyby tak dało wydrukować się *El Libro de Mbayo* tylko w dwóch językach, po *mazahua* i po polsku to ten rozdział o zamordowanym *Gringo* można by dodać, bo wtedy nasze wnuki zrozumiałyby to co się stało tak jak powinny rozumieć...

— Ale się nie da... — powiedział Jorge.

— Jaka szkoda, że się nie da... zawtórowała mu Donia Elena.

— *Salud!* — powiedziałam i wypiałam duży łyk *pulque* i potem jeszcze drugi i trzeci aż mi się w głowie zakręciło, ale to dobrze, bo bardzo mi się nagle zrobiło przykro, że nie potrafię nawet tego *Salud* powiedzieć w języku *mazahua*...

E P I L O G

Mbayo, we wrześniu 1963 r. — w nocy

Winda z deszczu po linach prawdziwych jechałam w górę, bardzo, bardzo stromo, najpierw pomiędzy pomarańczowo kwitnącymi kaktusami i ciemnymi agawami, a potem wyżej między dębami i sosnami coraz mniejszymi wśród rozrastających się pod nimi skał.

A może ta winda z deszczu wyśniła mi się dlatego, że tak strasznie padało gdy zasypiałam, ale mimo to ani jedna kropla nie spadła na mnie tym razem, bo Mateo właśnie zreperował dach i widocznie zreperował go bardzo dobrze.

„Nie powinno się niczego tak dobrze reperować” — pomyślałam zasypiając bo żał mi było bardzo tej kropli niedopuszczonej a raczej miejsca na krople... „może na czole” — myślałam zasypiając i czułam jej chłodne liźnięcie — „a może na policzku” i znowu żał mi się zrobiło tego suchego miejsca na policzku, trochę na prawo od kości policzkowej, pod lewym okiem.

Ale teraz już mi niczego nie żał i niczego się nie staram zrozumieć, bo we śnie ta winda z deszczu nie była niczym dziwnym, więc po co żałować kropli i tłumaczyć?

Nie tylko ściany windy były zrobione z deszczu rzęśistego a więc niezupełnie przezroczystego, ale i małe krzeselko bardzo wygodne i okno też było z deszczu, trochę bardziej przezroczyste, a za oknem świeciło poranne słońce.

Patrzałam przez okno ciekawa i szczęśliwa i nagle zobaczyłam, że wśród skał coraz to rozłożystszych i bielszych wiły się wąskie, żółte ścieżki. Patrzałam na nie uważnie bo czułam, że coś po nich powinno chodzić: może jaszczurki lub pająki, bo za wąskie były chyba dla zwierząt i ludzi. Patrzałam, patrzałam ale nie zobaczyłam nic i pomyślałam, że to może wskutek tego okna z deszczu za mało przezroczystego. Więc naturalnie chcia-

łam otworzyć okno, ale ono było nie do otworzenia, tak jak okno w mojej chatce w Mbayo, tylko kształt miało inny: pionowy, nie poziomy... „Gdybym wybiła szybę mogłabym się przez nie wydostać” — pomyślałam, ale przecież nie o Wydosztanie mi chodziło, lecz o Zobaczenie. Więc chusteczką seledynową zaczęłam wycierać szybę i od tego wycierania wyglądziły się smugi deszczu, szyba stała się prawie zupełnie przezroczysta i nagle poczułam, że przez tę szybę przezroczystą ktoś na mnie patrzy spokojnie i uważnie. „Ulisses” — pomyślałam, ale na ścieżkach jeszcze jaśniejszych teraz i bardzo szybko wzdłuż i wszerz się rozrastających nie było niczego i nikogo. Widziałam za to wyraźnie poszczególne ziarenka żółtego piasku, którymi te ścieżki były pokryte i poczułam nawet drażniący chrzęst tego piasku między zębami i to mnie na moment zaniepokoiło bo to spojrzenie nie wiadomo czyje, nadal trwało i między tym ziarnistym piaskiem w ustach a ostrością tego spojrzenia był jakiś niejasny związek. Podniosłam do ust chusteczkę seledynową żeby się ochłodzić, ale chusteczka była sucha, ciepła i pachniała macierzanką... Od tego zapachu macierzanki natychmiast minął mój niepokój i uśmiechnęłam się nawet do tego spojrzenia za oknem już nie zdziwiona chociaż nadal niewidząca do kogo to spojrzenie należy. Jednocześnie zauważyłam na jednej ze ścieżek bardzo wyraźne ślady ludzkich stóp i wiedziałam już, że te ślady: wąskie, długie, męskie, w butach na wytłaczanej we wzory gumowej podeszwie, należały do tego niezidentyfikowanego jeszcze spojrzenia. „Ulisses czy nie Ulisses, może jednak Ulisses” — myślałam, ale spojrzenie, które ciągle na sobie czułam miało w sobie jednak coś nieznanego. Jechałam i jechałam coraz wyżej ciągle bardzo świadoma, że jadę windą z deszczu i bardzo z tego dumna, a za oknem ścieżki zarosły skałami a potem skały zarosły trawą i coraz jaśniejsze było słońce. Nagle, gdy słońce było już bardzo wysoko winda zakręciła na lewo i poprzez krzaki bardzo gęste między dwoma zielonymi skałami, wjechała „na rozłożystą polanę”, pomyślało mi się najpierw, natychmiast jednak zorientowałam się, że to nie polana, ale *plaza* małej wioski, z chatkami wśród krzewów gęstych i karłowatych sosen. Z jednej strony *plazy* wznosił się różowy kościół, z drugiej strony biała kapliczka a przed chatką koło kapliczki stał uśmiechnięty... Don Antonio Bravo.

Byłam w Los Pinos

Nie zdziwiłam się tym wcale, ale bardzo się ucieszyłam i

zorientowałam się w tym samym momencie, że winda moja stała na samym środku *plazy* a naokoło niej leżały te jej liny prawdziwe. Więc wyszłam z windy zamykając za sobą drzwi i po-deszłam do Don Antonio. Przywitaliśmy się bardzo serdecznie i gdyśmy się tak witali, rozmawiając nie pamiętam o czym, ze wszystkich chatek wybiegli *Mazahuowie* tamtejsi, niektórzy z nich znani z widzenia, inni nieznani i otoczyli nas milczącym kołem.

— Czy pani przywiozła przezrocza, Donio Marylito? — zapytał Don Antonio.

— Naturalnie — są w windzie pod siedzeniem — odpowiedziałam i nagle znowu poczułam na sobie to samo co przedtem spojrzenie i obejrzałam się naokoło. Milczący tłum patrzył na mnie setką ciemnych oczu, ale to nie z tej strony dochodziło do mnie tamto spojrzenie. Więc między krzakami gęstymi chciałam doszukać się żółtych ścieżek, ale nie zobaczyłam nic... Dopiero gdy wzrok mój dotarł do kościoła, zauważyłam, że stoi tam wysoki, bardzo szczupły mężczyzna o ostrych rysach i bujnych siwych włosach i patrzy na mnie tym właśnie znanym już od długich chwil, ale nadal obcym spojrzeniem. Był bardzo opalony, zauważyłam, i miał na sobie jasnoszary sweter jeszcze tę opaleniznę podkreślający. Na nogach miał ciężkie sportowe trzewiki jasnobrązowe.

— Kto jest ten człowiek przed kościołem! — zapytałam Dona Antonio.

— Jaki człowiek? — zapytał — przed kościołem nie ma żadnego człowieka, i w tym momencie zobaczyłam setkę czarnych oczu skierowanych w stronę kościoła i usłyszałam chóralne: „*No hay nadie por alla* — Nikogo tam nie ma...” i oczy tłumu zatrzymały się znowu na mnie. Raz jeszcze spojrzałam w stronę kościoła. Obcy mężczyzna chodził teraz wolnymi krokami nie odrywając ode mnie swego niebieskiego — zauważyłam teraz — spojrzenia.

— A ekran też pani ma? — zapytał Don Antonio.

— Mam — powiedziałam — też w windzie, i aparat projekcyjny też.

— *Que buenooooo*. — To świetnie... — usłyszałam znowu chóralną odpowiedź tłumu i zaraz potem z Don Antonio poszliśmy do windy, a Obcy stał teraz oparty o drzwi kościoła i uśmiechał się nie spuszczać ze mnie wzroku. Gdy otwierałam drzwi mojej windy z deszczu byłam z niej znowu bardzo zadowolona i dumna, bo przecież mogła rozpuścić się w tym ostrym słońcu a jednak się nie rozpuściła, mogła wyschnąć i zniknąć a nie wyschła, i miałam wielką ochotę o tych zaletach mojej windy

opowiedzieć Obcemu. Bardzo dobrze było mieć takiego świadka o uważnym spojrzeniu — świadka świetności windy i Nie-Wiadomo-Jeszcze-Czego.

Z aparatem projekcyjnym, ekranem i kasetką z przezrociami szliśmy w stronę chatki Dona Antonio, bardzo oboje zadowoleni.

— Za chwilę będę musiał zgasić słońce — powiedział teraz Don Antonio — bo inaczej nic nie będzie widać!

— *Como no!* — Oczywiście! — odpowiedział tłum. Spojrzałam na Obcego. Stał nadal oparty o drzwi kościoła i śmiał się teraz szerokim, spokojnym uśmiechem.

Gdy podchodziliśmy już do chatki Dona Antonio — zapytałam:

— A na czym powiesimy ekran?

— O tu, na kapliczce — powiedział Don Antonio — zaraz sam go zawieszę i wówczas dopiero zauważyłam, że na kapliczce napisane jest małymi czarnymi literami:

„*Bill Reley, 1948*”

Zawahałam się chwilę i spojrzałam na Obcego. Patrzył na mnie poważnie swoim znanym już teraz spojrzeniem. Podałam ekran Donowi Antonio.

— A kiedy pan zgasi słońce? — zapytałam.

— Od powieszenia ekranu na kapliczce zgaśnie samo — odpowiedział.

Powiesił ekran i rzeczywiście zrobiło się natychmiast zupełnie ciemno i od razu z aparatu projekcyjnego, stojącego na krześle niziutkim, zaczęły wyskakiwać na ekran moje przezrocza jedno po drugim, tak, że wyglądało to jak bardzo szybko kręcony film.

A były to fotografie mężczyzn, kobiet, dzieci, łąk, drzew, rzek i gór, domów, zwierząt, aut, trotuarów, dróg, ptaków i na każdej fotografii widać było inną mieszaninę kilku tych rzeczy, na tle czegoś co nie było tak na pewno ani wsią ani miastem dlatego, że było i wsią i miastem jednocześnie. Niektórzy z ludzi na fotografiach mieli twarze ciemne a inni jasne, i ramiona ich, jasne i ciemne, ciemne i jasne wyrastały czasem z konarów drzew, podczas gdy gałęzie drzew z trzepoczącymi palcami wyrastały z ludzkich najróżnorodniej poubieranych ciał.

— Czy ci ludzie to *Inditos* z Japonii? — zapytał głos z tłumem a potem zaraz drugi głos zapytał?

— A może *Inditos* z Indii? — I potem już pytali i pytali jeden głos poprzez drugi.

— A może *Mazahuas* z Polonii, a może *Polacos* z Mazahuanu, a może, może, może... i czy to pani *tierra* czy nie, a jeśli nie,

to czyje to *pueblo* — czyje *ciudad* czyje *memenbi* usłyszałam nawet zdziwiona słowo znaczące „stolica”, w języku *otomi*. I wówczas poczułam na sobie znowu spokojny, ale ostrzejszy niż poprzednio wzrok Obcego z ciemności gęstej.

A ja przecież naprawdę nie wiedziałam skąd się te wszystkie dziwne fotografie wzięły i na wszystkie pytania odpowiadałam „nie” i „nie”, „nie”, „nie”, ale nie tylko po polsku... Było to NIE wielojęzyczne — we wszystkich językach, najpierw tych które znałam, a potem tych których nie znałam.

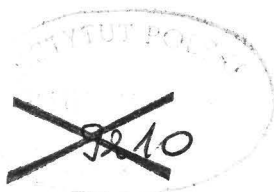
A na fotografiach mieszały się dalej gałęzie z ramionami, rzeki z trotuarami, drogi z rzekami... z korzeni drzew wypływały strumyki, rzeki wspiwały się w górę i pod chmurami jak łąki rozkwitały kiściami nieznanymi kwiatów... Było to wszystko cudowne, dziwne i pełne harmonii, nie bezład, chociaż takie nowe... I ale nie umiałam nadal tych fotografii nazwać, nic więcej prócz tego „nie” i „nie” bezustannie nie potrafiłam im, Pytającym, odpowiedzieć... Aż w końcu na trochę dłużej zatrzymała się jedna z fotografii na której była niby polana, niby jezioro otoczone wysokimi drzewami w świetle jasnego księżycy i na samym środku tej polany zobaczyłam nagle z radością moją windę z deszczu i prędko, rozrywając ekran, po schodkach z białego płótna do tej mojej windy cudownej wsiałam, a tłum naokoło mnie pytał znowu chórem zdziwionym:

— *A donde, a donde a donde?* — dokąd, dokąd dokąd? — I wówczas zobaczyłam, wyglądając przez okno, że podnoszą się czarne liny windy i wpełzają na same wierzchołki niby to gór niby drzew, których nadal nie umiałam nazwać... Ale wiedziałam za to na pewno jak się nazywa ta *tierra* przedziwna do której jużjechałam wspinając się stromo w górę, moją windą z deszczu, i tę nazwę im Czekającym z radością i bardzo głośno, przez moje okno z deszczu wołałam i wołałam.

I chyba ją usłyszeli bo gdy już byłam bardzo wysoko z ciemności *plazy* usłyszałam znowu ich chóralną odpowiedź...

„*Que bueno, que bueno, que bueno...*”

Mexico, w sierpniu 1965 roku



SPIS TREŚCI

<i>Prolog</i>	7
<i>Wieś Moja</i>	11
<i>Wtargnięcie</i>	19
<i>Pierwsze Przybliżenie</i>	22
<i>Drugie Przybliżenie</i>	35
<i>Wieś Obiecana</i>	130
<i>Wieś Moja</i>	222
<i>Epilog</i>	230

PEŁNY WYKAZ WYDAWNICTW
« BIBLIOTEKI KULTURY »

1. Witold GOMBROWICZ . *Trans-Atlantyk i Ślub* (wyczerpane)
2. George ORWELL *1984* (wyczerpane)
3. Czesław MIŁOSZ *Zniewolony umysł* (wyczerpane)
4. James BURNHAM *Bierny opór czy wyzwolenie?*
5. Czesław MIŁOSZ *Światło dzienne* (Poezje) (wyczerpane)
6. Czesław STRASZEWICZ *Turyści z bocianich gniazd* (wyczerpane)
7. Stefan KORBOŃSKI .. *W imieniu Rzeczypospolitej* (wyczerpane)
8. Józef ŁOBODOWSKI .. *Złota hramota* (Poezje)
9. Czesław MIŁOSZ *Zdobycie władzy* (wyczerpane)
10. Czesław MIŁOSZ *Dolina Issy* (wyczerpane)
11. Marian PANKOWSKI .. *Smagła swoboda*
12. Teodor PARNICKI *Koniec „Zgody narodów”*, 2 tomy (wyczerpane)
13. Stefan KORBOŃSKI .. *W imieniu Kremla...* (wyczerpane)
14. Raymond ARON *Koniec wieku ideologii* (wyczerpane)
15. Graham GREENE *Moc i chwała*
16. Leo LIPSKI *Dzień i noc* (Opowiadania) (wyczerpane)
17. Andrzej CHCIUK *Smutny uśmiech* (Opowiadania) (wyczerpane)
18. Jeanne HERSCH *Polityka i rzeczywistość*
19. Czesław MIŁOSZ *Traktat poetycki* (wyczerpane)
20. Józef MACKIEWICZ .. *Kontra*
21. Witold GOMBROWICZ . *Dziennik (1953-1956)* (wyczerpane)
22. Andrzej BOBKOWSKI .. *Szkice piórkami* (Francja 1940-1944), 2 tomy
23. Paweł ZAREMBA *Historia Stanów Zjednoczonych* (wyczerpane)
24. Aleksander HERTZ *Amerykańskie stronnictwa polityczne* (Mechanizm demokracji) (wyczerpane)
25. Daniel BELL *Praca i jej gorycze* (Kult wydajności w Ameryce)
26. Jan WINCZAKIEWICZ . *Izrael w poezji polskiej* (Antologia)
27. Milovan ĐILAS *Nowa klasa wyzyskiwaczy* (wyczerpane)

28. Marek HŁASKO *Cmentarze. Następny do raju* (wyczerpane)
29. Czesław MIŁOSZ *Kontynenty* (wyczerpane)
30. Jan KOWALIK *Polska w bibliografii niemieckiej 1954-1956*
(wyczerpane)
31. Stanisław REMBEK *W polu*
32. Howard FAST *Król jest nagi* (wyczerpane)
33. Simone WEIL *Wybór pism*
34. Albert CAMUS *Człowiek zbuntowany* (wyczerpane)
35. James BURNHAM *Revolucja menadżerska* (wyczerpane)
36. Tadeusz KATELBACH .. *Rok złych wróżb* (1943)
37. Jurij ŁAWRYNENKO .. *Rozstriliane wiodroźniennia* (Antologia)
38. Józef ŁOBODOWSKI .. *Pieśń o Ukrainie z tłumaczeniem na ukraiński*
Św. Hordyńskiego (wyczerpane)
39. Tadeusz NOWAKOWSKI *Syn zadźmionych* (wyczerpane)
40. — *Program Związku Komunistów Jugostawii*
(Seria „Dokumenty”, Zeszyt 5)
41. (Opr. Czesław MIŁOSZ) *Kultura Masowa* (Seria „Dokumenty”,
Zeszyt 6)
42. Marek HŁASKO *Hrbitowy* (wyczerpane)
43. Jan KOWALIK „Kultura” 1947-1957. Bibliografia „Kultury”
44. Borys PASTERNAK ... *Doktor Żiwago* (Wydanie trzecie)
45. Wacław LEDNICKI *Glossy Krasinśkiego do apologetyki rosyjskiej*
(wyczerpane)
46. Abram TERC *Sąd idzie. Co to jest realizm socjalistyczny?*
(wyczerpane)
47. Tibor DERY *Niki* (wyczerpane)
48. Wiktor SUKIENNICKI . *Kolumbowy Błąd* (Seria „Dokumenty”,
Zeszyt 7) (wyczerpane)
49. Wacław IWANIUK *Milczenie 1949-1959* (Poezje) (wyczerpane)
50. Czesław MIŁOSZ *Rodzinna Europa* (wyczerpane)
51. Gustaw HERLING-GRU-
DZIŃSKI *Skrzydła ołtarza*
52. Halszka GUILLEY-
CHMIEŁOWSKA *Spotkania na galerii*
53. Józef CZAPSKI *Oko*
54. Witold GOMBROWICZ . *Pornografia* (wyczerpane)
55. Leo LIPSKI *Piotruś*
56. Aldous HUXLEY *Nowy wspaniały świat poprawiony*
57. Kazimierz WIERZYŃSKI *Tkanka ziemi* (wyczerpane)
58. Stanisław KOT *Jerzy Niemirycz — inicjator Ugody Ha-*
dziackiej
59. (Opr. Czesław MIŁOSZ) *Węgry* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 8)
60. Artur Marya SWINARSKI *Sasza i bogowie*
61. Andrzej CHCIUK *Rejs do Smithton — Stary ocean.*
62. Adam CIOLKOSZ *Róża Luksemburg a Rewolucja Rosyjska*

- Róża Luksemburg *Rewolucja Rosyjska* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 9) (wyczerpane)
63. Bogdan CZAYKOWSKI i Bolesław SULIK *Polacy w Wielkiej Brytanii*
64. Danuta MOSTWIN *Ameryko! Ameryko!*
65. Paweł HOSTOWIEC ... *Eseje dla Kassandry*
66. Aleksander HERTZ *Żydzi w kulturze polskiej* (wyczerpane)
67. Andrzej STAWAR *Pisma ostatnie* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 10) (wyczerpane)
68. Abram TERC *Opowieści fantastyczne*
69. I. IWANOW *Czy istnieje życie na Marsie?*
70. Abram TERC *Fantastyczne Powieści* (wyczerpane)
71. I. IWANOW *Jest li ziżń na Marsie?*
72. Paweł ZAREMBA *Historia Polski. Cz. I.*
73. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 1-szy)
74. Adam CZERNIAWSKI . *Topografia wnętrza* (Poezje) (wyczerpane)
75. Władysław BRONIEWSKI *Wiersze* (wyczerpane)
76. Józef CZAPSKI *Na niehumannej ziemi* (wyczerpane)
77. Czesław MIŁOSZ *Człowiek wśród skorpionów*
78. Bernard SINGER *Od Witosa do Sławka*
79. Czesław MIŁOSZ *Król Popiel i inne wiersze* (wyczerpane)
80. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 2-gi) (wyczerpane)
81. Witold GOMBROWICZ . *Dziennik. Tom II (1957-1961)*
82. Milovan ĐŽILAS *Rozmowy ze Stalinem* (wyczerpane)
83. Jerzy MOND *6 lat temu...* (Kulisy Polskiego Października) (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 11-ty) (wyczerpane)
84. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 3-ci)
85. Józef WITTLIN *Orfeusz w piekle XX wieku*
86. Zygmunt HAUPT *Pierścień z papieru*
87. Marek HŁASKO *Opowiadania* (wyczerpane)
88. Maria CZAPSKA *Polacy w ZSSR (1939-1942)* Antologia (wyczerpane)
89. Witold JEDLICKI *Klub Krzywego Koła* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 12-ty)
90. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 4-ty)
91. Abram TERC *Lubimow* (wyczerpane)
92. — *We własnych oczach.* Antologia współczesnej literatury sowieckiej
93. Gustaw HERLING-GRU-DZIŃSKI *Drugie przyjsćie oraz inne opowiadania i szkice*
94. Jan KOWALIK *Materiały do historii prasy polskiej na obczyźnie 1939-1962*
95. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 5-ty)

96. Marek HŁASKO *Brudne czyny. Wszyscy byli odwrócenii* (wyczerpane)
97. Kazimierz WIERZYŃSKI *Kufer na plecach* (Poezje) (wyczerpane)
98. Bogdan CZAYKOWSKI . *Spór z granicami* (Poezje) (wyczerpane)
99. Wincenty WITOS *Moje Wspomnienia. Tom I/III*
100. Walter G. KRYWICKI . *Byłem agentem Stalina* (Seria „Archiwum Rewolucji”) (wyczerpane)
101. Jan BIELATOWICZ *Gaude Mater Polonia* (wyczerpane)
102. Stanisław MACKIEWICZ *Polityka Becka*
103. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 6-ty)
104. Ignazio SILONE *Wybór towarzyszy* (Seria „Archiwum Rewolucji”)
105. Wiktor SUKIENNICKI . *Biała Księga* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 13-ty) (wyczerpane)
106. Juliusz MIEROSZEWSKI *Ewolucjonizm* (wyczerpane)
107. Abram TERC *Myśli niespodziewane* (wyczerpane)
108. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 7-my)
109. Wacław IWANIUK *Wybór wierszy*
110. Michał K. PAWLIKOWSKI *Wojna i sezon*
111. Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI *Inny świat*
112. Witold GOMBROWICZ . *Kosmos* (wyczerpane)
113. Borys LEWICKIJ *Terror i rewolucja* (Seria „Archiwum Rewolucji”)
114. Stanisław VINCENZ *Po stronie pamięci*
115. Danuta MOSTWIN *Olivia*
116. Czesław MIŁOSZ *Gucio zaczarowany* (Poezje) (wyczerpane)
117. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 8-my)
118. Jerzy PIETRKIEWICZ . *Poematy londyńskie i wiersze przedwojenne*
119. January GRZĘDZIŃSKI . *Maj 1926* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 14-y)
120. Mikołaj ARŻAK *Odkupienie i inne opowiadania*
121. Arthur KOESTLER *Fragmenty wspomnień* (Seria „Archiwum Rewolucji”)
122. Michel GARDER *Agonia reżymu w ZSSR* (Seria „Archiwum Rewolucji”)
123. Piotr GUZY *Krótki żywot bohatera pozytywnego* (wyczerpane)
124. — *Dialog polsko-niemiecki w świetle dokumentów kościelnych* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 15-ty) (wyczerpane)
125. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 9-ty)
126. Barbara TOPORSKA .. *Siostry*
127. — *Sąd idzie! Stenogram z procesu A. Siniawskiego i J. Daniela* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 16-ty)

128. Marek HŁASKO *Piękni, dwudziestoletni* (wyczerpane)
129. Borys LEWYČKYJ *Polityka narodowościowa w ZSSR* (Seria „Archiwum Rewolucji”)
130. Mihajlo MIHAJLOV ... *Tematy rosyjskie* (Seria „Archiwum Rewolucji”)
131. George J. FLEMMING .. *Polska mało znana*
132. J. KUROŃ i K. MODZELEWSKI *List otwarty* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 17-ty) (wyczerpane)
133. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 10-ty)
134. Wacław LEDNICKI *Rosyjsko-polska entente cordiale 1903-1905*
135. Adam CZERNIAWSKI . *Sen — Cytadela — Gaj* (Poezje)
136. — *Schizmy* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 18-ty)
137. George J. FLEMMING .. *Czym to się je?* (wyczerpane)
138. Witold GOMBROWICZ . *Dziennik III. Operetka*
139. Aleksander HERTZ *Refleksje amerykańskie*
140. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 11-ty)
141. Olga SCHERER *W czas morowy*
142. Alicja ZAWADZKA-WETZ *Refleksje pewnego życia* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 19-ty)
143. Bonifacy MIAŻEK *Ziemia otwarta* (Poezje)
144. Juliusz MIEROSZEWSKI *Polityczne Neurozy*
145. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 12-ty)
146. Aleksander HERTZ *Szkice o ideologiach*
147. Wiktor SUKIENNICKI . *Legenda i Rzeczywistość* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 20-ty)
148. Tomasz STALIŃSKI ... *Widziane z góry*
149. Galina SIERIEBRIAKOWA *Huragan* (Seria „Archiwum Rewolucji”)
150. Swietlana ALLILUJEWA *Dwadzieścia listów do Przyjaciela* (Seria „Archiwum Rewolucji”)
151. Aleksander WEISSBERG-CYBULSKI *Wielka Czystka* (Seria „Archiwum Rewolucji”)
152. Leopold TYRMAND *Życie towarzyskie i uczuciowe*
153. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 1-szy)
154. Kazimierz WIERZYŃSKI *Czarny Polonez* (Poezje)
155. Czesław DOBEK *Drugi rzut i inne opowiadania*
156. Wacław IWANIUK *Ciemny Czas* (Poezje)
157. Leon MITKIEWICZ .. *Z gen. Sikorskim na obczyźnie* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 21-ty).

Achévé d'imprimer le 25 juin 1968 sur les presses de l'Imprimerie Richard,
24 rue Stephenson, Paris, 18^e.
Dépôt légal: 2^e trim. 1968.

Cena 15 F. (dol. 3,50)